

MORT CASTLE

OBCY



MORT CASTLE OBCY

Tłumaczyła Ewa Wojtczak

Replika

Tytuł oryginału *The Strangers*

Copyright © Mort Castle, 2005

Copyright © Introducion, Marc Paoletti, 2005

Copyright © for the Polish edition by

Wydawnictwo Replika, 2008

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja

Magdalena Piechowiak

Projekt okładek

i Dariusz Jasiczak

Powieść ta jest fikcją literacką. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej książki nie może zostać powielona lub nadana w jakiejś formie,
czy to elektronicznej, czy też tradycyjnej, bez pisemnego pozwolenia ze strony wydawcy.

Wydanie I

ISBN 978-83-60383-70-4

Wydawnictwo Replika

ul. Wierzbowa 8,

62-070 Zakrzewo

tel./faks 0618944151

replika@replika.eu

www.replika.eu

Druk i oprawa: WZDZ - Drukarnia „LEGA”

WPROWADZENIE

Po raz pierwszy spotkałem Morta Castle'a wiele lat temu podczas partycji pokera, która odbywała się u pewnego naszego wspólnego przyjaciela. Było to w czasach, gdy moja znajomość horrorów ograniczała się do broszurek przedstawiających niktzemników, którzy wysysali krew, wyli do księżycy albo biegali z nożem rzeźnickim. Tej nocy Mort uprzejmie podsunął mi egzemplarz *Obcych*, który przyjąłem bez szczególnych oczekiwań. Założyłem, że powieść nie będzie się szczególnie różnić od niezliczonych innych dzieł tego gatunku, jakie wcześniej czytałem.

Jakże często jednak oceniamy książkę po okładce. A ja na tych kartach odkryłem skomplikowaną opowieść o typie przestępcy, z jakim nigdy wcześniej się nie spotkałem.

Poznajcie Michaela Loudena, przedstawiciela klasy średniej, męża i ojca, posiadacza ładnego domu i dobrej pracy. Jak wielu z nas, Michael z niecierpliwością czeka na to, co przyniesie przyszłość. Tyle że jego wizja lepszej przyszłości nie obejmuje żony i dwóch małych córeczek; raczej zależy od ich śmierci. Louden jest bowiem *Obcym*, który czeka na Czas *Obcych*, kiedy on i jemu podobni oczyszczą z plew społeczeństwo „normalnych”. Do tego czasu musi ukrywać swoją prawdziwą naturę i starać się dopasować do społeczeństwa.

Wcale nie psuję niespodzianki, ponieważ te informacje czytelnik otrzymuje już na pierwszych stronach powieści. Co sprawia, że historia ta jest tak wyjątkowo wciągająca (i jawnie przyprawia o gęsią skórę)? Fakt, że większa jej część opowiadana jest z punktu widzenia Michaela Loudena.

Bohater wtajemnicza nas w każdą swą niemoralną i obłudną myśl - podczas gdy kosi trawnik, odwozi dzieci do szkoły, kocha się z żoną.

Niewielu autorów horrorów wybiera takie podejście i mają ku temu dobre powody. Zmusz swoich czytelników do spędzenia zbyt długiego czasu w głowie najmniej sympatycznej postaci, zwłaszcza w gatunku, w którym czarny charakter ma skłonności do skrajnych zachowań, a ryzykujesz, że tych czytelników utracisz. Tyle że tutaj chodzi o coś więcej niż o zwyczajny szok.

Powieść *Obcy* ukazuje jedną z najbardziej niepokojących i prawdziwych personifikacji zła, jakie można znaleźć w horrorach. Zło jest tu nie jakimś łatwo identyfikowalnym stworzeniem przyczajonym w cieniu, lecz czymś wszechobecnym i nieuchwytnym, czymś, co może mieszkać spokojnie w głowach ludzi, których najmniej o to podejrzewasz - sąsiada, najlepszego przyjaciela, współmałżonka - i pozostaje niezauważone do czasu, aż... jest za późno.

Warto odnotować, że powieść *Obcy* ukazała się po raz pierwszy w roku 1984, gdy mieszkańcy Stanów Zjednoczonych byli poważnie ogarnięci ksenofobią. Media nierzadko przedstawiały zagrożenia wobec naszego stylu życia właśnie jako coś „obcego”. Jednak w tej książce niebezpieczeństwo czai się w naszych własnych domach, a Michael jest niczym dobrze zakonspirowany robak w gnieździe rodzinnym, gotów zabijać, aby przekształcić wersję „amerykańskiego marzenia” w coś bardziej podstępnego i niszczycielskiego, niż potrafiłyby to zrobić jakikolwiek alternatywny ustrój polityczny.

W miarę rozwoju akcji autor bynajmniej nie oswaja naszych lęków, usprawiedliwiając zachowanie Michaela na przykład duchowym opętaniem lub ujawniając, że Louden w rzeczywistości cierpi na rozdwojenie jaźni. Nie, Michael jest po prostu zły, ponieważ taki się urodził, gdyż jest produktem bliżej nieokreślonego „czegoś”, co tkwi w naszych genach lub środowisku i co pozwala mu - oraz tysiącom takich jak on - bez wysiłku i bezlitośnie ciągnąć swoją maskaradą dzień po dniu. Co gorsza, typ zła, który

reprezentuje bohater, może bez przeszkód istnieć, ponieważ reszta z nas nie przyjmuje do wiadomości jego egzystencji.

Ale to zło istnieje. W *Obcych* Mort Castle bada ten zatrważający i niewyjasnialny aspekt ludzkiej natury w sposób, który daleko wykracza poza gatunek zwany horrorem.

Marc Paoletti

Los Angeles, Kalifornia

2005

Marc Paoletti to jeden z pisarzy „nowej fali” horroru, którego teksty znalazły się w przełomowej antologii *Young Blood*, zredagowanej przez nieodżałowanego Mike'a Bakera. Paoletti pisze opowiadania, tworzy komiksy i sztuki internetowe. Pracował w przemyśle filmowym jako pirotechnik („Dostajesz niezłą pensję za wysadzanie przedmiotów w powietrze”), na przykład przy *Terminatorze II*. Przez jakiś czas wymyślał też slogany reklamowe. Obecnie kończy studia pisarskie na Columbia College w Chicago i pracuje nad powieścią.

PROLOG

Była za kwadrans pierwsza w nocy. Przednie światła buicka regal wydobły z mroku plaży kuliste kłęby letniej mgły, która unosiła się nad krętą drogą okrążającą leśny rezerwat. Po parnym dniu temperatura spadła do dwudziestu czterech stopni Celsjusza, jednak z powodu dużej wilgotności klimatyzacja w samochodzie pracowała na pełnych obrotach. Jej ciągły szum zagłuszał nawet odgłosy silnika.

Nie obracając głowy w stronę towarzysza, siedzący za kierownicą mężczyzna w średnim wieku spytał:

- Miałeś okropnie nieciekawy dzień?

- Nieciekawy? Mówisz o wystawie nowych produktów? - Słowa młodszego mężczyzny były beznamiętne, ton lekko zabarwiony sarkazmem. - Proszę cię, musimy zobaczyć najświeższe nowinki wśród artykułów dla firm sprzątających. Pasta nablyszczająca do podłóg, kostki dezodoryzujące do pisuarów, miotły z włosia... Właśnie to nazywam ekscytującym.

Kierowca roześmiał się mechanicznie urywanymi „cha, cha, cha”.

- Masz w sobie niezwykły entuzjazm.

- Dzięki, szefie! Dzięki, stary! Jestem facetem, który powinien się zachwycać tak cholernie wieloma rzeczami. Mam swój kawałek amerykańskiego placka. Cudowna żona, dwoje wspaniałych dzieci i własny dom. Mogę też dorzucić do mojego wielkiego szczęścia to, co ty dla mnie zrobiłeś, czyli podwyżkę i awans. Krajowy dyrektor do spraw sprzedaży, stanowisko, które zawsze było moim celem... I gwarantuję ci, że dam z siebie Superior Chemical Company sto dziesięć procent. Mówię to poważnie i szczerze...

Mężczyzna za kierownicą skinął głową. Światła kontrolki z tablicy rozdzielczej nadały jego srebrzystym włosom odcień zieleni, a okrągła, dobroduszna twarz zdawała się pod ich wpływem nabierać nieco kanciastych rysów.

- To ludzie tacy jak ty - stwierdził - czynią ten kraj tym, czym jest.
- Nie... Ludzie tacy jak my!

Obaj mężczyźni roześmiali się cicho. Młodszy rozsiadł się wygodniej na siedzeniu i rozprostował nogi. Poluźnił krawat i odchylił głowę. Rudawo-złote włosy powoli zaczynały mu rzednąć na czole, w kącikach ust pojawiły się już kurze łapki, ale nie wyglądał na więcej niż swoje trzydzieści pięć lat. Jego twarz była przeciętnie amerykańska, bez śladu jakiegось określonego pochodzenia etnicznego. Nie był szczególnie przystojny ani też wyjątkowo szpetny. Gdyby człowiek spotkał go raz czy dwa, prawdopodobnie prędzej przypominałby sobie jego nazwisko niż oblicze.

- Czy do czekania można się w ogóle kiedykolwiek przyzwyczaić? - spytał, tym razem zupełnie serio.

- Oczywiście - odparł kierowca. - Często czekałem znacznie dłużej niż ty...

- Jasne, wiem, czasami jednak odnoszę wrażenie, że nerwy mam jak postronki. Czekasz, czekasz i myślisz, że to czekanie nigdy się nie skończy...

- Skończy się.

- ...i chcesz zedrzyć maskę, niech wszyscy zobaczą twój prawdziwy uśmiech za tym udawanym...

- Żeby stać się nagłówkiem prasowym na trzy dni? - przerwał mu kierowca. - A potem co? Cela więzienna? Jeden z ich domów wariatów? Śmierć?

Młodszy mężczyzna westchnął.

- Tak, to właśnie się wtedy zdarza.

- Nie. - Zaprzeczenie było spokojne, lecz zdecydowane. - Coś takiego

przydarza się tym, którzy nie są dość przebiegli lub pomysłowi... i tym, którzy tracą cierpliwość

.- Więć czekamy.

- Oczywiście. I łagodzimy nasze napięcia oraz frustracje najlepiej, jak potrafimy. - Pełne wargi starszego mężczyzny wykrzywiły się w uśmiechu.

- Mógłbyś spędzać więcej czasu, wypełniając małżeński obowiązek ze swoją cudowną żoną. Może zróbcie sobie jeszcze jedno wspaniałe dziecko.

- „Nie będzie więcej Wspaniałych”, mówi Cudowna. Ma ochotę rozwijać własną osobowość. Odkryła emancypację kobiet dziesięć lat po reszcie narodu.

- Mamy towarzystwo - wtrącił starszy. - A my naturalnie zawsze jesteśmy gotowi wykorzystać każdą rozrywkę, jaką los i okoliczności nam podsuwają...

Zawiesił głos, równocześnie podnosząc stopę z gazu. Buick zwolnił. Młodszy mężczyzna wyprostował się na siedzeniu, nagle czujny.

- Chyba ktoś ma problem - zauważył kierowca.

Przed nimi, tuż przed ostrym zakrętem, na lewym poboczu, stał ford z podniesioną maską. Jakiś osobnik zaglądał w silnik, a gdy oświetliły go przednie światła buicka, odwrócił głowę.

Buick zatrzymał się na przeciwnym poboczu. Starszy mężczyzna nie wyłączył silnika. Poszukał pod przednim siedzeniem i wyciągnął dużą, ciężką latarkę z izolowaną gumą rączką.

- Jeśli otworzysz schowek...

Jego towarzysz otworzył. Wyjął nóż do rozcinania skóry, którego rękojeść owinięto czarną taśmą, a trzynastocentymetrowe ostrze było obosieczne i spiczaste.

- Bardzo poręczny - ocenił.

- Weź go - powiedział kierowca. - Wyraźnie potrzebujesz tego rodzaju aktywności, by zmniejszyć odczuwaną nudę.

- Tak - przyznał tamten, a wysyczone słowo zmieszało się z inwazją nocnych dźwięków: pohukiwań, cykań oraz cichych świstów z otaczającego lasu, które dotarły do nich, gdy starszy mężczyzna otworzył drzwi. -

Zobaczymy, co da się zrobić - dorzucił - by pomóc temu podróżnemu pozostawionemu własnemu losowi na drodze życia.

Fred Harley uznał się za szczęściarza. No cóż, ford wprawdzie odmówił posłuszeństwa, ale przecież Fred utknął tu nie więcej niż trzy minuty temu i już ktoś się zatrzymał. Pusta droga, późna godzina... tak, to był uśmiech losu. Harley nie będzie musiał iść nie wiadomo jak długo, próbując znaleźć telefon, ani machać na przejeżdżające samochody. Nie, nie, może powiedzieć komarom: „Żegnajcie”. Tej nocy zatrzyma całą swoją krew dla siebie.

Obserwował, jak dwaj mężczyźni wysiadają z buicka. Natychmiast dostrzegł, że są biali i dobrze ubrani. Nie uważał się za osobę uprzedzoną, jednak Stany Zjednoczone nie były przecież rajem rasowej harmonii. Gdyby ci dwaj mężczyźni byli czarni, poczułby się nieco nieswojo.

Gdyby jednak Fred Harley był człowiekiem obdarzonym pewnym szczególnym darem parapsychicznym, poczułby prawdziwy niepokój. Zaszłoby mu w gardle, trząsłby się od napływu adrenaliny, pocił ze strachu.

Z kolei jasnowidz ze zdolnością do widzenia aur - widzenia w sposób, który tylko w minimalnym stopniu wiąże się z percepcyjnymi możliwościami ludzkiego oka - i taki, który rozumiałby, co te aury oznaczają, być może rzuciłby się w tym momencie do ucieczki i popędził szaleńczo w las, modląc się, aby umknąć, ukryć się, znaleźć bezpieczną kryjówkę...

Głowę każdego z mężczyzn otaczała bowiem ogniście czerwona aura - aureola niewidoczna dla osób, które nie posiadały zdolności parapsychicznych. Aura pulsowała szkarłatnie, to rozszerzając się, to kurcząc, jak gdyby oddychała, niczym widziany na biologii w liceum pod mikroskopem okaz, którego naukową nazwę dawno zapomniano, lecz obraz został zapamiętany na zawsze i powraca w nocnych koszmarach. Aury obu mężczyzn, starszego i młodszego, wskazywały na to, czym i kim ci dwaj są, identyfikowały ich dla tych, którzy potrafili to dostrzec i zrozumieć.

Obaj byli Obcymi.

Niestety, jedyne światło, jakie Fred Harley zobaczył, pochodziło z mocnych baterii latarki. Promień, który łączył go z mężczyznami, skracał się.

Obcy się zbliżali.

Akurat gdy Fred mówił: „Dzięki, panowie”, oślepiła go latarka. Mrugając, zobaczył tylko powidok, rozmazany żółty okrąg.

Główka ciężkiej latarki uderzyła go w twarz. Usłyszał suchy trzask i wilgotne plaśnięcie. Dźwięki te docierały z wnętrza czaszki Freda, który wiedział, że właśnie stracił kilka zębów i ma rozbity nos.

Zataczając się, spróbował powiedzieć coś, co wyszło jako „guaaaf!”, a potem znów został trafiony - latarka trzasnęła go w bok głowy, aż opadł na klęczki.

„Hej, to nie ma sensu!” - pomyślał.

Młodszy mężczyzna usiadł okrakiem na jego ramionach, kucając jak dziecko usiłujące wejść na barana, wplótł mu palce we włosy i szarpnął jego głowę w górę i w tył.

Fred Harley pomyślał: „Zabiją mnie, choć nie mają ku temu żadnego powodu, kompletnie żadnego powodu.

Dokładnie w momencie, gdy uzmysłowił to sobie z przeraźliwą jasnością, młodszy z dwóch mężczyzn poderżnął mu gardło.

JEDEN

- Co powiesz na zimny browarek? - zawołał Brad Zeller, przekrzykując ryk kosiarki do trawy.

Było późne popołudnie, niedziela. Michael Louden kosił ostatni pas trawnika przy domu. Skinął głową i uniósł kciuk na potwierdzenie.

- Wpadnę do ciebie za kilka minut - odkrzyknął sąsiadowi zza ponadmetrowego ogrodzenia z sekwojowego drewna.

Gdy Michael kończył pracę, poczuł, że pasek jego szortów khaki jest wilgotny od potu; podkoszulek miał całkiem mokry. Kawałki trawy poprzyklejały się do spoconych przedramion i łydek mężczyzny, powodując lekkie, lecz irytujące swędzenie.

Wyłączył silnik, wytarł czoło grzbietem dłoni i ruszył z kosiarką do garażu. Lato zbliżało się już do końca, a pięcioletnia kosiarka wciąż sprawowała się jako tako, chociaż ciężko było cholerstwo uruchomić. Michael miał nadzieję, że urządzenie wytrzyma do końca sezonu i aż do następnego roku nie będzie musiał kupować nowego. Rozsądniej bowiem nabyć nowy sprzęt, niż próbować naprawiać taki, który i tak długo nie podziała, a Louden - tak, tak! - był rozsądnym facetem.

A może w przyszłym roku w ogóle nie będzie musiał przejmować się trawnikiem? Przy tej myśli Michael pozwolił sobie na nikły uśmiezek.

W ogrodzie, który rozciągał się obok garażu, Beth Louden pracowała na czworakach. Już dawno temu wygrała wojnę z chwastami, owadami i innymi zwierzęcymi szkodnikami, pozostała jednak czujna, mając się na baczności przed nowym najazdem, choćby ze strony zuchwałych mleczy.

Beth kochała swoje cynie i nagietki, floksy i białe firletki, kochała wszystkie swoje kwiaty. Traktowała ten ogród w sposób szczególny. Dzięki niemu była nie tylko zwyczajną gospodynią domową i matką, lecz również ogrodniczką.

Michael przystanął w rogu grządki kwiatowej, zaciskając dłonie na metalowym uchwycie kosiarki. Przypatrzył się drobnej kobiecie w obciętych dżinsach i żółtej frotowej bluzce z odkrytymi plecami. Potrafił sobie wyobrazić, co mogłoby się teraz zdarzyć: jedno silne szarpnięcie za sznur i kapryśne ustrojstwo tym razem zaskakuje, po czym wymyka mu się z raje. Beth macha rękoma w panice... Absolutne niedowierzanie... Przerażony krzyk: „nie!” Kwiaty zniszczone, spadający deszcz wielobarwnego konfetti...

- Wygląda naprawdę dobrze - oznajmił z aprobatą.
- Dzięki - odparła żona. - W przyszłym roku obok garażu posadzę irysy. Trzeba na nie uważać, bo potrafią przejąć cały teren, a są tak odporne, że nic nie zdoła ich wykończyć.

Michael roześmiał się przekornie.

- Och, sądziłaś, że mówię o ogrodzie. Pewnie, kwiaty wyglądają świetnie, mnie jednak chodziło o ten słodki mały tyłeczek, który wystawiasz w moją stronę.

Patrząc na niego przez ramię, Beth wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Kręcone kosmyki kasztanowych włosów, przycięte krótko na początku lata, wymykały się już spod niebieskiej chustki zawiązanej na głowie w stylu ciotki Jemimy*. Na górnej wardze pod lekko piegowatym nosem kobieta miała rozmazany brud, który kojarzył się z wąsikami Charliego Chaplina.

* Ciotka Jemima (ang. Aunt Jemima) - uśmiechnięta czarnoskóra kobieta, jedna z najstarszych ikon reklamy amerykańskiej. Pojawiła się w 1893 roku na reklamie proszku do pieczenia, a w XX wieku stała się masowym symbolem zmiany postrzegania Afroamerykanek zarówno w sferze politycznej, jak i społecznej. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Ale z ciebie głuptas! - mruknęła.
- Jup-jup-jup - zająknął się, znowu dając swój idiotyczny popis w stylu wesolej świnki Porky. Zostawił kosiarkę i wyciągnął ręce. - Jestem dziki i zwariowany facet. Nie mogę dojść do ciebie, nie depcząc twoich żonkili, więc chodź tu i pocałuj mnie, maleńka!
- Jestem cała brudna!
- Ja jestem bardziej brudny, więc chodź tu, zanim dostanę szalu i cię dopadnę.

Pomyślał, że w jej pośpiechu do niego jest zarówno coś ze szczęścia, jak i desperacji; Beth wyglądała jak uczący się stawiać pierwsze kroki maluch, który wita tatusia wracającego do domu z tygodniowej delegacji. Michael dopadł ją, mocno pocałował i uszczypnął jej pełny tyłeczek. Tak jak to często robił, pogratulował sobie wyboru tej „miniaturki”, którą uczynił „żoną” w swojej kolekcji ludzi i przedmiotów, zbieranych dla zachowania pozorów normalności. Beth Louden, z domu Wynkoop, czterdzieści sześć kilogramów przyjemnie rozłożonych na metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, ultrakompaktowa wersja standardowego modelu, który mężczyzna bierze sobie na żonę i matkę swoich dzieci. Na jego potrzeby Beth była doskonała. I dała mu dwoje doskonałych dzieci, dopełniając nimi obraz przeciętnego przedstawiciela klasy średniej, tyrającego jak wół i ogólnie raczej zadowolonego z życia małżonka z przedmieść, którego musiał udawać.

Słowa żony zabrzmiały jak błaganie o zrozumienie.

- Naprawdę cię kocham.
- Jezus, to działa! Ja ciebie również kocham!

Odepchnęła go. Te małe rączki na jego piersi! Zastanowił się, czy uważała, że potrafi go nimi powstrzymać, czy w ogóle wyobrażała sobie, że istnieje na ziemi albo w piekle jakiś sposób, dzięki któremu mogłaby go powstrzymać, gdyby postanowił, że nie da się powstrzymać, już nie.

- Michaelu, ja... - W brązowych oczach Beth, tak okrągłych, że

przywodziły mu na myśl wiszące w rzekomo artystycznych sektorach domów towarowych obrazy przedstawiające porzucone dzieci, dostrzegł troskę. - Chciałam... Przez chwilę naprawdę potrzebowałam rozmowy z tobą. Czasami nie jest łatwo rozmawiać... zdaje mi się.

- O co chodzi? - spytał, kładąc ręce na jej nagich ramionach. - To ja, pamiętasz? Możesz mi powiedzieć wszystko.

Spuściła wzrok. Oblizła wargi.

- Michaelu, martwię się o nas.

- O nas? - powtórzył. Potem zmienił ton ze zdumionego na lekko zainteresowany. - Nie nadążam za tobą, kochanie...

Wzruszyła ramionami, a on chwycił się pod boki, unióśł brwi, zacisnął wargi, jednoznacznie sugerując swoją miną, że naprawdę pragnie zrozumieć.

- Jest jakiś dystans, Michaelu... - ciągnęła Beth - ...jakiś dystans między nami. Jest, czuję go i martwi mnie.

- Ja... - Pochwalił się za tę pauzę. Rozważył, czy nie podrapać się w zadumie po głowie, lecz odrzucił ten pomysł jako zbyt prostacki... W stylu Roberta De Niro...? Cholera, De Niro mógłby brać lekcje aktorstwa u Michaela Loudena! - Chyba wiem, o czym mówisz - oświadczył poważnym tonem. - Ja również go czuję w tych momentach, gdy wystarczająco zwalniam tempo, aby zdać sobie sprawę, co w ogóle dzieje się wokół mnie. - Zwiesił ramiona. - Zdaję sobie sprawę z tego, że wina za taki stan rzeczy leży w dużej części po mojej stronie. Od chwili, gdy Vern mnie awansował, nie myślę o niczym poza pracą. Praca odrywa mnie od prawdziwego świata, tego, który stworzyliśmy razem, ty i ja.

- Wiem, że żyjesz pod presją - wtrąciła Beth.

„Pod presją? - pomyślał z ironią. - Co ona może, u diabła, wiedzieć o presji, z którą na co dzień żyją Obcy?”

- Domyślam się, że wiesz, ale przykro mi, że bywam taki nieobecny, że tak bardzo się od ciebie oddaliłem. Niechciałem tego, wierzysz mi?

- Pewnie - odparła bez większego przekonania.
- Słowo daję, Beth - naciskał Michael - jesteś jedyną osobą w moim życiu, którą zawsze pragnę czuć przy sobie.

Posłał jej pogodny, a nawet lekko szelmowski uśmiezek.

- Mam pomysł, jak moglibyśmy pokonać ten dzielący nas dystans. Marcy i Kim wracają do domu z obozu dopiero jutro, do tego czasu mamy więc cały dom tylko dla siebie. Możemy... zbliżyć się do siebie... wszędzie, gdzie zechcemy. Nawet w kuchni, w pokoju rekreacyjnym albo...- jego uśmiech się rozszerzył - ...na dywanie w salonie. Będzie romantycznie! Rozpalimy ogień...

Rozśmieszył ją.

„Bez problemu - pomyślał. - Poszło zupełnie bez problemu”.

- Ogień? Ty głuptasie! Jest tak gorąco...
- Więc rozpalimy ogień i rozkręcimy klimatyzację!

Beth nagle przestała się śmiać.

- Och, Michaelu, chcę być z tobą, naprawdę chcę być blisko - powiedziała cicho.

- Spędzimy dziś cudowny wieczór - podsumował. - Ale teraz muszę iść do Zellera. Obiecałem, że potowarzyszę mu przy piwku...

- On jest coraz bardziej samotny - zauważyła Beth, dając wyraznie do zrozumienia, że nie tylko Zellerowi doskwiera to uczucie.

- ...a natychmiast gdy wrócę - kontynuował Michael - pojedę na rowerze do KFC. Pochłoniemy kurczaka, potem możemy wziąć prysznic... Razem. - Łypnął na nią pożądliwie. - Co powiesz na to, mała? Ty namydlisz mnie, a ja namydlę ciebie, co? Później będziemy mieć całą noc dla siebie i...

- W porządku - ucięła. Uśmiechnęła się. - Brzmi świetnie.

- Zatem uzgodnione.

„No dobra - pomyślał, wpychając kosiarkę do garażu - udobruchałem ją. Na jakiś czas”. Wiedział jednak, że nie na długo. Rozumiał monotonne

rytmy i monotonne kadencje, prozaiczne dialogi i klasyczne scenki swego aż nazbyt zwyczajnego małżeństwa. Dzisiaj wieczorem porządnie przeleci żonkę, raz, może dwa, a ona zinterpretuje seks jako powrót chwilowo utraconej zażyłości. I to sprawi, że kobieta na pewno zechce porozmawiać... odbyć „poważną dyskusję” na temat: „Gdzie jesteśmy i dokąd zmierzamy jako jednostki, jako mąż i żona, jako rodzina?”. I prawdopodobnie zaatakuje go typową dla siebie, nieprzynoszącą żadnych ustaleń paplaniną o tym, czy aby nie powinna wrócić do college'u. Może jednak Michael zdoła ją powstrzymać przed takimi rozważaniami, jeśli dzisiejszego wieczoru naprawdę mocno się nad nią napracuje, jeśli wyobraza ją tak, że Beth zapraśnie tylko jednego - snu.

Gdy wszedł do garażu, zawołała go. Potrzebowała nożyc do żywopłotu. Chciała przyciąć rosnące wzdłuż podjazdu krzewy.

Garaż, w którym swobodnie mieściły się dwa samochody, krył fordą LTD Michaela i należąca do Beth chevette scooter, a także jego narzędzia i stół warsztatowy, jej artykuły ogrodnicze, rowery członków rodziny i wszystkie inne pierdoły konieczne w domu na przedmieściu. Louden był pewny, że jego garaż nie różni się od innych garaży w Park Estates. Było to modelowe pomieszczenie modelowego obywatela w modelowej społeczności.

Wszedł z garażu i wręczył Beth nożyce o drewnianych uchwytach. Przekornie uszczyptał rysujący się pod bluzką sutek małej jędrnej piersi.

- Wróć naprawdę szybko - obiecał i poszedł do sąsiada.

* * *

Siedział na krześle ogrodowym. Nawet nie zdążył założyć nogi na nogę, gdy Zeller wpadł do kuchni i po sekundzie wyłonił się zza rozsuwanych szklanych drzwi z dwiema puszkami old milwaukee. W rogu patio w cieniu gazowego grilla leżał Dusty. Czarno-biały kędzierzawy terier zmieszany z Bóg wie jaką rasą otworzył oczy i spojrzał na Michaela, po czym najwyraźniej uznał, że szkoda jego wysiłku i nawet nie dźwignął się na swoich

artretycznych łapach, by powitać gościa, tradycyjnie go obwąchując.

- Cholera, ale gorąco - zauważył Brad Zeller, unosząc puszkę piwa w niemym toaście. Zajął krzesło po drugiej stronie stolika, na którym stało mamroczące przenośne radio nastawione na WBBM, chicagowską stację informacyjną.

Louden widział, że stary ma już lekko w czubie. Zeller często zresztą spędzał popołudnia, popijając piwo, a wieczorami - coś mocniejszego.

- Tak - odparł - nie da się ukryć, że jest gorąco.

- Oczywiście - ciągnął Brad - problemem nie jest nawet gorąco. Raczej wilgotność.

- Zgadza się - przyznał Michael. Zmarszczył czoło, jakby uderzyła go nagle jakaś ważka myśl. - Założę się, że niektórzy ludzie nigdy się nad tym nie zastanawiają, jednak trafiłeś w samo sedno. Gorąco można znieść, ale ta wilgotność... Kiedy jest duszno, wydaje ci się, że jest goręcej niż w istocie, wiesz, o czym mówię, czyli że wilgotność jest ważniejsza niż rzeczywista temperatura.

Brad Zeller posłał mu powolne, pijackie mrugnięcie.

- Ja się nad tym zastanawiam - odparł zadziornie.

„Ostrożnie - ostrzegł siebie Michael. - Pijaczek Brad nie jest idiotą”. Och, mężczyzna nie był oczywiście bystrzejszy od reszty „normalnych”, którzy prowadzili przydługie dyskusje o zużyciu benzyny, operacjach prostaty, zbyt wysoko opłacanych gwiazdach sportu, ale - alkoholik czy nie - jeśli zrzucić na jego stopy dość gówna, facet w końcu poczuje smród.

- Jak ci w ogóle leci, kumplu? - spytał Louden.

- Co by tu rzec? - bąknął Zeller, a potem zaczął mówić, wyrzucając z siebie dobrze już znaną Michaelowi litanię skarg, lamentów i żalów. Ścieżki dźwiękowej do opowieści Brada dostarczało nosowe chrapanie Dusty'ego. Michael w odpowiednich momentach wstawiał „uhm”, „racja” i „wiem, co masz na myśli”.

Brad Zeller był sprzedawcą artykułów biurowych i odszedł na emeryturę cztery lata temu w wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Nie, nie chciał odchodzić, lecz te gnojki dały mu jasno do zrozumienia, że sobie tego życzą. Osiem miesięcy później żona, z którą spędził czterdzieści lat, zmarła na raka i w tym momencie Brad niemal całkowicie odsunął się od świata. Joanie, jedynaczka Zellerów, była cholernie popapranym członkiem jakiejś szurniętej sekty z Kalifornii, żywiła się naturalnymi produktami i kosmiczną szczęśliwością. Nie przyjechała do domu nawet na pogrzeb swojej matki - „głupia smarkuła” - i stary na pewno kompletnie jej nie interesował; była czterdziestodwuletnim egocentrycznym, zepsutym bachorem.

- Masz szczęście, Michaelu - podsumował Zeller. - Twoje córeczki to małe aniołki. Możliwe, że Marcy i Kim to jedyne dzieci w tym kraju, które umieją powiedzieć „proszę” i „dziękuję”.

Uśmiech Loudena był odpowiednio skromny i pełen dumy.

- Całkiem dobre z nich dzieciaki - przyznał - lecz z pewnością daleko im do aniołków. Popękają czasem gafy, ale, ogólnie rzecz biorąc, nie mam powodów do narzekań.

Podniósł piwo i napił się.

- Gotów na kolejny browarek? - zapytał Zeller. On sam na pewno był gotów; podnosił się właśnie, by ruszyć po następną puszkę. Michael odparł, że nie potrzebuje jeszcze nowego piwa.

„Tak, tak, po zbyt dużej ilości alkoholu mogę stracić kontrolę” - pomyślał. A jego zachowanie i wypowiedzi zawsze musiały być doskonałe... Zawsze... Nigdy nie mógł dać „im” najmniejszych powodów do podejrzeń. I właśnie dlatego tak sakramencko trudne było to wieczne udawanie, stanowiące minutę po nieskończonej minucie zaprzeczenie tego, kim w rzeczywistości Michael był!

Zeller wrócił z piwem, klapnął na krzesło i otworzył puszkę old milwaukee... Dusty powoli wstał. Na zeszywniałych łapach podszedł do

swego pana i usiadł przy jego krześle, wywieszając różowy język.

Brad podrapał zwierzę po głowie. Dusty zamknął oczy z zadowoleniem i beknął.

Nagle Zeller odwrócił głowę i spod przymrużonych powiek spojrzął na przenośne radio. Szybko podkręcił głośność.

- Słyszałeś o tym? - spytał.

- „Glenvale Road. Policja prowadzi śledztwo... Nasza relacja po...”.

Brad przyciszył radio do niegłośnego pomruku. Potrząsnął głową.

- Glenvale Road to tylko dziesięć-piętnaście kilometrów stąd.

- Wiem - odparł Michael. - Ale co się stało? Nie załapałem.

- Jakiś facet został tam zamordowany ubiegłej nocy. Coś straszego! Poderżnięto mu gardło. Nawet go nie okradli, tak przynajmniej twierdzi policja.

- Jezu - jęknął Michael. - Nie rozumiem, jak takie rzeczy mogą się zdarzać tutaj, na południowych przedmieściach. Może to jakieś porachunki mafijne. Albo chodziło o narkotyki...

- Z tego co słyszałem, policja tak nie uważa - przerwał mu Zeller. - To był zwykły facet. Zresztą, tu czy gdziekolwiek indziej... powoli nikt nigdzie nie może się czuć bezpieczny. Świat nie jest już taki jak kiedyś, wokół sami wariaci...

W ten sposób Brad Zeller rozpoczął swój zwyczajowy wywód na temat problemów współczesnego społeczeństwa. Dusty z wysiłkiem podniósł zadek, podszedł do Michaela i musnął nosem jego goleń, domagając się uwagi. Louden poklepał go.

Zeller dotarł w swoim monologu do momentu, w którym z zakłopotaniem uśmiechnął się i oświadczył:

- Niech to szlag, zanudzam cię. Gdy człowiek się starzeje, zanudzanie innych staje się jego hobby.

- Bynajmniej, Brad - zaproponował Michael. - Nasze pogawędki zawsze sprawiają mi przyjemność. Wiesz o tym.

- Ach! - Zeller zamachał ręką. - Zaczynam trochę świrować, bo nie mam z kim pogadać, więc wywnętrzam się przed tobą, Michaelu. Powiem ci coś - myślałem o sprzedaży tego domu i przeprowadzce do mieszkania na osiedlu dla emerytów, ale wiesz... W tym domu jest tyle wspomnień. Nie chcę czekać na śmierć otoczony grupką obcych ludzi.

Michael zasłonił usta ręką, ukrywając uśmiešek.

- Pewnie - przyznał.

Zeller wskazał na Dusty'ego.

- Rozmawiam często z tym małym draniem.

- Dusty to dobry pies - zgodził się Louden. - Lubię psy, zawsze lubiłem. Mają wycucie. Jeśli pies łasi się do jakiegoś człowieka, wiesz, że możesz facetowi zaufać.

- Tak, psy rzeczywiście mają tego rodzaju instynkt - potwierdził Brad.

Michael podrapał Dusty'ego za uchem. Naprawdę lubił psy. W oczach przyjaznego psa była głupio błoga ufność - i trwała aż do chwili, w której... skrećisz zwierzęciu kark.

- Wiesz, może niedługo podjadę do schroniska i zrobię dzieciakom prezent w postaci psiaka - powiedział. Zachichotał. - To lepszy zwierzak do domu niż te brzydkie świnki morskie, które dziewczynki hodują.

- Dzieci powinny mieć psa - zauważył Zeller.

- Rzecz w tym - ciągnął Michael - że jeśli kupimy psa, nie zamierzam mu dawać typowego imienia. Chciałbym jakieś niezwykle... pomysłowe, wiesz. Może King albo Rex.

Zeller zawahał się, potem odpowiedział:

- To ładne imiona.

- A Sport? Albo Prince? Co myślisz o imieniu Duke?

Brad zagapił się przed siebie, potem szeroko się uśmiechnął.

- Eech, żartujesz sobie ze mnie, Michaelu.

„Dość tego” - polecił sobie Louden.

- Tak - przyznał - to cały ja. Stale żartuję. - Wysączył resztkę piwa. Było równie ciepłe, jak mdłe. Odstawił puszkę na stolik i wstał. - Brad, może przyjdiesz do nas na kolację któregoś wieczoru w tygodniu? Potem trochę popijemy i spróbujemy rozwiązać wszystkie problemy tego świata.

- Dzięki, chętnie przyjdę - odparł sąsiad głosem drżącym z wdzięczności.

- A więc do zobaczenia wkrótce - zakończył Michael. - Z tobą także, Dusty, stary druhu - dorzucił.

Na dźwięk swojego imienia pies wesoło zamachał ogonem.

* * *

Beth dotarła do końca rzędu zarośli przy podjeździe. Ból zmęczonych mięśni promieniował od karku w dół, na barki i ramiona. Palce miała zesztywniałe i obolałe od ściskania nożyc, którymi przycinała gałęzie niepasujące do jej wizji idealnych szeregów krzewów.

Stanąwszy na chodniku, by lepiej widzieć, poczuła zadowolenie z ostatecznego efektu. Lubiła pracę na dworze i - na dobrą sprawę - również we wnętrzach. Miała oko do kolorów i zestawiania przedmiotów. Uważała, że świetnie ozdobiła dom i czuła się w nim dobrze. A jeśli w przyszłym miesiącu finanse pozwolą, do salonu trafią również te wspaniałe zabytkowa kryształowe lampy, o których marzyła...

„*Czy to jest wszystko?*” - zapamiętany fragment piosenki starej Peggy Lee przemknął jej przez głowę, zatruwając odczuwane zadowolenie. Czy te zajęcia wystarczały Beth? Robota w domu i ogródku, upiększanie tego i owego, wychowywanie dzieci i wycinanie kuponów z gazet, praca tradycyjnej kobiety w czasach, gdy kobiety odrzucały tradycję? Dobry Boże! Znała i przyjaźniła się ze wszystkimi kobietami w swoim kwartale ulic, choć tak naprawdę, żadna z nich nie była jej przyjaciółką; wymienianie metod leczenia dziecięcych chorób lub gawędzenie o operach mydlanych

stanowiło marną podstawę prawdziwej przyjaźni.

Wiedziała, że musi sobie znaleźć coś, co będzie stymulowało jej umysł, co ją intelektualnie pobudzi, tak jak kiedyś... Zakładając, że niemal nieużywany przez dziesięć lat mózg zareaguje na nowe bodźce intelektualne!

Michael przejechał obok na rowerze, machając do niej ręką. Odwróciła głowę i obserwowała męża, jak zjeżdża Walnut Street ku słońcu. Przez chwilę miała wrażenie, że zlał się w jedno ze światłem słonecznym, że zarys pedału mężczyzny roztopił się w złocistym srebrze. Ramiona i głowa Michaela wydały jej się odmienione, jak gdyby jego ciało rozświetlał wewnętrzny blask.

Spostrzeżenie to zaskoczyło Beth, chociaż pojawiło się „Nie!” po raz pierwszy. Obserwowała teraz malejącą sylwetkę osobnika na rowerze i powiedziała bezgłośnie do siebie: „Nie wiem, kim on jest”. Ogarnęło ją uczucie podobne do lęku, którego czasami człowiek doznaje godzinę po opuszczeniu domu, gdy ma podejrzenia - choć nie pewność - że nie wyłączył czajnika.

„Och, to śmieszne” - pomyślała. Byli małżeństwem od dwunastu lat. Znała na pamięć żarty, które Michael opowiada na przyjęciach, wiedziała, że lubi jajka sadzone smażone z obu stron i nie toleruje jajecznicy, bez pudła przewidywała prezenty, które wręczy jej w urodziny, Dzień Matki, w rocznicę ślubu, a nawet w Najśłodszy Dzień*; nigdy nie zapomniał o żadnej okazji... Znała pieprzyk na jego pośladku, sposób, w jaki podwijał małe palce u stóp, jasną, ledwie widoczną bliznę na jego kolanie.

* Najśłodszy Dzień (ang. Sweetest Day) - na północy Stanów Zjednoczonych przypadający w trzecią sobotę października dzień obdarowywania się łakociami.

Jednak mimo wszystkich tych szczegółów, mimo tysięcy informacji, które składają się na wiedzę o innej osobie, Beth miewała czasem przelotną myśl, że Michael skrywa jakiś sekret, że nosi w sobie coś, co mogła ujrzyć

zaledwie w przelocie... Jak gdyby w znajomym ciele jej męża mieszkał ktoś drugi, zupełnie jej nieznany.

Ktoś obcy!

Och, ależ była głupia. Najwidoczniej skoro nie miała żadnej prawdziwej pożywki dla swojego umysłu, konstruowała wydumane fantazje, przekształcając wątki filmów nadawanych popołudniami w telewizji. Beth Louden w *Inwazji porywaczy ciał!*

Odniosła nożyce do garażu i weszła w orzeźwiający chłód klimatyzowanego domu. Z podnieceniem i niecierpliwością oczekiwała na powrót Michaela. Na pewno spędzą cudowne kilka godzin, to będzie ich czas, będą go mieli tylko dla siebie. I Beth odzyska poczucie bliskości z mężczyzną, którego znała tak dobrze, odbuduje nadwątloną więź ze swoim mężem, Michaelem Loudenem.

* * *

Był „ludzki” psem. Lubił ludzi, lubił, jak pachnieli i jak drapali go po głowie, klepali po bokach i karmili jedzeniem ze swoich talerzy.

Tego człowieka pies również lubił. Kiedy człowiek przykucnął, wypowiedział imię psa szeptem i lekko pstryknął palcami, zwierzę podniosło się, najpierw na tylne łapy, potem na przednie i podeszło do człowieka.

Człowiek powiedział:

- Dobry pies, taki miły, stary, głupi kaleka.

Zwierzę znało słowa „dobry pies”, więc pomachało ogonem. Nie znało pozostałych słów, ale znało głos, który je wymówił, a ton tego głosu sugerował, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Człowiek głąskał go. Zad psa huśtał się, kiedy pies radośnie machał ogonem.

- Jesteś marnym, starym kawalkiem gówna, zgadza się? - powiedział człowiek. - Na pewno tak, ty bezużyteczny stary skurwielu.

Nadal gładząc jego zad, człowiek odwrócił psa, przemawiając do niego łagodnie i uspokajająco. Aż nagle zacisnął rękę na pysku zwierzęcia.

Psu nie spodobało się to. Spróbował otworzyć pysk i nie mógł, spróbował się wyrwać i nie był w stanie. Wtedy człowiek przekręcił mu głowę, raniąc go, zgniatając jego szyję, krzywdząc go.

W psim gardle zrodził się warkot i wycie z bólu, lecz dźwięki nie zdołały się wydobyć.

Kiedy szyja psa trzasnęła, gęste futro stłumiło chrzęst łamanych kości.

DWA

Para unosiła się z wanienki prysznicowej i dwojga ciał. Szklane drzwi maleńkiego pomieszczenia były zaparowane. W tym zamknięciu, na tych dwóch mokrych i gorących metrach kwadratowych, Beth czuła się osobliwie oddalona od brutalności czasem zbyt realnego świata; tu było cudownie, a lekka, eteryczna miękkość owijała ją jak dobry sen.

- Umyję ci plecy - zaproponował Michael z uśmiechem.

Odwróciła się i zanurzając głowę w płynącej z pełną siłą wodzie prysznicowa, splukała spieniony szampon.

Okrytymi myjką palcami Michael masował jej szyję, rozluźniając zeszywniałe mięśnie. Potarł jej ramiona, potem położył dłoń na środek jej pleców i przesuwał palcami po kręgach.

- Jak miło - westchnęła. Wiedziała teraz, dlaczego koty mruczą. Po chwili o mało nie czknęła, na szczęście zdołała się powstrzymać, maskując czkawkę chichotem.

Była pijana, choć bardziej niż od alkoholu, ze szczęścia - lekka i cudownie odprężona. Wraz z kurczakiem Michael przyniósł do domu butelkę wina Blue Nun. Rozparli się na dekoracyjnych poduszkach, które ułożyli na dywanie w pokoju rekreacyjnym w piwnicy, i zrobili sobie klimatyzowany piknik z papierowymi talerzykami i plastikowymi szklankami. „I, no cóż, zwykle nie piję tak dużo, ale wino było takie dobre!” Włączyli wieżę stereo, piękną muzykę skrzypcową, taką, jaką Beth na ogół ignorowała, słysząc ją w windach lub poczekalniach lekarskich, jednak tego wieczoru wydała jej się słodka i niezwykle romantyczna. A kiedy skończyli posiłek i

wypili większą część butelki, Michael powiedział: „Naprawdę cię kocham, Beth, naprawdę...”. Ton, z jakim wymówił te słowa, a także spojrzenie jego oczu w kolorze leszczyny uznała za spontaniczne przejawy jego najszczerzych uczuć i pod powiekami poczuła ły.

Spowita w myjkę ręka męża była teraz na jej lewym pośladku. Beth figlarnie cmoknęła nadgarstek Michaela.

- Nie jestem dzieckiem. Potrafię sobie umyć tyłek.
- I odmówisz mi tej przyjemności? - Roześmiał się.
- No cóż, jeśli nalegasz. - Beth poczuła ciepły dreszcz od jego dotknięcia, jak gdyby tuż pod powierzchnią skóry dostała gęsiej skórki.

- Absolutnie śliczna pupa, moja droga - powiedział. Beth roztawiła stopy i wspięła się na czubki palców, podpierając się dłońmi o wyłożoną kafelkami ścianę. Wypchnęła biodra do tyłu, zacisnęła pośladki i wygięła się łukowato ku mężowi.

Louden przesunął myjką po jej krągłym biodrze.

- Trzeć, trzeć, gładzić, gładzić - wyrecytował, poczym zaczął głąskać wewnątrz jej ud; jego palce pod mokrą, gorącą myjką przemieszczały się zdecydowanym ruchem, przesuwając się w górę, dotykając Beth coraz wyżej, masując jej ciało.

Zadrżała z rozkoszy. Jej umysł dryfował wyłącznie w terażniejszości: wokół pieszczot. Woda, jej dotyk, szum prysznic, jedyny dźwięk w całym wszechświecie. Prosta i magiczna przyjemność „tu i teraz”, uczucie czystości, nagości i rozgrzania, towarzystwa tego mokrego i nagiego mężczyzny, który ją gładził, który ją kochał, jej męża, Michaela...!

Beth odsunęła się od ściany, obróciła przodem do męża i zarzuciła mu ramiona na szyję. Pragnęła go, pożądała go boleśnie intensywną żądzą, której nie zaznała od zbyt dawna. I wiedziała, że on również jej pragnie, czuła jego pożądanie, sztywność jego członka, który teraz tkwił między ich ciałami, lecz wkrótce ich połączy, uczyni ich jednością, „Beth-i-Michaelem”, „Michaelem-i- Beth”, całością, czymś więcej niż prostą sumą dwóch osób.

Nie mogli się kochać pod prysznicem.

Nie zamierzali jednak tracić czasu na opuszczanie łazienki i bieg korytarzem do sypialni.

Nagi i mokry Michael, mężczyzna o owłosionej piersi błyszczącej od kropelek wody, położył się na plecach na dużym brązowym, owalnym chodniku pokrywającym kamienną posadzkę. Wyciągnął do żony obie ręce.

- Chodź, kochanie, chodź.

Położyła się na nim i wprowadziła jego gładką męskość w swoje wnętrze, które było wilgotne i gotowe na przyjęcie go.

„Jak dobrze - myślała. - Jak magicznie!” Pełnia, którą w sobie czuła, podniecała ją, a równocześnie Beth ogarnęła jakaś sentymentalna nostalgia, jakby wracała do domu po latach wędrówki. Ona i Michael byli ze sobą złączeni. To był związek.

Przyciskając wnętrze dłoni do jego bioder, rozłożyła palce na jego szczupłym brzuchu, zakolysała się i poczuła głęboko w sobie jego członek.

„Jesteśmy jednością - dumiała. - Nie sposób powiedzieć, gdzie jego ciało się kończy, a moje zaczyna”.

Przez jakiś czas poruszała się powoli, po czym - kiedy myślenie najpierw przestało być potrzebne, a później stało się niemożliwe - coraz szybciej. Jej serce przyspieszyło, ciało odkryło rytm ruchów „w górę, w dół” i „z boku na bok”, dopasowując się do zachęcających i kierujących nią męskich rąk, które otaczały jej pośladki.

Już niemal szczytowała, gdy poczuła, że Michael także dochodzi.

Rosnące napięcie w jej gardle zaowocowało głośnym jękiem.

I nagle ogarnęła ją konwulsja rozkoszy, wirujący pęd spełnienia. To nie było spadanie w nicość, ku rozstaniu, lecz jeszcze ściślejsze połączenie, scalenie ich dwojga w jedno: „On-i-ja”, „Beth-i-Michael”.

Michael uniósł się ostro w górę i jego ciało wygięło się, unosząc przywartą do niego Beth. Jego ostatnie szarpnięcia - ruchy w jej wnętrzu - sprawiły, że zajęczał; jego usta ułożyły się w zastygły grymas uśmiechu. Po chwili jego twarz straciła wszelki wyraz, stała się niemal pośmiertną maską spokoju. Biodra mężczyzny opadły, a on sam zasyczał niczym imbryk do herbaty.

Beth również gwałtownie opadła. Leżała na ciele męża. Lubiła linię jego obojczyka, miejsce, do którego teraz przylegał jej policzek. Lubiła jego owłosioną pierś, łaskoczącą jej pulsujące, wrażliwe sutki. Jego oddech był łagodnym wietrzykiem muskającym jej powieki... „bryzą życia z jego wnętrza, kocham go...”.

- Kocham cię, najdroższa - powiedział Michael w tej samej chwili.

„Jestem teraz taka szczęśliwa - pomyślała - i wszystko jest tak dobrze, i wszystko zawsze będzie dobrze...”.

Lodowaty dzwonek telefonu przerwał jej zadumę. Beth wydało się, że odgłos wwierca się w sam środek jej czoła. Poczowała, jak Michael się porusza.

Wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że to pomyłka i dzwoniący zrezygnuje po jednym sygnale, niestety, nie miała tyle szczęścia.

Michael pacnął ją dłonią w pośladek, jego wilgotna ręka plasnęła.

- Zdaje mi się, że masz bliżej do telefonu.

- Ja... Cholera!

- Taaa, zawsze dzwoni, gdy nie mamy ochoty go odbierać.

Ich ciała oderwały się od siebie zbyt pośpiesznie, co sprawiło, że oboje jęknęli z bólu. Beth wyszarpnęła chusteczkę z plastikowego dozownika na zbiorniku toalety i pośpieszyła przez korytarz.

„Wiadomość?” - pomyślał Loudon, kiedy się podniósł. Uświadomił sobie, jak mało jest to prawdopodobne. Odkąd rozpoczął się dla niego okres oczekiwania, było tak wiele telefonów. Dzwonili sprzedawcy aluminiowych dachówek, natręci wciskający prenumeraty gazet i agenci

ubezpieczeniowi. Dzwoniła matka Beth, Claire, kobieta zdecydowana wciąż żyć i irytować go mimo swego niebotycznie wysokiego ciśnienia krwi, które powinno do tej pory wywołać u niej co najmniej jeden poważny zawał. Były też dokuczliwe, piskliwe prośby: „Czy mogę rozmawiać z Marcy?”, „Czy mogę prosić Kim?”. Były pomyłki. Telefony od cholernego dentysty przypominające mu, że z jego zębów znów trzeba zdjąć kamień. Telefony z Czerwonego Krzyża proszące go, aby został krwiodawcą...

Nigdy ta właściwa rozmowa, nigdy Wiadomość! Nigdy Wiadomość od Obcych... dla Obcego.

Michael wstał. Spryskał się wodą z umywalki - „za zimna, cholera!” - umył swój zwiotczały penis i włosy łonowe, wytarł się starannie dużym brązowym ręcznikiem z monogramem „Tata”, po czym owinał go sobie wokół talii.

Zaczesał włosy w tył i przyjrzał się odbiciu własnej twarzy w lustrzanych drzwiach apteczki. Mimo że wiedział o tym od tak wielu lat, po raz nie wiadomo który poczuł lekkie ukłucie rozczarowania, iż nie potrafi dostrzec aury... własnej aury! Swojej specjalnej łuny. Wewnętrznego światła Obcego.

Wiedział, że wszystkie istoty ludzkie posiadają aury; były w różnych odcieniach: niebieskie, żółte, zielone, czasami zupełnie blade, a czasem - bardzo rzadko - intensywnie czerwone, czerwienią, która wyglądała na warstwę krwi tętniczej. Tyle że niewiele osób posiadało jakąś formę... szóstego zmysłu, zdolności parapsychicznych czy wewnętrznego wzroku, który umożliwia widzenie aur. A spośród posiadaczy tego daru jedynie nieliczni mogli się poszczycić wiedzą, wykraczającą poza racjonalną logikę powszechnie akceptowanej nauki, pozwalającą na ustalenie, co aura mówi ojej właścicielowi. Oczywiście - Michael prychnął na tę myśl - większość tak zwanych jasnowidzów, którzy wystawiali stoliki do kart w centrach handlowych i uczestniczyli w „targach parapsychicznych”, była oszustami albo nawet głupcami, którzy nie potrafili odczytać „E” w diagramie na badaniach

u optyka, jeśli nie wyrysowali tej litery sami. Tak, Michael wiedział, że wokół jego głowy pulsuje czerwony nimb i bywały momenty, gdy dosłownie sądził, że potrafi go wyczuć, że wyczuwa tę siłę, która stanowi istotę jego życia, jednak nigdy swojej aury nie widział. Ani swojej aury, ani aury Verna Engelkinga, swojego szefa i sojusznika, ani aury Eddiego Markella...

Chociaż kiedy był bardzo młody, wyobrażał sobie, że widzi koronę wokół głowy Jana Pretre. Jana... którego nie spotkał od tak wielu lat. Właśnie Jan Pretre, jego nauczyciel, przeprowadził go przez rytuał inicjacji. Miał niewidoczną dla Michaela jasnoczerwoną aurę Obcego i umiał „dostrzec to lśniące piętno wszystkich Obcych”.

A inni... Louden zastanowił się. John Wayne Gacy? Przywódca społeczności, przyjazny sąsiad, typ faceta, który pomagał młodym, organizując im letnie prace budowlane, a który zabijał, grzebał ciała pod podłogą swego skromnego domu na przedmieściach Des Plaines. Tak, może Gacy.

Niestety, lustro łazienki nie odbijało żadnej aury. Michael Louden widział w nim tylko niczym niewyróżniające się oblicze „przeciętnego faceta” - fałsz na potrzeby świata.

- Michaelu?

Obrócił się. Beth miała na sobie złoty szlafrok z frotté. Stała w drzwiach łazienki. Być może zauważyła, że z uwagą studiował to, co było - i to, czego nie było - w lustrze.

- Nie mogę zrozumieć - wyjaśnił szybko. - Nie jestem już nastolatkiem, więc dlaczego miewam zaskórniki? - Wytropił niewielką bruzdkę na swoim nieskazitelnym czole.

- Dzwoni Brad Zeller - powiedziała Beth. - Dusty zaginał. Sądząc po głosie, Brad jest strasznie przybity.

- Dusty? - powtórzył Michael. - Jezu...

- Obiecałam Bradowi, że z nim porozmawiasz, Michaelu. Znam go. Jest staroświecki i czuje się nieswojo, gdy ma się zwierzyć kobiecie, jak bardzo się zdenerwował. Myślę, że musi pomówić z tobą.

- Pewnie - zgodził się. - Oczywiście.

Stając przy nocnym stolczku od strony Beth, przyłożył słuchawkę do ucha. Usłyszał to wyraźnie: Zeller był w kiepskim stanie.

Przez minutę pozwolił sąsiadowi mówić, delektując się cierpieniem i zmartwieniem starca, w końcu przerwał mu.

- Brad, uspokój się, dobrze? Właśnie wyszedłem spod prysznic, więc daj mi parę minut. Przyjdę i razem pojedziemy poszukać Dusty'ego.

- Michaelu... dziękuję ci. Potrzebuję...

- Nie ma sprawy, mój przyjacielu - uciał Louden. - Dusty na pewno nie postanowił polecieć do Rzymu. Znajdziemy go.

Odłożył słuchawkę. Na wypadek, gdyby Beth weszła, odwrócił się tyłem do drzwi. Uśmiechnął się szeroko.

* * *

Michael założył dzinsy i sportową koszulkę w brązowo-żółtą kratę. Poszedł do sąsiada. Kiedy Zeller go wpuszczał, twarz miał w kolorze brudnego śniegu - bladą z wyjątkiem czerwonych smug popękanych naczynek na nosie.

Brad mówił bez przerwy, lecz w kółko tylko powtarzał, że Dusty zniknął, niewiele do tego dodając.

„Tylko fakty, dupku” - pomyślał Michael.

Cicho przerwał monolog sąsiada.

- Kiedy odkryłeś, że go nie ma, Brad?

- Eee... wyszedłem - odpowiedział Zeller. - Nie było mnie jakieś piętnaście minut, pojechałem jedynie do White Eagle na poranną kawę. Dusty nie chciał wejść do środka, więc pozwoliłem mu pozostać za domem. Co by to mogło komu zaszkodzić? Gdy wróciłem, nie było go.

Michael kiwnął głową.

- Rozumiem - rzucił, potem spytał: - Jesteś pewny, Brad? Może wprowadziłeś go...

- Jestem stary, Michaelu - odwarknął Zeller - i czasami piję więcej, niż powinienem. Ale nie cierpię na demencję starczą i nie jestem

alkoholikiem. Wiem, że zostawiłem Dusty'ego za domem.

Louden podniósł rękę w uspokajającym geście.

- Brad - stwierdził spokojnie - mówię tylko... no cóż... Czasami jestem tak cholernie pewny, że zostawiłem moje klucze na stole albo na toaletce, rozumiesz? Niemal widzę, jak je kładę w tamtym miejscu, a jednak ostatecznie znajduję je w kieszeni swoich spodni.

- Jasne - mruknął tamten.

- Nie będzie to dla nas jakiś straszny wysiłek, jeśli przetrząśniemy dom, Brad. Cholera, może Dusty chrapie sobie smacznie pod twoim łóżkiem, nieświadomie robiąc nam paskudny kawał. Rozejrzyjmy się, chciałbym mieć pewność.

- W porządku. - Zeller westchnął.

Nie miał nadziei, jeszcze nie - Michael widział to w jego oczach - ale możliwe, że stary gnojek już zaczął wyczuwać, iż jest szansa na nadzieję. Doskonale, dzięki temu ostateczny efekt będzie jeszcze lepszy. Niech facet sądzi, że wszystko jeszcze może się ułożyć. Na „Titanicu” również był prawdopodobnie jakiś idiota, który myślał z optymizmem o przyszłości na trzy sekundy przed chwilą, w której zalała go lodowata woda.

Przeszukali dom, który starszy człowiek dzielił z psem. Dusty'ego nie było w środku.

Na sugestię Michaela wyszli do ogródka za domem. Louden wyjaśnił, że szuka miejsca, gdzie Dusty mógłby przekopać się pod ogrodzeniem.

- Nie, nie - obruszył się Zeller z wyczuwalnym zdenerwowaniem w głosie. - Dusty nie jest włóczęgą. Nigdy nie był.

- Brad - przerwał mu łagodnie Michael. - Ja tylko próbuję ci pomóc.

- Tak, wiem - odparł Zeller, szczypiąc grzbiet własnego nosa, a następnie przecierając powieki kciukiem i palcem wskazującym. - Pomagasz mi, a ja na ciebie fukam niczym jakiś pyskacz.

- Daj spokój - powiedział Louden. Poklepał sąsiada po ramieniu. „Chcesz zagrać w ciepło-zimno, Brad, stary kumplu, stary bracie?” - zadał

sobie pytanie w myślach. - Przejedźmy się po okolicy, może go zauważymy - zaproponował głośno.

W srebrzystym zmierzchu Brad Zeller powoli skierował swego ośmioletniego dodge'a darta w dół Walnut Street. Zatrzymał się na rogu, gdzie grupa licealistów - a może gimnazjalistów - chłopców i dziewcząt stała w sztucznie niedbałych pozach często przybieranych przez młodych ludzi usiłujących dopasować się do grupy. Wszyscy mieli papierosy w ustach lub dłoniach.

Michael wystawił głowę przez okno i spytał ich. Nie, nie widzieli czarno-białego psa.

Brad odjeżdżał, mamrocząc:

- O rany, dzieciaki otwarcie palące papierosy na dworze.

Michael wiedział, że Zeller mówi jedynie po to, aby usłyszeć swój głos i skupić umysł na czymś innym niż „zaginiony” pies.

- Jeśli przyłapię którąś córkę z papierosem, tą ręką wybije jej z głowy ochotę na palenie - oznajmił.

Jego towarzysz potrząsnął głową.

- Dzieci postępują w ten sposób od niedawna. Za mojego dzieciństwa było zupełnie inaczej, wiesz? Cholera, załóż się, że ty również nie pozwalałeś sobie na takie zachowanie.

- Rzeczywiście - przyznał Michael. - Ludzie uważali mnie za dość dobrego dzieciaka. - Ironia i szczerość tego oświadczenia spowodowała, że zacisnęła usta.

„Cóż, jesteś dobrym chłopcem, prawda? Chcesz, aby tak właśnie myśleli”. Tymi słowami Jan Pretre przemawiał do niego przez te wszystkie lata; jego głos stale rozbrzmiewała echem w pamięci Michaela.

Objechali dzielnicę, aż zmierzch zmienił się w całkowitą ciemność.

- Nie znajdziemy go, Michaelu - oznajmił Zeller ze smutkiem. - Nie tym razem.

- Możemy się jeszcze porozglądać, Brad, jeśli chcesz.

- Nie, to nie ma sensu. Wracajmy.

Wjeżdżając na swój podjazd, Zeller zgasił przednie światła i zatrzymał samochód. Wyłączył zapłon. Silnik dodge'a charkotał jeszcze przez moment, po czym zgasł.

Brad nie poruszył się.

- Wiesz - powiedział, wpatrując się wprost przed siebie - naprawdę nie mogę w to uwierzyć. Dusty zniknął, a ja nie wiem, co się stało.

„Potrzebujesz jakiejś pożywki dla umysłu? - dumał Michael. - Dobra, stary, dam kilka twardych orzechów do zgryzienia, chcesz?”

- Ja również nic nie wiem, ale może ktoś... - Zrobił pauzę, jak gdyby miał pewien pomysł, lecz odrzucił go bądź uznał, że nie powinien o nim wspominać.

- Kontynuuj - ponaglił go Brad bezbarwnym głosem.

- No dobrze. - Louden westchnął. - Zapewne słyszałeś o porwaczach psów, ludziach, którzy kradną zwierzęta do laboratoriów naukowych, gdzie poddaje się eksperymentom... przeprowadza na nich sekcję... - Przerwał w tym momencie, sugerując, że myśl ta jest zbyt okropna, by w ogóle ją rozważać.

- Tak - przyznał Zeller. - Nie chcę w to wierzyć. Nie wierzę w to!

- Och, ani ja - zgodził się z nim Michael, starając się mówić głośno i dobitnie... zbyt głośno i zbyt dobitnie. - To głupi pomysł i nie wiem, dlaczego ci go podsunąłem. Po prostu o tym zapomnij, dobrze?

- Do takich eksperymentów potrzebne są młode psy, a Dusty jest stary. Do niczego im się nie przyda. On...

- Jak wspomniałem, Brad, to był głupi pomysł. Nawet o tym nie myśl - powtórzył Michael.

Zeller nie odpowiedział. Pchnięciem otworzył drzwi samochodu. Światło księżyca było wyraźną, bladożółtą luną.

- Zamierzam się napić - oświadczył, odwracając głowę. - Wypijesz ze mną po jednym?

- Pewnie, Brad - odparł Michael. - Jedno piwo.

Zeller wypił szklaneczkę Seagram's imperial, potem drugą, w końcu nalał sobie trzecią. Michael siedział przy kuchennym stole.

- Zadzwoń na policję, Brad - zaproponował nagle. - W Park Estates zdarza się niezbyt wiele prawdziwych zbrodni, więc policja ma sporo czasu, aby szukać zaginionych zwierzaków. Założę się, że znajdą Dusty'ego.

Zeller pokiwał głową.

- Zadzwonię. - Podniósł szklanekę pobierałymi palcami. - Ale oni nie znajdą mojego psa. Dusty zniknął i to wszystko. Tak czuję.

- Nie myśl w ten sposób, Brad - stwierdził Michael. Skończył old milwaukee. - Nie możesz tracić nadziei.

Podniósł się. Zeller wpatrzył się w niego oczyma, w których pod alkoholowym blaskiem widać było udrękę. Louden położył sąsiadowi rękę na ramieniu.

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - oznajmił, poczym dodał coś, w co naprawdę wierzył: - Ujrzysz znowu Dusty'ego. Jestem tego pewny.

TRZY

Beth zaniepokoiła się, że nie znaleźli psa. Żałowała, że nie może zrobić czegoś dla Brada, czegoś więcej...

Michael zapewnił ją, że on także się zdenerwował.

- Brad jest tak bardzo przywiązany do swojego Dusty'ego. Jeśli zwierzęciu coś się stało, taka wiadomość faceta wykończy.

Od jego wyjścia telefon zadzwonił dwa razy, poinformowała Michaela Beth: telefonowała jej matka oraz Vern Engelking. Beth przyjęła zaproszenie na przyjęcie z grilllem, które Vern i Laura organizowali w sobotę, w weekend, w który przypadało Święto Pracy*. Och, i chociaż Vern powiedział, że to nic ważnego, że chodzi o zwykłe interesy, może jednak Michael chciałby do niego oddzwonić.

* Święto Pracy (ang. Labor Day) - w USA pierwszy poniedziałek września.

- Chyba zrobię to od razu - odparł Loudon, wzdychając przekonująco. - Jeżeli nie oddzwonię, będę się zastanawiał, o co może chodzić, a nie mam ochoty myśleć teraz o niczym - uśmiechnął się do żony - z wyjątkiem nas dwojga.

Wszedł na piętro, do pokoju, który stanowił jego gabinet. Włączył górne światło i zamknął za sobą drzwi. Obrzucił spojrzeniem półki z dokumentami, stojak na czasopisma, gdzie leżały egzemplarze „Fortune”, „Time'a”, „Newsweeka”, „US News” oraz „World Report”, wiszący na ścianie nijaki krajobraz morski i biurko, na którym stał pojemnik na długopisy z cyfrowym kalendarzem i zegarem, kalkulator oraz przenośna maszyna do pisania.

Zdecydował, że z pewnością posiada zwyczajny domowy gabinet przeciętnego urzędnika. Z biurka podniósł zwyczajne zdjęcie. Była na nim cała ich rodzina: on, Beth i dzieci, „przyciśnięci” pod matowym szkłem. Fotografię wykonano w ubiegłym roku nad jeziorem. Niebo było na niej błękitne, woda - jeszcze bardziej; cała czwórka miała krzywe uśmiechy, prezentowane zazwyczaj przez osoby spędzające czas z rodziną, tu zachowane w pomarańczowym odcieniu kodachrome. Ludzie mawiali, że Kim jest podobna do Beth, a Marcy to w „stu procentach córeczka Michaela”, on jednak nie dostrzegał tego podobieństwa. Dzieci wyglądały jak dzieci, kropka - jak małe drobiazgi, które może pewnego dnia wyrosną na duże przedstawicielki świata nijakich. Jeżeli on im na to pozwoli.

Usiadł na obrotowym krześle biurowym. Nie sięgnął po słuchawkę. Odprężył się. Tutaj, sam, był naprawdę sobą i nikim innym.

„Jestem Obcym” - pomyślał, rozkoszując się potwierdzeniem swojej władzy i przebiegłości. W końcu zatelefonował do Obcego, który był prezesem Superior Chemical Company.

- Michaelu - zagrzmiał wesoło Vern Engelking - bardzo się cieszę, że ty i twoja piękna rodzina weźmiecie udział w naszym małym spotkaniu. Napijemy się piwa... dla dzieci będzie oczywiście lemoniada... zjemy hamburgery z węglowego grilla i cudownie spędzimy kilka godzin.

- Jasne. - Michael roześmiał się cierpko. - Chciałeś omówić jakies sprawy?

- Nic ważnego - odparł Vern. - Wydaje mi się tylko, że nasze podejrzenia dotyczące Herba Cantlona niestety się potwierdziły. Taki podstawowy wniosek płynie ze sprawozdania, które otrzymałem od Eddiego Markella. Herb jest po prostu nieuczciwy, to żmija na łonie Superior Chemical Company.

- Okrada nas - przyznał Louden.
- Dokładnie - zgodził się Engelking. - Musimy go zwolnić.
- Tak. - Michael uśmiechnął się szeroko.

- W najbliższej przyszłości ustalimy szczegóły z Eddiem. Obawiam się, że będziemy musieli ukarać Herba Cantlona dość surowo.

Michael roześmiał się.

- Każdy musi wypełniać swoje obowiązki.

Vern Engelking zachichotał.

- A zatem od tej pory możesz czekać z niecierpliwością aż na dwa uroczyste zdarzenia: nasze przyjęcie i rozwiązanie sprawy Herba Cantlona. Mam nadzieję, że ta perspektywa uprzyjemni ci wieczór. Dobranoc, Michaelu. I do zobaczenia jutro.

- Dobranoc - odrzekł Louden i odłożył słuchawkę.

Zreflektował się, że choć nie była to Wiadomość, której oczekiwał, tym niemniej i ten telefon obiecywał nową okazję, aby znowu poczuć rozkoszną przyjemność, dreszcz „niemal-wszechmocy”, który dawało zabójstwo.

* * *

W salonie Beth siedziała na końcu kanapy oświetlonej lampą stojącą na niskim stoliku. Podczas nieobecności Michaela jego żona włożyła pastelowo-zieloną skąpą piżamkę.

- Nic pilnego? - spytała, kiedy usiadł. Jej mała stopa przesunęła się po kanapie i przycisnęła do boku jego uda.

- Vern? Nie, nic ważnego. Zmiana ceny ręczników papierowych, tylko tyle.

- Ach tak- odparła Beth.

- Mówiłaś, że twoja mama dzwoniła - zainteresował się Michael. - Jak się miewa?

Beth odparła, że u mamy wszystko w porządku, ale ciśnienie nadal ma zbyt wysokie. Lekarz zapisał jej nowe lekarstwo i prosił, aby się nie prze-męczała. W wieku sześćdziesięciu ośmiu lat Claire Wynkoop nadal poświęcała ponad czterdzieści godzin tygodniowo na pracę w bibliotece w

Belford, małym miasteczkiem położonym niecałe sto kilometrów na południe od Chicago. Beth się tam wychowała.

- Mama nie chce zwolnić - ciągnęła Beth - ani nawet posiedzieć w jednym miejscu na tyle długo, aby w ogóle zastanowić się nad odpoczynkiem.

Michael poklepał żonę po łydce.

- Nie martw się, kochanie - uspokoił ją - twoja mama to twarda babka. Przeżyje nas wszystkich. - Potem z uśmiechem rozbawienia spytał: - Czy mama miała jakieś nowe epokowe wizje?

Beth roześmiała się, choć w gruncie rzeczy pytanie wcale nie wydało jej się zabawne. W przeciwieństwie do Michaela nie nazywała absurdalnymi skromnych pretensji swej matki do doświadczania sporadycznych przeczuć związanych z przyszłością. Nie, mama nigdy nie przepowiedziała żadnego zamachu politycznego, katastrofy lotniczej czy wybuchu wulkanu, niemniej jednak... Dwa lata temu Kim, wtedy uczennica pierwszej klasy, złamała nadgarstek podczas upadku na szkolnym podwórku, a gdy chwilę później szkolna pielęgniarka zadzwoniła do babci dziewczynki, ta uprzedziła nowiny: „Kim jest ranna, wiem o tym. Jak poważne są obrażenia?”

A może była to tylko rodzinna anegdotka, którą opowiadano w ubiegłych latach tak często, że zyskała pozory prawdy? Hank Wynkoop, ojciec Beth, zmarł na atak serca, kiedy ona chodziła do pierwszej klasy liceum, Claire zaś w taki sposób opowiadała o ostatnich momentach życia męża: „Widziałam, jak tamtego ranka wsiadał do samochodu. Pomachał mi, a mnie się zdało, że już nigdy go nie zobaczę... I nie zobaczyłam”.

Beth poczuła zimne mrowienie na karku. Więc ludzie miewają przeczuć. No cóż, potrafiła to zaakceptować, to było normalne. Ale nie lubiła tego niepokoju, który brał się z myśli, że coś „nie całkiem normalnego”, „coś, co nie może się zdarzyć”... zdarza się!

- Pytałem, czy twoja mama przekazuje nam jakąś odkrywczą wizję

przyszłości - przypomniał Michael, odrywając Beth od chaotycznych myśli.

- Nie - odparła. Zbeształa się po cichu, że martwi się o sprawy, które tego nie wymagają. Przecież jej matka była dobrą, starą, normalną mamą, w ten sam sposób normalną co Beth albo Michael, pan „Normalny” Louden.

Uznała, że tak właśnie jest i aby podtrzymać swoją pewność, kiedy zeszli do pokoju rekreacyjnego, powiedziała Michaelowi, że chce obejrzeć odcinek serialu *Trapper John, MD* zamiast zgodzić się na jego sugestię, czyli powtórkę klasycznej *Strefy mroku* Roda Serlinga.

Do łóżka położyli się godzinę przed północą. Beth poczuła świeży przypływ pożądania i wyraziła to rękoma i wargami. Mąż odwzajemnił się, otaczając ją ramionami; jego język znalazł się w jej ustach, jego męskość nabrzmiała.

Spodnie od pizamy Michaela opadły, jej zostały zdjęte i rzucone na dywan. Michael ostrożnie położył się na Beth, uniósł się na łokciach, a ona znowu wcisnęła w siebie jego członek. W końcu z jego ust wydobyło się słówko: „Tak!”, które zabrzmiało jak zadowolone sapnięcie i oznaczało „połączenie absolutne”.

Do tej pory Beth kojarzyła ich amory z własną szaleńczą próbą osiągnięcia ponownego zjednoczenia. Tym razem - szczęśliwie - ta próba zakończyła się sukcesem. W tej chwili Michael poruszał się, ona ruszała się wraz z nim i wspólnie osiągali tempo dające im obojgu rozkosz. I to było potwierdzenie ich związku, ostateczne przekroczenie barier, które mogły jeszcze między nimi zostać.

Beth nie chciała żadnych barier. Chciała porozmawiać z Michaelem. I była pewna, że będzie mogła z nim pomówić po zakończeniu tego znaczącego rytuału zmysłów, w spokojnym czasie, który nastąpi, gdy będą już tylko leżeli razem bez ruchu w chłodnym i ciemnym pokoju, zaspokojeni i spełnieni.

Posuwiste ruchy Michaela przyspieszyły i stały się silniejsze. Beth sądziła, że nie jest jeszcze gotowa, ale układ nerwowy szybko dał sygnał, że

jednak była. Jej biodra uniosły się, uda chwyciły jego nogi w kleszcze i Beth kurczowo złapała ramiona męża.

Przez głowę przemknęły jej przebłyski zapamiętanych emocji. Była dzieckiem, wspinała się szybko po drabince na placu zabaw, ogromnie pragnęła dotrzeć na szczyt, by przeżyć tę elektryzującą, pełną strachu i wahania chwilę przed skokiem... Zanim skoczy w dół, a wówczas świat się rozmyje. Teraz... „Tak, och tak!” ... Beth dotarła na szczyt, w głowie jej się zakręciło, w żołądku poczuła gorąco i już... leciała w dół, wstrząsana uderzeniami potężnej fali podniecenia, które odbierało jej oddech.

Westchnęła w chwili, gdy Michael zadygotał w orgazmie. Stęknął, przyciskając ją. Jego ciężar nie był dla Beth przytłaczający, nie w takiej chwili. Poglądziła go po włosach i po karku. Jaki bezradny, jaki słaby wydaje się teraz, myślała. Jego penis kurczył się w jej wnętrzu, a ona poczuła dla męża szczególną czułość.

Michael zsunął się z jej ciała.

- Kocham cię, Beth - powiedział.

Przysunęła się do niego, położyła głowę na jego piersi. Otoczył ręką jej ramię.

- Śpisz, Michaelu?

- Nie, jeszcze nie.

- Masz ochotę porozmawiać?

- Oczywiście, kochanie.

- Cieszę się - odparła Beth. - Minęło sporo czasu od naszej ostatniej rozmowy.

- Wiem, kochanie, już ci tłumaczyłem, że ten cholerny stres związany z pracą zmienił mnie w zombie. Sam na to pozwoliłem. Nie spędzałem dość czasu z tobą ani... szczerze mówiąc... z naszymi dziećmi. To się zmieni.

- Na tym prawdopodobnie polega część naszego problemu, Michaelu - wtrąciła Beth - ale nie całość. Ja również ponoszę winę.

- Co masz na myśli? - spytał powoli.

- Chodzi mi o to, że... - Och, wiedziała, że może mówić swobodnie, lecz to, co chciała powiedzieć... i jak to wyrazić... przybrało nagle postać trudnego wyzwania. Beth wyjąkała coś o intelekcie i samorealizacji, czuła, że wygłasza wyświechtane frazesy żywcem przeniesione z artykułów w pismach kobiecych, w końcu poprosiła: - Daj mi chwilę, muszę pomyśleć.

Podczas pierwszego roku w college'u odkryła, że jest naprawdę bystra. Lekcje w szkole podstawowej i średniej były dla niej zbyt łatwe i dlatego nudne; Beth nie wykorzystywała w pełni swoich możliwości. Jednakże w Illinois Central University spotkała nauczycieli, którzy chwalili ją za analityczne pytania i komplementowali dociekliwość w rozwiązywaniu skomplikowanych zagadnień. Właśnie wówczas zauważyła, jak pasjonujące jest rzeczywiste wykorzystywanie możliwości własnego mózgu. Po studiach zamierzała podjąć pracę w opiece społecznej lub zostać psychologiem klinicznym.

Później wszakże poznała Michaela, studenta ostatniego roku, specjalizującego się w biznesie. Zakochała się w nim, a gdy ukończył studia, wyszła za niego.

„I tak to wyglądało!”

- Dam grosik za twoje myśli - wtrącił Michael.

- Nie są aż tyle warte - zażartowała Beth, uważając dowcip za cienki, zbyt prawdziwy w jej opinii, aby był zabawny. - To znaczy... Czasami czuję się taka otumaniona, Michaelu, jak gdybym była typową, głupią gospodynią domową o ptasim mózdzku, która uważa za narodową katastrofę fakt, że w supermarkecie przypadkiem zabrakło zupy pomidorowej z ryżem albo farszu do mięsa. Właśnie dlatego czasami trudno mi czuć, że mamy ze sobą wystarczająco dużo wspólnego. Ty żyjesz w prawdziwym świecie, gdzie realizujesz prawdziwe zadania, a ja tkwię w domu, dobierając skarpety... i z dnia na dzień coraz bardziej głupieję.

Michael uściskał ją.

- Nie ma mowy, nie jesteś głupia, kochanie! Nigdy tak nie uważałem.

- Ja tak myślę - upierała się Beth - i to się liczy. Sądzę, że jest to

jeden z powodów, dla których prawdopodobnie oddalam się od ciebie.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Rozumiem.

„Wielkie dzięki - pomyślała - zrozumiał”. On zawsze zrozumie, jeśli ona da mu ku temu okazję.

Skoro podjęła już decyzję, nad którą zastanawiała się od tak dawna, obwieściła mu ją:

- Michaelu, zamierzam wrócić do szkoły. Zapiszę się na zajęcia w Lincoln Junior College. Zacznę naukę spokojnie, bez szczególnych oczekiwań, po prostu zobaczę, czy potrafię ożywić moje komórki mózgowe, a potem... - zrobiła głęboki wdech, trochę przestraszona własną śmiałością - ...jeśli mi się uda, ukończę studia, uzyskam stopień i zdobędę prawdziwą pracę.

- W porządku, to ma dla mnie sens - oznajmił Michael.

- Mówisz poważnie? - Beth odsunęła się od niego i podparła na łokciu. A jeśli Michael ustępował jej tylko, protekcyjnie klepiąc po ramieniu... Wstydziła się nawet tak myśleć, tym niemniej...

- No więc będę się opiekował dziećmi przez kilka wieczorów w tygodniu - kontynuował. - Sądziłaś, że obrazę się na ciebie, ponieważ masz bystry umysł i chcesz go używać? Daj spokój, Beth, prawdopodobnie mnóstwo rzeczy można mi zarzucić, ale na pewno nie jestem męskim szowinistą.

- Nie - odparła Beth szczerze - jesteś cudownym człowiekiem. I tyle.

- To prawda - roześmiał się - i cieszę się, że to zauważyłaś. A teraz może trochę pośpimy?

Przytuliła się do niego najbliżej, jak mogła. Szczęśliwa, podekscytowana perspektywą nauki w college'u, nowym etapem w ich małżeństwie, wszystkim! Nie chciało jej się spać. Słowa same popłynęły z jej ust:

- Tak wiele chciałam powiedzieć, a teraz te emocje... tak absolutnie właściwe do wypowiedzenia tego, do wypowiedzenia tego wszystkiego...

- Ciii! - Michael syknął ostro. Poczwała, że jest spięty. - Usiądź - wyszeptał.

Usiadła. Jej mąż również.

- O co chodzi?

- Na dole - wyjaśnił cicho. - Chyba coś usłyszałem.

Milczał przez bardzo długi moment, aż Beth poczuła w gardle nerwowy ucisk.

- Naprawdę, wiem, że coś słyszałem - nadal mówił szeptem. - Pójdę się rozejrzeć.

W piżamie powoli przeszedł korytarz. Nie potrzebował światła. Był przecież we własnym domu. Minął pokój, który dzieliły Marcy i Kim, wychwyił zapach sosnowych trocin zalegających dno akwarium, zamieszkanego przez świnki morskie. Minął swój gabinet, po czym dotykając ręką poręczy, zszedł na dół po schodach.

„Miło mieszka się w nowoczesnym domu - myślał. - Twoje kroki nie wywołują skrzypienia. Możesz poruszać się cicho, tak cicho... i żadne ostrzeżenie, żaden dźwięk nie sugeruje twojego nadejścia”.

W ciemnym salonie jego ręka bezbłędnie trafiła do sznura i rozsunął zasłony. Wyrzał przez okno panoramiczne na Park Estates, swoją dzielnicę, na domy sąsiadów, w większości ciemne, z wyjątkiem łuny z nowoczesnych nocnych świateł, czyli odbiorników telewizyjnych - przenośnych, czarno-białych, odpowiednich do sypialni oraz kolorowych, włączonych w salonach nocnych marków. Noc w dobrej podmiejskiej dzielnicy, bezpiecznej... A jednak Michael wiedział, że nad Park Estates wisi strach, ogólnokrajowy strach, który spowijał obecnie całą Amerykę. Panowała „epoka paranoi”. A jak to wnikliwie zauważył pewien geniusz: „Fakt, że jesteś paranoikiem, nie oznacza, że oni tam nie czekają, aby cię dopaść”.

Oni czekali, Obcy czekali... A więc i Louden czekał.

„Kobieta na górze również się boi” - pomyślał, przypominając sobie, jak przed jego odejściem Beth ścisnęła go za rękę, usilnie zalecając ostrożność. Ukierunkował jej niesprecyzowane obawy w konkretną stronę - ku podejrzanym hałasom docierającym „skądś z dołu”.

Wszłuchał się w ciszę. Do jego uszu dotarł powiew klimatyzacji oraz

dźwięk własnego oddechu... I to było wszystko, co usłyszał.

Musiał po prostu odejść od paplaniny Beth. Poczul, jak ogarnia go nagła chęć ucieczki, silny impuls, pragnienie uciszenia jej na zawsze... jego ręka na jej gardle, dałby jej jedynie tyle powietrza, by jej umysł funkcjonował przez krótką chwilę, którą zajmie jej zrozumienie, że Michael nie jest cierpliwym i wyrozumiałym mężem, nie jest tatusiem z serialu familijnego, żadnym Dagwoodem Bumsteadem, Ozzie Nelsonem, Cleaversem z *Wiercipięty*... „lecz Obcym, który ją zabija, zabija, zabija...”.

Przed powrotem na piętro trochę pohłasował na dole.

- Michaelu? - dotarł do niego z góry piskliwy i zmartwiony głos żony.

„Dobrze” - ucieszył się. Jej lęk przed nieznanym zmieniał się w coś większego, w strach przed wyobrażonym. Kochający mąż - „szczerze oddany” - mógł przecież spotkać jakiegoś podejrzanego osobnika z łyżką do opon, kluczem francuskim, nożem... mógłby spotkać Śmierć.

- Michaelu?! Nic ci nie jest?

Uśmiechnął się.

„Ta głupia suka nie musi się martwić” - pomyślał. Tej nocy nie jemu była pisana śmierć.

Szybko i cicho wrócił na piętro. Zatrzymał się przed drzwiami sypialni i czekał.

- Michaelu? Odpowiedz mi!

Wiedział, że jego żonę dzieli już zaledwie kilka uderzeń serca od wybuchu paniki, od wrzasku, włączenia światła, telefonu na policję, szaleńczego krzyku: „Pomocy!”. Zaczął odliczać uderzenia własnego serca: cztery razy... sześć razy...

Wszedł do sypialni.

- Chyba jednak nic się tam nie działo...

Beth wrzasnęła.

Dobiegł do niej, przytrzymał ją.

- Kochanie, już w porządku...

- Boże, ale mnie przestraszyłeś! Byłam taka... - Szlochała. - Na Boga,

Michaelu, nie wiedziałam, co myśleć i wtedy nagle ty się zjawileś, i...

- Przepraszam. Nie chciałem cię przestraszyć. Nie masz się czego bać. - „I - dodał w myślach - założę się, że nie masz ochoty podjąć teraz tamtej przerwanej rozmowy, prawda?”

Beth zakrztusiła się, kiedy próbowała zmienić płacz w pełen ulgi śmiech.

- W porządku - powiedziała, pociągając nosem. - Już czuję się dobrze.

Ale była naprawdę przestraszona, wręcz przerażona - i jakaś pozostałość tego strachu towarzyszyła jej do czasu, aż zasnęła, a później przeniknęła do jej snu...

* * *

Była sama, czekała, aż zostanie ukarana. To było niesprawiedliwe, nie zrobiła przecież nic złego.

Siedziała w pierwszej ławce w środkowym rzędzie, ręce splotła na biurku. Światłówki sufitowe słały w dół zimny blask i cicho brzęczały; od tego dźwięku Beth przebiegał dreszcz po kręgosłupie.

Wiedziała bardzo dobrze, gdzie się znalazła... i to musiała być pomyłka. Była w czwartej klasie szkoły podstawowej Belford Community, królestwie rządzonej przez przerażającą i zniechęconą despotkę, pannę Kostner. Inni nauczyciele w szkole niechętnie stosowali dyscyplinę, panna Kostner natomiast - wręcz ochoczo. Inni nauczyciele odsyłali dzieci do szatni albo zatrzymywali je w szkole po lekcjach. Panna Kostner miała linijkę.

- Wyciągnij rękę, proszę.

„Nie! To nie jest moje miejsce” - chciała powiedzieć komuś, aby natchmian naprawić ten błąd. Była teraz dorosła i terror panny Kostner stał już się dla niej wspomnieniem. Tyle że Beth jakoś nie czuła się dorosła. Mimo swego dorosłego ciała wciśniętego w małą ławkę, była dzieckiem. Jej świat został podzielony na strefy bezpieczeństwa i pewności, obszary

znanych strachów oraz znacznie mroczniejsze terytoria nieznanymi lęków.

Młoda, Beth była młoda i sparaliżowana ze strachu.

Wtedy zrozumiała.

„To sen, tylko sen. Sen nie może mnie skrzywdzić!”

Ale dlaczego uprzytomnienie sobie tego faktu nie zmniejszyło jej strachu i przygnębienia?

Teraz już nie była sama. Jej dzieci... - „Ależ ja sama jestem dzieckiem!” - ...jej dzieci były tutaj, Kim w ławce z lewej strony, Marcy - z prawej. „Widzę je bez obracania głowy”. Stopy ustawione równo na podłodze, ręce złożone; obie córki siedziały sztywno, jakby z niej kpiły.

A Beth wiedziała, że nauczycielka postanowiła ukarać całą klasę.

Nagle przy biurku zobaczyła nauczyciela - pojawił się znikąd, tak jak ludzie mogą się zjawiać jedynie w snach. Nauczycielem nie była jednak panna Kostner.

Nauczycielem był Michael. Uśmiechał się.

Beth wiedziała, że to on wymierzy jej karę i miała świadomość, że nie potrafi nic zrobić, aby temu zapobiec.

Wezwał ją kiwnięciem głowy. W wieczności, którą zajął jej spacer z ławki do jego biurka, Beth obserwowała przemianę męża. Transformacja stanowiła dla niej zaskoczenie, lecz robiła wrażenie czegoś, co miało idealny, niezbitą sens.

Twarz Michaela straciła znajome rysy. Mężczyzna mógłby być woskową figurą, której cechy w jednej chwili zostały przetworzone przez niewidzialną rękę rzeźbiarza. Jego usta zmieniły się w okrutną kreskę, nozdrza się rozszerzyły, oczy rozbłyły przesadnie niczym szklane kule wypychacza zwierząt.

„Nie znam go - pomyślała. - Nigdy go nie znałam”.

Mężczyzna otworzył górną szufladę biurka. Wyjął linijkę.

Drżąc całą, Beth wyciągnęła rękę wnętrzem dłoni ku górze. Michael powoli podnosił linijkę, a później trzymał ją nieruchomo przez niekończący się, zmrożony moment.

Czekała na ognisty ból po uderzeniu.

Linijka przecięła powietrze, pojawiając się jako brązowawo-żółta smuga drewna, po czym zmieniła się w lśniącą stal, gdy stała się długim, ostrym nożem, który odciął Beth rękę w przegubie.

Nie było krwi. Nie było bólu. Jej dłoń leżała teraz na zielonej podkładce biurkowej... palce podwinięte; owad przewrócony na grzbiet, umierający.

Michael, który nie był Michaelem, odezwał się do niej.

- Teraz ból. Teraz krew.

A później Michael - ten Michael, który nie był Michaelem - dźgnął ją, zimne ostrze wtargnęło w jej brzuch... dźgnął ją, ostre ukłucie w jej piersi... dźgnął ją... rozdzierający, dziki, nie do zniesienia ból w jej gardle.

„To jest sen! Sny nie mogą cię zranić! Sny-nie-mogą-cię-zranić!” - wrzasnęła Beth bezgłośnie.

Podświadomość stanowczo przejęła dowodzenie, każąc jej opuścić ten sen-horror. Myśli wdarty się, aby uspokoić Beth, aby dodać jej otuchy: „Wszystko jest dobrze, moje dzieci są bezpieczne, ja jestem bezpieczna, nie ma strachu, nie ma ran, nie ma bólu, nie ma niebezpieczeństwa, nie ma zabójstwa, nie ma krwi, nie ma śmierci. Nie ma Śmierci! NIE MA ŚMIERCI!!!”.

Ciąg pocieszających myśli splótł się w ciężki gobelin, który opadł na jej sen, skrywając go pod grubym materiałem pewności, ukrywając go przed jej pamięcią.

* * *

Kiedy Beth Louden zbudziła się następnego ranka, czuła się zmęczona, trochę obolała i rozbita, jak gdyby nie spała dobrze w nocy. Pomyślała, że może przyśnił jej się jakiś koszmar.

Próbowała go sobie przypomnieć.

Nie mogła, nijak nie potrafiła.

CZTERY

Michael przekłuł narożnikiem trójkątnej połowy tostu żółtko swojego drugiego z usmażonych po obu stronach jajek sadzonych. Stojąca w szlafroku przy kuchennym kontuarze Beth naląła sobie kawę do żółtego kubka z rysunkiem uśmiechniętej buzi, po czym dołączyła do męża. Przez wschodnie okno słońce rzucało między małżonków, na stół do krojenia, ostro nachylony równoległobok światła.

- Dobre jajka - ocenił Michael. Łypnął, marszcząc czoło niczym Grocho Marx. - Jajka pomagają mężczyźnie nieco odnowić jego niedawno wyczerpane soki życiowe.

Beth roześmiała się.

- Michaelu, jesteś okropny.

- Jestem, kim jestem i to wszystko, kim jestem - Michael wyszczerzył zęby, zezując lewym okiem w stylu Popeye'a.

W stojącym na kontuarze przenośnym radiu - jak zawsze o ósmej rano - nadawano prognozę pogody. Początek tygodnia pracy miał być... „A jakież inny, Chicagoland?” - spytał rozgorączkowany prezenter, zapowiadając kolejny skwarny dzień, z temperaturą trzydzieści dwa stopnie Celsjusza i wilgotnością bliską „straszliwej!”.

- Przydałby się porządny deszcz - zauważył Louden. - Przerwałby tę falę gorąca.

- Deszcz by pomógł - przyznała Beth.

„Ta sama stara scenka w tym samym starym scenariuszu” - pomyślał Michael. Śniadanie: Mąż i Żona dyskutują o Pogodzie, a potem, naturalnie, o Dzieciach.

- O której godzinie wparują Marcy i Kim? - spytał.

- Autobus ma dojechać pod ich szkołę o dziesiątej trzydzieści. Wyjadę jednak wcześniej, ponieważ przed odebraniem dziewczynek, chcę zajść do Lincoln Junior College po katalog i informacje na temat zapisu...

- Aha. - Michael kiwnął głową, kończąc jajko, a następnie dodał bez wątpienia oczekiwane przez żonę zdanie: - Przyjemnie na ciebie popatrzeć, gdy jesteś taka podekscytowana powrotem do szkoły, Beth.

- A ja się cieszę, że ty się cieszysz. Myślę, że ta decyzja będzie oznaczała coś ważnego dla nas obojga. Chodzi mi o to, że nasza przyszłość nie musi przypominać obecnej rutyny, prawda?

- Prawda - przyznał. Jego przyszłość na pewno nie będzie podobna do nudnej terażniejszości! A co do Beth... „Hej, mała, prawdopodobnie wolałabyś nie planować zdarzeń zbyt daleko do przodu, no nie?”.

Bawiąc się uchwytem kubka, Beth zacisnęła usta w zadumie.

- Dziwnie było - zauważyła - nie mieć dziewczynek w domu przez te dwa tygodnie. Tęskniłam za nimi i martwiłam się o nie, ale wiesz, Michaelu, uważam, że ten czas przydał się nam obojgu, tobie i mnie.

- Myślę tak samo.

- I jestem pewna, że dziewczynki dobrze się bawiły na obozie.

- Na pewno - zgodził się z nią. - Te historie o duchach opowiadane wokół ogniska, wyścigi na kajakach i wędrowki na łonie natury. Prawdopodobnie dziewczynki musiały wiązać węzły albo robić na szydełku łapki do podnoszenia gorących naczyń. Kochanie, mówimy o prawdziwych przygodach!

Beth roześmiała się, lecz szybko spoważniała.

- Wiesz, mieszkając na naszych przedmieściach, Marcy i Kim nie widzą zbyt wiele prawdziwego życia...

- O tak, wiem, co masz na myśli...

- ...mam więc nadzieję - kontynuowała Beth - że spotkały na obozie ludzi wszelkich typów...

Michael był zupełnie nieprzygotowany na takie stwierdzenie. Przy najmniej raz kompletnie zaskoczyły go jej słowa. W zadumie wypił łyk kawy.

- Może nauczyły się, że nie wszyscy ludzie są tacy sami - zakończyła myśl Beth.

Rozśmieszyła go. Śmiech wyrwał się z jego piersi. Michael spróbował go jakoś zatuszować, jakoś zdusić ten śmiech i nie mógł. Rozkaszłał się i zakrztusił. Kropelki kawy trysnęły z jego ust i nosa. Łzy zakłuły w oczy.

Beth wstała i uderzyła go w plecy.

- Och, dam ci trochę wody.

Charcząc i dławiąc się, wypił płyn z podanej szklanki. „O rany, nie wszyscy są przecież tacy sami...” Zagroził mu kolejny wybuch śmiechu i Michael starał się nad sobą zapanować. „Tak, tak, Beth, nie wszyscy są tacy sami... Ja na przykład jestem inny... A letni obóz to idealne miejsce na dokonywanie takich odkryć... Wiem. Bo sam to przeżyłem!”

Odnosił wrażenie, że jakaś puszysta piłka tenisowa zaklinowała mu się między migdałkami. Zarechotał.

- Nieodpowiednia dziurka - wychrypiał.

- Już dobrze?

- Jasne, nic mi nie jest.

Ale śmiech stale go dręczył, usiłując wydostać się z jego wnętrza, pojawiając się, gdy Michael odchrząkiwał albo udawał, że kaszle. Z tego też względu Louden cieszył się, że za kilka minut musi wyjść z domu.

Kiedy znalazł się w samochodzie i ruszył do biura Superior Chemical Company w Oakwood, czyli kiedy został sam, w końcu pozwolił sobie na wybuch śmiechu, potężny, dziki i szczery.

Przypomniawszy sobie obóz letni Camp Bethel. I Jana Pretre, a także Alvina Burdella. Alvina, który był pierwszy.

Przypomniawszy sobie, jak miał dwanaście lat...

* * *

Drzwi z siatką przeciw owadom zazgrzytały jak papuga - „aar-kiii” - i do domku numer trzy wszedł młody człowiek. Drzwi zamknęły się za nim

z klekocząco-grzechoczącym odgłosem. Mężczyzna był wysoki. Czarne włosy miał przycięte w schludną, płaską fryzurkę. Łukowata zmarszczka łączyła ciężkie brwi nad prostym nosem.

Popatrzył głęboko osadzonymi, ciemnoniebieskimi oczyma, sunąc wzrokiem wzdłuż rzędu łóżek i przydzielonych do nich chłopców po lewej stronie, następnie wrócił spojrzeniem, analizując rząd po prawej. Odpowiadał w sumie za ośmiu wyrostków. Był społecznym opiekunem na Camp Bethel, obozie sponsorowanym przez kościół baptyistyczny, który zapewniał dzieciom niedrogą rozrywkę i regularne lekcje religii.

Michaelowi wydało się, że wzrok młodego mężczyzny zatrzymał się na nim o kilka sekund dłużej niż na innych chłopcach, jednak pewności nie miał. Postanowił, że będzie ostrożny. Zawsze był ostrożny.

- Nazywam się Jan Pretre, panowie. - Opiekun przemawiał głębokim, przyjaznym głosem. - Przez następne dwa tygodnie spędzimy razem dużo czasu.

- Witaj, Janie! - wydarł się gruby chłopiec, który zajmował łóżko naprzeciwko Michaela. Louden siedział obok niego podczas jazdy autobusem. Tłuścioch nazywał Alvin Burdell. Miał ogromne, czerwonoróżowe znamię nad lewym uchem, widoczne pod obciętymi na języka włosami, a jego zapach kojarzył się z serem.

- Siema. - Jan Pretre kiwnął Alwinowi głową. Powiedział podopiecznym, że kiedy się rozpakują, zabierze ich nad jezioro na krótką kąpiel.

Po pływaniu mieli czas wolny, a później lunch. Kierownik obozu, pastor Bill, tak długo odmawiał modlitwę, że nieapetyczne jedzenie zmieniło się w ledwie jadalne zimne bryły.

Tego samego popołudnia dzieciak z domku numer sześć grzmotnęła Michaela w ramię, całkiem mocno, pięścią, wbijając mu kłykcie w biceps. Wyraźnie szukał pretekstu do bójki, ale Louden nie zareagował na atak; uciekł.

Nigdy się nie bił.

Światła gaszono o dwudziestej pierwszej.

O północy cały domek numer trzy obudził płacz Alvina Burdella.

Alvin zmoczył się w łóżko.

Steve Dawes, trzynastolatek, największy i najstarszy obozowicz w ich domku, wrzasnął:

- Ty tłusciochu! Zasmrodziłeś cały pokój!
- Nic nie mogę na to poradzić! - załkał Alvin.

Michael leżał na plecach, nie przyłączając się do chóru, który szczydził z Alvina.

Wszedł Jan Pretre z latarką w rękę. Kazał chłopcom wrócić do łóżek i zasnąć, mówiąc, że sam się wszystkim zajmie. Zapewnił Alvina, że nic strasznego się nie stało, że każdemu może się przydarzyć taki wypadek i że nie ma się czego wstydzić. Pocieszył go, obiecując: „Wszystko załatwimy”.

Alvin Burdell miał „wypadki” trzy noce z rzędu.

Steve Dawes zdecydował, że chłopcy sami lepiej załatwią sprawę „Tłusciocha”! Steve miał plan. Jeśli ktoś doniesie, również oberwie, i to porządnie.

Michael trzymał się od całej sprawy najdalej, jak mógł, mówiąc i robiąc tylko tyle, aby Steve Dawes i inni nie zwrócili się przeciwko niemu.

Pewnego popołudnia w trakcie czasu wolnego leżał na swoim łóżku, kartkując komiks *Ilustrowanych historii z Biblii*, jedyny typ komiksu dozwolony na Camp Bethel. Poza nim w domku przebywał jeszcze tylko Alvin Burdell. Nie chciał wyjść, gdyż nie miał ochoty być ofiarą, na którą pozostali „są skazani” podczas gry w softball lub siatkówkę, nie chciał też iść z grupą nad jezioro, gdzie najnowsza „sportowa” modą stała się zabawa w „zobaczymy, jak długo potrafisz utrzymać głowę Tłusciocha pod wodą”.

Kiedy Jan Pretre wszedł i rzucił w stronę Michaela: „Cześć!”, Louden poczuł się dziwnie. Zaprzagnął, by Jan powiedział do niego coś więcej... żeby naprawdę z nim porozmawiał... I nie rozumiał własnego pragnienia.

Ale Jan Pretre minął go obojętnie, podszedł do Alvina, usiadł obok

niego i przez dwadzieścia minut rozmawiał z nim, otaczając ręką tłuste ramiona chłopca. Do Michaela docierało jedynie od czasu do czasu jakieś zdanie: „Nic się nie stało”, „Nie martw się”, „Jesteśmy przyjaciółmi”. Po tem opiekun wyszedł, a Alvin uśmiechał się, drapiąc asymetryczne znamię nad swoim uchem.

Michael porozmawiał z Janem Pretre dopiero w niedzielę.

Bez trudu wymknął się z mszy w Wielkiej Sali. Było dużo dzieci, więc dorośli nie byli w stanie upilnować wszystkich. A Louden wiedział, jak nie dać się zauważyć.

Już po chwili leżał na swoim łóżku z rękoma pod głową. W narożniku sufitu pajak kończył snuć sieć, sunąc od jednej nitki do kolejnej. Gdyby Michael patrzył długo i cierpliwie, dostrzegłby, jak w pułapkę wpada mucha, zobaczyłby jej beznadziejną walkę i powolny, nieodwołalny kres.

Nagle usłyszał odgłos otwieranych drzwi siatkowych, a później ciche szuranie trampek. I obok łóżka stanął nad nim Jan.

Michael usiadł prosto i szybko się cofnął, uderzając plecami o ścianę.

- O, witaj! Właśnie siedziałem tutaj i rozmyślałem, no wiesz...
- Rozmyślałeś? A nie powinienes być teraz z innymi dobrymi chłopcami w Wielkiej Sali, wychwalając Tego, od Którego płyną wszelkie błogosławieństwa?
- Pewnie, że tak. - Louden kiwnął głową. - Przypuszczam, że tak.
- Dokładnie - ciągnął Pretre. - Jesteś dobrym chłopcem, prawda? Tak właśnie mają myśleć, co?

Michael poczuł gwałtowne kołatanie serca. Przyjrzał się opiekunowi, zapytując samego siebie, z kim ma do czynienia. Błyskawicznie podjął decyzję.

- Cóż, chyba lepiej wróć do Wielkiej Sali...

Ciężka ręka, którą Jan położył na jego barku, unieruchomiła go i prze-rwała mu w pół słowa.

- Nie, zostaniesz tutaj, Michaelu - polecił Pretre cicho.- I nie okłamuj mnie. Nie okłamuj. Nie musisz, przecież wiesz, że nie musisz.

Mężczyzna usiadł, odwrócił głowę i wpatrzył się w niego poważnymi niebieskimi oczyma. Uniósł kąciaki ust, lecz wcale się nie uśmiechał.

- Twierdzisz, że rozmyślałeś, Michaelu. O czym zatem dumałeś?

- Och, no wiesz - odparł ostrożnie chłopiec. - O różnych rzeczach, tak mi się zdaje...

- Na przykład o tym, kto wygra World Series*? Albo o jakiejś słodkiej dziewczynie, którą chciałbyś zabrać na szkolny bal w gimnazjum? A może postanowiłeś zdecydować, czy Chevrolet jest lepszy od forda?

* World Series - mistrzostwa Stanów Zjednoczonych w bejsbolu.

- Jasne - odparł Michael. - O tego rodzaju rzeczach.

Jan zachichotał.

- To jest pieprzone kłamstwo, a przecież ci mówiłem, żebyś mnie nie okłamywał.

Michael nawet nie widział zamachu tamtego. Zadany przez niego cios dotarł do niego po prostu w postaci eksplozji gorąca na policzku i trzasku w uchu. Michael o mało nie spadł z łóżka, ale Jan brutalnie chwycił jego ramię i wciągnął z powrotem. Louden widział teraz swojego prześladowcę przez kalejdoskop łez.

- Tak naprawdę myślisz o tym, jak trudno jest ich oszukiwać dzień po dniu, udawać, że jesteś taki jak oni.

- Co? - Michael otworzył szeroko oczy i rozdziawił usta, robiąc głupią minę, którą często wykorzystywał w szkole. - Nie rozumiem cię.

Jan westchnął.

- Michaelu, możesz wciskać kit wszystkim, ale nie mnie. Mam cię znowu grzmotnąć?

Louden skulił się ze strachu i czekał na kolejne uderzenie, ale tym

razem Pretre go nie spoliczkował. Przesunął tylko wzrok ku zabezpieczonemu siatką oknu i zerknął w kierunku Wielkiej Sali. Z budynku sączyła się *Amazing Grace**, rozprzestrzeniając się nad obozem niczym gęsty syrop. Młodzieńcze głosy były potężne, choć brzmiały fałszywie.

* *Amazing Grace* - jedna z najstynniejszych pieśni religijnych, napisana przez Johna Newtona w 1772 roku.

- Robią taki hałas, żeby Bóg nad nimi czuwał i żeby chronił ich przed koszmarami wszechświata, który sam dla nich stworzył. Żyją swoimi głupimi, załęcznionymi żywotami, modląc się, by Bóg, Prezydent czy FBI nie pozwolili ich skrzywdzić. Są jedynie gównem, Michaelu, ożywionym, chodzącym na dwóch na nogach gównem i nie liczą się bardziej niż gówno.

Jan znów odwrócił głowę do Loudena. Jego oczy schwytały spojrzenie chłopca i wytrzymały je.

- Nienawidzisz ich, nienawidzisz ich pieprzonych bebeczków i chcesz, żeby oni wszyscy pomarli, wszystkie te skamlące, żalotne nijakie istoty ludzkie. - Zniżył głos do szeptu. - Michaelu, ty i ja jesteśmy tacy sami. Rozumiesz teraz?

Louden ośmielił się mieć nadzieję, że to prawda i natychmiast zapragnął roześmiać się lub nawet rozplakać. Tak długo był samotny, zawsze otoczony przez ludzi, których przypominał, lecz z którymi nie miał więcej wspólnego niż kosmita... A teraz Jan Pretre mówił mu...

„Czy aby na pewno mu to mówił?”.

Musiał mieć pewność i musiał zachować ostrożność.

- Twierdzi pan - spytał poważnie - że jesteśmy przyjaciółmi?

- Nie chcesz mieć przyjaciół, Michaelu - odrzekł Jan. - Nie potrzebujesz ich. Sojusznicy, Michaelu, inni niż tamci, stoją poza i ponad kretyńskimi pojęciami dobra i zła ludzi. Jesteśmy Obcymi...

- Obcymi - powtórzył Louden. Wymówienie tego słowa spowodowało u niego zarówno podekscytowanie, jak i zadowolenie. Był zatem Obcy... zawsze się tak czuł!

- I nie jesteśmy sami, Michaelu - podsumował Jan.

Serce Michaela załomotało, krew w żyłach przyspieszyła.

- Są inni, teraz jest nas więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Och, ukrywamy się, póki musimy. Udajemy. Ale świat nie stoi w miejscu. I nadejdzie nasz czas, Czas Obcych. Nasz Czas!

- Tak - powiedział Louden i zrozumiał, że nie używa głosu osoby, którą od tak dawna udawał. Przemawiał swoim prawdziwym głosem.

Pytanie wręcz cisnęło mu się na usta.

- Skąd wiedziałeś, Janie?

Pretre zaśmiał się krótko.

- Mam oczy - odparł. - Widzę.

W tym momencie wstał.

- Porozmawiamy jeszcze, Michaelu. Powiem ci więcej, będę cię uczył. - Uśmiechnął się i potargał chłopcu włosy. - Na razie bądź po prostu grzeczny, dobrze?

Kiedy Jan odszedł, Louden wyciągnął się na plecach. Studiował misterną sieć pająka nad swoją głową. Nie widział żadnych much, ale był pewny, że się zjawią. Muchy zostały stworzone na ofiary, które zabija pająk. Słabi i głupi zawsze będą zdobyczami silnych i mądrych. „Nasza zdobycz. Jesteśmy Obcymi...”

Od tamtej pory minęły dwadzieścia trzy lata i Czas Obcych był coraz bliżej, zapowiadany w nagłówkach gazet i desperackich badaniach socjologicznych.

Michael Louden czekał na obiecany Czas Obcych z nienasyconą radością rekina, który ma zostać nakarmiony. Czuł w sobie to oczekiwanie, gdy parkował fordą LTD na swoim numerowanym miejscu parkingowym przed Superior Chemical Company.

Wsiadł do windy i pojechał do gabinetu Verna Engelkinga, swojego sojusznika, swojego szefa, Obcego.

Rozjarzone zielone cyfry na panelu radiobudzika przeskoczyły z godziny dziewiątej trzydzieści na dziewiątą trzydzieści jeden. Brad Zeller leżał na łóżku w ubraniu - ubiegłej nocy, zanim stracił przytomność, nie zawracał sobie głowy rozbieraniem. Nie spał. Leżał tak już od siódmej rano, bez ruchu, z otwartymi oczyma, zastanawiając się od czasu do czasu, gdzie kończy się ciemna ściana a zaczyna sufit. Wiedział, że ból w jego głowie będzie trwał, aż go czymś zapije.

Dusty miał zwyczaj budzić Brada skomleniem i pacnięciem łapy właśnie o siódmej rano. Dziś się nie zjawił.

Cyferki na zegarze przeskoczyły na dziewiątą trzydzieści dwa.

- Nie mogę przeleżeć tu całego dnia, prawda? - Zeller głośno zapytał sam siebie.

Nikt nie odpowiedział. Mężczyźnie zabrało to kolejne pięć minut, w końcu jednak jęknął, ruszył się i poszedł do łazienki.

Potem, w kuchni, pociągnął jasnobrązową kotarę przesłaniającą rozsuwane szklane drzwi prowadzące na patio. Oślepiające światło słoneczne docierające od strony ogródka za domem pogorszyło jego ból głowy. Popatrzył spod przymrużonych powiek, próbując zawierzyć przeczuciu, że Dusty lada chwila przybiegnie zza rogu domu i przycisnie nos do okna, chcąc wejść.

Nie, to było cholernie głupie. Dusty zniknął na zawsze; Brad czuł to. Policjant, z którym rozmawiał, kiedy zatelefonował zeszłego wieczoru na posterunek, był miły, powiedział mu, że większość psów, które giną w Park Estates, zwykle się znajduje, ale Brad brał pod uwagę możliwość, że był to tylko urzędowy optymizm.

Uznał, że powinien coś zjeść. Tak, solidne śniadanie na początek dnia, choć później nigdzie się nie wybierał - jak zwykle. Pomyślał o porannym kieliszeczku, lecz odrzucił tę myśl. To prawda, popijał, a dokładniej

mówiąc, nierzadko ostro się zaprawiał, nie oznaczało to jednak, że jest alkoholikiem. Cholera, do południa nigdy nie tykał niczego z procentami, a do wieczora pił tylko piwo. Alkohol pomagał mu przeżyć... Zresztą, kto w dzisiejszych pochrzanionych czasach nie potrzebował wspomagacza?

Wstawił wodę na kawę i wrzucił do miseczki płatki kukurydziane. Zalał je mlekiem, ale gdy usiadł przy stole i podniósł łyżkę z płatkami, poczuł, że mleko skwaśniało. Wyrzucił zawartość miski do zlewu, wylał też resztkę mleka z kartonu i splukał wszystko zimną wodą.

Otworzył szafkę pod zlewem, aby wyrzucić karton. Plastikowy worek w kubie na śmieci był prawie pełen. Brad wepchnął karton, ścisnął go i wyszarpnął z kubła biały plastikowy worek.

Ze związanym workiem wyszedł boso na patio. Wilgotne gorąco wywołało u niego falę mdłości. Poszedł na tyły swojej działki, do miejsca, gdzie trzymał śmieci.

Już z odległości sześciu metrów usłyszał przenikliwe brzęczenie much. W ogródku lekko wiało, toteż smród uderzył Brada dopiero, gdy podszedł nieco bliżej.

Nigdy nie czuł takiego odoru, tym niemniej wiedział, co oznacza, skądś wiedział, co to jest. To na pewno był zapach śmierci, śmierci i jej następstw, czyli procesu rozkładu przyspieszonego wysoką temperaturą.

Powlókł się w kierunku smrodu. W końcu był dostatecznie blisko, by zobaczyć... I zobaczył! Czarno-białe futro, znajomy kształt psich poduszeczek. Pokrywa śmietnika była nieznacznie uniesiona. Między nią a pojemnikiem sterczały sztywne tylne łapy psa.

Muchy były bezczelne - kiedy Zeller podnosił pokrywę pojemnika, przywierały do niej kurczowo; ich zielono-niebieskie ciała połyskiwały niczym kolorowe szkło.

Gdyby nie fetor, Bradowi wszystko wydałoby się odrobinę nierzeczywiste.

Dusty leżał na stercie śmieci w pojemniku. Głowa psa była wyciągnięta

w niemożliwy sposób, jakby zwierzę zostało zamrożone podczas wycia do księżyca. Język Dusty'ego wystawał mu z pyska, czarny i obrzmiały.

Brad wypuścił z ręki worek z kuchennymi śmieciami, który upadając, otworzył się. „Ale bałagan - pomyślał bezwiednie. - Teraz będę musiał to wszystko pozbierać”.

A potem uprzytomnił sobie, że Dusty nie żyje i przez długą minutę nie potrafił myśleć o niczym innym.

Następnie zawrócił i chwiejnym krokiem ruszył do domu. Szybko nalał sobie do szklaneczki imperial i wypił. Poczł, że whisky pomaga i że potrzebuje jej więcej, toteż zrobił sobie kolejnego drinka.

Zatelefonował na posterunek policji Park Estates.

- Znalazłem mojego psa, Dusty'ego - oznajmił. - Jest martwy. - Poczł lodowaty pot na swoim czole i błysk łez, które były równie zimne. - Nie żyje i ktoś... ktoś go zabił.

PIĘĆ

Coś się zdarzy... coś niedobrego. Claire Wynkoop wiedziała o tym, czuła to teraz, a właściwie czuła to przez cały dzień. Nie mogła się odprężyć, więc usiadła w fotelu na biegunach na oszklonym ganku za domem i usiłowała ignorować zbliżające się przecucie, które domagało się jej uwagi.

Na jej kolanach leżała otwarta książka, *Moje widzenie jutra*, lektura, którą Claire uważała za ironicznie stosowną do chwili. Była to „falszywa” autobiografia rzekomej medium, samozwańczej prorokini, która czytała przyszłość, wpatrując się w szklaną gałkę u drzwi.

Trzydzieści okropnie napisanych stronic przekonało Claire Wynkoop, miejską bibliotekarkę z Belford, że *Moje widzenie jutra* to „współczesne bzdety” i książka zdecydowanie nieodpowiednia jako ewentualny nabytek dla jej biblioteki; egzemplarz recenzyjny zostanie zwrócony. Claire liczyła się z tym, że większość „badań” zjawisk paranormalnych jest jawnym nonsensem lub, co gorsza, nikczemnym oszustwem, które ma na celu wywołanie dodatkowych lęków u już przerażonych osób.

Zamknęła książkę. Tuż ponad karkiem czuła pulsujące napięcie, a w środku czaszki coś, co mogłaby opisać jedynie jako „swędzenie w miejscu niemożliwym do podrapania”. W dodatku w uszach brzęczało jej *vibrato* jednej przenikliwej nuty, nieustanny dźwięk, wzmocniony z powodu ciszy trwającej przez cały dzień w bibliotece.

Objawy związane z nadciśnieniem czy może niepożądane działanie niedawno przepisanych leków, mających na celu obniżenie ciśnienia krwi? Claire nie mogła się oszukiwać. Wszystkie przecucia, których doświadczyła w przeżytych do tej pory sześćdziesięciu latach - „nie tak wiele, ale

każde to o jedno za dużo!” - były zapowiadane przez samopoczucie identyczne z obecnym.

Odchyliła głowę do tyłu. Choć jej włosy już dekadę wcześniej posiadały do odcienia śnieżnej bieli, dobrze wyglądała na swój wiek. Skóra na jej szyi nie była ani obwisła, ani nadmiernie pomarszczona, a bruzdy otaczające jej usta wyglądały przyjaźnie, sugerując, że ich właścicielka w swoim życiu częściej się uśmiechała niż krzywiła. Szczyciła się tym, że jej waga nie należy do czynników, które przyczyniły się do zbyt wysokiego ciśnienia; jako sześćdziesięciolatka nie ważyła więcej niż w wieku dwudziestu lat i chociaż przyznawała, że część jej kilogramów „przemieściła się”, nosiła się prosto, z godnością osoby, która uczyła się w czasach, gdy poprawna postawa stanowiła jeden z podstawowych elementów programu nauczania szkoły podstawowej.

Jej wzrok nie był jednak już taki, jak kiedyś, więc Claire spojrzała na zachodnie niebo przez górną część okularów dwuogniskowych. Oderwane strzępki białej chmury i piękna, złota kula słońca na tle niezmąconego błękitu tworzyły spokojną scenę, tak śliczną, iż trudno było uwierzyć, że coś złego jest wpisane w kalendarz Losu.

Ale było. Claire wiedziała, że tak. „Co? Kiedy?” - tego jeszcze nie umiała powiedzieć. Nie miała też żadnej gwarancji w postaci wyraźnych, zrozumiałych odpowiedzi; często jej wizje były nieokreślone, przypominające ruchome obrazy przedstawicieli abstrakcyjnego impresjonizmu. Jedyne bardzo rzadko jakieś przeczucie zyskiwało trójwymiarową wyrazistość.

Jej wizje nigdy niestety nie niosły też w sobie dobrych wieści. Inne osoby z takim darem potrafiły przewidywać zwycięstwa koni na wyścigach albo dowiadywały się, że czyjś nowotwór okaże się niezłośliwy. Intuicyjne impresje Claire różniły się od siebie jedynie stopniem nieszczęścia, które zapowiadały.

Odkryła teraz, że przeczucie - „to paskudztwo!” - czał się na granicy jej świadomości. Ponuro powiedziała sobie: „Zobaczę to, co zobaczę, kiedy to zobaczę”. I tyle tylko mogła zrobić. Nie potrafiła ani uniknąć zerknięcia

w przyszłość, ani przyspieszyć nadejścia wizji.

Kiedy wstała z książką w ręku, zakreśliło jej się w głowie, a przed oczyma zobaczyła konfetti anielskiego włosia. „To na pewno objaw nadciśnienia” - pomyślała. Zawrót głowy minął, więc weszła do domu i położyła *Moje widzenie jutra* na kuchennym stole. W salonie włączyła stary, dziewiętnastocalowy czarno-biały telewizor. Usiadła na tapczanie i oglądała program informacyjny na kanale dziewiątym. Prezenter wiadomości o osiemnastej uśmiechał się, relacjonując rozstrzelanie czterdziestu sześciu „wrogów islamu” w Iranie. Na zbliżeniu inny dziennikarz uśmiechał się, prezentując swój reportaż o nastoletnim samobójcy. W reklamie kobieta uśmiechała się szeroko, pouczając męża, jaki jest najlepszy farsz do ziemniaków.

Claire miała dość tych wszystkich sztucznych uśmiechów, toteż wstała i wyłączyła odbiornik. Obraz zniknął, pozostawiając po sobie białą kropkę w środku ekranu, białą kropkę, która jarzyła się i wirowała, podczas gdy Claire przebiegł po kręgosłupie zimny dreszcz.

Zrobiła chwiejny krok w tył. Wyprostowała się i skupiła wzrok na wirującej, powoli rozszerzającej się kropce. Ekran telewizyjny pokrywały przez chwilę krople bieli, potem pociemniał, a Claire pomyślała: „Teraz...”.

I stała się przyszłość, tak jak ją widziała...

Usta i oczy. Usta są ułożone do strasznego wrzasku, w oczach jest również krzyk. Dziecko krzyczy, przelatując w powietrzu, płynąc w nim, obracając się powoli przez powietrzne głębinę, lecąc, unosząc się i krzycząc.

Dziecko jest... tylko ustami i oczyma... Nie widzę... kim ona jest... To dziewczynka. Mała dziewczynka, taka przerażona... Czuję jej strach...

Nie widzę!

Nie widzę jej, skądś jednak wiem, że to moja wnuczka, córka mojej córki...

Ale która? Kim czy Marcy? Słyszą jej krzyk i czują strach, lecz wizja jest

tak niejasna, nie widzą twarzy dziecka...

Nie widzą!

Krzyk kończy się głuchym odgłosem gwałtownego, bolesnego upadku, uderzenia o ziemię... I ciemność...

Claire Wynkoop zamrugała. Wizja się urwała.

Dygocząc, zrobiła wydech, a potem pokiwała głową, podejmując jednoznaczną decyzję.

Musiała zadzwonić. Beth będzie się z niej śmiała i spróbuje udawać, że nie istnieją powody do niepokoju. „Ale już wiesz, prawda, moja droga?”. Jedna z dziewczynek, Marcy albo Kim, jest w niebezpieczeństwie. Lub będzie.

„I tym razem, och, proszę, tym razem, niech świadomość potencjalnego niebezpieczeństwa wystarczy, aby tragedia się nie zdarzyła!”.

Claire wykręciła numer córki. Obwody zaszumiały i zatrzeszczały, i wreszcie rozległ się dzwonek.

Sto kilometrów dalej na północ, w Park Estates, Beth Louden odebrała telefon.

- Michael? - spytała.
- Mówi...
- Och, mamó..

Claire zamknęła oczy i zacisnęła powieki. Usłyszała coś niedobrego w głosie Beth.

Coś było nie w porządku - właśnie teraz.

- Dzieci... Czy wszystko u nich dobrze?
- Oczywiście, mamó - odparła Beth. - Dzisiaj wróciły do domu z obozu. Wszystko dobrze.

- Widziałam coś, Beth.

Beth głośno westchnęła. W tym westchnieniu była zaprzeczenie.

- Nie teraz, mamó. Teraz nie jestem w nastroju, rozumiesz?
- Beth...

- Mamo - szorstko przerwała córka - dziewczynkom nic nie jest, mnie nic nie jest, Michaelowi nic nie jest. To wszystko.

- Co cię zatem niepokoi? - spytała ostro Claire, ponieważ słowa Beth aż dudniły od napięcia.

- Nie dzieje się nic, o czym miałabym ochotę rozmawiać. Zadzwoń do ciebie jutro.

- W takim razie dobrze - powiedziała Claire cicho. Nie mogła już zrobić nic więcej, mogła tylko się zamartwiać.

Zanim Beth odłożyła słuchawkę, ponownie zapewniła matkę, że wszystko jest w najlepszym porządku.

„Nie - odparła bezgłośnie Claire Wynkoop - wcale nie jest”.

I nie będzie.

- Tatusz przyszedł! - Kim w podkoszulkę z logo obozu PineTop i dżinsach obciążonych pod kolanami zbiegła po schodach. Uśmiechnięta Marcy ruszyła w ślad za młodszą siostrą.

Ośmioletnia Kim była masywna i krępa, szybsza podczas gry w softball niż większość chłopców w jej wieku. Teraz miała krótką, kwadratową fryzurkę, na którą nalegała przed wyjazdem na obóz - była wtedy w jednym ze swoich okresów pod tytułem „Nienawidzę Marcy” i nie chciała, aby ktokolwiek mówił, że wyglądają jak siostry. Jej okrągła twarz była opalona i schodziła z niej skóra, w dodatku Kim brakowało dwóch zębów. Ogólnie rzecz biorąc, z wyglądu dziewczynka sytuowała się jakoś pomiędzy słodką istotką a brzydulą.

Zupełnym przeciwieństwem młodszej siostry była Marcy, tak ładna, że ludzie często sugerowali, iż powinna zostać modelką albo grać w reklamach telewizyjnych. Letnie słońce rozjaśniło blond włosy dziesięciolatki, które luźno opadały jej na ramiona. Jej owalna twarzyczka miała delikatne rysy, linia ust była wykrojona kształtnie, lecz bez kapryśnego wyduęcia, które u wielu dzieci tworzyło nadąsane minki. W zielonych sportowych szortach wykończonych białymi lamówkami i w żółtym bezrękawniku Marcy emanowała wdzięczną, jeszcze niewyszkoloną pozą baleriny urodzonej do tańca.

W foyer Michael przygotowywał się na atak córek. Kucnął, wziął w ramiona dziewczynki, ucałował je, a następnie przemówił do nich z szerokim uśmiechem.

- Nie myślcie sobie, dzieciaki, że za wami tęskniliśmy. W domu było tak przyjemnie i cicho, że oboje z mamą zastanawialiśmy się, czy nie wysłać was na obóz na następne dziesięć lat.

- Och, tatusiu - zapiszczała Marcy, przywierając do boku jego szyi.

„Och, tatusiu!” - powtórzył w myślach Louden. Marcy była miłą, małą myszką, która zwykle reagowała na jego dokuczliwości bezradnym „Och, tatusiu”. No chyba że akurat pojęła, że ojciec żartuje - wówczas uważała, że rani jej uczucia i w jej oczach natychmiast stawały lzy.

- Tatusiu - spytała drżącym głosem - tak naprawdę tęskniłeś za nami, prawda?

- Oj, dziecko, tylko się wygłupiałem.

Kiedy Michael zapewniał, „ile wy, dziewczynki, dla mnie znaczą”, Kim przerwała mu prychnięciem.

- Więc co teraz będzie, tato? Bo wiesz... są takie obozy, do których wysyła się dorosłych. Umieszczę cię tam!

- Ach tak? - spytał Louden. Pozwolił, by młodsza córka wywinęła się z jego uścisku. „Kiedy Kim zechce - pomyślał - potrafi być całkiem bystra”. Gdy on jej dogadywał, ona dogadywała jemu. Gdy on wrzeszczał, ona odpowiadała wrzaskiem. Ale były też sytuacje, kiedy odważny charakterek przenosił dziewczynkę z krainy naiwnej swawolności do sfery czystego dziecięcego rozwyrzenia, sytuacje, gdy Michael niemal czuł, że ręka go świerzbi, by chwycić małą za gardło i...

- Wyśle cię... to miejsce nazywa się Nędzny Obóz! - odparowała Kim.

- Nigdy o nim nie słyszałem - odrzekł spokojnie. - Czy jest tam miło?

- Cuchnie tam. Karmią starym chlebem, po którym łązi mnóstwo ohydnych pluskw. Jak ci się to podoba?

Udawał, że się zastanawia, po czym odparł:

- Włożymy go do tosterka.

Kim skręcała się ze śmiechu.

- Jesteś taki zabawny, tatusiu - dodała z chichotem Marcy.

- Taaa, jasne, że jestem - wycedził Michael. - Żałuję że o wasze życia, panienki, że jestem. - Połaskotał Marcy, przesuwając palcem w dół, po jej żebrach, a dziewczynka, nadal rozchichotana, odskoczyła od niego.

Wyprostował się.

- Gdzie mama? - Zazwyczaj, ilekroć wracał do domu mniej więcej o normalnej porze, czyli około osiemnastej trzydzieści, Beth witała go przy drzwiach.

- Tam - wskazała Kim, a następnie pierwsza weszła do salonu.

Michael, trzymając Marcy za rękę, zmarszczył brwi.

- Coś złego się dzisiaj zdarzyło, tatusiu - poinformowała go nieco zbyt głośnym szeptem starsza córka. - Mamusia jest naprawdę zdenerwowana.

Rzeczywiście tak było. Odkrył to, gdy wszedł wraz z dziewczynkami i zobaczył, że siedząca na kanapie Beth gwałtownie szarpnęła głową w ich kierunku.

- Cieszę się... że jesteś w domu, Michaelu - oznajmiła. Twarz miała niezdrowo bladą.

Michael puścił dłoń Marcy.

- Co się stało, kochanie?

Beth zamrugała, jakby nie rozumiała pytania. Odpowiedź wykrzyczała Michaelowi Kim tonem osoby, która do tej pory ukrywała niezwykle sekret:

- Ktoś przyszedł do pana Zellera i zabił jego psa, Dusty'ego. Czy to nie obrzydliwe?

„Och, tak - pomyślał Michael. - I co z tym zrobicie?”

- Boże - powiedział tylko. Usiadł, odwracając się ku Beth i biorąc ją za rękę. Odesłał Kim i Marcy do ich pokoju i wtedy zapytał żonę: - Co dokładnie się stało, kochanie?

- To jest po prostu straszne, Michaelu - odparła Beth, potrząsając głową. - Takie podłe i pozbawione sensu.

Michael ponaglił ją cicho:

- Opowiedz mi, Beth.

Nie posłuchała go, przynajmniej nie od razu. Louden zrozumiał. „Kochana żonka” musi dotrzeć do sedna tej okropnej zbrodni we własnym, powolnym tempie, osłabić jej siłę poprzez „zagadanie” tragedii i otoczenie jej typowymi, pospolitymi, normalnymi sprawami, które ją poprzedziły.

- Dzisiejszy ranek zaczął się tak cudownie - ciągnęła Beth zmęczonym głosem. - Zanim odebrałam dzieci, podjechałam do Lincoln Junior College. To było coś! Ledwie przestąpiłam próg budynku, poczułam się o dziesięć lat młodsza.

- Jasne - rzucił Michael.

- Rozmawiałam z doradcą. Był miły. Zamierzam zapisać się na zajęcia z psychopatologii.

- Naprawdę wspaniale - wtrącił. - Założę się, że dziedzina bardzo cię zainteresuje.

„Kontynuuj, ty głupia suko” - polecił jej w myślach.

Po wyjściu z college'u Beth odebrała dzieci, pojechały na zakupy, a po drodze do domu zatrzymały się w McDonalddie na lunch.

- Gdy weszłyśmy, och, było chyba wpół do drugiej.

Przebywały w domu ledwie pięć minut, gdy rozległo się stukanie do frontowych drzwi...

- Brad był pijany. Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Nigdy nikogo nie widziałam w takim stanie!

- Jezu...

- Myślałam, że nam tu zemdleje. Za każdym razem, gdy udało mi się go skłonić, żeby usiadł, chwilę później zrywał się szaleńczo. Początkowo mówił bez sensu. Stale pytał: „Kto chciał skrzywdzić dobrego, starego Dusty'ego?”. W końcu zdołał mi opowiedzieć... całą historię.

Beth ścisnęła męża za rękę tak mocno, że aż palce mu zdrętwiały.

- Ktoś skrzył Dusty'emu kark - podjęła. - Zabił go i porzucił jego ciało na śmietniku.

- Dobry Boże - jęknął Michael. - I dzieci to wszystko słyszały?

- Większą część - odparła żałośnie Beth. - Usiłowałam je przegonić, ale Brad tak głośno mówił...

- Cóż - powiedział Michael. - Rozumiem. To straszne. To po prostu straszne dla Brada, dla dzieci i dla ciebie. - Umilkł na moment, potem spytał: - Czy zadzwonił na policję?

- Tak - przyznała Beth. - Przyjechali i zabrali... psa. Badają sprawę, oczywiście.

„To dobrze - pomyślał. - Bez wątpienia lokalna wersja Quincy'ego szuka w tej chwili odcisków palców na martwym jak kamień psie”.

Pochylił głowę.

- Lepiej przejdę się do Zellera - stwierdził. - Zobaczę, jak się trzyma.

- Wiedziałaś, że do niego pójdziesz, Michaelu - przyznała Beth.

- Już wszystko w porządku, kochanie?

- Nie, nie jest w porządku - odrzekła - ale czuję się lepiej. Spróbuję przyrządzić jakąś kolację.

- Dla mnie nie rób - odparował. - Straciłem apetyt.

Zanim wyszedł, polecił żonie zamknąć drzwi na łańcuch. Zapuka, gdy wróci.

W jej oczach dostrzegł strach i wiedział, że zrozumiała jego ostrzeżenie. Gdzieś - być może w pobliżu - grasuje osoba, która już raz zabiła, a ktoś, kto zabija psy, potrafi zabijać także... Przecież to może być osobnik, którego znają bardzo dobrze.

Cholera, to było zabawne! Michael Louden, Obcy, śmiał się do siebie, gdy szedł do sąsiada, aby go pocieszyć.

* * *

„Jestem zupełnie sam”. Brad Zeller siedział w kuchni, w kółko rozpałmiał tę jedną myśl. W dłoni trzymał prawie pustą szklanekę, a w stojącej na stole butelce imperial pozostał zaledwie jeden drink. Ale akurat tym

szczegółem mężczyzna się nie przejmował - następne 0,75 litra czekało w szafce. Tak, wprawdzie to będzie koszmar, przejście całej tej drogi, gdy podłoga się kiwa i kołysze, lecz potem, na końcu podróży, czekała Brada nagroda w postaci pełnej szklaneczki. I drugiej. I trzeciej. Miał nadzieję, że w końcu padnie.

A potem, cóż, jutro jest kolejny dzień...

„Kolejny dzień kompletnej samotności. Chwilę pomyślę o tobie. Tylko chwilę”.

Dusty...

Dusty. Nie żył.

Ból ponownie przeszył ciało Brada Zellera. Jego szklanka była pusta. Chwiejnym ruchem wyciągnął rękę ku szyjce butelki. Z powolną, pijacką precyzją nalał sobie, nie roniąc ani jednej kropli.

Kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi, z trudem wstał. Zdołał ustać na szeroko rozstawionych nogach, kołysząc się nieco. Po chwili, zataczając się, wyszedł z kuchni. Ściany i meble stały się podpórkami dla jego dłoni i pleców, dzięki czemu Brad trzymał się prosto.

Otworzył drzwi.

Nie był całkiem sam.

Był tu jego przyjaciel.

- Och... Michaelu - powiedział, starając się zapanować nad drżącymi wargami i płaczącym się językiem.

Podłoga usunęła mu się spod stóp i Zeller poleciał do przodu.

Louden podskoczył i złapał sąsiada za ramiona.

- Mocny, duży facet - powiedział, uspokajając Brada. Pociągnął go, kładąc sobie na barkach jego ramiona.

- Ktoś zabił Dusty'ego - wybełkotał starzec, ciężko wspierając się na Michaelu. - Słyszałeś o tym?

- Tak, Brad - odparł Louden. - Wierz mi, wiem o wszystkim. Posadźmy teraz twoją starą dupę, dobra?

- Kuchnia - upierał się Zeller. - Mam coś do picia w kuchni.

- Masz rację - zgodził się Michael. - Taki facet jak ty na pewno potrzebuje drinka, dokładnie tak.

W kuchni posadził sąsiada na krześle przy stole. Brad użył obu rąk, by podnieść szklankę. Nieco whisky spłynęło mu po podbródku, większość jednak trafiła do przetyku.

- Potowarzyszę ci przy jednym piwku, przyjacielu - powiedział Louden. Wziął z lodówki puszkę old milwaukee i otworzył. Usiadł naprzeciwko Zellera. - Wypij do dna, Brad. To pomaga.

Głowa mężczyzny zakołysała się z boku na bok, jak gdyby Zeller miał lekki napad padaczki.

- Nie wiem, kto zabił mojego miłego psa, Michaelu. Podejrzewam, że to może jakiś dzieciak? Jakiś nastoletni mały sukinsyn...

Louden wzruszył ramionami.

- Wątpię w to. Chyba żaden chłopiec nie jest aż tak zły.

- Sukinsyn - powiedział Zeller - kimkolwiek był.

- Po prostu pamiętaj, Brad, nawet w najgorszych z nas jest coś dobrego, a nawet w najlepszych ludziach tkwi jakiś element zła. Tak w każdym razie myślę.

- Taaa - odparł tamten. Głowa mu się kiwała. Naprawdę nie był pewny, co właściwie sąsiad przed chwilą do niego powiedział. Trudno mu było pojąć sens słów, połączyć je w logiczną całość. Ale to nie miało znaczenia. Sytuacja wyglądała teraz lepiej, ponieważ Michael był tutaj, czyli że ktoś się przejmował, cholera, Bradem Zellerem. Czyli że nie był zupełnie sam.

W oczach zakręciły mu się łzy.

- Jesteś moim przyjacielem, Michaelu - powiedział. - Jesteś moim bardzo dobrym przyjacielem.

- O rany! - odparował Louden. - O kurczę! Jasna Cholerka! To dla mnie honor, Brad. Bez ściemy i słowo harcerza, mówię serio.

- Widzisz, każdy musi kogoś mieć.

- To prawda. Każdy czasem kogoś potrzebuje. Czy to nie jest tytuł pewnej wspaniałej piosenki?

- Tak, piosenki sprzed lat... Czuję się samotny, wiesz? Kiedyś miałem dobrego starego Dusty'ego. On również był moim przyjacielem. Moim bardzo dobrym przyjacielem.

- Bo pies jest najlepszym przyjacielem człowieka, Brad. Cholerna szkoda, że ktoś zabił twój psa.

- Tak...

- Musisz się wyplakać, Brad.

- Tak. - Zeller przesunął rękoma po twarzy, rozmazując łzy. - Mam córkę. Miłe dziecko, Joanie, tylko że w ogóle jej nie obchodzę. Mieszka w Kalifornii. Nigdy nie dzwoni. Cholera, nie pojawiła się nawet na pogrzebie własnej matki.

- Spróbuj zachować optymizm, kolego - zasugerował Michael. - Być może Joanie przywlecze tu swój tyłek na twój pogrzeb.

Brad popatrzył na niego spod przymrużonych powiek. Sąsiad uśmiechał się. Czyżby powiedział żart, który miał mu poprawić nastrój? Tak sądził, ale nie miał pewności.

Zeller odepchnął się od stołu, nogi krzesła zapiszczały na posadzce kuchni.

- Muszę się odlać.

- Nie krępuj się, Brad. Facet musi robić to, co musi.

- Ale... - Zeller uśmiechnął się słabo. - Nie zdołam chyba wstać.

Michael podniósł się.

- Hej, nie mogę pozwolić, żeby mój kumpel... mój kolega, mój druh... siedział i sikał w gacie, no nie? Nie byłbym dobrym sąsiadem.

Dźwignął Zellera do pionu.

- No to idziemy - powiedział.

Gdy Louden pomagał Bradowi przejść korytarz, ten poczuł, jak przepelnia go ciepłe, przyjemne uczucie wdzięczności.

- Dziękuję ci, Michaelu. Jesteś dobrym człowiekiem.

Louden roześmiał się. Odgłos przypominał krótkie szczeknięcie.

- Cholera, jestem pieprzonym aniołem, Brad. Nigdy nie zauważyłeś, że mam aureolę?

Włączając światło w łazience, Michael oparł Zellera o ścianę. Gdy znaleźli się w środku podniósł klapę toalety.

- No dobra, kolego. Sikaj do woli.

Brad zatoczył się ku sedesowi. Przy trzeciej próbie udało mu się pociągnąć zamek rozporoka i rozpiąć spodnie.

- Ech, do diabła - mruknął do siebie Louden.

Zeller znajdował się pół metra od toalety, kiedy Michael kopnął go w pośladki lewym kolaniem.

„Spadam” - pomyślał Brad Zeller.

Spróbował przygotować się na uderzenie.

„Nie jest tak źle” - dodał w myślach. Gdy padał na kolana, nie czuł bólu.

Ból eksplodował chwilę później. Michael położył dłonie na potylicy Zellera, chrząknął z wysiłkiem, po czym pchnął głowę mężczyzny do przodu i ku podłodze.

Brad uderzył czołem o krawędź muszli klozetowej. Poczuł, jakby niewidoczna stalowa siatka ścisnęła jego mózg. Wnętrze jego czaszki wypełniała coraz większa ciemność i miał wrażenie, że oczy zaraz wyskoczą mu z oczodołów.

Potem powoli opadł z klęczek, niczym ktoś poddający się zmęczeniu po wielu dniach modlitwy. Stoczył się na bok, a następnie przetoczył na plecy.

Na krawędzi muszli klozetowej pozostała jedynie niewielka smuga szkarłatu, jednak ze szczeliny w zmiążdżonym czole Zellera obficie płynęła krew.

Michael z uśmiechem przypatrywał się umierającemu.

- Większość śmiertelnych wypadków zdarza się w domu, Brad. Chyba czytałem na ten temat lekki, króciutki artykułek w „Reader's Digest”.

Zeller zamrugał powiekami, źrenica jego lewego oka była tak bardzo

rozszerzona, że rogówka praktycznie zniknęła. Krew sączyła się z jego uszu i kapała z kącików ust.

- Tak, stary - ciągnął Louden - codziennie, cholera, słyszy się o wypadku jakiegoś głupiego starego pijaka, który poślizgnął się w łazience i złamał sobie kręgosłup. Wygląda na to, że i tobie coś takiego się przydarzyło, kolego.

Lewa noga leżącego zadrgała gwałtownie.

- Następnym razem uważaj, dobrze? - dodał Michael.

Ramiona Zellera zatrzepotały. Mężczyzna wierzgnął. Były to ostatnie odruchy wysłane przez zniszczony mózg, po czym procesy elektrochemiczne umysłu ustały. Klatka piersiowa Brada uniosła się i opadła, a z głębi jego gardła wydobyło się ostatnie bulgotanie przypominające dźwięk wody uciekającej przez częściowo zatkany kanał odpływowy.

- Nie musisz wstawać, kumplu. Sam trafię do wyjścia - rzucił Louden w stronę nieżyjącego sąsiada... I wyszedł.

SZEŚĆ

Marcy i Kim dostały jajecznicę i - jak zwykle - Kim uznała, że pora posiłku to „czas na pogawędki”. Jeśli sprawa zabicia Dusty'ego wytrąciła ją z równowagi, dziewczynka nijak nie dawała tego po sobie poznać. Miała za to mnóstwo do opowiedzenia matce i ojcu o obozie. Na Camp PineTop było „świetnie”, „był prawdziwy ubaw”, miejsce okazało się „takie fajne!”.

Obie córki były jeszcze w piżamach. Kim, siedząca po prawej stronie Michaela przy stole w kuchni, nosiła piżamkę we wzory z *Gwiazdnych Wojen*; Marcy, która zajęła miejsce naprzeciwko siostry, miała na sobie bawełniany letni nocny komplecik. Podczas gdy Kim nieprzerwanie trajkotała: - „...więc wtedy kajak się wywrócił i wszyscy wrzeszczeli, ale ja się nie bałam...” - Marcy niezwykle starannie kroić na plasterki swoją kielbasę. Łokcie trzymała za stołem i zachowywała się niezwykle wytwornie, niczym potomek brytyjskiej rodziny królewskiej.

Beth, stojąca przy kuchence w podomce, wsunęła łopatkę kuchenną pod przygotowywane dla męża jajka sadzone i przelożyła je na talerz. Ubiegły wieczór wniósł w jej życie uczucie strachu, który nie w pełni rozumiała. Dopiero czułe zapewnienia Michaela i jego ramiona otaczające ją w łóżku, a także brandy, do której wypicia ją skłonił, pozwoliły jej zasnąć.

Teraz jednak, następnego ranka, Beth rozglądała się po złotozółtej od jaskrawych promieni słońca kuchni i mocno próbowała przekonać samą siebie, że to, co zdarzyło się wczoraj, było...

Nie, nie niemożliwe, lecz bez wątpienia zbyt potworne, zbyt wstrętne... To był wypadek, który przydarza się człowiekowi najwyżej raz w życiu. Ktoś - jakiś nieludzki potwór - zabił psa Brada Zellera. To była prawda, takie były realia. Beth wiedziała, że zaakceptuje w końcu tę rzeczywistość, nawet jeśli nigdy jej nie pojmie. Ale może mieli do czynienia z tym jednym jedynym niewytłumaczalnym okropieństwem, które było pisane rodzinie Loudenów... „Tak, to wszystko, to koniec, dzięki, wielkie dzięki”. Wypełnili więc normę potworności i teraz będą mogli kontynuować normalne życie.

- Proszę - powiedziała Beth pogodnie, stawiając przed Michaeliem jajka i kielbaski. Gdy jej mąż wrócił od Zellera poprzedniego wieczoru, oznajmił, że Brad jest w kiepskim stanie, tak jak można się było tego spodziewać. Będą musieli mieć na niego oko; tylko tyle mogą dla niego zrobić.

- Dzięki - odparł Michel. - Wygląda wspaniale. Po tego rodzaju śniadaniach zawsze myślę, że rano to piękna pora na rozpoczęcie dnia!

Sztywno podnosząc porcję jajecznicy do ust, Marcy zachichotała po tej uwadze ojca. Kim nie śmiała się.

- Och, tato! - oświadczyła zupełnie poważnie. - To jest oklepany dowcip! Przecież właśnie rano zaczyna się dzień!

- Ach tak - odparł Michael. - Cóż, człowiek uczy się całe życie. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Chwilę później Beth przygotowała śniadanie dla siebie i usiadła naprzeciw męża na drugim końcu stołu.

„Teraz - pomyślała - jesteśmy tu całą rodziną i wszystko wygląda jak najlepiej, i nie ma o co się martwić, i nie ma się...

...i nie ma się czego bać”.

Wstydziła się za siebie. Była dorosłą kobietą, a dręczyły ją te nieokreślone i nieuformowane dziecięce lęki. Budziła się z krzykiem w środku nocy, pokryta lodowatym potem - niczym berbeć, tyle że jej przerażenia nie mogło ukoić ciepłe bezpieczeństwo łóżka rodziców.

Sączyła parującą kawę. Śmierć psa (dziwne, że nie chciała już myśleć o psie Brada jako o Dustym) jeszcze pogorszyła sprawę...

Śmierć psa - bez żadnej przyczyny, bez najmniejszej przyczyny...

Nie! Nie teraz. Nie pozwoli sobie na stan permanentnego niepokoju, stan nerwowości, skołowania, rozmyślania o tym i owym... i o wszystkim. Och, istniały powody do ostrożności - prawdziwe powody („a nie zawsze takie były”) - jednak Beth nie zamierzała popadać w przesadę, zmieniać się w statystycznego obywatela należącego do „odsetka paranoików zamieszkujących dzisiejsze przedmieścia!”.

- ...więc wpadłam w kłopoty - opowiadała Kim. - Cała sytuacja była zabawna, a oni uznali to za taki wielki problem.

- A co zrobiłaś? - zainteresował się Michael. - Może sytuacja wcale nie była szczególnie zabawna i może to był wielki problem. Istnieje również taka możliwość, nie sądzisz?

- Nie - odburknęła Kim. Wypiła mleko i odstawiła szklankę tak gwałtownie, że mało jej nie przewróciła. - Wiesz, była taka mięczakowata dziewczyna w naszej grupie. Miała na imię Alana. Okropnie bała się węży, więc włożyłam jej do łóżka małego zaskrońca.

Kim roześmiała się na wspomnienie delikatnej dziewczynki imieniem Alana, która znalazła węża w swoim łóżku.

- No ładnie - mruknął cierpko Louden. - Jestem z ciebie naprawdę dumny.

- Ho, ho! - ciągnęła Kim. - Ależ ona wrzeszczała!

„Tak - myślała Beth - wszystko jest po prostu świetnie. Istnieją mężczyźni, którzy nie potrafią rozmawiać ze swoimi dziećmi, ale Michael? On prawie chłonie każde słowo, które Kim wypowie...”.

- I odkryli, co zrobiłaś - podsunął Louden.

- Nie - odparła Kim. - Alana była taką straszną oferumą, więc chciałam, żeby się dowiedziała, kto jej to zrobił. No to jej powiedziałam, a ona poszła do opiekuna i na mnie naskarżyła.

- No cóż - podsumował Michel - uczciwość to najlepsza strategia. Przyznanie się jest dobre dla duszy. Mów prawdę i niczego nie żałuj.

Beth obserwowała, jak mąż stara się ukryć uśmiech, niestety zakrył dłońią usta zaledwie o pół sekundy za późno. Kim najwyraźniej jednak niczego nie zauważyła.

- Więc tak czy owak - kontynuowała - zostałam ukarana. Kazali mi posprzątać cały obóz. Musiałam wziąć ten kij ze szpikulcem, nakłuwać wszystkie papiery i podnosić.

- Nie da się ukryć, że dostałaś to, na co sobie zasłużyłaś - powiedział Michael w zadumie. - Czy uważasz tę karę za sprawiedliwą?

- Nie przejęłam się tą karą i wiesz, co zrobiłam? - spytała Kim.

- Nie. Co? - spytał Michael.

- Następnej nocy włożyłam tej głupiej Alanie do łóżka aż trzy węże! I jeszcze ropuchę!

Michel nie odezwał się. Znowu podniósł rękę do ust.

Beth sądziła, że mąż usiłuje ukryć uśmiech, gdyż rozbawiły go przygody psotnej Kim na Camp PineTop.

Ale on nie śmiał się z przygód córki.

Przypominał sobie własne.

Na każdym letnim obozie zawsze jest jakiś mięczak.

Mięczak na Camp Bethel, kiedy Michael miał dwanaście lat, nazywał się Alvin Burdell...

Była wtorkowa noc, czterdzieści pięć minut po zgaszeniu świateł, i nadeszła pora, aby dopaść Alvina Burdella, „Tłuściocha”, którego włączenie do zespołu oznaczało automatyczne przegranie wyścigu, meczu w siatkówkę lub w softball, oferty, która nie potrafi ani jednej rzeczy zrobić dobrze, wie za to, jak spieprzyć milion rzeczy, która przyprawia cię o mdłości - wystarczyło spojrzeć na jego rozkołysane sadło - i która („dokładnie jak wielkie, tłuste niemowlę!”) stale moczyła się w łóżko i budziła wszystkich śpiących w domku numer trzy wydzielanym przez siebie ohydny, cuchnącym smrodem i płaczem.

Prowadził ich Steve Dawes w samej bieliźnie, a jeden z chłopców niósł kieszonkową latarkę. Nazwali siebie „Komandosami Domku Numer Trzy”, których celem na ten wieczór był oczywiście „Tłuścioch”. Steve mianował siebie szefem akcji i nikt mu się nie sprzeciwił. Miał trzynaście lat i był szkolnym tyranem, małym despotą obozu letniego, zawsze gotowym zrobić wszystko, co w jego mocy, aby uprzykrzyć życie każdemu słabszemu niż on sam.

Siedmiu chłopców - ciszej lub głośniejszy - otoczyło łóżko Alvina.

Michael ociągał się na tyle, na ile się ośmielił. To nie była zabawa dla niego, nie miał ochoty przyłączać się do przedstawicieli „nijakich” - zaczął ich tak nazywać od czasu rozmowy z Janem - ale równocześnie nie mógł się od nich odseparować, musiał stanowić część grupy. Trzeba wciąż udawać, stale zachowywać się tak jak wszyscy pozostali, jak „nijacy”... do chwili, aż...

Alvin spał. Żółty okrąg latarki oświetlił jego otwarte usta; cień na ścianie wyglądał tak, jak gdyby coś próbowało wypełznąć z gardła tłustego dzieciaka.

- Teraz! - wydał rozkaz Steve Dawes.

Alvin był naprawdę zaskoczony, gdy do jego twarzy przyciśnięto poduszkę, która miała stłumić jego zszokowany krzyk. Czyjeś ręce przytrzymały mu ramiona. Koc i kołdrę szarpnięto i odrzucono. Ręce chłopców chwyciły kostki ofiary, całkowicie przygważdżając nieszczęśnika do łóżka.

„Tłuścioch” był bezradny.

- Tak! - syknął Steve Dawes. - Teraz go naprawimy!

Steve trzymał w dłoniach puszkę niebieskiej farby i pędzel. Ciągłe powtarzał głosem drżącym z emocji: „Tak, tak”, podczas gdy pozostali rozpięli Alwinowi guziki góry od pizamy, a spodnie opuścili aż do kolan.

- Patrzcie na to wielorybie sadło!

Piersi Burdeli miał równie wielkie jak gruba baba.

Steve śmiał się.

- Jaki ty ci kutasek. Skoro Alvin tyle sika, powinien mieć cholernego węża strażackiego w gaciach!

Wszyscy się roześmiali. W miarę jak wypad Komanda Domku Numer Trzy przynosił rezultaty, ostrożność chłopców słabła.

- Auuu, auuu! - dotarło spod tłumiącej większość odgłosów poduszki. Ciemniźcyiele i to wyśmiali.

- Brzmi jak jęk psa z zajęczą wargą!

- Przesuń światło - polecił Steve. Zdjął wieko z puszki farby i kucnął z boku łóżka. - Zamierzamy zrobić ci znak, Tłuściochu - oznajmił. - Piękny napis na twoich cyckach. Napiszemy „Świński nocnik”. Następnie pomalujemy twój tydzień kutaska na niebiesko i przywiążemy cię do masztu, więc kiedy podniosą jutro flagę, czeka ich gruuubaaa niespodzianka!”

Alvin Burdell westchnął. Wyglądał jak olbrzymi morski ślimak.

- Buuu, auuu... - rozległo się jego nieartykułowane błaganie.

Steve podniósł pędzel, którego czubek ociekał niebieską farbą i wymalował krzywe „Ś” na prawej piersi Alvina, a następnie „W”.

Nagle rozległ się przenikliwy dźwięk „aaar-kiii”, po czym dał się słyszeć klekocząco-grzechoczący odgłos.

- Co tu się dzieje, do diabła...?

Chwilę później ostre żółte światło z wiszącej na suficie pojedynczej nagię siedemdziesięciopięciowatowej żarówki zmroziło Komandosów Domku Numer Trzy.

Chłopcy rozproszyli się w jednej chwili, kierując się szybko do własnych łóżek, podczas gdy Jan Pretre szedł wielkimi krokami przez środek sali. Zewsząd rozległy się przestraszone tłumaczenia: „My nie...”, „My nic nie zrobiliśmy...”, „To był tylko żart, co nie?”.

Jan Pretre złapał Steve'a Dawesa, a Alvin Burdell zrzucił poduszkę z głowy i usiadł prosto, histerycznie pochlipując.

- Hej! - Jan obrócił Steve'a i ten upuścił puszkę farby. Trzymając chłopaka od tyłu, opiekun wykręcił mu ramię i przycisnął do łopatki.

Dawes wrzasnął, stanął na palcach, wybałuszył oczy. Jego twarz była biała jak owsianka. Potem zaczął łypać wokół niczym głodne piskle.

- Oooj...

- Steve - odezwał się cicho Jan Pretre - nie wiesz, że nie należy być wrednym dla innych? Nie powinieneś krzywdzić Alvina. - Szarpnął ramię chłopca jeszcze wyżej.

- Oooj...

Alvin gapił się i równocześnie naciągał spodnie od piżamy. Steve'owi łzy płynęły po policzkach i Michael odniósł wrażenie, że jego twarz się topi.

- Moje ramię, moje ramię, złamie mi pan...

- Teraz, Steve - podjął Jan - naprawdę powinieneś przeprosić Alvina. Posłuchamy wszyscy, jak mu mówisz, że ci przykro i jak obiecujesz, że już nigdy nie będziesz dla niego taki podły. Zgadza się?

Każde słowo udręczonych przeprosin Steve wypowiadał coraz wyższym i coraz bardziej rozpaczliwym tonem. Gdy skończył, znów błagał:

- Och, proszę, moja ręka, niech pan mnie nie krzywdzi, niech pan mnie nie krzywdzi...

Jan puścił go. Steve zatoczył się, po czym ze spuszczoną głową, masując sobie ramię, powoli poszedł do swojego łóżka. Na nikogo nie patrzył. Wsunął się pod kołdrę i położył na boku. Jego ciałem wstrząsnął szloch.

- Alwinie - powiedział Jan - w pokoju opiekunów stoi dodatkowe łóżko. Chodź, umyjesz się i dzisiejszą noc spędzisz u nas.

Kiedy Alvin Burdell się uśmiechnął, jego twarz wyglądała jak wydrążona na Halloween dynia rozświetlona tuzinem świec.

W sobotę po śniadaniu Jan powiedział Michaelowi, że zabiera go wraz z ich „dobrym kolegą”, Alvinem, na wyjątkową wyprawę z noclegiem. Inny

opiekun przejmie w tym czasie odpowiedzialność za domek numer trzy. Pretre gwarantował, że podczas tego wypadu będzie dużo zabawy.

A później opowiedział Loudenowi szczegółowo, w jaki sposób się zabawia.

Był prawie zachód słońca, kiedy rozlokowali się w lesie, w pewnej odległości od Camp Bethel. Miejsce ich małego obozowiska znajdowało się w pobliżu stromego wąwozu, na górzystym terenie, gdzie trawa przegrywała wojnę z kamieniami i chwastami.

Jan rozpalili ognisko. Podgrzał fasolę, stawiając otwarte puszkę w płomieniach, i we trzech upiekli parówki na naostrzonych kijach.

- Dobrze się bawisz, Alvinie, dobry kumplu, miły kolego, stary druhu? - zapytał Jan.

- Tak! - Alvin miał na ustach musztardę, a na koszulce plamy od musztardy i ketchupu. Nagle klepnął się otwartą dłonią w bok szyi. - A masz, mała gnido! - zapiszczał, redukując komara do maziowatej miazgi, którą następnie strzepnął w ogień. - Dużo robaków dzisiaj wieczorem.

- Hej, nie ma problemu - zapewnił go Jan Pretre. - Pozabijasz je. Łatwo je zabić, nieprawdaż?

Siedzący z wyciągniętymi nogami Michael dostrzegł kamień leżący od niego nie dalej niż na długość ramienia. Podniósł go. Był wielkości piłki do bejsbola, lecz bardziej w kształcie jajka. Louden zważył go w ręce.

Jan kiwnął głową w stronę wąwozu.

- Naprawdę piękny zachód słońca. Przypatrzmy się - zaproponował.

Alvin dreptał obok Jana. Stanęli na krawędzi wąwozu. Pretre wskazała na zachodzące słońce. Miało postać pomarańczowej kuli, która zdawała się odpoczywać na drzewie, między dwoma konarami.

- Wygląda dokładnie jak na widokówce - zauważył. - Wszystkie te piękne kolory. Widoczek jest tak cholernie ładny, że mógłbym się, kurwa, zesrać.

- Hę? - zdziwił się Alvin, po czym zaczął się śmiać. - Och, Janie!

Nie sądziłem, że potrafisz mówić w ten sposób. Ojej! O cholera!

Michael wstał.

- Pewnie - kontynuował Pretre. - Jestem normalnym facetem, który zna słowa adekwatne do sytuacji. Tak to działa, dobry kumplu, dobry kolego, dobry druhu! - Poklepał Alvina po ramieniu. - Wiesz, co mam na myśli, prawda, pieprzony „Tłuściochu”?

- Hej, Janie, wiem, że sobie żartujesz, ale... Michael podbiegł.

Trzymał kamień mocno, zaciskając na nim palce. Rękę schował za głowę, w zamachu, jakby przygotowywał się do rzutu.

Jednak nie cisnął kamienia. W chwili gdy Alvin odwracał głowę, Michael wyhamował i gwałtownie przystanął. Rozkołysał rękę i trzasnął.

Trafił kamieniem w zamię przy uchu Alvina. Odgłos uderzenia skojarzył mu się z melonem, który wypadł z wózka w supermarkecie i piasnął o podłogę. Równocześnie rozległ się inny dźwięk, przypominający miażdżenie skorupki ugotowanego na twardo jajka.

Dało się jeszcze słyszeć stukotanie, które mogło być biciem serca Michaela Loudena.

Alvin chwiejnie opadł na kolana.

- Ojeeej...

Jan stanął przed Michaeliem, tuż za Alvinem, i kopnął kolaniem kłęczącego chłopca w pośladki. Alvin spadł na dno wąwozu.

- Naprawdę ładny zachód słońca - ocenił Jan Pretre.

Kazał Michaelowi pójść za sobą, zalecając mu ostrożność. Musieli zejść na dno wąwozu, do miejsca, gdzie leżał Alvin, i lepiej by było, aby nikt ich nie obserwował.

Ich ofiara leżała na plecach. Lewa noga, nienaturalnie wykręcona, tkwiła wciśnięta pod pośladki, a z różowawego, krwawiącego ciała prawego przedramienia sterczał wśród rozdartej skóry ostry odłamek kości. Oczy chłopca były szeroko otwarte. Lewa strona jego głowy wyglądała jak pokryta grubą warstwą puddingu.

- Skrzywdziliście... mnie... - Wraz z każdym słowem na wargach Alvina pojawiał się pęcherzyk czerwonej śliny.

- Jesteś zatem inteligentny, dobry kumplu, miły kolego, stary druhu. - Pretre pokiwał głową. - Cholernie spostrzegawczy z ciebie chłopiec. - Roześmiał się. - Alvin miał wypadek-upadek. Zrobił bum. Coś mi się zdaje, że złamałeś sobie rękę i nogę, a w dodatku roztrzaskałeś sobie swój mały łeb, toteż cały twój przemądrzały mózdzek po prostu wycieka.

Usta Alvina otworzyły się i zamknęły. Jasnoczerwony pęcherzyk pękł.

- Co za paskudny, paskudny wypadek - ciągnął Jan. - Boję się, że stary, dobry „Tłuścioch” skreśli także kark!

Pretre pochylił się i zatopił palce w miękkim cieple pod dolną szczęką Alvina, po czym, zaciskając zęby, przekreślił rękę i szarpnął. Rozległa się seria głośnych trzasków, jakby ktoś kruszył paczkę biszkoptów, tylko głośniejszych, znacznie głośniejszych.

Klatka piersiowa Alvina uniosła się raz, jego język wystrzelił z ust, po czym chłopiec puścił długiego, głośnego bąka.

- A myślałem, że lubi fasolę - zażartował Jan Pretre.

Przez następne dwie godziny Jan mówił, a Michael słuchał. Pretre opowiedział mu o aurze. Potrafił dostrzec aury. I rozumiał je.

Aura Michaela, tego Michaela-Obcego, prawdziwego Michaela, była rzekomo bardzo jaskrawa, bardzo czerwona. Kiedy Michael uderzał Alvina kamieniem, z powodu tego blasku Jan niemal nie widział jego twarzy. Michaela odmieniła prawda o nim samym.

I wtedy Jan poinformował go, co się zdarzy następnie... a także co się zdarzy w latach, które nadejdą - w Czasie Obcych.

Tak, Jan miał rację co do najbliższych zdarzeń. Policja była wyrozumiała. Śmiertelny wypadek biednego Alvina uznali za oczywiste wyjaśnienie.

Ponieważ Alvin zmarł dwadzieścia trzy lata temu, zanim modne i intratne stało się pozywanie innych do sądu w każdej możliwej sytuacji, rodzice dziecka nie oskarżyli o zaniedbanie ani „dobrego chrześcijańskiego

obozu”, ani opiekunów Alvina. Och, wiedzieli, co ich chłopiec myślał o Janie Pretre; we wszystkich listach syn wychwalał tego młodego człowieka, który był taki miły dla niego, tak wspinały i opiekuńczy.

Można by rzec, że Jan był zdruzgotany; ledwie mógł przestać płakać. Zdarzenie było straszne i Pretre będzie się z jego powodu czuł winny do końca życia.

A ten młody człowiek, który był z nim... ten Michael Louden... Sądząc po jego zachowaniu, był chyba bardzo blisko z Alvinem. Biedny chłopiec prawdopodobnie będzie miał przez tę tragedię koszmary do końca życia...

* * *

Tego popołudnia, kiedy Kim spytała, czy wraz z Marcy mogą pojechać na rowerach do sklepu „7-11” znajdującego się w minicentrum handlowym dwie i pół przecznicy od domu, aby kupić *slurpies*, czyli mieszaninę gęstego, słodkiego syropu i lodów, Beth w pierwszej chwili chciała im zabronić. Potem zastanowiła się. Jako realistka wiedziała, że świat jest pełen niebezpieczeństw, jeżeli jednak nie zamkniesz latorośli w czterech ścianach, całkowicie odbierając jej uroki dzieciństwa, istnieje tylko jeden talizman, który rodzic może dać swoim dzieciom przeciwko zagrożeniom, a mianowicie polecenie: „Bądź ostrożny!”.

I tak powiedziała dziewczynkom.

Na końcu Walnut Street Kim, która jechała jako pierwsza, skrzyła w prawo.

- Hej - zawołała Marcy - do „7-11” trzeba jechać w lewo...

Kim zatrzymała rower, zeskoczyła z krzeselka i - przytrzymując kierownicę - zaczęła na siostrę.

- Nie chcę *slurpies*. Smakują ohydnie. Tak tylko powiedziałam mamie, żeby nas puściła, bo muszę coś zrobić.

- Co masz na myśli? - spytała Marcy. Wyglądała na zaniepokojoną. „Coś zrobić” w przypadku Kim często oznaczało kłopoty. - Pojedźmy po prostu do „7-11” po *slurpies*, a potem wróćmy do domu.

Kim popatrzyła na siostrę z niedowierzaniem.

- Coś jest z tobą nie tak, Marcy. Nigdy nie chcesz robić nic zabawnego.

- Czasem robię...

- To dlatego nie masz przyjaciół!

- Ale ja mam przyjaciół!

- Och, pewnie - szydziła Kim - masz mnóstwo przyjaciół, ale nie masz żadnych prawdziwych. W ogóle nie umiesz się bawić.

Marcy spuściła głowę, a potem, gdy znów popatrzyła na Kim, spytała:

- Więc co będziemy robiły?

Siostra uśmiechnęła się do niej figlarnie.

- Pojedziemy popatrzeć, jak budują te nowe domy.

Mimo ogólnokrajowego kryzysu w budownictwie Park Estates West, nowe osiedle należące do firmy odpowiedzialnej za Park Estates, rozwijało się; domy stawiano w optymistycznym przekonaniu, że w końcu, kiedyś, znajdą się na nie chętni. Przedmieście w trakcie budowy znajdowało się po drugiej stronie Highway 394.

- Nie możemy! - zawołała Marcy. Dziewczynkom nie wolno było przechodzić przez 394, czteropasmową drogę szybkiego ruchu. - Tatuś by nam...

- Nie zamierzam pytać taty. - Kim wyszczerzyła się szyderczo. - I ty lepiej też tego nie rób! - Wsiadła na rower i zaczęła powoli pedałować. Obejrzała się przez ramię i krzyknęła: - Dalej. I przestań być takim mięczakiem!

Kiedy Kim była w połowie przecznicy, Marcy znalazła się obok niej, zawzięcie pedałowując.

Wilbert C. Clarkson nie żartował, gdy opowiadał ludziom, że „C” w jego nazwisku to skrót od „czujny”. Według tej zasady żył i wyznawał tę filozofię bez przerwy, przez całe swoje sześćdziesiąt trzy lata, czyli do tej pory. Nie, Wilbert i jego żona nie zaszczepili się przeciwko grypie kilka

lat temu z powodu możliwych skutków ubocznych i Wilbert odmawia noszenia szkieł kontaktowych, ponieważ „kto naprawdę wie, jak można sobie zaszkodzić, wkładając je do oczu”. Wilbert nosił zatem grube, niemodne, staroświeckie okulary w rogowej oprawie.

Nie miała również sensu rozmowa z Wilbertem „Czujnym” Clarksonem na temat bezpieczeństwa podróży powietrznych. Jeśli, powiedzmy, silniki w 727 zawiodą, nie zjedziesz przecież na pobocze i nie poczekaasz na samochód pomocy drogowej! Spadniesz i tyle.

Człowiek jest znacznie bezpieczniejszy w samochodzie, jeśli oczywiście jest to właściwy samochód! Nie znaleźlibyśmy Wilberta za kółkiem hondy civics czy dodge'a omnis albo podobnego auta; wypadek w takiej małej „spacerówce” równa się wszak pożegnaniu ze światem.

Willbert Clarkson jeździł więc cadillakiem, zmieniając go co trzy lata. („Bogaty? Nie, proszę pana, cztery franczyzowe punkty ksero nie czynią faceta bogatym”, ale Clarkson jakoś sobie radził - na tyle dobrze, że mógł sobie pozwolić na praktyczny samochód.)

Wilbert właśnie jechał swoim cadillakiem. Ostrożnie. Ograniczenie prędkości wynosiło tu dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę - Wilbert uważał, że kryzys paliwowy ma całkiem dobry wpływ na amerykańskie społeczeństwo - więc ustawił ogranicznik prędkości dokładnie na 90.

Tego dnia wyjechał ze swojego domu i skierował się na południe, do Oakdale, aby odwiedzić kierownika swojego punktu w Carmody. Miły facet ten kierownik. On i jego żona, oboje młodzi, wspólnie prowadzili punkt, ale mieli kłopoty. Były to naturalnie kłopoty, których nie musieli mieć, gdyby tylko byli... czujni. Niestety, nie poświęcali dodatkowego czasu ani dodatkowej troski na idealne zmieszanie tuszu i wody. Można szybko wydrukować wszystko, jeśli tylko zadbasz o swój sprzęt - jeśli dasz dużo tuszu i dużo wody, klient dostanie najpiękniejszą kopię, jakiej mógłby zażądać.

W porządku, Wilbert im to wszystko wyjaśni. Jeżeli posiadasz właściwe urządzenie i traktujesz je odpowiednio, tak, tak, proszę pana, nigdy nie masz problemów.

Żółty znak w kształcie rombu stał na poboczu Route 394, ostrzegając Wilberta, że dojeżdża do skrzyżowania. Clarkson zwolnił. Nie można być zbyt mało czujnym, wiesz.

Nagle przeskoczył stopą na hamulec... pięta na podłodze, palce uniesione, noga gotowa gwałtownie zahamować, ponieważ... Czy to dziecko nie ma rozumu?! Co to za dziewczucha, która przekracza autostradę w taki sposób?!

No dobrze... Wilbert nie musiał się martwić. Ani dziewczynka. Mała rowerzystka dojechała do połowy drogi, a - Clarksonowi wystarczyło krótkie spojrzenie - na przeciwnych pasach było pusto.

Tyle że w tym momencie dziecko podniosło rękę nad kierownicę i zamachało, a wtedy pojawiła się druga dziewczynka na rowerze...

Wilbert wcisnął hamulec, wdusił klakson, krzyknął: „Och nie, och nie” i uświadomił sobie straszną i bolesną prawdę, że obojętnie jak bardzo człowiek jest czujny, „wypadki po prostu się zdarzają!”

„Wypadki się zdarzają!”

Gwałtownie skręcił, zjeżdżając ku poboczu, nie dało to jednak odpowiedniego efektu. Jego stopa wciskająca pedał hamulca nijak sobie nie radziła - zwalniała wprawdzie cadillaca, lecz niewystarczająco, niewystarczająco...! Wilbert C. Clarkson zapragnął uwierzyć w magię, chciał, by w jakiś sposób samo przejmujące trąbienie klaksonu przetransportowało małą rowerzystkę do innego wymiaru, gdzie będzie bezpieczna.

W ułamku sekundy Wilbert C. Clarkson dokonał zatem odkrycia: chociaż był taki czujny, tak czujny i ostrożny jak zwykle, będzie miał wypadek... niestety będzie go miał, gdyż nie mógł zrobić nic, by mu zapobiec.

I wtedy cadillac uderzył w rower.

Rozległy się odgłosy zgniatania i miażdżenia, których Wilbert nigdy nie zapomni.

Dziecko przeleciało w powietrzu.

Obraz tej chwili wyrył się w umyśle mężczyzny: dziewczynka o twarzy nieznacznie zniekształconej przez grube szkła jego okularów, przyciemnioną przednią szybę i zamglenie gorącego lata wyleciała z siedzenia roweru i szybowała w powietrzu przez długi moment. Jej usta i oczy były takie zaskoczony...

Wilbert C. Clarkson wjechał na pobocze drogi.

„Zabiłem ją. Zabiłem ją. Zabiłem ją” - myślał, a potem wysiadł z cadillaca, aby zrobić co tylko się da dla dziecka, którego los nie oszczędził mimo sześćdziesięcioletniej „czujności” Wilberta.

SIEDEM

Jak wiele innych bibliotek na Środkowym Zachodzie, ta w Belford również nie miała klimatyzacji, a więc okna były otwarte i lekki wietrzyk trzepotał amerykańską flagą zatkniętą w kącie pomieszczenia o wysokim stropie. Było ciepło, lecz nie przesadnie gorąco, a w bibliotece panował przyjemny zapach starych książek i sekwoi. W takich momentach Claire Wynkoop myślała, że do swojej osobistej wizji nieba nie potrzebuje ani aniołów, ani słodkiego śpiewu chórów; chętnie spędziłaby życie po śmierci w czymś niewiele bardziej wyszukany niż „innovymiarowa” wersja Biblioteki Publicznej w Belford.

- Pani Wynkoop, czy ta jest dobra? Czy powinnam ją wziąć?

Przez swoje okulary dwuogniskowe Claire popatrzyła na książkę, którą dziewczynka nazwiskiem Nelda Jarvis położyła na ladzie obok kasy. Była to powieść Judy Blume, którą - jak wszystkie popularne tytuły tej autorki - chętnie czytały gimnazjalistki. Niektórym co bardziej konserwatywnym rodzicom z Belford nie podobało się szczere podejście Blume do pewnych tematów, jednak to Claire Wynkoop decydowała, co ma stać na półkach, a poza tym wychodziła z założenia, że nie trzeba się martwić o to, co dzieci czytają. Sobie i innym kłopoty sprawiały bowiem raczej te dzieci, które nic nie czytały albo nie mogły czytać...

- Tak, Neldo - odparła zatem dziewczynce. - Myślę, że przeczytasz ją z przyjemnością.

Podbijając kartę biblioteczną, Claire poczuła zadowolenie z faktu, że tak wiele dzieci radzi się jej przy wyborze lektury, cieszyła się, że ona, tak,

właśnie ona! - a nie ma nic złego w odczuwaniu zadowolenia z własnych zasług - uczyniła bibliotekę miejscem, w którym dzieci pragną przebywać.

Kiedy doświadczyła wizji, stało się to nagle - tak nagle, że chociaż Claire miała powody tę wizję przewidywać, gdyż obudziła się tego ranka ze znajomym uczuciem „swędzenia mózgu”, zimnym, groźnym dzwonieniem w głowie i innymi klasycznymi dla niej zapowiedziami przecucia, i tak dała się zaskoczyć. Patrzyła na Neldę, wiedząc, z kim ma do czynienia, lecz nie dostrzegając jej, dostrzegając zamiast niej twarz innej dziewczynki, która...

...wrzasnęła i uniosła się w powietrze, wirując w nim, zaszokowana nagłością uderzenia i otumaniona odgłosem zgniatanego metalu, trafiającego w nią. A teraz widzi - widzi z wyjątkową klarownością charakterystyczną dla strachu - ziemię pędzącą w górę, ku niej...

Claire Wynkoop wbiła zaciśnięte w pięści dłonie w blat lady. Prorocza chwila minęła, jednak w trakcie przepowiedni i teraz, w jej następstwie, ciśnienie krwi bibliotekarki podniosło się i przekroczyło 200/110. Regały z książkami wirowały w bezgłośnym huraganie. Sufit spadał, aby przygnieść jasnowidzkę. Podłoga usiłowała zepchnąć nieszczęsną kobietę ze swej powierzchni...

- Pani Wynkoop, dobrze się pani czuje?

Usłyszała Neldę, Neldę tu i teraz.

Nie mogła odpowiedzieć, jeszcze nie, ale część jej umysłu, chłodno rzeczowa, odezwała się bezgłośnie: „Czy to teraz? Czy to już? Udar? Atak serca? Czy to śmierć? - A potem Claire pomyślała z ironiczną obojętnością: - Czy w Niebie będzie Duża Biblioteka?”

Nie. Poczwała, jak jej ciało rozwiązuje tę zagadkę i wiedziała...

Nie tym razem!

- Pani Wynkoop!

Z wysiłkiem skoncentrowała się na pospolitej, zatroskanej dziecięcej twarzy Neldy. Dziewczynka była przerażona i nerwowo szarpała kosmyk szarobrazowych włosów.

- Tak, Neldo - odparła Claire. - Po prostu właśnie doświadczyłam przecucia.

„Doświadczyłam przecucia” - powtórzyła w myślach. Tak, to określenie bez wątpienia wskazywało na jej wiek. Wątpiła, czy obecnie ludzie doświadczali przecuć. Potem pomyślała: „I miałam też, nie, nie samo przecucie tym razem, lecz wyjaśnienie przecucia!”. Zanim dowie się dokładnie, co się zdarzyło, już widziała fragment wypadku i była pewna, które dziecko potracił samochód.

Z biura zatelefonowała do Beth, nikt jednak nie odebrał.

Beth była już w szpitalu.

* * *

Ze swoimi srebrnymi włosami Vern Engelking wyglądał zupełnie jak Święty Mikołaj, który chciał się prezentować bardziej współcześnie i dlatego zgolił sobie brodę. Dziś miał świetny humor i był w doskonałym nastroju, wręcz promieniał, gdy mówił o „kłopotach, jakich przysporzył Superior Chemical pan Herbert Cantlon”.

Michael Louden i Eddie Markell siedzieli wraz z Vernem przy okrągłym stole konferencyjnym w biurze Engelkinga na dziesiątym piętrze.

- No - Vern zwrócił się do Eddiego - od jak dawna zatem nasz mniej niż sumienny przedstawiciel okrada firmę i jej szacownych klientów?

- Co najmniej od trzech lat - odparł Eddie Markell. - Być może dłużej, ale na pewno wiem o ostatnich trzech latach. Moim zdaniem Cantlon to jeden z tych facetów, którzy wyobrażają sobie, że skoro on sam jest debilem, wszyscy wokół również muszą być debilami.

Vern Engelking roześmiał się.

- Eddie, masz wyjątkowy sposób wyrażania własnych myśli.

Markell nie odpowiedział. Liczył sobie czterdzieści lat, a kiedy był młodszy, cechowało go chwilowe podobieństwo do Sama Spade'a granego przez Humphreya Bogarta w *Sokole maltańskim*. Być może właśnie dzięki temu podobieństwu Eddie został prywatnym detektywem. Pijakiem natomiast został, ponieważ musiał ukrywać to, kim naprawdę był... a był Obcym. Eddie Markell prowadził dochodzenia przemysłowe dla firm z przedmieścia, między innymi dla Verna Engelkinga. I ostro pił. Kiedy miał okazję, zabijał ludzi. Jego aura była charakterystycznie czerwonym nimbem Obcego, miał jednak również inną charakterystyczną cechę, wewnętrzny zapach zgnilizny, który pochodził z lat otumaniania się alkoholem.

- Przekaż nam więcej niesmacznych faktów związanych z naszym do tej pory zaufanym sprzedawcą, Herbem - poprosił Vern Engelking.

- Co tu mówić? - Eddie wzruszył ramionami. W ostatnich dwóch czy trzech latach stracił sporo na wadze i lekka sportowa marynarka nie leżała na nim dobrze. Kiedy poruszał ramionami, materiał marszczył mu się przy obojczykach, więc marynarka była wiecznie wygnieciona. - Ten skurwiel stosuje własny cennik dla całego swojego terenu. Zbiera dodatkowe marże z południowego Illinois, północnego Kentucky i Missouri. Więc odstrzeleł mu pieprzoną dupę i tyle.

Michael miał co do Eddiego pewne obawy.

Tak, Eddie był Obcym, wkrótce jednak mógł się stać dla nich ciężarem. Najwyraźniej coraz trudniej przychodziło mu utrzymywanie swojej fałszywej tożsamości. Robił się nieostrożny i nie brał pod uwagę wszystkich niebezpieczeństw. A przecież gdy wreszcie nadejdzie Czas Obcych, wówczas tylko ci, którzy nie zdradzili się nigdy, ani razu, i którzy byli równie bystrzy jak Michael Louden... tylko oni wezmą udział w powszechnym święcie krwi, ludzkich krzyków i śmierci.

Vern Engelking wycelował w górę palec wskazujący.

- Jeśli wolisz, we trzech rozwalimy jego zdradziecki tyłek. Grupowe akcje dają wszystkim tak wielką satysfakcję...

- Dobrze - zgodził się Eddie. - Widzisz, Herb ma słodką dziewiętnastoletnią cipkę, z którą pomieszkuje w Mt. Claron. W środowe wieczory zwykle spija tę słodycz. Przygotuję dla niego przyjęcie-niespodziankę. Możemy się nieźle z tą parką zabawić.

- Michaelu - odezwał się Vern, unosząc brwi - musimy wyjechać w interesach w przyszłym tygodniu. Czy termin ci pasuje?

„Interesy - pomyślał Louden. - Interesy, które są jedynym powodem egzystencji Obcego! Herb Cantlon, brzuchaty kmiot w białych skarpetach, ze swoimi żartami o komiwojażerach i wiejskich chłopaczkach, kochających swoje owce, dobry, stary, mały wieśniak z prowincji... Głupawy Herby... i jego babka...”

Poczuł dreszcz na myśl o tym, co on, Vern i Eddie zrobią. Jak mógłby go opisać? Zastanowił się nad skojarzeniem. Seks? Nie, tego dreszczu nie można było porównać ze śmieszną rozkoszą, jaką mózg lub ciało mogły zaznać podczas aktu seksualnego. To porównanie było po prostu nieadekwatne. Michael współczuł biednym sadystom, którzy odkryli podobną emocję - tę erotyczną przyjemność, jaka płynie z zadawania bólu. Obcy znał o wiele większą przyjemność: transcendentną, rozświetlającą, przytłaczającą, absolutnie czystą; Obcy stawał się cały tą przyjemnością, gdy lała się krew: gorąca, czerwona, o metalicznym zapachu...

- Pewnie, Vern. - Louden uśmiechnął się. - Kiedy mnie wyznaczyłeś krajowym dyrektorem do spraw sprzedaży, wiedziałem, że w ramach swoich obowiązków będę odbywał podróże służbowe.

- W istocie - przyznał Engelking.

- No dobra - mruknął Eddie Markell. - Do zobaczenia, koledzy - dodał, po czym wyszedł.

Kiedy zostali sami, Michael podzielił się z przyjacielem swoimi obawami. Jeśli w ogóle komukolwiek na tym świecie ufał, taką osobą był Vern Engelking.

- Vern, sądzisz, że Eddie może stanowić dla nas problem? To jego pić, no cóż, jego wnętrzości trzeba by chyba oznaczyć etykietką „łatwo-palne”. Nie jestem do końca pewny, czy facet jeszcze panuje nad sobą.

Engelking kiwnął głową i rozparł się na swoim ergonomicznie zaprojektowanym fotelu biurowym. Złożył dłonie i kręcił młynka palcami; należał do nielicznych, którzy umieli to robić i nie wyglądali przy tym jak pozbawieni talentu aktorzy w amatorskim melodramacie.

Vern westchnął.

- Faktem jest - powiedział - że ja też tego nie wiem. Eddie ma swoje zalety, lecz twoje obawy na pewno nie są bezpodstawne. Ten człowiek pije bez opamiętania, co może rzeczywiście wywołać pewne niefortunne sytuacje w przyszłości. - Uśmiechnął się do Michaela. - Jednak dla każdego problemu istnieje rozwiązanie. Jeśli Eddie zacznie nam sprawiać kłopoty... rozwiążemy i ten problem. Miejmy jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- W porządku - powiedział Louden.

Beżowy telefon zabrzączał i zamrugał. Vern wstał i poszedł do swojego biurka.

Dzwoniono do Michaela.

Kiedy Louden odłożył słuchawkę, odpowiedział na niezadane pytanie Verna.

- To Beth. Jest w szpitalu. Córka miała wypadek, potracił ją samochód. Robią jej właśnie prześwietlenie.

- No tak - odrzekł Vern - dzieci często stanowią przyczynę wielkich zmartwień swoich rodziców. Czy dziewczynka jest poważnie ranna?

- Nie sądzę. Oczywiście, w przypadku moich dzieci nie ma potrzeby martwić się o uszkodzenia mózgu. Nie sposób uszkodzić coś, czego ktoś nie ma.

- Michaelu, to nadzwyczajne, że potrafisz żartować mimo szoku i zdenerwowania.

- Uwierz mi, szefie, że tylko udaję odważnego. Wiesz, jak kocham te dzieciaki. Nikt nigdy nie widział bardziej oddanego tatuśka niż ja.

- Nie będę cię zatem zatrzymywał. Jak najszybciej jedź do swojego pechowego dziecka. Tylko koniecznie postaraj się wyglądać na nieco bardziej zatroskanego rodzica niż w tej chwili!

- Dobra - odparował Louden. Przez chwilę usilnie próbował przybrać inny wyraz twarzy. Czuł, jak jego mina zmienia się w doskonałą imitację straszliwego niepokoju, na którą składały się poruszające się nerwowo, zapadnięte i obwiedzione sinymi obwódkami oczy oraz lekki tik mięśni podbródka.

Michael Louden miał tysiąc twarzy i wszystkie - wszystkie oprócz jednej! - były obliczami normalnego człowieka.

Teraz był ojcem doświadczającym straszliwego lęku i obawy o los ukochanego dziecka.

- Tak przy okazji - spytał Vern Engelking, gdy Michael stał już w drzwiach - które cenne jagniątko zostało ranne?

- Kim - odparł Michael. - I ten fakt nie pozostaje bez znaczenia.

* * *

Dotarcie do South Suburban Medical Center zabrało Loudenowi czterdzieści pięć minut. W momencie, gdy wszedł do poczekalni, pomieszczenia znajdującego się dokładnie naprzeciwko izby przyjęć, podbiegła do niego Beth.

- Och, Michaelu.

Przytrzymał ją mocno, zdając sobie sprawę, że jej: „Och, Michaelu” było stwierdzeniem ulgi, a nie udręki.

- Czy Kim... Czy Kim nic nie jest? - spytał niepewnie.

- Lekarze uważają, że... wszystko dobrze!

Głośno wypuścił powietrze.

- Dzięki Bogu - szepnął.

Zerknął ponad ramieniem żony i zobaczył Marcy, która siedziała na jednym z plastikowych krzeseł, stojących pod ścianami poczekalni. Na

kilka sekund ich oczy się spotkały, po czym dziewczynka szybko spuściła wzrok. Bezgłośnie przesuwiała z boku na bok stopą w trampku po kamiennej posadzce.

- Pan Louden?

Michael obrócił się, a Beth, stojąca obok niego, powiedziała:

- To jest doktor Hasselbrink. Zajmuje się... - Musiała wyteńczyć siły, aby zmusić się do wymówienia imienia córki, gdyż właśnie po raz tysięczny uprzytomniła sobie, że jej Kim, jej mała dziewczynka, była tak blisko śmierci.

Doktor Hasselbrink uściskał Michaelowi dłoń.

- To dziecko miało więcej szczęścia niż rozumu, panie Louden.

- Czy ona...

- Można powiedzieć, że wyszła z tego cudem - odparł doktor Hasselbrink. - Prześwietliliśmy jej głowę i klatkę piersiową, na szczęście rentgen nic nie wykazał, żadnych śladów wewnętrznego krwawienia i z wyjątkiem kilku siniaków Kim wydaje się zupełnie zdrowa.

Młody stażysta miał rudawoblond wąsy, które były cięższe z lewej strony niż z prawej, nadając jego skądinąd miłej twarzy żenująco niezrównoważony wygląd. W swoim białym fartuchu doktor Hasselbrink przypominał Michaelowi dzieciaki z college'u, które zarabiały na letnie wakacje, sprzedając w parkach lody z trzykołowych rowerów.

- Chcemy ją zatrzymać na dwudziestoczęterogodzinną obserwację - ciągnął lekarz. - Tylko na wszelki wypadek - dodał - ale sądzę, że będzie okej.

„Okej - powtórzył w myślach Michael. - Jak serialowy doktor Kildare”.

- Nie mam wręcz słów... - Louden zrobił pauzę, przez chwilę udając, że odebrało mu mowę ze wzruszenia, które powinien odczuwać, po czym gratulując sobie dodatkowych „emocji”, siłą woli wywołał u siebie łzy, a jednocześnie położył doktorowi Hasselbrinkowi rękę na ramieniu i ścisnął. -...jacy jesteśmy panu wdzięczni!

- Wszystko w porządku - doktor Hasselbrink zarumienił się, najwyraźniej nieprzyzwyczajony do takich wyrazów wdzięczności.

„Zupełnie jak Samotny Strażnik- pomyślał Michael. - Ten niepewny sukinsyn nie potrafi sobie poradzić z kimś, kto mu po prostu dziękuje”.

- Dzięki - kontynuował Louden. - I mówię to naprawdę z głębi serca. - Lekarz usiłował jak najprzejmiej uwolnić się spod dłoni natarczywego rodzica, Michael jednak mocno ścisnął jego ramię. - Żałuję, że nie umiem wyrazić, jak bardzo doceniamy wszystko, co państwo zrobiliście.

Hasselbrink zrobił się tak czerwony jak uczeń, który właśnie się dowiedział, że wygłosił cały referat z historii z rozpiętym rozporkiem.

- Naprawdę - odrzekł - cieszę się, że mogłem przekazać państwu dobre wieści.

- Chcę, żeby pan wiedział... - „dość!”, pouczył Michaela jego własny wewnętrzny system ostrzegawczy. - No cóż, dziękujemy. - Puścił ramię lekarza.

- Przewieziemy teraz Kim na pediatrię - wyjaśnił doktor Hasselbrink, odsuwając się. - Będziecie państwo mogli ją zobaczyć za dziesięć minut, dobrze?

- Jeszcze raz dziękuję, doktorze - dorzucił Michael, a młody lekarz opuścił poczekalnię, pędząc, jak gdyby wezwano go do wykonania operacji ze wskazań nagłych u samego papieża.

Michael spojrzął na Marcy. Siedziała pochylona do przodu, z łokciami na kolanach. Ręce złożone, głowa zwieszona. „Córeczka tatusia” dziś trzymała się z dala od ojca, więc Michael cicho poprosił Beth, aby wyszła z nim na korytarz. Wciąż nie podnosząc głosu, spytał:

- Dlaczego Marcy jest taka przygnębiona? Wie przecież, że Kim z tego wyjdzie, prawda?

- Czuje się strasznie winna, Michaelu - wyjaśniła Beth. - Wiesz, co mi powiedziała? Że kiedy patrzyła, jak w Kim uderza ten samochód, żałowała, że to nie ją potrafił.

„Ale co się stało?” - zastanawiał się w myślach Louden.

Spytał, a Beth przekazała mu całą historię, nie opuszczając żadnego nudnego szczegółu: policjanci przyjechali po nią, powiedzieli jej o wypadku, byli tacy mili... to tacy grzeczni młodzi mężczyźni, nawet odstawili do domu rower Marcy, w bagażniku i, no cóż, rower Kim oczywiście zniszczył się, a potem policjanci zabrali je obie i przywieźli do szpitala...

„Cholera - pomyślał Michael - wrzucić jedną ćwierćdolarówkę do otworu i ta pieprzona szafa grająca będzie nadawać przez całą noc!”

Szybko uciszył paplającą żonę.

Później, gdy został sam z Kim (Marcy była zbyt młoda, aby pozwolono jej wejść na oddział dziecięcy, toteż Michael i Beth na zmianę, po pół godziny, siedzieli z nią w głównym holu), dowiedział się, co się tak naprawdę zdarzyło. Młodsza córka, która miała jedynie kilka zadrapań na rękach i nogach, a poza tym żadnych innych oznak wskazujących na niedawny wypadek i która chciała wiedzieć, czy można wypożyczyć szpitalny telewizor na noc, skoro miała ją spędzić tutaj, podnieconym głosem, lecz zrozumiale wszystko ojcu opowiedziała.

Samochód uderzył w tylne koło jej roweru. Kim przeleciała ponad kierownicą, wylądowała na autostradzie i „to było, jakbym robiła wszystkie te fikołki”. Po upadku sturlała się aż na trawiasty pas rozdzielczy i do chwili, gdy „ten starzec, który mnie trzasnął” dobiegł do niej, zdążyła już wstać.

„Niewiarygodne - pomyślał Loudon - cud. Tak jak to nazwał stażysta. Ale dzieciom przydarzają się naprawdę niewiarygodne rzeczy. Byłe menda tonie w łyżce wody, a ty czytasz w gazecie, że jakieś dziecko uznało, iż zabawnie będzie skoczyć z Sears Tower i wprowadziło swój pomysł w czyn, nie tracąc nawet włosa z pustej głowy”.

Kim spytała, czy zostanie ukarana za przejazd na drugą stronę - no, prawie na drugą stronę - trasy 394. Michael udawał przez moment, że poważnie rozważa jej pytanie.

- Tak - odparł ostatecznie. - Od jutra, kiedy wrócisz do domu, natichmiasz dostaniesz szlaban. To oznacza żadnych wypraw rowerowych.

- Tato! - zaprotestowała Kim. - Bardzo zabawne. Wiesz, że mój rower został całkowicie zmiądzony!

- Więc domyślam się, że nie możesz na nim jeździć, zgadza się?
Popatrzyła na niego spode łba, siadając prosto na łóżku.

- To nie w porządku!

- No cóż - podsumował Louden - omówimy tę kwestię po twoim powrocie do domu. - Podniósł rękę, sugerując koniec dyskusji. Zanim wyszedł, aby zwolnić Beth, dorzucił: - Wiesz, założę się, że nie byłaś nawet przestraszona, gdy przelatywałaś w powietrzu jak Superman.

Na twarzy dziewczynki pojawiła się powaga i zaduma.

- Nie, tato - odpowiedziała cicho - ten jeden raz byłam naprawdę przerażona.

„Będzie następny raz - pomyślał - kiedy mała pozna strach i kres”.

To była milcząca obietnica Obcego wobec niego samego i wobec jego dziecka.

Opuścili szpital o dwudziestą, gdy skończyły się odwiedziny i - z przystankiem w Burger Kingu, gdyż byli okropnie głodni - dotarli na podjazd swojego domu dopiero kwadrans po dwudziestej pierwszej. Kiedy weszli do środka, dzwonił telefon.

W czasie gdy Beth rozmawiała z matką („Tak, mamo, nic jej nie jest. - Beth westchnęła. - Zgadza się. Miałaś rację. Nie, nie wytykam ci twojego «a nie mówiłam». Wiem, że się martwisz, mamo...”), Michael kazał Marcy umyć się i przygotować do snu.

Piętnaście minut później zapukał do drzwi sypialni córki.

- Marcy? - Przekręcił gałkę i wszedł.

Mroczna sypialnia, nieznacznie rozświetlona przez lampkę na nocnym stoiku stojącym pomiędzy dwoma identycznymi łózkami, była nie tyle miejscem, które dziewczynki dzieliły, ile raczej dwoma „półpokojami” rozdzielonymi niewidoczną ścianą. Nad wezglowiem łóżka Kim, które stało bliżej drzwi, wisiał plakat przedstawiający zbliżenie smętnego

oblicza brzydkiego E.T., natomiast Marcy zawiesiła nad swoim łóżkiem oprawione w ramy zdjęcie trzech spokojnie pasących się koni. Jak zawsze, w pokoju unosił się zapach sosnowych trocin i świnek morskich (Michael nienawidził tych małych smrodów). W akwarium na stoliczku pod oknem brązowo-biała świnka Kim imieniem Chopper, piszcziała nieszczęśliwie z powodu rozłączenia ze swoim towarzyszem, Śnieżynkiem, którego trzymała w rękach Marcy.

- Musimy pomówić, Marcy - oświadczył Michael.

Dziewczynka powoli pokiwała głową. Ubrana w pastelowo-niebieską koszulkę nocną w parasolki, siedziała na łóżku. Białą świnkę miała na kolanach i pieściła głowę zwierzątka.

„Dziecko i jego świnka - pomyślał Michael. - Jaki to cholernie wzruszający widoczek?”

- Odłóż Śnieżynka do klatki - polecił, dodając w myślach: „Zanim rozbiję mu łeb o ścianę i będę patrzeć, jak mu się rozbryzguje mózg!”

- Tak, tatusiu.

Usiedli obok siebie na łóżku.

- Dzisiejsza jazda na 394 - zagał - nie była twoim pomysłem, prawda kochanie?

Marcy potrząsnęła głową.

- Tak sądziłem - ciągnął - ale wiedziałaś, że to, co robicie z Kim, jest złe.

- Tak, tatusiu - przyznała głosem nieznacznie głośniejszym od szeptu. - Nie powinnyśmy tego zrobić i ja nie powinnam pozwolić Kim na jazdę tam. Może gdybym wróciła do domu i... - przez chwilę nie mogła wydobyć głosu z gardła - ...i powiedziała mamie, może Kim nie leżałaby teraz w szpitalu.

Michael otoczył córkę ramieniem.

- Zgadza się. Kochasz swoją siostrę, więc czujesz się nieswojo, ponieważ została ranna. A twoja mama i ja także kochamy was, dzieci, i nie

chcemy, żeby ktoś was ranił. Właśnie dlatego ustaliśmy pewne zasady, które mają was chronić. Rozumiesz to, kochanie?

- Tak, tatusiu.

„No, jak wypadła przemowa Ojca Roku?” - Michael powinszował sobie bezgłośnie.

- Złamałaś zasady, Marcy - kontynuował - więc zostaniesz ukarana. Zamierzam dać ci klapsa.

W domu Loudenów klapsy były karą jedynie za najpoważniejsze wykroczenia, co oznaczało, że od czasu do czasu otrzymywała je Kim. Marcy, oczywiście, nigdy nie dawała rodzicom powodów do tak surowej kary, szczególnie że w jej przypadku zwykle jedno słowo dezaprobaty już wywoływało skrucę i płacz.

Ale tym razem...

- Och, tatusiu - dolna warga Marcy zadrżała i w oczach dziewczynki stanęły łzy. - Naprawdę przepraszam, tak strasznie przepraszam... Proszę, nie bij mnie!

„Och, tatusiu!”

„Chryste! Nie słyszał jej żalosnego zawodzenia, jej «och, tatusiu» już przynajmniej od dwóch godzin!”

Zareagował stanowczo. Przełożył ją przez kolano.

Marcy zawodziła płaczliwie.

Zanim stłukł córkę, nie mógł się oprzeć, by czegoś nie dodać.

- To mnie zrani bardziej niż ciebie - oznajmił, a przy ostatnim z sześciu piekących uderzeń w jej pośladki, musiał dorzucić: - Podziękujesz mi za to pewnego dnia.

OSIEM

Obudziła się o piątej trzydzieści rano. Noc nie przyniosła jej odpoczynku; Beth była zbyt spięta. Spała trochę, ale był to niespokojny sen, w którym roiała, że przez powieki widzi przytłaczającą, ciężką czern sypialni.

„O co chodzi? - spytała siebie w obojętny i zdeorientowany sposób, typowy dla osób, które budzą się z niezapamiętanych snów. - Co jest nie tak, co jest tak strasznie nie w porządku?”

Gdy leżała na plecach, ogarnęło ją nagle, denerwujące uczucie, że jest obserwowana. Odwróciła głowę i w ciemnościach zobaczyła leżącego u jej boku męża. Patrzył na nią, rozbudzony i przytomny.

- Michaelu?

Zastanowiła się, jak długo wpatrywał się w nią bez jej wiedzy... I dlaczego ten fakt ją zdenerwował?

- Nie możesz spać? - spytał cicho.

- Chyba nie - odparła. - Tyle myśli krąży mi po głowie, a za każdym razem, kiedy próbuję się na którejś skupić, wszystkie mi się wymykają.

- Chcesz porozmawiać, Beth?

- Myślę, że tak - przyznała - chociaż nie wiem o czym.

- To nie ma znaczenia. Potrafię słuchać. Przecież wiesz. Zacznij, a rozmowa jakoś sama potoczy się dalej.

Zamyśliła się.

- Wszystko, ale to wszystko, wydaje się jakoś iść źle.

Przerwała, po czym wyjaśniła, że nie, nie źle, „źle” nie jest dokładnie tym słowem, które miała na myśli. Odnosiła raczej wrażenie, że nagle wszystko wokół niej zmienia się i to w sposób, którego nie rozumiała. Te

zmiany ją przerażały. Zawsze czuła się bezpieczna; czasami była zadowolona, czasami znudzona, wierzyła jednak, iż jeden dzień będzie bardzo podobny do następnego ze swoimi drobnymi zmartwieniami, lecz bez wielkich lęków, ze zwykłymi małymi zwycięstwami i porażkami, które składają się na normalne życie. Teraz wydawało jej się, że ochronna siatka, która obejmowała ich wszystkich, całą rodzinę - „Michaela-i-Beth-i-Marcy-i-Kim” - podarła się. Pies Zellera, a potem, następnego dnia, wypadek Kim...

Ale, jak wtrącił Michael, mają przecież raczej powody do wdzięczności, a nie do strachu. Ostatecznie, byli cholernie blisko utraty Kim, po czym okazało się, że ta harda mała piekielnica już dzisiaj wróci ze szpitala do domu.

- Pewnie tak - przyznała Beth, choć wcale jej nie ulżyło. Dręczyły ją dziwne podejrzenia, że śmierć psa Zellera i wypadek Kim - wypadek, który matka Beth przewidziała w swojej wizji, dzięki swej intuicji, darowi parapsychicznemu, przeczuciu czy jak to nazwać („A co będzie, jeśli mama opowie o nowych strasznych przepowiedniach dzisiaj, jutro, pojutrze?!”) - w sposób niewytłumaczalny były powiązane ze sobą zdarzeniami w łańcuchu katastrof, które spadały na rodzinę Loudenów.

Tak w każdym razie Beth czuła, chociaż musiała przyznać, że nie było to uczucie racjonalne. Tyle że emocje nie muszą być racjonalne, aby były rzeczywiste, prawda?

No i kolejna zmiana („na gorsze, oczywiście, oczywiście, oczywiście!”): Marcy, ich posłuszna, grzeczna, modelowa córeczka... Beth była po prostu zdegustowana, i to bardziej z powodu ukarania Marcy niż samego przewinienia dziewczynki. Wierzyła w sens dyscypliny, czyli koniecznego od czasu do czasu przetrzepania skóry dziecku i parę razy sama dała kilka klapsów Kim, nie chcąc mówić: „Poczekaj, aż twój ojciec wróci do domu”, aby nie stawiać Michaela w roli „ojca, czyli tego, który bije”, jednak kary fizyczne - obecnie stosowane już wobec obu dziewczynek - zawsze wytrącały ją z równowagi.

- Daj spokój, Beth - przerwał Michael. - Nie wylbrzymiaj tej bzdury. Nawet najlepsze dzieci popełniają czasami błędy. - Pod kołdrą położył dłoń na biodrze żony. - Marcy taki błąd popełniła, wzięła za to cięgi i tyle. Poza tym, skoro czuła się tak bardzo winna z powodu wypadku siostry, parę klapsów i trochę łez przywróciło jej utraconą równowagę psychiczną. Została ukarana, więc wie, że jej wybaczyliśmy i teraz może wybaczyć sama sobie.

- Wiem, że masz rację. Wszystkie twoje wyjaśnienia sama już prze-myślałam. Ale wiara to coś innego. - Westchnęła. - Sądzę, że nic złego się nie dzieje, tylko puściłam wodze wyobraźni.

- Kochanie - podjął Michael - to były trudne dwa dni. Wcale nie ponosi cię wyobraźnia. Zdarzyły się ostatnio rzeczy niemiłe, zdenerwowałaś się parę razy, masz zatem wszelkie powody czuć się nieco rozedrgana. Rozumiem to.

Beth pomyślała, że świadomość, iż mąż ją rozumie i troszczy się o nią naprawdę pomaga. W tej chwili w każdym razie nieco pomagała.

- Nie wiem - ciągnął Michael - może w naszym życiu nadszedł moment na zmiany z jakiegoś powodu... ale nigdzie w gwiazdach nie jest zapisane, że wszystkie zmiany są niedobre, prawda?

Uważała inaczej, tym niemniej odparła:

- Prawda.

- Mówię o tym, że w przyszłym tygodniu wracasz do szkoły. To jest dla ciebie zmiana, która oznacza również zmianę dla nas wszystkich, a jednak trudno znaleźć w niej negatywny element.

- Masz rację - przyznała Beth. „On ma rację i wiem o tym. Dokładnie tak” - powiedziała sobie, usilnie starając się przekonać samą siebie.

Michael poklepał ją po biodrze.

- Może nie zawsze ją mam, ale zawsze jestem facetem, który cię kocha. Obojętnie jaka zmiana nam się przydarzy, poradzimy sobie z nią wspólnie, ty i ja.

- Tak - zgodziła się. Wymówienie tego prostego słowa było potwierdzeniem, że rozmowa poprawiła jej nastrój. - Dzięki - dodała.

- Za co?
- Za to, że jesteś moim porannym psychiatrą.

Roześmiał się.

- Psychiatra nie powinien leżeć w łóżku z pacjentką, lecz skoro już tu jestem, czy masz ochotę na jakąś dodatkową terapię...? - Przesunął rękę na jej brzuch, potem w dół. - Powiedzmy, dokonamy rozbudzenia świadomości sensorycznej?

- To pan jest lekarzem, doktorze - odparła.

Przez koszulę nocną, pieścił jej wzgórek łonowy.

- Przepisuję pani - ciągnął - kurację w postaci głębokiego, domięśniowego zastrzyku miłości.

- Cudowny lek, doktorze?

- Cu-dow-ny, moja droga - odrzekł, przeciągając samogłoski, przesadnie udając wymowę W.C. Fieldsa. - Nazywa się... penis-sylina.

Ich wstępne pieścizoty były powolne i jak Beth zauważyła, szczególnie delikatne, a prowadziły do leniwego, odprężonego stosunku, pasującego do wczesnej pory dnia. Ona leżała na boku, z zadartą koszulą, on tulił ją, jego brzuch był przy jej pośladkach, jego ramiona obejmowały ją, dłoń otaczała jej pierś, pierwszym i drugi palcem prawej ręki Michael lekko ścisnął jej sutek.

- Tak! Jest dobrze! - słowa Michaela wydobyły się z jego ust wraz z ciepłym oddechem, który owionął szyję i policzek Beth. Podciągnęła wyżej kolana, wypchnęła pośladki, aby poczuć regularne ruchy bioder męża i równomierne falowanie jego brzucha przy jej krzyżu.

„Dobrze jest być tuloną i kochaną” - pomyślała, dryfując w ciepłej i uspokajającej rozkoszy. Część jej umysłu kontynuowała jednakże proces myślowy, nie pozwalając na całkowite osunięcie się w królestwo czystych doznań. Ostatecznie, małżonkowie musieli się zachowywać stosunkowo cicho - co było zresztą naprawdę dość zabawne - toteż Beth nie mogła sobie pozwolić na wyrażenie odczuwanej przyjemności poprzez jęk

zaspokojenia, który z wolna rósł w jej gardle i mógł stanowić preludium do pisku lub nawet ostrego krzyku. Nie, trzeba było nad sobą panować, gdyż pokój Marcy znajdował się bardzo blisko ich sypialni! A gdy dziecko się obudzi... och, och, to taka krępująca chwila, której obawiają się wszyscy rodzice: „Co tatuś i mamusia robią...?! Ojej, ojej!”.

Mózg Beth pracował intensywnie, targany przerażającym ciągiem myśli: „Gdyby teraz odwróciła głowę...”

O cholera! To absurd i wiem o tym, więc dlaczego stale prześladowuje mnie ten nonsens?”.

...a jednak odważyła się zerknąć na mężczyznę, którego owłosiona klatka głupio łaskotała jej łopatki...

„Muszę to przerwać, muszę przestać wymyślać te wszystkie straszne i bezsensowne bzdury!”.

...na swojego męża, swojego kochanka, na Michaela...

„Nie, niech to szlag, tak czy owak! Po prostu muszę przestać. Przeestać!!!”

...zobaczyłaby nie jego, lecz kogoś obcego!

Ta irracjonalna myśl zmroziła Beth. Nie poddała się jej i odwróciła z powrotem głowę, nie była już jednakże w tym samym nastroju co przed chwilą, gdy zaczęła się kochać z mężem. Była chłodna i czuła się osamotniona, a kiedy Michael mocno ją przytulił, by stłumić jej szyję odgłos własnego orgazmu, cieszyła się, że skończył.

* * *

Po śniadaniu zatelefonowała do South Suburban Medical Center i dowiedziała się, że „Kim miała dobrą noc” i „natychmiast, gdy dokonamy ostatnich oględzin”, dziewczynkę będzie można wypisać, „powiedzmy, około trzynastej albo tuż po”. Stojąc przy kontuarze w kuchni, Beth uświadomiła sobie, że była przygotowana na złe wieści i gdy odłożyła słuchawkę na widelki, zrugowała się za takie myśli. Nie wisały nad nią przecież żadne czarne chmury, nie przeżywała siedmiu pechowych lat i nie miała

najmniejszych powodów do tego nękającego ją, kompletnie irracjonalnego, melodramatycznego przecucia nieuchronnie zbliżającego się nieszczęścia. Zapisała się przecież na psychopatologię w college'u jako studentka, a nie przypadek kliniczny dla innych studentów!

Najwyższa pora na „powrót do normalności” (nie mogła sobie przypomnieć, czy to określenie pamięta z licealnych lekcji historii, czy też ze swego jednego jedyne go roku w college'u) i właśnie tak ma być.

Michael chciał wziąć tego dnia urlop, mówiąc, że Vern Engelking na pewno go zrozumie. Wówczas we dwoje przywieźliby Kim do domu.

„Nie, nie”, Beth nalegała, aby pojechał do biura. Chociaż nie wyjaśniła tego mężowi, chciała mieć dziś normalny, przeciętny dzień, w którym wszystko będzie „jak zwykle”, czyli mniej więcej zgodnie z regularnym harmonogramem.

Poza tym, choć trudno było jej się przyznać do tego nawet przed samą sobą - ale taka była niestety prawda - pragnęła pobyc z dala od Michaela przez kilka godzin, zyskać nieco czasu na wyrzucenie ze swojej głowy tych głupich myśli typu „nie znam go” i „to ktoś obcy”, tych absurdalnych urojeń. Bo przecież dokładnie w taki sposób musiała nazwać swoje odczucia!

Zatem o dziesiątej trzydzieści, później niż zwykle, Michael wreszcie wyszedł. Beth zatelefonowała do Belford, złapała matkę przed wyjściem do biblioteki, którą Claire otwierała o dziesiątej, podzieliła się dobrą nowiną na temat Kim i umyślnie skróciła do maksimum rozmowę, ponieważ bała się, że nieopatrznie jej się wyrwie: „Mamo, on widzi wszystko, wie wszystko, przeraża mnie!”

Następnie zajęła się wykonywaniem „normalnych” czynności, zauważając, że ich zwyczajność daje jej ogromną satysfakcję. Przeczytała gazetę, odkurzyła i wypolerowała meble w salonie, podlała rośliny doniczkowe w całym domu. Po posprzątaniu pokoju rekreacyjnego na dole zrobiła sobie przerwę na kawę, słuchając przenośnego radia w kuchni. Z wiadomości na kanale WBBM dowiedziała się, że jakiś mężczyzna w San Francisco,

rozdrażniony płaczem swojego dwumiesięcznego syna, roztrzaskał dziecku głowę młotkiem ślusarskim. Pomyślała, że to okropne, że to czyn szaleńca, szokujący i smutny, tak bardzo smutny, lecz przecież ta sprawa - podobnie jak wszystkie inne nonsensowne zbrodnie, które codziennie stawały się tematem dla mediów - nie miała absolutnie nic wspólnego z rodziną Loudenów z Park Estates.

Pogoda zmieniła się na przyjemniejszą, temperatura wynosiła obecnie jedynie dwadzieścia cztery stopnie Celsjusza, wilgotność była w normie i późnym rankiem, gdy Beth pracowała na dworze, Marcy zgodziła się jej pomóc. Wcześniej, przy śniadaniu dziewczynka powiedziała niewiele poza „dzień dobry”, po posiłku zaś natychmiast wróciła do swojego pokoju. W ogrodzie jednak, gdy obie w starych ubraniach roboczych wrywały na klęczkach małe chwasty, które stanowiły naprawdę znikomą groźbę dla doskonale rozwijających się kwiatów, Beth ukradkiem popatrzyła na córkę.

- Kwiaty są bardzo ładne w tym roku, prawda? - zagaiła. Pelargonie, firletki, cynie, powój i niecierpki nadal kwitły i Beth miała przeblask uroczej fantazji: na Środkowy Zachód przychodzi zima, wraz z lodem i śniegiem, a jednak znajdujący się obok garażu ogród otrzymuje specjalne łaski i pozostaje nietknięty przez śmiertelne dla roślin przymrozki... Kwiaty wciąż barwne i żywe, wciąż piękne...

- Aha - odburknęła Marcy. Beth miała nadzieję, że może córka przyjmie niewypowiedziane zaproszenie do rozmowy. I rzeczywiście: - Mamo, czy ty jesteś na mnie zła?

- Za wczoraj? - upewniła się rozmyślnie obojętnym tonem.

- Tak, mamo.

- Nie - odparła. - Myślę, że byłam na ciebie zła, ale już nie jestem. Ty i Kim popełniłyście błąd, z tego powodu zdarzyło się coś złego, coś, co mogło się skończyć znacznie gorzej („i pamiętaj, pani Louden - dodała w myślach - że mówisz nie tylko do swojej córki, lecz również do siebie!”). I to wszystko - podsumowała głośno.

- Bo mam - ciągnęła Marcy - zawsze powtarzasz, że mi ufasz. Czy nadal mi ufasz?

Beth potrzebowała chwili, aby przemyśleć pytanie, w końcu odparła szczerze:

- Na pewno tak, Marcy, na sto procent.

- Wiesz co, mam? - podjęła dziewczynka głosem uderzająco posępnym i dorosłym. - Jesteś najlepszą mamą na świecie, a tatuś jest najlepszym tatą.

- A wasz tata i ja - odrzekła Beth z identyczną powagą - mamy najlepsze dzieci pod słońcem.

Drugie „najlepsze dziecko pod słońcem” wypisano z South Suburban Medical Center o wpół do drugiej, jednak ze względu na konieczność wypełnienia dokumentów ubezpieczeniowych, czeku na podlegającą potrąceniu kwotę, papierów związanych z odstąpieniem od odpowiedzialności i tak dalej, zanim we trzy wyruszyły do domu, zrobiła się druga dwadzieścia. Kim jechała z przodu chevette scooter, obok Beth, śmiejąc się z wcześniejszego przejazdu korytarzem do drzwi wyjściowych na wózku inwalidzkim, chociaż „nie złamałam sobie nawet małego palucha u nogi”. Marcy siedziała na tylnym siedzeniu.

Beth postanowiła, że przygotowuje wyjątkowy posiłek, który będzie stanowił miłe zakończenie tego szczęśliwie normalnego dnia. Rodzina Loudenów nie odnosiła się ze szczególnym entuzjazmem do wyszukanych zagranicznych dań, gdyż wszyscy, łącznie z Kim, lubili zwyczajną kuchnię amerykańską. Beth otworzyła kuchenne okno nad zlewem i usiadła przy stole w pomieszczeniu świeżo pachnącym lekką bryzą. Planowała menu: mieszanka sałat, cukinia, nadziewany klops z zapiekаныmi ziemniakami oraz potrawka z zielonej fasoli, a na deser - tak, pozwólmy sobie na coś fantastycznego i twórczego! - rolada czekoladowo-kawowa!

Pieczenie ciasta zajmuje zawsze najwięcej czasu, więc Beth od razu zabrała się do pracy. W przyszłym tygodniu zostanie wprowadzie studentką

college'u, nowoczesną kobietą w „dzisiejszym prawdziwym świecie”, lecz teraz, przetrząsając lodówkę i szafki w poszukiwaniu składników, była szczęśliwa jako „skupiona na domu żona i matka”, pani Michaelowa Louden, gospodyni domowa gotująca dobry posiłek dla swojej rodziny.

Marcy i Kim były na górze, w swoim pokoju. Lekarze zalecili Kim, aby nie przemęczała się jeszcze dzień czy dwa i „pani Louden, jeśli córka będzie miała bóle głowy, zawroty, nudności lub inne objawy, proszę natychmiast dzwonić”, więc Beth kazała młodszej córce pozostać w domu.

* * *

- Wiesz... - odezwała się Kim ze swego łóżka. Leżała na plecach, wsparta na łokciach. Kolana ugięte, nagie stopy płasko na pościeli. - To było naprawdę głupie.

- Co masz na myśli? - spytała Marcy. Tak jak jej matka, dziewczynka przebrała się przed wyjazdem do szpitala i miała teraz na sobie żółty letni komplecik. Stała przy otwartym oknie, obrócona plecami do siostry. Wietrzyk mierzwił jej blond włosy.

- No wiesz - kontynuowała młodsza dziewczynka. - Kiedy do mnie zamachałaś, myślałam, że wszystko w porządku, a chwilę później ten facet we mnie trzasnął.

- Nie widziałam jego samochodu - tłumaczyła się cicho starsza. - Myślałam, że droga jest pusta.

- Więc jesteś ślepa - docięła jej Kim.

- Nie jestem - bąknęła tamta. Odwróciła głowę i popatrzyła na siostrę spod przymrużonych powiek, gdyż ukośny promień zamglonego światła słonecznego raził ją w oczy. - Po prostu go nie widziałam i tyle.

- Taaa, jasne - mruknęła Kim z pogardliwym prychnięciem.

Marcy podeszła do łóżka siostry i usiadła obok niej.

- Kim - powiedziała - może z mojej winy zostałaś ranna, ale naprawdę tego nie chciałam. I naprawdę jest mi przykro. Nie gniewaj się na mnie, dobrze?

Młodsza dziewczynka nie odezwała się.

Starsza pochyliła się do przodu i jak gdyby dzieląc się uroczystym sekretem, szepnęła:

- Wiesz, tatuś mnie stłukł.

Natychmiast gdy to powiedziała, zarumieniała się. Kim ze zdumienia otworzyła szeroko oczy.

- No, no, no! Stłukł... ciebie?! Przecież ciebie nigdy nie biją, jesteś taka świętoszkowata. - Usiadła prosto i poklepała Marcy po ramieniu. - Hej - dodała - nie gniewam się na ciebie, w porządku?

- Jesteś pewna?

- Tak, pewnie.

- Chcę ci coś dać - ciągnęła Marcy.

- Co takiego?

Wstała i poszła od akwarium, w którym mieszkały obie świnki morskie. Wyjęła białą, przytrzymała ją mocno lewą ręką pod brzuszkiem, drugą ręką natomiast podłożyła pod wierzgające łapki podekscytowanego zwierzątka.

- Chcę, żebyś wzięła Śnieżynka - oświadczyła, wręczając świnkę siostrze. - Jest teraz twój.

Kim potrząsnęła głową i koniuszkiem języka wypełniając luki po brakujących zębach w dolnym rzędzie, powiedziała:

- Nie mogę! Śnieżynek jest twój!

- Daję ci go. Chcę, żebyś go wzięła.

Kim wyciągnęła ręce. Świnka zapiszczała ze strachu, gdy jedna dziewczynka przekazywała ją drugiej.

- Dzięki, Marcy - powiedziała Kim. - Czasami jesteś naprawdę dobrą siostrą.

* * *

- Wyś-mie-ni-ty po-si-łek, moja droga – stwierdził Michael, przeciągając wyrazy. Złożył serwetkę i położył ją obok talerza.

Zjedli kolację w jadalni, na białym obrusie i dobrej porcelanie. Były nawet świece. Beth, ożywiona i świeża w zielonej spódnicy i marszczoną żółtej bluzce, uśmiechnęła się do męża.

- Proszę cię - powiedziała - przestań udawać W.C. Fieldsa!

„A kim mam dla ciebie być, droga żonko?” - zapytał w myślach Michael.

- Nie, dzięki - odparł głośno w odpowiedzi na propozycję dokładki ciasta lub jeszcze jedną filiżankę kawy. Odepchnął krzesło i z dramatycznym ukłonem w stylu cyrkowego prezentera obwieścił: - A teraz, piękne panie, ku waszej uciechy i przyjemności, mam niespodziankę. Dla ciebie - wskazał palcem na Kim, jak gdyby celował z pistoletu - i dla ciebie - Marcy znalazła się na chwilę w zasięgu jego wzroku - oraz dla ostatniej, lecz nie mniej ważnej z moich dam, czyli dla ciebie! - Wycelował palec w Beth, po czym opuścił rękę.

Żona posłała mu zaintrygowane spojrzenie, tymczasem Marcy jęknęła: „Och, tatusiu”, a Kim spytała wprost: „Co to jest?”.

Przewrócił oczyma, patrząc na młodszą latorośl.

- Powiedziałem, że to niespodzianka. Jeśli zdradzę, o co chodzi, nie będzie już niespodzianki. Teraz rozumiesz, prawda?

Kim skinęła głową.

Michael podniósł się i - niczym dyrektor chóru - zrobił gest sugerujący grupie powstanie z miejsc.

- Chodźcie, moje trzy cudowne panie. Proszę za mną.- W kuchni otworzył drzwi do piwnicy, do pokoju rekreacyjnego. - Proszę, zejdźcie na dół i poczekajcie, aż was wezwę. A jeśli któraś zerknie, zanim wszystko przygotuję, zmienię jej głowę w ogromną rzepę.

Marcy i Kim chichotały, a Beth - co nie umknęło Loudenowi - wydawała się równie niecierpliwa i zakłopotana jak dziewczynki.

„Tak - pomyślał - czy nie jest niesamowitym facetem, skoro wprowadza takie podniecenie w ich marne, durne żywoty? Stawiam wasze tyłki, że

drań ma cholerny składzik pełen wszelkiego rodzaju niespodzianek dla swojej drogiej rodziny!”.

Dziesięć minut później Michael wyprowadził żonę i córki tylnym wyjściem. Ledwie wymówił: „Ta-dam!” i machnął ku otwartym drzwiom garażu, Kim przybiegła z radosnym okrzykiem.

- Rower! Nowy rower!

- Trzy prędkości, hamulec ręczny, wszystko, czego dziewczynka mogłaby pragnąć - przyznał Louden.

Tak drząc z przejęcia, że praktycznie podskakiwała, Kim spytała:

- Mogę się teraz przejechać, tato? Proszę!

„Pewnie, pedału, wyjedź na 394 i tym razem spróbuj swoich sił w starciu z ciężarówką” - pomyślał.

- No cóż - powiedział głośno - nie wolno ci się przemęczać, więc dziś wieczorem musi ci wystarczyć dwukrotny objazd kwartału. Mamy umowę?

- Jasne! - Kim wystrzeliła jak strzała i pomknęła w dół podjazdem.

- Teraz niespodzianka dla Marcy - ciągnął.

Beth kazał poczekać w kuchni; nie wolno jej było wchodzić do salonu, pod groźbą, że jej głowa zostanie przemieniona w rzepę.

Prezent dla Marcy znajdował się na toalecie w pokoju dziewczynek.

- Telewizor!

- Każde amerykańskie dziecko musi mieć telewizor - oświadczył, klepiąc plastikowy tył dwunastocalowego, czarno-białego odbiornika.

Był na to przygotowany i rzeczywiście usłyszał okrzyk Marcy, który pasował do wszystkich sytuacji:

- Och, tatusiu!

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go, dziękując raz za razem.

Nie było łatwo wybrać prezent dla Marcy, dziewczynki o osobowości burych pomyj, ale, cholera, musiał jej coś kupić. Pomyślał, że wygląda na zachwyconą, z drugiej strony jednak uznał, że taką szarą mysz jak ona można by równie dobrze zadowolić funtem kłaków!

Zaskoczenie Beth - jej kolejne zaskoczenia, mógłby rzec - było kompletne. Nie miał co do tego wątpliwości. Na parterze, prosząc żonę, aby nie otwierała oczu, dopóki nie pozwoli jej spojrzeć, skierował ją z kuchni do salonu. Beth cicho zaśmiewała się z głupiego zachowania męża.

- A teraz, kiedy doliczę do trzech - oznajmił – otwórz oczy! Raz... dwa...

Beth zachichotała.

- ...trzy...

Otworzyła oczy, uniosła dłonie i zakryła nimi usta, tłumiąc okrzyk:

- Och, Michaelu!

Na niskich stolikach otaczających kanapę stały zabytkowe kryształowe lampy, których Beth pragnęła od tak dawna. Ich mosiężne podstawy były błyszczące i delikatne, wiszące graniastosłupy zarówno chwytaly, jak i odbijały spektrum lśniących diamentowo, urzekających kolorów.

- Są... takie... piękne!

Podziękowała mu żywiołowemu uściskiem i pocałunkiem, którym towarzyszył obowiązkowy komentarz: „Wydaleś tyyye pieniędzy!”, chociaż oczywiście była zadowolona z prezentu.

- Cóż - uciał Michael - cieszę się, że uszczęśliwiłem wszystkie moje panie.

Wyjaśnił, że teraz potrzebuje pół godzinki, gdyż musi popracować, jednak kiedy ruszył po schodach na piętro do swojego gabinetu, odwrócił się.

- Beth - spytał - widziałaś dzisiaj Zellera?

- Hmm, nie - odparła żona. - Wiesz, naprawdę wstyd się przyznać, ale z powodu tych wszystkich zdarzeń, nie sądziłam...

- Pewnie - odparł Michael, wracając od frontowych drzwi. Zanim do nich dotarł, zawołał do Beth: - Słuchaj, może pójdziesz do Brada ze mną? Pewnie poprawiłoby mu humor, gdyby zobaczył nas oboje... Wiedziałby, że interesuje nas to, jak on się miewa...

- Oczywiście - Beth zgodziła się natychmiast.

Michael zadzwonił do drzwi Zellera dwa razy, potem zastukał, nikt im jednak nie otworzył.

- Może wyszedł - zauważyła Beth.

- Nie sądzę - odparł. - Samochód stoi, a niewiele jest miejsc, do których Brad chodzi na piechotę.

Zapukał jeszcze raz, na moment się zamyślił, po czym spróbował przekręcić gałkę. Obróciła się.

- Michaelu - odezwała się Beth, kładąc mu rękę na ramieniu.

Otworzył drzwi, wsunął głowę do środka i zawołał:

- Brad? Jesteś tu, Brad?

- Michaelu - powtórzyła żona - może stało się coś złego.

„Coś złego? - pomyślał Michael. - A cóż złego mogłoby się przydarzyć dobremu, staremu Bradowi Zellerowi?”

- Pójdę do kuchni - powiedział. - Może ty pójdziesz korytarzem i tam się rozejrzysz?

- Dobrze - odparła z wahaniem.

W kuchni Louden czekał, bębniąc palcami o stół. Łazienka znajdowała się na końcu korytarza. Gdyby nie wsłuchiwał się tak uważnie w ciszę, prawdopodobnie w ogóle nie usłyszałby tego dźwięku. Pierwszy krzyk żony był nerwowy i słaby, właściwie zawołała tylko jego imię, podzielone na dwie sylaby.

Potem jednak wrzasnęła i to był dla niego sygnał, aby biegł do niej. Jej wrzask stawał się coraz głośniejszy, niczym sygnał europejskiej policji, i trwał do czasu, aż Michael dotarł do łazienki.

Kobieta z trudem łapała powietrze, wyraźnie zbierając siły do kolejnego wrzasku. Twarz miała tak białą, że żyła na jej skroni wyglądała jak tatuaż. Beth stała katatonicznie zeszywniała w drzwiach łazienki, a rozczapierzone niczym szpony dłonie trzymała przy policzkach, jak gdyby zamierzała sobie paznokciami rozedrzeć skórę. Jej oczy błyszczały szkliście z przerażenia i wstrząsu.

Michael wykonał wszystkie właściwe w takiej sytuacji czynności, czyli przepchnął się obok żony, aby sprawdzić stan Brada - „trup to trup i już” - chwycił Beth za ramiona, każąc jej się uspokoić, obiecując, że zadzwonią po policję (myśląc: „Pozwól, że porozmawiam z szefem oddziału zajmującego się alkoholikami, którzy zapili się na śmierć”), powtarzając: „Chodź, Beth”, „Wszystko w porządku, Beth” i „No już, trzymaj się, nie mdlej”, prowadząc ją do ich domu. „Jeszcze tylko kilka kroków, postaraj się...”

A wszystko to robił po to, aby nie poddać się pragnieniu zbliżenia swojej twarzy do twarzy Beth, jak najbliżej, i krzyknienia: „Niespodzianka, kochanie!”

DZIEWIĘĆ

Dwaj umundurowani funkcjonariusze departamentu policji Park Estates oraz sanitariusze przybyli bez syren, a światła obracające się na dachach ich pojazdów obrzucały otoczenie lodowato opalizującym blaskiem, zmieniając okolicę w układ geometrycznych, ekspresjonistycznie rozmazanych brył. Tu pojawiały się poidelka dla ptaków, tam wyskakiwały cienie rzucające przez konar drzewa, po drugiej stronie trawnika miotła się reklama, błyskały oczy grasującego kota lub twarz Beth Louden, która stała z Michałem na alejce przy frontowych drzwiach swojego domu.

- To wy nas zawiadomiliście? Loudenowie, zgadza się? - spytał szczupły mężczyzna w jasnobrązowym garniturze. Przyjechał nieoznakowanym fordem krótko po innych. Wszedł do domu Zellera, pozostał tam zaledwie minutę czy dwie, a teraz wyciągnąwszy dłoń do Michaela, wyjaśnił, że jest detektywem z biura szeryfa i nazywa się Charles Hogan. Sprawdzanie wszystkich „zgonów stanowiących wynik nieszczęśliwego wypadku” należało do standardowych procedur śledczych w hrabstwie.

Michael zaprosił detektywa do środka; wolał rozmawiać we własnym domu. Nie uważał za konieczne, aby jego żona wchodziła znów... o tam, prawda? Przecież nadal była w lekkim szoku.

- Nie sądzę - przyznał Hogan.

Beth pomyślała, że detektyw Hogan - mimo całkiem sporego podobieństwa do Dona Knotts'a - robił wrażenie człowieka kompetentnego. We troje usiedli przy stole w kuchni i Beth z pozornym spokojem, który zaskoczył ją

samą, odpowiadała na pytania. Detektyw robił notatki w kieszonkowym zeszytce oprawionym w imitację skóry. Tak, to ona znalazła Brada. Alkohol? Nie powiedziałaaby tak, nie aż tak, ale cóż, Brad często ostro popijał.

Sączyła gorącą kawę. Michael wcześniej zaparzył cały dzbanek. Powściągliwe i beznamiętne profesjonalne zachowanie Hogana uspokoiło Beth. Gość skojarzył jej się z przedstawicielem firmy ubezpieczeniowej spisującym polisę. „Nie ma w nim niczego nadzwyczajnego” - oceniła w myślach i dzięki temu sytuacja wydała jej się mniej straszna. Doszło do tragicznego wypadku, lecz teraz przedsięwzięto już właściwe kroki, więc świat wraca do równowagi.

A potem nagle pomyślała, że może właśnie teraz, w tym właśnie momencie, w domu obok sanitariusze kładą ciało Brada Zeller na nosze, przykrywają je i wynoszą, aby zawieźć je tam, gdzie ktoś się nim zajmie w odpowiedni sposób... gdzie ktoś zajmie się ciałem. Przed oczyma wyobraźni Beth przewinął się szybko okropny film: to wgniecenie, krew zaschnięta na czole i twarzy sąsiada, szyderczy uśmiech pośmiertnej maski, górna warga podwinięta i przyklejona do zębów, jak gdyby... śmierć kpiła sobie z życia.

Zamrugnęła szybko, w oczach miała łzy.

- Przykro mi, pani Louden - wytłumaczył się detektyw Hogan. - Zadzaję tylko niezbędne pytania.

- Wiem o tym - odparła.

- Wszystko w porządku, kochana - wtrącił Michael, kładąc jej rękę na ramieniu. - Detektyw Hogan musi wykonać swoją pracę. Powinniśmy zrobić wszystko co w naszej mocy, aby pomóc policji.

Zerknęła na męża kątem oka; widziała go przez diamentowe soczewki z łez. „Mój Boże - pomyślała - to jest nierealne. Michael przemawia do mnie, jakby recytował dialog ze scenariusza serialu telewizyjnego! Czy on nie rozumie, że Brad Zeller naprawdę nie żyje... że umarł... odszedł na zawsze...”

Nie, nie. Była tylko zdenerwowana! Stąd u niej ta bezładna rozpacz...

ten lęk... strach, który czuła, to zbyt realne odczucie, że może... nie, nie że sama oszalała, lecz że świat wokół niej wariował. Musi nad sobą zapanować. Tak... O Boże, to było równocześnie ponure i zabawne, niczym oklepny tekst, który przyszedł jej do głowy: „Nie przeraża mnie nic z wyjątkiem samego strachu!”. Ten komunał dobrze pasował do obecnej chwili, był równie trafny jak Michaela: „Powinniśmy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc policji”.

- Rozumiem - powiedział detektyw Hogan, a Beth uświadomiła sobie, że chyba zadał jej kolejne pytanie, a ona jakoś na nie odpowiedziała.

Teraz Hogan rozmawiał z jej mężem.

- Mówił pan, że odwiedził Zellera ubiegłego wieczoru.

- Tak - przyznał Michael. - Brad był, no cóż, nie chcę, żeby pan odniósł co do niego mylne wrażenie, ale tak, był pijany i przygnębiony z powodu tego, co się stało z Dustym.

- Z Dustym? - powtórzył Hogan.

- To jego pies - wyjaśnił Louden. - Brad zawiadomił wtedy policję. Sądziłem, że pan o tym wie.

Hogan wzruszył obojętnie ramionami.

- Wymiana danych pomiędzy lokalnymi władzami i biurem szeryfa nie jest najlepsza. Więc co pan wie w tej sprawie, panie Louden? Może mi pan opowie.

- Pewnie opowiem - odrzekł Michael. - To znaczy... zrobię wszystko, co może pomóc.

„O co tu chodzi?” - zapytała siebie Beth. Dlaczego czuła się jak widz oglądający sztukę wystawianą na scenie, dramat, w którym był aktor grający policjanta, a drugiego, Michaela, obsadzono w roli... Czyjjej? Dobrego Sąsiada? Bohatera?

„...albo podejrzanego! Człowieka, Który Wie Zbyt Wiele! Kogoś, kto...”.

Napiła się jeszcze kawy i ofuknęła w myślach. Rzeczywistość była wystarczająco paskudna i bez jej wyobraźni... bez jej paranoi!

- Wie pan - ciągnął Michael - wydaje mi się podejrzane, że jednego dnia Bradowi ktoś zabija psa, a nazajutrz sam Zeller umiera.

- Podejrzane? - spytał Hogan.

- Chcę powiedzieć... nie jestem policjantem, więc może nie powinienem używać takiego określenia, ale ta zbieżność jest dziwna. Nie sądzi pan, że jest dziwna, detektywie?

- Jasne, dziwna - przyznał Hogan. - Na świecie zdarza się mnóstwo różnych dziwnych rzeczy, co nie znaczy, że są podejrzane.

- Być może użyłem niewłaściwego słowa.

- Być może - zgodził się detektyw.

„Gry słowne! Ci dwaj bawią się w gierki słowne” - oceniła Beth z frustrującym uczuciem wykluczonego z grupy dziecka, które słyszy, jak rówieśnicy porozumiewają się sekretnym językiem, brzmiącym prawie jak rodzimy, a jednak niezrozumiałym. Nie, nie, to nie tak. Była po prostu... zdenerwowana, le interpretowała rzeczywistość, doszukując się niczym nieusprawiedliwionych konotacji dla każdego słowa, każdego zdania, a do tego dostrzegała osobliwe niuanse i przypisywała nowe znaczenia uniesionym brwiom albo stukaniu palcem o stół.

- O której wyszedł pan od pana Zellera ubiegłego wieczoru, panie Louden?

Michael zamachał ręką.

- Nie jestem pewny. Może o dziewiętnastej trzydzieści, może o dwudziestej. A może było później.

- Hmm - powiedział Hogan, kiwając głową. Patrzył w notes, nie podnosząc wzroku na Michaela. - Przypuszczamy, że Zeller umarł najpóźniej dwie godziny później. Dowiemy się więcej po autopsji. Zawsze w takich przypadkach przeprowadzamy sekcję. Powiedziałby pan, że Zeller był bardzo pijany, gdy pan od niego wychodził?

- Z perspektywy tego, co się zdarzyło - odparł Michael - pewnie teraz tak bym powiedział, chociaż wtedy wcale tak nie uważałem. Widzi pan, kiedy przyszedłem, Zeller był dość mocno wstawiony. Musiałem mu nawet

pomóc w dojściu do kibelka. Ale później ocknął się i wydawał trzeźwiejszy. Był w stanie na tyle dobrym, że uznałem, iż bez problemów mogę go zostawić samego...

Zawiesił głos, po czym nagle trzasnął pięścią w stół. Kawa chlusnęła poza krawędź filiżanki, którą Michael sobie przygotował, choć nic nie wypił.

- Powiniennem wtedy coś zrobić! Ale po prostu wielokrotnie widziałem Brada nieco podpitego i sądziłem, że nic mu nie będzie, że odeśpi whisky tak jak zawsze, a on tym razem zasnął na zawsze. Gdybym zaciągnął go tutaj, położył spać na kanapie w pokoju rekreacyjnym...

Odepchnął krzesło, wstał, odszedł kilka metrów od stołu, potem wrócił i oparł ręce na blacie. Głowa pochylona, ramiona zgarbione.

- Niech to szlag, Brad Zeller był moim przyjacielem, a ja...

Odwrócił się, szczypiąc grzbiet nosa. Oczy mu błyszczały.

Beth zobaczyła ból na twarzy męża stojącego w znużonej pozie człowieka pokonanego.

„Wini siebie - pomyślała. - I gra w tę dręczącą rozgrywkę mentalną pod tytułem «Gdybym tylko...»”. Nigdy chyba nie widziała Michaela bardziej bezbronnego i potrzebującego pocieszenia. W tym momencie wiedziała jedno - ogromnie, naprawdę i na zawsze... kocha swego męża.

Wstała i podeszła do niego. Michael objął ją.

- Przepraszam państwa - powiedział Hogan. Zamknął notatnik i wstał.
- Dość już wam się naprzykrzałem. Dzięki za kawę.

- Nic nie szkodzi - odparł Michael. - Przykro mi, że wtedy wyszedłem. Bo Brad był dobrym człowiekiem i...

Przerwał.

Detektyw wzruszywszy ramionami, dokończył za niego:

- I coś złego mu się przydarzyło. Wiem. Czasem tak się dzieje i możemy jedynie walić głową w mur, szukając odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”. A w waleniu głową w mur tylko jedno jest dobre - gdy przestajemy,

czujemy się lepiej. Więc proszę mi wyświadczyć przysługę, panie Louden.

- Jaką?

- Niech pan przestanie się zadrećcać. Brad Zeller miał wypadek. Tak to wygląda i dokładnie taką przyczynę śmierci potwierdzi autopsja. To właśnie się stało, kropka. Niech mi pan wierzy, widziałem dostatecznie dużo tego rodzaju nieszczęśliwych wypadków, aby mieć pewność. Najwyraźniej ma pan dobre wspomnienia związane ze swoim przyjacielem, a to już jest przecież coś. Proszę zachować te wspomnienia i nie obwiniać siebie o śmierć sąsiada. To nie była pańska wina.

- Tak... chyba ma pan rację, detektywie - przyznał Michael, a Beth zaczęła się modlić, aby jej mąż - „jej dobry, kochany, szlachetny mąż” - nie winił już dłużej siebie za śmierć biednego Brada Zellera.

Nie winił się za nią.

Chętnie przypisał ją sobie jako zasługę!

* * *

- Żałujesz, że przyjechaliśmy? - spytał Michael. Był środek popołudnia w sobotę w weekend Święta Pracy, a oni przebywali u Engelkingów. W kącie sekwojowego tarasu nad patio stały cztery krzesła ogrodowe rozstawione w kręgu, ale dwa z nich nie były teraz zajęte: Laura Engelking, gospodyni idealna, oddaliła się przed chwilą, oznajmiając: „Muszę zrobić coś z tymi pustymi szklankami, Beth i Michaelu!”, minutę później zaś Vern przeprosił ich i poszedł powitać nowych gości.

To było proste pytanie, jednak Beth nie odpowiedziała na nie natychmiast; zastanowiła się nad odpowiedzią. Michael musiał ją przekonywać, że powinni wziąć udział w przyjęciu u Engelkingów. Nie miała ochoty na spotkania towarzyskie. W gruncie rzeczy, kiedy obudziła się tego ranka, czuła, że ma ochotę robić dokładnie to samo, co wczoraj i przedwczoraj, czyli nic. Niestety dorosły człowiek nie może wylegiwać się w łóżku przez cały dzień. Dorosły człowiek ma obowiązki. Istnieją czynności, które

trzeba wykonać, gdyż... nie można ich nie wykonać... Tak, nie można po prostu leżeć i nie odczuwać ani zadowolenia, ani smutku, po prostu nie odczuwać niczego...

Tak czy owak, przez cały czwartek i piątek, choć nie wydawała się sobie bardziej żywa niż zombie w horrorze kategorii B, Beth zmuszała się do wykonywania swoich codziennych zadań i mierzyła z nimi - z zakupami, sprzątaniami i gotowaniem, ze swoją odpowiedzialnością za dom; rozmawiała z Marcy i Kim (młodsza córka bardzo martwiła się nadchodzącym rokiem szkolnym, bo to oznaczało „ułamki”, a ona nie była pewna, czy zna już tabliczkę mnożenia), a także z Michaeliem. Tak, obowiązki wobec tych, których kochała... Nawet poczytała gazetę i przejrzała podręcznik do psychopatologii przed semestrem, który zaczynał się w przyszłym tygodniu, czyli również wypełniła obowiązki wobec siebie samej.

Podczas wszystkich tych zajęć bardzo starała się nie myśleć o Bradzie Zellerze. Joanie, córka Brada, kobieta w średnim wieku, przyleciała z Kalifornii i wpadła do Loudenów na dwadzieścia minut. Wyglądała jak postać z wersji *Czarodzieja z Oz* przerobionej przez członków Nowej Fali z Zachodniego Wybrzeża - jedząca muesli Poszukiwaczka Wyższej Świadomości. Joanie przyjęła śmierć ojca isticie po stoicku: „Jego czas, może *karma*, wiecie” i „Ciało jest tylko ciałem, wiecie”, a więc gdy zwłoki Brada wydano z kostnicy okręgowej, potwierdzając jako przyczynę śmierci nieszczęśliwy wypadek, natychmiast zorganizowała kremację. Dom miał zostać wystawiony na sprzedaż w następnym tygodniu - „Są ludzie, którzy chcą zapłacić dobrą cenę, aby się nim zająć” - po czym Joanie wyjechała. I teraz Beth odnosiła wrażenie, jak gdyby Brad Zeller nigdy nie istniał, jak gdyby nigdy go nie było...

„I, o Boże, Boże, to takie niewłaściwe, po prostu nie w porządku, że człowieka można w ten sposób wymazać! Nie mogę sobie pozwolić na rozpamiętywanie tej kwestii, nie mogę sobie pozwolić na odczuwanie tego... tego wielkiego smutku przejmującego aż do kości...”

- Hej - Michael wyrwał ją z zamyślenia - o czym tak dumasz? Pytałem, czy cieszysz się, że tu przyjechalśmy.

Beth odpowiedziała mu szczerze.

- Tak.

Temperatura wynosiła jakieś dwadzieścia sześć stopni, nieliczne puchate chmury prezentowały się malowniczo na błękitnym niebie; można by sądzić, że natura sprzyja Ameryce, dając jej błogosławieństwo na weekendowe plany - piwne pikniki, mecze w softball i trzymanie się za ręce... uczucie młodości... wiarę, że wszystko będzie trwało wiecznie.

Na przyjęciu u Engelkingów było około czterdziestu osób - sąsiadów, pracowników Superior Chemical Company, przyjaciół gospodarzy. Niektórych spośród gości Beth spotkała wcześniej, innych widziała dzisiaj po raz pierwszy. Miała wrażenie, że wszyscy są szczerze zadowoleni, że zebrali się tu i teraz. No i wspaniali Laura i Vern, oczywiście... Chociaż Engelkingowie mieszkali zaledwie pół godziny jazdy na zachód od Park Estates, ich dzielnica, High Wood, to był inny świat - ekskluzywne przedmieście, zamieszkanе przez przedstawicieli „starych pieniędzy” oraz „nowe pieniądze z gustem”. A jednak Beth zawsze bardzo dobrze czuła się w towarzystwie tej pary, Verna - komicznego z jego kwieciste formalnym sposobem mówienia przywodzącym na myśl modelowego, durnie ekscentrycznego ulubionego wujka, który trafia się w każdej rodzinie, i Laury - z jej ciąglą wesołością, która nigdy nie wydawała się sztuczna.

Uczestniczenie w tym przyjęciu... bycie tu i teraz... z nimi wszystkim, stanowiło dosadne potwierdzenie słów Michaela z dzisiejszego ranka, czyli ostatni argument, którym przekonał ją, że powinni przybyć na przyjęcie do Engelkingów: „Życie musi toczyć się dalej, Beth”.

I Beth uznała, że jest gotowa toczyć dalej swoje życie.

- Kochanie - spytał mąż - wypijesz małego drinka?

- Tak - odparła. Zaśmiała się cicho. Poncz na winie mocno na nią działał. Czuła, jakby jej poziom percepcji zwiększył się, więc dźwięki -

rozmowa grupy stojącej w odległym końcu tarasu, zdania wymawiane przez ludzi poniżej, na patio, w ogrodzie za domem i przy basenie, radio grające gdzieś lekką muzykę - docierały do niej wyjątkowo wyraźnie. Żaden konkretny odgłos nie oznaczał sam w sobie niczego, ale zmieszane razem tworzyły szum równie kojący jak nocne hałasy docierające z sielankowego lasu. - Małego, Michaelu, i wiesz co?

- Co, kochanie?
- Mam świetne samopoczucie.
- Chyba też jestem trochę pijany - przyznał. - To był trudny tydzień, ale powiem to samo. Również czuję się świetnie.

Beth pomyślała, że jej mąż bynajmniej nie wygląda na pijanego. „I hej! Czy on w ogóle był kiedykolwiek pijany?” Czy chociaż raz widziała go porządnie zaprawionego, *el blotto*, zalanego, wciętego? A czyż scenka pod tytułem „Pijany mąż wraca do domu” nie stanowiła nieodłącznego, „obowiązkowego” elementu każdego małżeństwa klasy średniej?

Chichocząc, zdecydowała, że bez dwóch zdań będzie musiała poprosić Michaela, aby raz na jakiś czas porządnie się upił. Kiedy ktoś jest mocno zalany, masz szansę zobaczyć jego prawdziwy charakter - tak przynajmniej głosi prosta mądrość ludowa.

Gdy Laura Engelking wróciła, wręczając Beth kolejny kieliszek ponczu, powiedziała Michaelowi, że Vern zaprasza go na minutę do domu.

- Prawdopodobnie interesy - stwierdził Loudon, wzdychając teatralnie. - Praca, praca i jeszcze raz praca. O tym Vern stale myśli.
- Interesy? - Laura roześmiała się. - Michaelu, proszę cię! Vern chce ci pokazać swoją nową grę wideo! Za każdym razem, gdy uda mu się zabić kolejnego „obcego najeźdźcę”, wydaje okrzyk... jakby wygrał los na loterii.

Michael uśmiechnął się.

- Wiesz, Lauro, może Vern wygląda na spokojnego faceta, ale musisz zachować ostrożność.
 - Och, dłaczego, mój drogi?
- Zaśmiał się.

- Szef ma w sobie instynkt zabójcy.

Na trampolinie stał jakiś czternastolatek. Znieruchomiały, ręce podniesione, skoncentrowany, zdecydowanie postanowił nie zwracać uwagi na słodką trzynastolatkę w szortach i trykotowej bluzce z odkrytymi plecami - pannica siedziała na leżaku i także usiłowała udawać, że nie zauważa skoczka. Chłopiec wziął głęboki wdech, skoczył i spadł do wody na brzuch z gwałtownym i głośnym rozpryskiem. Nie spojrział na rozchichotaną trzynastolatkę, kiedy dopłynął do boku basenu i wyszedł z niego z zaczerwienionymi udami, klatką piersiową i brzuchem.

Na płytkiej części basenu jakaś matka zachęcała swojego przedszkolaka do nauki pływania, a inna kobieta, mocno przysadzista, siedziała na krawędzi basenu, mocząc stopy w wodzie.

Z kolei pewien mężczyzna kibicował dwóm ścigającym się dziewczynkom, które już po raz trzeci przepływały szerokość basenu po „bezpiecznej” stronie liny oddzielającej płytcznę od głębiny. Mniejsza dziewczynka wyglądała jak mała foczka w brązowym kostiumie kąpielowym, ale dzielnie walczyła z wodą, energicznie pracując nogami i machając rękoma, niepotrzebnie marnując energię, podczas gdy starsza - w kwiecistym czepku i dwuczęściowym czerwonym kostiumie - sunęła gładko i swobodnie, niemal bez wysiłku utrzymując się na prowadzeniu.

Mężczyzna wypił łyk z puszki micheloba. Nie był przystojny, tym niemniej prezentował się dystyngowanie. Wysoki i opalony, mniej więcej czterdziestopięcioletni, o czarnych, przyprószonych siwizną włosach i pełnej, lecz starannie przyciętej brodzie. Jego oczy miały intensywny odcień granatu. Czoło żłobiły bruzdy, sugerując raczej częsty kontakt z wiatrem i słońcem niż życie pełne zmartwień, a gęste brwi wydawała się łączyć jedna duża, nieco łukowata zmarszczka.

Marcy dotarła do boku basenu i podparła się, kładąc łokcie na krawędzi.

- Wygrałam - oznajmiła.

Kim, pryskając śliną i rozbryzgując wodę, wysapała:

- Ach tak?

Potem, skacząc siostrze na plecy, zanurzyła ją i przytrzymała pod powierzchnią.

Mężczyzna stanął na krawędzi basenu.

- No dobrze, dość tego - polecił, patrząc w dół. - Puść ją.

Kim popatrzyła gniewnie na wtrącającego się nieznanego, lecz mimo to puściła Marcy, która wyskoczyła spod wody, gwałtownie mrugając powiekami i kaszląc.

Mężczyzna przykucnął i spojrzał Kim w oczy.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Ona wygrała wyścig, więc jesteś na nią zła. Takie emocje są normalne, nie powinno się jednak atakować drugiej osoby.

Krótko później Beth, która postanowiła zobaczyć, co robią córki, znalazła je przy basenie, gdzie stały zawinięte w ręczniki i z ożywieniem rozmawiały z brodatym mężczyzną, który nadal kuczał, aby nie spoglądać na nie z góry.

- Cześć, mamó! - zawołała Kim. - To jest... Brodacz podniósł się, uściśnął kobiecie rękę, po czym się przedstawił.

- Jestem Beth Louden - odparła. Musiała przyznać, że spotykała niewielu mężczyzn, którzy potrafili swobodnie wymienić uścisk dłoni z kobietą; albo tylko lekko muskali jej palce, albo starali się nieco skorygować swoje normalne „rubaszne powitanie biznesmenów”, pokazując w ten sposób swoją wiarę w równość obu płci. Tak czy owak, większość mężczyzn uważała uścisk kobiecej ręki za coś nienaturalnego i z tego względu pierwsze spotkania bywały dla Beth zazwyczaj krępujące.

Ten nieznanomy potrafił jednak przytrzymać jej dłoń w sposób zupełnie zwyczajny przez idealnie odpowiedni okres, a potem równie swobodnie ją puścił.

- Mamo - odezwała się Kim - czy jedzenie jest gotowe?

Beth nie wiedziała, ale zaproponowała dziewczynkom, aby poszły i sprawdziły. Natychmiast pobiegły.

- Masz śliczne dzieci. Musisz być z nich dumna.
- Dziękuję - powiedziała Beth. - I tak, jestem z nich bardzo dumna.

Kilka minut później odkryła, że „wrażenie pochodzące z uścisku dłoni” było absolutnie właściwe. Jej rozmówca należał do tych rzadkich osób, przy których każdy niemal od razu czuje się odprężony. Pogawędka toczyła się spontanicznie, tematyka szybko zmieniła się z powierzchownej na poważną i Beth przyłapała się na tym, że opowiada temu zupełnie nieznanemu człowiekowi o niektórych zdarzeniach z minionego tygodnia. Zadała sobie pytanie, czy to alkohol uczynił ją zbyt gadatliwą - uznała, że tak i że właściwie nie ma nic przeciwko temu. Żywiła nadzieję, że zły okres jest już za nią, że ten etap nieodwracalnie się skończył. Z rozmowy dowiedziała się, że mężczyzna zna Verna Engelkinga od wielu lat, że właśnie przeprowadził się na południowe przedmieścia ze Wschodu i że jest psychiatrą.

Nie mogła się w tym momencie powstrzymać, musiała się roześmiać, a potem poczuła się zobowiązana wyjaśnić swoją reakcję.

- Nawet wyglądasz jak psychiatra.
 - Wiem, co masz na myśli - odparł, wyraźnie nieurazony jej słowami.
- Ludzie stale mi to powtarzali, aż wreszcie doszedłem do przekonania, że powinienem się tą dziedziną zająć. Cieszę się tylko, że nie wyglądam jak kowboj.

Beth zdradziła mu, że ona sama bardzo interesuje się psychologią. Że w gruncie rzeczy to...

Podeszli do nich Vern Engelking i Michael. Przez chwilę Beth wydawało się, że widzi zaskoczenie na twarzy męża, który po chwili już tylko uprzejmie się uśmiechał, wyciągając rękę, podczas gdy ona mówiła:

- Michaelu, chcę, żebyś poznał doktora Jana Pretre.

- Przyznam ci się, nie wiedziałem...
- Czy nie masz przypadkiem przed sobą ducha? A może raczej pomyślałeś... zesrać się czy udać ślepego? No chyba że nie wiedziałeś, czy rzeczywiście wolisz masło od margaryny? Byłeś zaskoczony. Widziałem to.
- Tak - przyznał posępnie Louden. Zaskoczenie było uczuciem, którego nie zaznał od lat. A przecież Obcy nie może sobie na nie pozwolić.
- W porządku, Michaelu - zapewnił go Jan Pretre. - Nic się nie stało... tym razem. Po prostu bądź ostrożny.

Później tego popołudnia zaszła nagle zmiana w pogodzie, co jest często spotykanym zjawiskiem na Środkowym Zachodzie. Temperatura zaczęła gwałtownie spadać. A zatem teraz, godzinę po zachodzie słońca, wielu gości już odjechało, a większa część tych, którzy pozostali, przebywała wewnątrz, w cieple, delektując się drinkami z dobrze zaopatrzonego barku Engelkingów.

Michael wyślizgnął się wraz z Janem przed dom i teraz stali pogrążeni w rozmowie tuż obok garażu, w którym swobodnie mieściły się trzy samochody.

Ale jak długo, spytał Louden, będzie on, Michael... będą wszyscy Obcy... jak długo jeszcze trzeba będzie zachowywać tę ostrożność? Już tyle lat udawał jednego z normalnych, istotę bez znaczenia, anonimowego przedstawiciela nijakich. Kiedy nadejdzie Czas Obcych, ich czas, ten, którego nadejście Pretre obiecał tak dawno temu?

- Jesteśmy bardzo liczni, Michaelu - oświadczył Jan bezbarwnym głosem. - Liczniejsi niż potrafisz to sobie wyobrazić. Liczniejsi niż nawet ja kiedykolwiek sądziłem. Każdego dnia odnoszę wrażenie, że znajduję kolejnego osobnika, który nosi nasz znak, którego aura ma kolor ognia i krwi. Jesteśmy wszędzie, Michaelu. Po prostu bądź cierpliwy. Już niedługo, choć jeszcze nie teraz. Nasz Czas nadejdzie. Wyczuwasz jego bliskość, prawda, Michaelu?

- Tak. - Louden skinął głową.

Wiatr przywiał zimno z północy, a Michael wyczuł w nim obietnicę zimowych przymrozków, dosłyszał nocne krzyki i zapowiedź terroru zimna. Ten wiatr przyrzekał także śmiertelne ciosy, przelaną krew, śmierć i... Czas Obcych.

DZIESIEĆ

Żadna z dziewcząt nie zwróciła uwagi na Michaela, stojącego w otwartych drzwiach ich sypialni. Marcy - kolana ugięte, ramiona oparte na wezłowie łóżka - czytała *Nancy Drew*. Kim leżała na swoim łóżku na brzuchu; podparta na łokciach, wspierając podbródek na złączonych dłoniach, wpatrywała się w Choppera i Śnieżynka. Świnki morskie siedzące obok siebie na poduszce, były równie nieruchawe jak wypchane zwierzęta futerkowe i tylko ich intensywnie lśniące oczy stanowiły potwierdzenie, że dziewczynka ma przed sobą żywe stworzenia.

„Cholerna parka brzydkich małych paskudztw - pomyślał Michael. - I ten smród z ich klatki, odór sosnowych trocin i świńskiego gówna!”.

- Hej - zagaił - odrobiliście lekcje?

Dwie zaskoczone twarzyczki spojrzały na niego.

- Nie miałyśmy żadnych, tatusiu - wyjaśniła Marcy. - Nie pierwszego dnia.

Był wtorek po Święcie Pracy, tradycyjny „pierwszy dzień szkoły” w większości amerykańskich stanów. Dzień ten oznaczał również powrót Beth do college'u, toteż mniej więcej piętnaście minut temu rozpoczęła naukę w Lincoln Junior College'u, pozostawiając Michaelowi opiekę nad córkami.

Zerknął na zegarek.

- No cóż, zatem domyślałam się, że pora do łóżek, zgadza się?

- Ale tatusiu - Marcy zaprotestowała smutno - jest za wcześnie...

„Jezu Chryste - pomyślał - czy ona nie rozumie, że ja żartuję?!” Były momenty, gdy podejrzewał, że Marcy nie ma więcej rozumu niż te wstrętne, głupie świnki!

- Powiem wam coś! - odparował, poruszając głową jak stawiany na desce rozdzielczej samochodu piesek kiwający łebkiem. - Nawet ukołyszę was, dziewczynki, do snu. Zobaczycie, wyjdę i znajdę naprawdę wielki kamień... - dokończył zdanie w myślach: „którym roztrzaskam wam te czaszki o tych mózgach!”.

- Wiesz, tato - odburknęła Kim - twoje dowcipy robią się trochę oklepane.

Louden podparł się pod boki i z kretyńskim entuzjazmem Steve'a Martina zagrał jeden z klasycznych gagów filmowych:

- No cóż, wybaczcie mi, drogie panie!

Marcy zachichotała. Kim prychnęła szyderczo.

- W porządku, skoro nie macie żadnej pracy domowej i nie jesteście gotowe do łóżek, może wsiądziemy w samochód i pomkniemy do Dari-Quik na lodowe różki. Jak to brzmi?

- Uhm - mruknęła Kim.

- Och - ciągnął Michael - bardzo się cieszę, że moja sugestia spotyka się z twoją aprobatą, kochana Kimmy. Wiesz, że moim jedynym celem jest uszczęśliwianie was! Wyrzuć więc, dziewczyno, Bałwanka i Floppera, a potem jedźmy.

- One się nazywają Śnieżynek i Chopper - odcięła się Kim. - I to także nie było zabawne.

Po drodze do drzwi frontowych Marcy chwyciła mocno rękę ojca.

- A ja lubię twoje żarty, tatusiu - przypochlebiła się.

- To dobrze - odparł Loudon. - Ja też je lubię.

Zastanowił się, jak „córeczce tatusia”, „małej siostrzyczce” oraz „słodkiej, kochanej mamusi” spodoba się wielki żart, który dla nich zaplanował. Tak, tak, ten żart... O cholera, na pewno uznają go za wprost przezabawny!

Beth zaparkowała chevette w części parkingu oznaczonej literą „D”. Upewniła się, że ma przy sobie kołonoratnik i podręcznik *Psychopatologia*, po czym otworzywszy notes na pierwszej czystej stronie, napisała: „Beth Louden” nowym długopisem marki Bic, a następnie, poniżej, dodała datę drugim długopisem, sprawdzając w ten sposób, czy oba piszą.

„To głupie, jaka jestem podekscytowana, a równocześnie osobiście przestraszona” - pomyślała, wysiadając z auta. Emocje, których doświadczała, a także myśli przelatujące jej przez głowę, wcale nie były bardziej wyrafinowane i dojrzałe niż te, które ogarniały ją, kiedy jako dziecko zaczynała kolejną klasę w szkole. „Czy nauczyciel będzie miły?” Z katalogu dowiedziała się o prowadzącym zajęcia tylko jedno: że nazywa się - on lub ona - K. Bollender. „A koledzy z klasy... czy będą mili albo nawet fajni? Czy będzie wśród nich klasowy mędrak, klasowy pajac i klasowy nieuk...? I, Boże, nie pozwól, aby Beth Louden urosły ośle uszy!” Tak bardzo chciała dobrze wypaść na testach i sprawdzianach, znajdować w głowie właściwe odpowiedzi, gdy nauczyciel ją wezwie, a także konstruować odpowiednie pytania, których nie będzie się wstydziła zadać...!

Beth walczyła przez moment z silną pokusą, aby odwrócić się, wskoczyć z powrotem do chevette i pojechać do domu. Czy ktoś kiedyś powiedział, że jest coś złego w prowadzeniu życia żony i matki... oraz cholernie dobrej dekoratorki wnętrz i świetnej ogrodniczki?!

„Tak - przypomniała sobie - ja sama tak twierdzę”. To był jej wybór, jej decyzja, chciała przecież zostać... spróbować przynajmniej zostać... kimś więcej, niż dotąd była.

A była, do diabła, niezłą szczęściarą, że miała przy sobie kogoś takiego jak Michael Louden, mężczyznę oddanego najbardziej, jak to tylko możliwe. Gdy szła na pierwsze zajęcia, oznajmił jej, że wygląda wspaniale. No cóż, powiedział prawdę, gdyż bardzo starannie wybrała dzierzganą bluzkę w kolorze kremowym i czarne markowe dżinsy (jej jedyna para, ale naprawdę czuła się w nich jak wielkowiejska gwiazda), a wizerunek studentki

college'u dopełniła nowymi złotymi kolczykami i starannym makijażem, który zakrywał ciemne kręgi pod oczyma - ślady po stresach z ubiegłego tygodnia.

Oczywiście, Michael jak to Michael, równocześnie musiał się z nią trochę podroczyć... i pożartować.

- Ale, wiesz - oznajmił z udawaną powagą - myślałem, że wszystkie uczennice noszą obecnie plisowane spódniczki, mokasyny i zaokrąglone kołnierzyki. - Jednakże gdy wycofywała samochód z podjazdu, stał tam z szerokim uśmiechem, machając i wołając: - Do boju! Pokaż im wszystkim, co potrafisz!

Tak przynajmniej zrozumiała, gdyż wymówił słowa w swój własny słodki, głupi sposób.

- Do boju! - powiedziała teraz sobie, wchodząc do Lincoln Junior College, gmachu o ośmiokątym kształcie.

K. Bollender okazał się Kevinem Bollenderem.

- ...i proszę, mówcie do mnie „Kevinie”, a nie „panie magistrze” - oznajmił szesnastu osobom, które zajęły miejsca w sali numer dwieście jedenastcie. Szybko odczytał listę obecności, po czym oświadczył, że ma świadomość, iż prawdopodobnie zastanawiali się nad „tym facetem”, który poprowadzi zajęcia z psychopatologii, może nawet martwili się, czy będzie dobrym wykładowcą dla takiej grupy, ponieważ najpierw „trzeba się poznać”.

Bollender był magistrem psychologii klinicznej. Od dwóch lat pracował na oddziale psychiatrycznym w szpitalu Manteno State. Właśnie pisał doktorat; ukończył już badania do niego i był dokładnie w połowie spisywania teorii.

Inne kwestie związane z prowadzącym zajęcia studenci widzą sami, powiedział. Miał pod trzydziestkę, mierzył metr osiemdziesiąt i wyglądał jak potencjalny sportowiec, któremu własne geny i los dały nieco za mało sportowych walorów - zbyt niski wzrost jak na koszykarza w dzisiejszej

erze olbrzymów i zbyt szczupłą sylwetkę, by mógł uprawiać amerykański futbol, skoro nawet rezerwowi licealiści ważą obecnie ponad sto kilo. Kiedy przechodził obok tablicy od biurka do katedry, poruszał się w sposób lekki, typowy dla biegaczy. Jego włosy były brązowe i falujące, no i był przystojny - wyglądałby jak model z „Gentleman's Quarterly”, gdyby nie trochę zbyt wydatny nos. W dodatku, jakby obwieszczając swój brak próżności, podkreślał tę cechę przyciągającym spojrzenie sumiastym wąsem.

Beth nazwała go w myślach seksownym... byczkiem w dzinsach, kra-
ciastej koszuli i sportowej marynarce.

„Byczek? O rany, panuj nad sobą, kobieto!” - złała się surowo. Była przecież „Żoną-i-Matką”! Niedługo będzie panią w średnim wieku - „Och, no może za czas nieco dłuższy niż niedługo” - i nie powinna pozwalać, by ogarniały ją tego typu niebezpieczne romantyczne rojenia. Takie dumania są dobre dla licealistek (hmm, te ich chichoty!), które czekały na swojego Toma Sellecka albo Pierce'a Brosnana, ewentualnie dla młodziutkich studentek popadających w klasyczo-komiczne zadurzenie w swoim profesoro-
rze...

Zadała sobie pytanie, jak wyglądają jego łokcie...

No nie, to było zupełnie absurdalne! Jej myśli były bez wątpienia cał-
kowicie haniebne!

„Och, przestań już!” - nakazała sobie. Zaczęło ją powoli denerwować
coś, co było przecież jedynie chwilową fantazją, niczym więcej. Wszyscy
miewają fantazje. To one stanowiły podstawę każdego sukcesu medialnego
od wydawanych w miękkiej oprawie romansów aż po - cóż by innego? -
Fantastyczną wyspę!

A myśl, że Beth mogłaby kiedykolwiek zrealizować tę fantazję, że zro-
biłaby choć jeden jedyny gest, aby wprowadzić ją w życie, no nie, to już
był prawdziwy absurd, wprost niewiarygodny! Coś takiego nie mogłoby się
zdarzyć nigdy, absolutnie nigdy, przenigdy, nawet za milion lat!

Postanowiła skupić się na słowach wykładowcy - otworzyła notatnik, podniosła długopis i zapatrzyła w stronę mężczyzny.

- A zatem - podjął Kevin Bollender - istniał co do waszej grupy pewien wymóg, więc każdy z was ma za sobą co najmniej jeden zaliczony semestr z psychologii.

Beth przypomniała sobie, że zajęcia z psychologii były jej ulubionymi podczas pierwszego (i jedyne) roku w college'u, tymi, które natchnęły ją do marzeń o pracy w tej dziedzinie albo w opiece społecznej.

- ...wiecie zatem wszyscy, co dosłownie oznacza termin „psychologia”. Jest to nauka o psychice, czyli o umyśle. Ale pojęcie jest dość dwuznaczne. Ostatecznie, kiedy używamy słowa „umysł”, otrzymujemy termin nieokreślony i abstrakcyjny. Nie, nie, jeżeli pragniemy nazwać psychologię nauką, musimy być dokładniejsi. Potrzebujemy jakiejś obiektywnej definicji. Co powiecie na taką: „Psychologia to nauka o zachowaniu organizmu ludzkiego”? Czy wszyscy tu obecni potrafią ją zaakceptować?

Beth zapisała definicję w swoim notatniku. Jakiś mężczyzna w średnim wieku podniósł rękę.

- Czy definicja terminu „psychologia” nie powinna zawierać w sobie czegoś na temat badania myśli i emocji? - spytał.

- Trafna uwaga - ocenił Kevin Bollender - i bez wątpienia, gdy mówimy o psychologii, właśnie te kwestie jesteśmy skłonni z nią kojarzyć. Pamiętajcie jednak, że prawdziwa nauka musi być obiektywna. Konkretno zachowania możemy obserwować bezpośrednio i obiektywnie, nie potrafimy natomiast postrzegać myśli ani emocji, prawda? Myśli i uczucia to abstrakty. Widzimy tylko określone postępowanie, a później wyciągamy wnioski co do „wewnętrznych” - intelektualnych i emocjonalnych, weźmy również pod uwagę chemiczne - procesów leżących u jego podstaw.

Wykładowca przeszedł od katedry do biurka i usiadł na jego krawędzi.

- Ktoś ma jeszcze jakieś pytanie? - Rozejrzał się po sali, a potem uśmiechnął.

„Ma promienny uśmiech - pomyślała Beth - jednocześnie przyjazny i prowokujący”. Mężczyzna wyraźnie czuł się też absolutnie swobodnie w roli nauczyciela.

- No dobrze - podjął - skoro nie zadajecie mi pytań, ja was trochę popytam. W przeciwnym razie będziemy tu siedzieli przez dwie godziny, słuchając swoich oddechów!

Wszyscy się roześmiali, a Kevin kontynuował:

- Te zajęcia nazywają się „psychopatologia”, co oczywiście oznacza, że będziemy się zajmować zachowaniem odbiegającym od normy. Zanim jednak do tego dojdziemy, musimy bez cienia wątpliwości ustalić, jakie zachowanie jest „normalne”. W ten sposób nie pomylimy się i nie będziemy marnować czasu na rozważanie zachowań normalnych, bo przecież pragniemy zajmować się stukniętymi i szalonymi, zgadza się?

Znów rozległ się śmiech całej grupy, teraz głośniejszy, gdyż wszyscy już się nieco odprężyli, szczególnie że uprzytomnili sobie, iż Kevin Bollender nie należy do tych nudnych wykładowców, którzy monotonicznie czytają z pożółkłych notatek, a następnie robią sprawdziany, mające na celu sprawdzenie, który ze studentów posiada umiejętność wyuczenia się podanej teorii słowo w słowo.

- A zatem pytanie na dzisiejszy wieczór brzmi: „Co jest normalne?”

Nikt nie udzielił odpowiedzi.

- Wasza reakcja jest rozczarowująca - zauważył Bollender z udawanym westchnieniem. - Ponieważ jednak jest to nasze pierwsze spotkanie, muszę powiedzieć, że taka reakcja grupy na moje pytanie jest... normalna.

Zeskoczył z biurka i zamachał obiema rękoma jak kolonijny opiekun gotów dyrygować podczas wspólnego śpiewania przy ognisku.

- Podejdźmy do tej kwestii w inny sposób, dobrze? Proszę, aby podniosły ręce osoby... tutaj, w tej sali, które uważają się za normalne. Dodam, że jeżeli nie zobaczę wszystkich rąk w górze, natychmiast uciekam tamtychmi drzwiami.

Szesnaście roześmianych osób spełniło jego polecenie.

- Świetnie. - Kevin kiwnął głową. - Wiemy na przykład - ciągnął - jakie zachowanie jest w obecnych czasach uważane za normalne, gdy chcemy wystąpić o pozwolenie na broń. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnie sondaże wykazały, że uzbrojonych jest mniej więcej czterdzieści dziewięć procent mieszkańców Stanów Zjednoczonych. Proszę zatem, aby nadal trzymały rękę w górze wszystkie normalne osoby spośród was, które posiadają broń.

W grupie znajdowało się pięciu posiadaczy broni, między innymi również mężczyzna w średnim wieku, który wcześniej zadał pytanie dotyczące definicji psychologii. Bollender przeszedł wzdłuż rzędu, podszedł do niego i stanął przy jego krześle.

- Jak się nazywasz? - spytał mężczyznę.

- Lee - odparł tamten - Lee Thompson.

- W porządku, Lee - kontynuował Kevin. - Więc masz broń? Pistolet? Strzelbę?

- Pistolet - odrzekł Thompson. - Do obrony.

- Co będzie, jeśli przyniesiesz ten pistolet na zajęcia w przyszłym tygodniu i kiedy odczytam twoje nazwisko, zastrzelisz mnie?

Mężczyzna popatrzył na niego zakłopotany.

- To byłoby morderstwo - odrzekł z wahaniem.

- Morderstwo - powtórzył Kevin w zadumie, marszcząc czoło i składając ręce. - Zabicie drugiej osoby. Czy nazwałbyś taki postępek normalnym zachowaniem, Lee?

- Oczywiście że nie!

- Hmm... - Kevin Bollender potarł podbródek w zamyśleniu i wrócił przed swoje biurko. - Ktoś potrafi wskazać sytuację, w której zabicie drugiej osoby jest czymś normalnym?

Beth podniosła rękę.

- Podaj swoje imię i nazwisko, bardzo cię proszę. Im szybciej wszyscy się poznamy, tym lepiej. W ten sposób zaczniemy odbywać przyjazne,

intelektualne dyskusje zamiast bezosobowych wrzaskliwych kłótni typowych dla obrad Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Beth wypowiedziała swoje imię i nazwisko, poczuła się jednak, jakby przedstawiała się nie całej grupie, a tylko prowadzącemu zajęcia i wrażenie to nieco ją zdeprymowało.

- Zabijanie innych - oznajmiła - było zawsze przyczyną wszystkich wojen w historii świata. Podczas wojny zabójstwo jest zatem legalne. I normalne.

- Dobrze! – pochwalił ją Bollender.

Beth zarumieniła się po jego aprobachie, toteż natychmiast spuściła wzrok na swój notatnik i zaczęła udawać, że coś pisze.

- Czyli że najwyraźniej zachowanie, które uważa się za odbiegające od normy w pewnych warunkach, może stać się normalne, jeśli czas i okoliczność się zmieniają. Oto inna sytuacja: co by było, gdyby nasz przyjaciel, Lee Thompson, zastrzelił mnie, ponieważ uważałby się za Jezusa Chrystusa, a ja byłbym dla niego antychrystem?

Cała grupa zgodziła się, że jest to zachowanie nienormalne - z wyjątkiem Beth, która znowu podniosła rękę i przemówiła.

- A może interpretacja czynu Lee zależałaby od tego, czy rzeczywiście byłby on Jezusem Chrystusem?

- Nie takie nazwisko jest wpisane na moim prawie jazdy - zażartował siedzący trzy rzędy za nią Lee. - Ale czyżbyś był Antychrystem?

- To możliwe - odparł Kevin. - Tylko skąd byś o tym wiedział?

- Myślę... - zaczęła Beth, wahając się przez chwilę. Miała ekscytujące, wręcz podniecające uczucie, że naprawdę myśli, że używa swego umysłu do działania bardziej wymagającego niż na przykład obliczanie, jaką kwotę można wypłacić z konta pod koniec miesiąca. - Sądzę, że musi istnieć jakiś dowód, jakiś niezbity fakt, coś, co potwierdzi podejrzenia Lee.

- I to - podsumował dramatycznym tonem Kevin - jest celna uwaga!

Rzetelna odpowiedź. Prosisz o wymierny, obiektywny dowód, o jakiś konkretny czyn, który potrafimy dostrzec i zinterpretować. W ten sposób wracamy do naszej podstawowej definicji psychologii, zgadza się?

Kobieta w okularach, których oprawki były ozdobione kryształkami, podniosła rękę. Miała siwe włosy i zgorzkniały wyraz twarzy.

- Przepraszam, ale wydaje mi się, że kręcimy się w kółko. Nie rozumiem. Skoro istnieje odpowiedź na pańskie pytanie „Co jest normalne?”, nie może pan po prostu nam jej udzielić?

- Obawiam się, że nie - odparł Bollender, wzruszając ramionami. - Jestem mistrzem w wymyślaniu pytań. Jeśli chodzi o udzielanie odpowiedzi, nie idzie mi to nawet w połowie tak dobrze.

Wnosząc z jej miny, kobieta w okularach z kryształkami nie tak sobie wyobrażała prowadzenie zajęć ze studentami.

- Posuńmy naszą tezę o krok dalej. Czy normalne jest zabijanie ludzi, gdy uważasz się za lepszego do nich?

- Oczywiście, że nie! - zawołał szczupły, długowłosy młody mężczyzna, który zajmował pierwsze biurko w pierwszym rzędzie. Wyglądał, jak gdyby dopiero niedawno przestał być nastolatkiem, a jego wysoki głos kojarzył się z wciąż trwającą młodzieńczą mutacją.

- Och - podjął Kevin. - Oto sytuacja przykładowa. Dorastas w hitlerowskich Niemczech. Działasz w Hitlerjugend. Wierysz, że jesteś idealnym przedstawicielem wyższej rasy. Zostajesz kapo w Dachau...

- Nie, nie - przerwał mu długowłosy młokos - mówisz o nienormalnym społeczeństwie. To nie jest normalne, że ludzie wierzą, iż mają prawo zabijać innych, ponieważ są od nich lepsi.

- Kilka lat temu - kontynuował Bollender - w naszym miłym, normalnym społeczeństwie pojawiło się dwóch facetów, Leopold i Loeb...

Aby przypomnieć grupie, że kwestia: „Co jest normalne?” pozostaje jedynym tematem dyskusji, Kevin zadawał kolejne pytania, przedstawiał

jaskrawe przykłady, prowokował do inspirującej wymiany poglądów i opinii. W pewnym momencie długowłosa młody mężczyzna tak bardzo się zirytował, że uderzył pięścią w biurko, a jego głos naprawdę zmienił się w pisk, gdy rzucił jedno słowo: „Brednie!”.

Kevin Bollender zerknął w końcu na zegarek.

- Zostało tylko kilka minut, więc czas zakończyć naszą dyskusję.

Beth nie mogła uwierzyć, że dwie godziny minęły tak szybko. Jej umysł był zmęczony, ale było to przyjemne zmęczenie, które następuje po intensywnym wysiłku intelektualnym, po „prawdziwym” myśleniu. Beth była też zadowolona ze swoich wypowiedzi na zajęciach. („Nie, nie, nie jestem żadną kurą domową o ptasim mózdzku, która ledwie nadaje się do takich pseudowyzwań jak konieczność zapamiętania, ile filiżanek przypada na litr! Była studentką... uczyła się!”). I cieszyła się z tego, że jest z siebie zadowolona. To było zupełnie nowe odczucie.

- Na czwartkowe zajęcia - powiedział Kevin – proszę przeczytać rozdziały pierwszy i drugi... I, hej, nie zdziwcie się, jeśli zrobię wam mały test, dobrze? Rozumiecie, władze college'u życzą sobie, abym udowodnił, że jestem nauczyciel akademickim, więc muszę wystawiać wam konkretne oceny. No dobrze, zanim skończymy, są jeszcze jakieś pytania na jakikolwiek temat?

Jak można było się spodziewać, pytanie miała negatywnie nastawiona do prowadzącego kobieta w okularach z kryształkami.

- Jaka jest pointa całej tej dzisiejszej dyskusji, skoro nie potrafimy uzgodnić, co właściwie jest normalne?

- Bardzo dobre pytanie. - Kevin zadumał się, poważniejąc. - I mam na nie odpowiedź! Celem moich zajęć jest skłonienie was do myślenia. Musicie zacząć postrzegać ludzkie zachowanie w taki sposób, w jaki powinien je widzieć student psychologii. Musicie zdać sobie sprawę z faktu, że chociaż na psychologię składają się dziesiątki prostych pytań, nie istnieją

proste odpowiedzi. I nie mogą istnieć, skoro zajmujemy się tak złożoną istotą jak człowiek.

Wychodząc z sali, Beth Louden zatrzymała się przy biurku prowadzącego. Właśnie spędziła jeden z najprzyjemniejszych wieczorów od lat. Była pobudzona i ożywiona, toteż przyszło jej do głowy tylko jedno słowo.

- Dziękuję - powiedziała.

Kevin Bollender popatrzył na nią zmieszany.

- Proszę bardzo - odparł - chociaż nie jestem pewny, czy rozumiem, za co mi dziękujesz.

Uśmiechnęła się. Nagle, gdy rozmawiała z nim sam na sam, opanowała ją nieśmiałość... „I powiedzmy to sobie wprost: ten mężczyzna niewytłumaczalnie mnie pociąga, tak więc, niech to szlag i natychmiast o tym zapominaamy!”

- Dziękuję - wymamrotała, czując gorąco rumieńca zalewającego jej twarz - za świetne zajęcia.

Pospiesznie wyszła.

Uznała, że jak na jeden wieczór wystarczy tej stymulacji umysłowej i pomyślała, że najlepiej zrobi, jeśli teraz wróci do swoich dzieci i męża, do domu, tam, gdzie było jej miejsce!

* * *

Na skali, która mierzy inteligencję zwierząt, świnki morskie nie sytuują się wysoko. Ich mózg nie jest lepiej rozwinięty niż mózg szczura.

Jak wszystkie żywe stworzenia, świnki morskie reagują jednak na bodźce. Reakcja białej świnki morskiej, gdy wyjęto ją z jej klatki, była typowa dla każdego stałocieplnego, praktycznie bezbronnego stworzenia. Zwierzątko poczuło podniecenie. To podniecenie nie było strachem; świnka została jedynie poinstruowana przez mózg, że trzeba będzie zacząć się bać, jeśli receptory czuciowe dadzą ku temu powód.

Ręka pod brzuchem świnki była delikatna. Palec gładzący jej plecy

był lekki. Podniecenie świnki przybrało formę przyjemności.

Nagle palec i kciuk zmieniły się w nieprzyjemną obrożę wokół szyi świnki i gryzoń zaczął się wiercić. Ucisk narastał.

Teraz zwierzątko bało się. Uciekłoby, gdyby mogło, niestety nie mogło.

Pozostawiona w klatce druga świnka, brązowo-biała, wściekle biegła w kółko, wzniesając w powietrze trociny sosnowe. Zwierzątko to posykiwało, to świstało, to mlaskało - hałas miał postać obłąkanego ciągu dźwięków, który przywodził na myśl odgłosy z odtwarzanej wstecz taśmy magnetofonowej.

Biała świnka walczyła, aż w końcu zamarła. Nawet mało inteligentne stworzenie potrafi bowiem przeczuć własny rychły zgon i wtedy poddaje się temu, co nieuniknione. Biała świnka morska ponownie poruszyła się dopiero po śmierci - bezwiednie, gdy jej szyja została złamana, a układ nerwowy wysyłał ostatnie, konwulsyjne sygnały do łapek.

Brązowo-biała świnka zatrzymała swój dziki bieg w tę i z powrotem po klatce. Nie wydawała teraz żadnego dźwięku. Tylko jej nozdrza drżały w obliczu śmierci.

JEDENAŚCIE

Michael wszedł do kuchni w swoim nowym ciemno-grafitowym garniturze.

- No i? - spytał, przyjmując pozę modela. Ręka wyciągnięta, prawe ramię ugięte w łokciu.

Była piąta trzydzieści w środę rano. Kawa czekała zaparzona, jajka dla męża dochodziły na ogniu. Beth nie miała powodu wstawać tak wcześnie, czego Michael nie omieszkiał jej wcześniej powiedzieć, jednak odparła, że nie ma nic przeciwko zrywaniu się o świcie. Michaela czekała długa jazda do St. Louis, blisko siedem godzin, więc chciała wyekspediować go w drogę po przyzwoitym śniadaniu.

Teraz skinęła głową z aprobatą.

- Wyglądasz doskonale, istny młody dyrektor, który odnosi same sukcesy.

- Nooo cóż, a nieee odnoszę? - wycodził komicznie. - Jaaasne, powinnaś tooo dostrzec.

Beth posmarowała jego tost masłem i podała mu śniadanie.

- Widzę, że naprawdę masz ochotę na tę podróż, Michaelu.

- Chyba tak - odrzekł, popijając kawę. - Zawsze jakaś odmiana w codziennej rutynie, coś nowego. - Roześmiał się. - A może takiego nudnego faceta jak ja rajcuje spotkanie z naszym dostawcą produktów papierowych, czyli szansa omówienia wszystkich rodzajów papierowych ręczników, pojedynczo i podwójnie składanych, szorstkich i brązowych do warsztatów albo świetnej jakości, supermiękkich do łazienek...

Dziesięć minut później po Loudena podjechał Vern Engelking. Beth pomyślała, że ekspresja Verna i jego rozświetlający pomieszczenia uśmiech jest jak balsam dla duszy. Człowiek po prostu dobrze się czuł już choćby dlatego, że przebywał w tym samym pokoju co Engelking.

Uświadomiła sobie przy okazji, że jej stosunek do Verna daleko wykracza poza zwykłe „lubienie”, że właściwie jest to jakiś rodzaj „rodzinnej miłości” zarezerwowanej dla ulubionego wujka, takiego, który robi sztuczki magiczne, sięgając ci za ucho i znajdując ćwierćdolarówkę, którą potem ci wręcza.

- Masz ochotę na śniadanie, Vern? - spytała.
- Och, nie chciałbym się narzucać - odparł Engelking - choć przed wyjściem z domu wypilem jedynie filiżankę kawy i... tyle.
- Jedno jajko czy dwa? - zapytała Beth.
- Poproszę dwa - odpowiedział.

Dwadzieścia minut później Beth odprowadziła obu mężczyzn do progu. Michael zapewnił ją, że wrócą następnego dnia po południu, na tyle wcześnie, by mógł posiedzieć z dziewczynkami, gdy Beth pojedzie na zajęcia do Lincoln Junior College.

Kiedy wróciła, by dolać sobie kawy, zapatrzyła się w widoczne przez okno nad zlewem pierwsze niepewne promienie wschodzącego słońca. Delektowała się faktem, że ten spokojny, dobry czas ma wyłącznie dla siebie, gdyż córki wstaną z łóżek nie prędzej niż za czterdzieści pięć minut. Nawet nie włączyła radia, nie chcąc zakłócać swojej prywatnej, cichej pory świtu.

Przyniosła do kuchni podręcznik do psychopatologii, położyła go na stole i przejrzała pierwsze dwa rozdziały. Już wcześniej gruntownie przestudiowała ten materiał, podkreślając ważne ustępy żółtym markerem i robiąc notatki, ale z przyjemnością przeczytała po raz kolejny „mądre słowa” i wiedziała, że naprawdę posiada potencjał intelektualny, aby sobie te wszystkie dane przyswoić. Po latach umysłowej stagnacji, gdy najambitniejszym zadaniem było sporadyczne rozwiązywanie quizu w „Reader's

Digest”, Beth naprawdę bała się, że już nie zdoła pojąć treści tekstu na poziomie college'u, że okaże się on dla niej równie trudny jak teoria względności Einsteina.

Teraz wiedziała, że to były głupie obawy. Ale czy większość naszych lęków nie jest niemądra i bezpodstawna? Tak właśnie myślała, w każdym razie w te poranki, gdy czuła się tak wyjątkowo dobrze jak dziś.

Niestety jej doskonale samopoczucie zniknęło bardzo szybko.

Ponieważ, gdy dziewczynki - ubrane i gotowe do szkoły - usiadły przy kuchennym stole, Marcy była nieszczęśliwa, a Kim napastliwa.

Śnieżynka, białej świnki morskiej - wyjaśniła starsza córka z rozpaczą w głosie - nie było w klatce. „Mamo, zaginał”. Marcy wszędzie go szukała, a to przecież Kim bawiła się z nim ubiegłego wieczoru...

No cóż, zaprotestowała Kim, może się przecież bawić ze Śnieżynkiem, ilekroć zechce! Ostatecznie, Śnieżynek nie należał już do Marcy, bo Marcy podarowała jej Śnieżynka...

Co nie oznaczało, że Kim nie musi się nim dobrze opiekować! Tylko dlatego, że...

Ależ Kim dobrze się opiekowała Śnieżynkiem i pamiętała, że „na pewno” odłożyła go wieczorem do klatki, i...

Beth odpowiedziała dziewczynkom swoim najsurowszym, najbardziej rzeczowym i poważnym tonem:

- Uspokójcie się. I teraz mówię serio!
- Po prostu nie chcę, żeby mu się coś stało, jeśli przebywa poza klatką, mamo - tłumaczyła się Marcy.

Beth złagodniała, gdy zobaczyła zmartwioną minę córki.

- Nie martwcie się - oznajmiła. - Nie pierwszy raz jedna ze świnek postanowiła pozwiedzać nasz dom. Zwierzątku nic się nie stanie. Zamierzam dzisiaj sprzątać, więc idę o zakład, że znajdę je naprawdę szybko.

- Ale to i tak nie jest moja wina, że Śnieżynek się uwolnił! - upierała się Kim, po czym pokazała siostrze język.

Beth westchnęła.

- Kim, schowaj język, zanim i on się zgubi.

Całując na „do widzenia” dziewczynki, które szły na róg, aby poczekać tam na szkolny autobus, ponownie zapewniła Marcy, że Śnieżynek się znajdzie.

Godzinę później rzeczywiście odkryła świnkę.

Gdy już wzięła prysznic i założyła „stare ubranie do sprzątanania”, włączyła odkurzacz na dole, zatrzymując się na moment, aby z czułością popodziwiać piękną niespodziankę od Michaela, zabytkowe kryształowe lampy - jej lampy! - po czym wypolerowała meble i podlała wszystkie rośliny doniczkowe w domu.

Później poszła na piętro i odkurzyła pokój dziewczynek, zastanawiając się, jak - w najbardziej neutralny sposób - zasugerować Kim, aby postarała się być trochę bardziej zorganizowana, zadbała o porządek i (och!) o czystość; miejsce brudnych majtek nie jest pod łóżkiem!

Gdy wieszala w szafie lekką kurteczkę Kim i rozmyślała o tym, że już niedługo trzeba będzie wyjąć odzież zimową, przypadkowo zerknęła w dół.

Śnieżynek leżał wciśnięty między toaletkę i listwę przypodłogową przy ścianie. Beth uklękała. Wyglądało na to, że zwierzątko zaklinowało się w tym miejscu, a następnie zginęło podczas szaleńczych, daremnych prób ucieczki. Dotknęła futerka gryzonia. W dotyku wydawało się sztuczne i przypominało włosie jej szczotki do włosów. Chcąc wyjąć maleńkie ciało, musiała odsunąć toaletkę.

Sztywna i zimna świnka leżała teraz na jej dłoni.

„Marcy kocha tego niewinnego futrzaka, który teraz nie żyje” - przemknęła jej przez głowę myśl.

A potem Beth zdrząła i zdławiła wściekły impuls, aby odrzucić Śnieżynka na ziemię i uwolnić się nie od martwego stworzenia, lecz od tego, co reprezentowało - od Śmierci!

Śmierć była wszędzie! Była w domu sąsiada, „Dusty'ego-i-Brada”, podchodziła do Loudenów, jej szkieletowa ręka musnęła Kim, drażniąc się z nią, gdy ten samochód o mało... A teraz... „Śmierć jest w naszym domu.

Otacza nas, syczy na nas, pragnie nas!”.

Beth zrobiła głęboki wdech, mówiąc sobie, że w życiu jest przecież znacznie więcej zbiegów okoliczności niż związków przyczynowo-skutkowych. Niepotrzebna śmierć Śnieżynka była smutna, lecz nic strasznego się przecież nie działo.

Znalazła dla zwierzątka puste pudełko po butach. Kiedy dziewczynki wrócą do domu ze szkoły, trzeba będzie odprawić pogrzeb, wykopać mały grób w ogrodzie. Dla tak wrażliwej istoty jak Marcy ostatnie pożegnanie powinno stanowić pociechę. Czy będzie to także wykład na temat odpowiedzialności dla Kim? Być może, uznała Beth, chociaż podejrzewała, że zdarzenie samo w sobie chyba jest już dostatecznie dobitną lekcją.

Pomyślała, że da sobie radę; naprawdę dawała sobie radę. Jednak w kuchni, kiedy nalewała kawę do filiżanki, odkryła, że jej ręka się trzęsie. Wyrzwała przez okno. Słońce świeciło.

Słońce świeciło, ale dzień był zły!

* * *

Naprawdę mieli tego popołudnia ustalone na wpół do czwartej spotkanie w interesach z dostawcą papierowych ręczników z St. Louis i rzeczywiście po opuszczeniu Park Estates, podczas jazdy na południe trasą 1-57, rozmawiali o nim. Tak, dostawali najlepszą możliwą cenę hurtową; nawet przy standardowej, osiemdziesięcioprocentowej marży, Superior Chemical była w stanie sprzedawać po niższej cenie niż konkurencyjne firmy zaopatrujące firmy sprzątające. Niestety, kontrola jakości nie była wystarczająca; ręczniki czasami utykały w automatach. Co gorsza, zbyt często dostawcy nie krępowali się i podkładali inny rodzaj zamiast wyznaczonego; być może nie widzieli różnicy w dotyku pomiędzy „czysto białym” numer 34057 a „kremowym” numer 34059, jednak klienci się skarżyli, więc prezes Superior Chemical i krajowy dyrektor do spraw sprzedaży wybrali się w podróż, aby „rozwiązać problemy”.

Oczywiście tego typu kwestie można równie dobrze rozwiązać listownie lub za pomocą rozmowy telefonicznej. Prawdziwym powodem tej podróży był bowiem Herb Cantlon.

„Herb Cantlon! - myślał Michael. - Ten pieprzony, nadęty... kawał mięsa!”. Tak, tak, zatem to ważne spotkanie - „niespodzianka, Herb, ty tłusty skurwielu” - nie odbędzie się w St. Louis, lecz półtorej godziny dalej na północ od tego miasta, w Mt. Claron, stan Illinois. Organizował je Eddie Markell. Nie będzie odprawy finansowej dla Cantlona. Nie będzie żadnego bezsensownego, eufemistycznie sformułowanego listu polecającego. Związek Herba z Superior Chemical zostanie boleśnie zakończony i już.

„Cholera!” - Michael poczuł w sobie nagły przypływ mocy, wręcz elektryczny w swej intensywności. Odnosił wrażenie, że ludzka powłoka, którą był zmuszony nosić, staje się o wiele za mała i zbyt ciasna dla jego prawdziwego jestestwa - Obcego, który szedł przez świat, a jego niewidoczna dla większości aura promieniowała czerwoną obietnicą krwi.

„Obietnica wkrótce się spełni!” - pomyślał, patrząc z okna buicka regala na przemykający obok płaski krajobraz środkowego Illinois. Umiał sobie wyobrazić te szare, spokojne pola uprawne zalane krwią, całe Stany Zjednoczone, cały świat zalany jednoczącym oceanem Czasu Obcych.

To właśnie przyrzekł mu Jan Pretre.

Spotkanie z Janem ostatniej soboty dało Loudenowi nową nadzieję, że czas śmierci, Czas Obcych, niedługo nadejdzie. Równocześnie widok Jana wstrząsnął nim, zaskoczył go i odebrał mowę.

- Vern? - spytał teraz.
- Tak, Michaelu?
- Chcę cię o coś zapytać.

Engelking odwrócił do niego głowę i uśmiechnął się łagodnie.

- Kto pyta, nie błądzi, Michaelu. Czyż nie tak brzmi amerykańskie przysłowie?

- Mówię poważnie, Vern - odburknął.
- W porządku.
- Czy wiedziałeś, że Jan Pretre i ja poznaliśmy się wiele lat temu?

Teraz Vern zapatrzył się prosto przed siebie, marszcząc czoło, jakby wypatrywał przez mgłę i mżawkę, a nie spoglądał przez przednią szybę auta na nadzwyczajnie klarowne niebo. W końcu przemówił głosem pozbawionym typowej dla niego teatralnej artykulacji.

- Tak, Michaelu. Wiem wszystko o tobie i Janie. Wiem od bardzo dawna.

- Dlaczego więc mi nie powiedziałeś, że on będzie u ciebie, Vern? Czy mnie z czegoś wykluczacie?

Engelking nie odpowiadał przez ponad półtora kilometra jazdy, a kiedy się odezwał, nie patrzył na swego towarzysza.

- Istnieją sprawy, o których zabroniono mi z tobą rozmawiać, Michaelu.

Mówił cicho, lecz w jego tonie nie było ani śladu przeprosin.

- Kto ci zabronił? - naciskał Michael.
- Jan.

Louden zmarszczył brwi.

- Nie rozumiem.

Vern zachichotał wesoło.

- Jestem przekonany, że zdarzają się rzeczy, których ja również nie rozumiem. To nie jest ważne. Ważne, Michaelu, że Jan je rozumie. Pozostaje ze mną w kontakcie od długiego czasu. Och, przez wiele lat nie miałem od niego wieści, potem jednak zacząłem dostawać listy lub odbierałem telefony. Jan mówił mi, że mam coś zrobić i ja to robiłem: Musimy mu ufać, Michaelu. Z nas wszystkich on posiada najjaśniejszą wizję przyszłości i dysponuje największą władzą. - Engelking przerwał i kolejny płaski kilometr Illinois minął im w ciszy. Potem podjął: - Jest jedna rzecz, o której mogę ci dziś powiedzieć, Michaelu, a nie mogłem wcześniej. Wiele lat

temu Jan kazał mi ciebie zatrudnić, ponieważ jesteś jednym z nas. Pamiętasz ten dzień?

Wspomnienie Michaela było ostre i żywe. Otrzymał list z Superior Chemical Company, w którym informowano go, że firma szuka nowego sprzedawcy na obszarze południowych przedmieść i że... bla, bla, bla. Pan Engelking, prezes korporacji, zaprosił go na obiad, w trakcie którego dyskutowali o matach podłogowych, kostkach zapachowych do pisuarów i suchych szamponach w aerozolu do mycia włosów bez użycia wody, a potem, po deserze (Vern zamówił napoleonkę, przypomniał sobie Louden, on sam zaś wziął sernik), powiedział: „Myślę, Michaelu, że powinieneś się poważnie zastanowić nad moją propozycją. Widzisz, jesteś Obcym, tak jak i ja!”.

Później tamtego wieczoru Louden otrzymał potwierdzenie słów Verna Engelking. Pojechali na chicagowską Rush Street, znaleźli prostytutkę i podcięli jej gardło, tnąc je nierówno, ale tak głęboko, że głowa kobiety wciąż wisiała na szyi tylko dzięki mocnym ścięgnom i płatom skóry.

- Wiedziałem, że jesteś nasz, Michaelu - powiedział wówczas Vern. - Witamy w firmie.

- Ale skąd wiedziałeś? - spytał go Louden.

- Nie wolno mi teraz tego ujawnić, Michaelu. Potrafisz mi po prostu zaufać? - Vern Engelking wyciągnął rękę.

Tak, Michael potrafił mu zaufać, zaufał mu wtedy i ufał mu teraz. Wystarczyło, że wiedział, iż on - skazany na życie wśród tych odrażających, słabych i płaczkliwych „normalnych” - ma obok siebie drugiego podobnego do siebie, kogoś, kto go rozumie, kto jest tak naprawdę jego bratem.

Ta świadomość wystarczała mu nawet teraz, tyle lat później. A jednak nie mógł się powstrzymać i spytał:

- Vern, dlaczego mówisz mi to teraz, skoro nie mogłeś wcześniej. Czy...

- Widzisz, teraz Jan stwierdził, że mogę ci powiedzieć - przerwał mu Engelking. - Jan jest naszym przywódcą, Michaelu. To on, kiedy nadejdzie nasz czas, poprowadzi tych, którzy są tego godni. Ufaj Janowi, Michaelu.

Louden nagle poczuł się znowu jak dziecko lub w każdym razie „pseudodziecko”, które kiedyś udawał. Przypomniał sobie Jana, który go odszukał, udzielił mu chrztu we krwi i wyjaśnił, kim jest i co mu jest pisane. Tak, ufał Janowi Pretre.

I ufał Vernowi Engelkingowi.

Obcy! Byli... Obcymi i w tej frazie zawierały się odpowiedzi na wszystkie jego pytania, w tym fakcie, w uświadomieniu sobie go i w radosnym uznaniu.

* * *

Cholera, ktoś pukał we frontowe drzwi jego wielkiej przyczepy, a Herb Cantlon nie chciał, aby go niepokojono, nie w tej chwili.

Narzucił kraciasty szlafrok na szorty i podkoszulek.

- Zachowaj ją dla mnie gorącą i mokrą - polecił Gretchen Waller, dziewiętnastolatce, która leżała pod pościelą. Była ciemną blondynką o szczupłej twarzy i smutnych oczach; jeśli dziewczyna nie żuła gumy, jej mina wydawała się osobliwie nienaturalna. - Zaraz wracam, kochanie. - Poczłapał do salonu na nogach zaskakująco cienkich jak na tak korpulentnego mężczyznę.

Miał dobry powód, aby martwić się przerwą. Środowa noc była dla Herba (he, he, he) nocą bzykania, w której mógł sobie podupczyć i ulżyć, bo - tak, tak - jeśli facet chce się czuć jak kogut, nie ma nic lepszego niż miła, młoda cipka. Tutejsza lokalizacja jego przyczepy - nad jeziorem Claron, zaledwie kilka kilometrów od miasta - była wprost doskonała. Tu przywoził żonę i dzieci na letnie wakacje i weekendowe wypadki, a raz na tydzień przez ostatnie mniej więcej sześć miesięcy zabawiał się z Gretchen. Wokół, w zasięgu półtora kilometra, nie było żadnego domu, więc miał sporo prywatności, a także niezły zapas alkoholu, telewizor i wieżę stereo oraz Gretchen, która dość (he, he, he) łatwo (u-hu!) się podniecała.

Och, pewnie, żona wiedziała o jego wyskokach, udawała jednak, że

nie ma o nich zielonego pojęcia i Herb podejrzewał, że będzie trwała u boku męża, póki dostaje od niego futro, kuchenkę mikrofalową, sznur pereł czy cokolwiek, cholera, zechce. A co z tego, że całe miasto gada o zdradach Herba? Mógłbyś, do diabła, założyć się o każdą kasę, że Herb Cantlon nie jest jedynym żonatym facetem, który zwodzi swą kobietę; kto jest bez winy, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Otworzył drzwi. Człowiek, który stał na drewnianym tarasie, nosił wyblakłą flanelową koszulę z długim rękawem, dżinsy i ciężkie buty turystyczne. Trzymał też w dłoniach magnum kaliber 0,357 z żebrowaną dziewięciocalową lufą, którą właśnie wepchnął Cantlonowi w brzuch.

- Nie mów ani słowa - warknął cicho Eddie Markell. - Pakuj swój pieprzony tyłek z powrotem do środka!

Herb dokładnie wyczuwał ośmiokątny kształt końca lufy, która wbijała się w jego gąbczaste ciało.

„O Boże - pomyślał. - O Chryste!” Umrze! Cóż, pewnie, już wcześniej rozmyślał o śmierci, o logicznym i nieuniknionym finale, który musi się zdarzyć pewnego dnia. Wykupił solidne ubezpieczenie na życie, spisał ostatnią wolę, miał nawet „dwuosobowe” miejsce na cmentarzu dla siebie i swojej „starej”. Jednak nigdy tak naprawdę nie dotarło do niego, że mógłby umrzeć... teraz!

I, och, o cholera, o kurwa, niech to szlag! Nie chciał teraz umierać. Spróbował zrobić krok w tył, podnieść stopę, ale nie mógł się ruszyć, a potem zaburczało mu w brzuchu. Poczul drzenie w żołądku i dotyk pistoletu, i... nie mógł nic na to poradzić, zachichotał nerwowo i cofnął się.

Eddie Markell zamknął za sobą drzwi.

- W porządku, grubasie, przywitajmy się z twoją laseczką. Prowadź.

Spocony i zdenerwowany Herb kiwnął głową. Zabrał Eddiego do sypialni.

- Co jest? O co tu chodzi? - spytała Gretchen Waller, gapiąc się na pistolet, na świecąca od potu, świńską twarz Herba, na szeroki uśmiech i

nabiegłe krwią oczy nowo przybyłego, po czym znów na pistolet, pistolet... Leżała sztywno na łóżku, trzymając pościel przy szyi, jak hospitalizowane dziecko wpatrzone z przerażeniem w zbliżającą się pielęgniarkę ze strzykawką.

- Jeśli sprawisz mi jakieś problemy, odstrzelę ci dupę i wszystko wokół niej! Wyłaż z łóżka - warknął Markell.

- Ja... nie jestem ubrana - jęknęła Gretchen. Zarumieniła się.

„Zrób to - poprosił ją w myślach Cantlon. - Nie dyskutuj. Nic nie mów. Rób, co ci każe...”.

- Nie martw się - Eddie uśmiechnął się szyderczo – na pewno się nie przeziębisz. No już, ruszaj!

Gretchen odrzuciła pościel. Jej oczy były ogromne. Wstała. Piersi miała drobne, a żebra i kości biodrowe ostro rysowały się pod dziecięcą różową skórą.

- Małe cycki, laska - oświadczył Eddie. Postukał Herba w ramię lufą pistoletu. - Sądziłem, że wy, wiejskie łamagi, lubicie cycate.

Cantlon nie odpowiedział.

- Zamierzasz mi odszczeknąć jakimś oklepanym tekstem, grubasie? No powiedz: „Po co mieć więcej niż zdołasz ugryźć” albo coś podobnego.

- Proszę pana - wyjęczała Gretchen - kimkolwiek pan jest, proszę nas nie krzywdzić.

„Zamknij się, dziewczyno! - miał ochotę wrzasnąć Herb. - Nie mów ani słowa, a może przeżyjemy”.

- Do salonu - polecił Eddie. Gretchen najwyraźniej nie poruszała się wystarczająco szybko, więc dał jej szybkiego, ostrego klapsa w pośladki.

Dziewczyna zapisała. Markell roześmiał się.

- Chude cycki, chuda dupa. Herb, posuwanie jej musi przypominać pieprzenie stracha na wróble z drutu kolczastego.

W salonie Eddie kazał Cantlonowi i Gretchen usiąść na kanapie. Sam przeszedł przez pokój do wyściełanego przenośnego barku. Nonszalancko położył pistolet na blacie, jak gdyby miał pewność, że jego ofiary nie

ośmielią się niczego próbować, znalazł butelkę wódki, odkręcił nakrętkę, zerwał banderolę i napił się.

- Dzięki za drinka, Herb - oznajmił. - Jesteś świetnym pieprzonym gospodarzem.

Cantlon przelknął twardo ślinę.

- Cokolwiek... cokolwiek chcesz. Ja... mam trochę pieniędzy...

- Daruj sobie, grubasie - przerwał mu Eddie. - Po prostu siedź na dupie ze swoją laską i trzymaj gębę zamkniętą na kłódkę.

„Bądź cicho! - polecił sobie Herb. - Ani słowa, ani dźwięku. Bądź cicho i żyj, żyj, żyj!”

- Musimy chwilę poczekać - kontynuował Markell. Wypił kolejny długi łyk wódki z butelki. - Kilku naszych przyjaciół przyjedzie na przyjęcie.

„Kilku przyjaciół? Naszych?” - Cantlon nie zrozumiał. Nawet nie próbował pojąć, co ten mężczyzna powiedział. Wiedział, że chce żyć i nic więcej się dla niego nie liczyło.

- Oczywiście, nie ma powodu, żebyśmy nie mogli się dobrze zabawić przed ich przyjazdem. - Eddie strzelił palcami i wskazał na Gretchen. Dziewczyna cofnęła się. - Chodź tu, cizia.

Gretchen nie ruszyła się.

„Wstawaj! - zaapelował do niej Herb w myślach. - Idź do niego, no już!”

- No dalej, suko! - syknął Markell. Oparł się plecami o kontuar, łokcie położył na wyściełanym blacie, prawą rękę - na rękojeści magnum.

Dziewczyna podeszła do niego chwiejnym krokiem, jakby była otumaniona lekami.

- Na kolana, suko - mruknął Eddie. Gretchen klęknęła przed nim, a on przyłożył jej pistolet do skroni. - No dalej, obciągaj, źle się sprawisz, a stracisz swój dumny łeb. Rozpryskam twój mózg po całym pokoju. - Uśmiechnął się do Herba. - Co na to powiesz, grubas? Nie przeszkadza ci, że twoja pani obsługuje mnie jak swego?

Cantlon poczuł w oczach gorące ukłucia łez. Był bezradny, zdruzgotany i - „o kurwa!” - nie obchodziło go, w ogóle go nie obchodziło, co stanie się z Gretchen albo z kimkolwiek innym oprócz niego samego.

Powoli mijały minuty, aż upłynęły niemal trzy godziny. Poziom wódki w butelce obniżył się do połowy. Magnetofon odtwarzał w kółko nastawioną jedną stronę jakiegoś albumu Kenny'ego Rogersa; teraz leciał utwór *The Gambler* i pokój wypełniła odśpiewana lekko chrypliwym głosem rada: „Musisz wiedzieć, które zatrzymać, a które wyrzucić”. Gretchen siedziała na kanapie, z głową spuszczoną, włosy zakrywały jej twarz; cicho szlochała. Ale Herb Cantlon nadal żył, jedynie to czuł i tylko to go interesowało.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi.

- Wejdźcie - zawołał Eddie.

Herb Cantlon nie mógł uwierzyć własnym oczom. Do pomieszczenia weszli Vern Engelking i Michael Louden, szef i krajowy dyrektor do spraw sprzedaży... Z drugiej strony nie był pewny, czy wierzyć w choćby jedno ze zdarzeń, do których doszło wcześniej tej nocy, w tego obcego mężczyznę z pistoletem i w tę namacalną groźbę śmierci.

Ogarnęło go dziwne, beztroskie uczucie ulgi. Znał pana Engelkinga i pana Loudena... Na litość boską, przecież pracował dla nich, dla Superior Chemical Company!

Michael Louden uśmiechał się, gdy stawał obok kontuaru worek marynarski.

- Dobry wieczór, Herbercie - zagaił Vern Engelking. - Mam szczerą nadzieję, że wybaczysz nam to wtargnięcie!

- A niech to, a niech mnie, a szlag by to... - powiedział Michael, przeciągając samogłoski. - Wyobraź sobie, już od jakiegoś czasu chcieliśmy wpaść tu, w te strony, do twojej kryjówki. Cieszysz się, że nas widzisz, Herby? Cieszysz się, czy może czujesz się gównianie?

- Herb, o co chodzi? Co się dzieje? Nie rozumiem - Gretchen Waller mówiła monotonnym głosem, jak gdyby ktoś odebrał jej wszelkie emocje.

- Herb - odezwał się Vern Engelking z szerokim uśmiechem. - Zawsze miałeś wspaniałe poczucie humoru. Wielu klientów Superior Chemical twierdzi wręcz, że rzucasz żartami jak z rękawa.

- Że jesteś jednym wielkim śmiechem, Herby - dodał Michael.

- Chodź tu, Herbercie - polecił Vern Engelking uprzejmie, kiwając na mężczyznę zgiętym palcem. - Mam dla ciebie dowcip.

Na twarzy Herba pojawił się krzywy, oszołomiony uśmieszek, tym niemniej mężczyzna ruszył w stronę Engelkinga.

- Aż kiedyś przyszedł do mnie jakiś człowiek – ciągnął Vern - i oświadczył mi, że nie dostał łapówki od trzech dni. Wiesz co zrobiłem?

To było niesamowite, to było szalone i nic nie miało już sensu, ale szef... Szef czekał na odpowiedź, więc Herb Cantlon odpowiedział wesoło:

- Więc mu dałeś?

- Nie - odparował Vern Engelking. - Ostro kopnąłem go w jaja.

W tym momencie but Engelkinga trafił Herba Cantlona w krocze.

- Aaach...! - Cantlon chrząknął, a po chwili straszny ból eksplodował mu od pachwiny w górę, przez brzuch, aż do płuc. Mężczyzna osunął się na kolana, zacisnął dłonie na kroczu, wybałuszył oczy i idiotycznie wywiesił język.

Michael stanął obok niego. Mocno pociągnął go za małżowinę i wykręcił mu ucho. Straszliwy uścisk palców Loudena nie pozwalał Herbowi zemdleć, uniemożliwiając mu ucieczkę przed bólem odczuwanym po kopniaku Verna. Cantlon odkrył, że podnosi się niczym jednodniowy napełniony helem balon powoli wzlatujący w powietrze.

Wydawał z siebie słabe, dyszkantowe odgłosy cierpienia.

- Ty tłusty sukinsynie - warknął Michael. - Sądziłeś, że ujdzie ci na sucho okradanie Superior, co? Pewnie ten pieprzony domek na kółkach, tę zasraną kryjówkę kupiłeś sobie za sprzeniewierzone...

- Och nie, nie... - wyjęczał Herb. Gardło miał tak ściśnięte, że piszczał niczym mysz w pułapce. - Och.

- Naprawdę mi przykro, Herbercie - oświadczył Vern Engelking - ale musimy udzielić ci nagany.

- Nie zabijajcie mnie! - wystękał Cantlon.

- Nie zabijajcie nas! - zawtórowała mu Gretchen Waller.

Poszli całą grupą do sypialni. Eddie trzymał pistolet, a Michael - nóż rzeźnicki, który wyjął z worka marynarskiego. Kazali się Herbowi rozebrać, a później położyć na łóżku. Leżał na plecach, szlochając, jego brzuch wyglądał jak pomarszczona hałda białego piachu.

- Possij mu, mała suko! - polecił Eddie Markell, pchając Gretchen w stronę łóżka. - Niech mu stanie.

Gretchen uklękała przy boku Herba i pochyliła się do przodu, ślepo posłuszna.

„To się nie dzieje” - powiedział sobie w myślach Cantlon. Na pewno śnił, na pewno wszystko to mu się śniło. Tak! Słuchał wesołego tonu pana Engelkinga mówiącego: „Naprawdę byłoby mi przykro, gdyby mój but, mój cenny florsheim, wyrządził jakąś krzywdę twojej męskości, Herbercie”, patrzył na dziwaczny uśmiech Michaela Loudena. Jak gdyby rozmawiali o sprzedaży... I, no tak, z salonu obok sypialni wciąż docierały piosenki Kenny'ego Rogersa! Kenny'ego Rogersa, na litość boską...! Cóż, gdy Herb podsumował te wszystkie szczegóły, zyskał pewność, że to, co się dzieje, nie jest realne.

- Weź się w garść, Herby - polecił Michael. - Pieprzysz tę panią od długiego czasu. Więc postaraj się, a jeszcze raz babeczka zrobi ci dobrze!

„Chcę żyć!” - pomyślał Herb Cantlon.

Nie wiedział już, co jest snem, a co rzeczywistością. Był całkowicie skupiony na potrzebie życia, na pragnieniu przeżycia.

„Bądź posłuszny, a przeżyjesz!” - zapewnił siebie i jego ciało cudownym trafem zareagowało.

- Dalej, suko! - zawołał Eddie Markell. - Bierz się za niego.

Herb uznał, że jego sen to obłądny koszmar. Gretchen płakała, dosiadając go, osuwając się, wciskając w swoją boleśnie suchą pochwę jego narbrzmiały członek, podczas gdy wokół łóżka stało trzech uśmiechniętych mężczyzn, którzy powtarzali jakieś szalone słowa, jakieś bezsensowne głupstwa. Gretchen poruszała się, jej kościste biodra wyraźnie przesuwają się pod skórą, jej twarz była równie pozbawiona wyrazu jak warte pięćdziesiąt centów maski na Halloween, a Cantlon czuł napięcie, silne napięcie, ponieważ dygotał mu każdy nerw naprężony ze strachu niczym postronek...

W tym momencie Michael chwycił Gretchen Waller za włosy i szarpnął dziewczynę ku sobie, po czym jednym posuwistym ruchem podciął jej gardło rzeźnickim nożem. Gorący strumień krwi wystrzelił ku Herbowi, zalewając mu twarz i pierś. Cantlon wrzasnął. Miał krew w oczach i w ustach, jej krew! Nie lała się, lecz skapywała z pluskiem na jego szyję, piersi i brzuch, podczas gdy ciało dziewczyny dygotało, wstrząsane śmiertelnymi konwulsjami.

Herb Cantlon ciągle wrzeszczał, aż zemdlał.

Kiedy oprzytomniał - nie miał pojęcia po jak długim czasie - nie myślał już, że pragnie żyć. W ogóle o niczym już nie myślał. Słuchał bez zainteresowania rozmawiających mężczyzn: Verna Engelkinga, Michaela Laudena i... Jak się nazywał ten trzeci? Nie, to nie byli Engelking i Louden; tamci dwaj nigdy by tak nie postąpili... Herb nie znał żadnego z tych mężczyzn, byli mu obcy.

- Zajmiesz się tym, Eddie?
- Nie ma problemu. Morderstwo i samobójstwo. Będzie wyglądało na to, że grubas zaszlachtował swoją laskę nożem, a potem się zastrzelił.
- Bardzo dobrze zatem, Eddie. Polegamy na twoim doświadczeniu.

Herb poczuł w ustach zimny dotyk lufy pistoletu. Z powodu jej wielkości, musiał otworzyć usta, tak jak to robił u dentysty, a równocześnie jego palec znalazł się na spuście. Czyjaś ręka przyciskała jego dłoń.

Wszystkie dźwięki słyszał teraz wyraźniej, również oddechy trzech otaczających go osobników. Na dywan głośno kapąły krople krwi z podciętego gardła kobiety, która leżała rzucona niedbale po drugiej stronie łóżka. Z daleka docierał do niego głos Kenny'ego Rogersa. Nie usłyszał natomiast odgłosu eksplozji, która towarzyszyła kuli magnum kaliber 0,357 wystrzelonej w jego przelyk. Przez podniebienie kula popędziła w górę, aż rozsadziła mu głowę jak zbyt dojrzałego, nagrzanego od słońca melona.

DWANAŚCIE

Gdy Beth jechała do Lincoln Junior College'u przez chłodną, szarą, jesienną mżawkę, na każdym skrzyżowaniu zachowywała dodatkową ostrożność. Czuła się osobliwie tego czwartkowego wieczoru i nie zaskoczyłoby ją, gdyby jakiś kierowca zupełnie bez powodu postanowił przejechać na czerwonym świetle i trzasnąć prosto w bok jej auta. Właściwie, pomyślała sobie, że nie zdziwiłaby się, gdyby jakiś boeing 707 spadł z nieba i roztrząskał się akurat na jej dachu!

Już od tygodnia odczuwała nieokreślone napięcie, lekkie, lecz nieustanne, niczym przewlekły ból zęba. Nie spała dobrze, budziły ją kilkanaście razy w ciągu nocy „niepokojące myśli”, które nie chciały zagościć w jej umyśle na tyle długo, by je w ogóle pojęła. Stale chodziła poirytowana, o krok od wybuchu. Tak jak dzisiejszego ranka, przy śniadaniu, gdy mieszała ciasto na naleśniki. Nagle usłyszała za sobą trzask pękającego i spadającego szkła. O mało nie skoczyła pod sufit! Obróciła się i wrzasnęła:

- Kim! Musisz być trochę uważniejsza...!

Wtedy z kolei wybuchnęła Kim, krzycząc piskliwie:

- To nie ja, mammo. Zawsze obwiniasz mnie! Ja go nie stłukłam. Marcy go rozbiła!

- Wybacz, mamusiu - potwierdziła z zakłopotaniem starsza córka tonem pobrzmiwającym skrucą. – To ja.

Zdenerwowana Kim każde oburzone słowo wyrzaskiwała głośniej.

- Gdybym ja to zrobiła, obwiniłabyś mnie. Skoro tego nie zrobiłam,

też obwiniłaś mnie! Cokolwiek się zdarzy, wszystko zawsze na mnie!

Beth wydawało się, że dziewczęce głosiki mieszają się w szaleńczy chór - pisków przepraszającej Marcy i krzyków obrażonej Kim. Jeszcze chwila i Beth sama zacznie wrzeszczeć, z jej ust wyrwie się cichy wrzask, którzy przyłączy się do tego obłąkanego tumultu.

Kim nadal krzyczała.

- Wszystko, co złego się stanie, to zawsze moja wina, mamó! Wiesz nie mnie prześladujesz! Tak samo było ze Śnieżynkiem...

Śnieżynek! Beth rozmyślała o zwierzątku teraz, gdy ostrożnie rozglądała się na wszystkie strony, aż wreszcie wjechała na wschodni parking college'u. Na tle całej historii, po szeregu katastrof i „prawie katastrof, znalezienie biednego Śnieżynka stało się, och nie, nie kroplą, która przepelniła czarę, może nie aż tak, ale bez wątpienia kolejnym zdarzeniem, równie nieprzyjemnym i znaczącym jak pozostałe.

Kiedy dziewczynki wróciły do domu ze szkoły w tamten czwartek, Beth najpierw postanowiła wypełnić swój nieszczęsny obowiązek i poinformować Marcy, co się zdarzyło. Starsza córka była później smutna przez kilka godzin. Potem Beth wzięła na bok Kim, próbując przedyskutować z nią rozsądnie i spokojnie kwestię odpowiedzialności oraz żalosne konsekwencje bezmyślności. Dziewczynka natychmiast zareagowała krzykiem: „Zawsze obwiniasz mnie!” i napadem złości równym temu, który zaprezentowała podczas dzisiejszego śniadania.

Michael załatwił poranne pandemonium spokojnie, mówiąc Kim z niemal rozbawioną nonszalancją: „Przestań wrzeszczeć na matkę”, Marcy zaś oświadczył, aby lepiej „posprzątała bałagan, którego narobiła”, a potem za to przeprosiła, następnie zaś zaoferował się, że sam dokończy przygotowanie śniadania, na co Beth z wdzięcznością przystała.

Później, gdy dzieci zostały wysłane na górę po tornistry, powiedział do żony:

- Kochanie, naprawdę nie powinnaś się denerwować takimi drobiazgami. Ostatecznie, jedna rozbita szklanka to nic wielkiego.

Uważała, że jej mąż najwyraźniej wszystkie problemy uważa za „nic wielkiego”. W ubiegłym tygodniu, kiedy wrócił z St. Louis - „Tak, wszystko poszło bardzo dobrze. W gruncie rzeczy, świetnie się bawiłem” - Beth próbowała odbyć z nim poważną rozmowę na temat wybuchu Kim i śmierci Śnieżynka; jawnie wyglądało na to, że świnka zginęła z powodu niedbalstwa ich młodszej córki.

Czyjego zdaniem Kim przechodzi trudny okres? Akurat tak sądził, cha, cha („Nic wielkiego”). Czy dziecko stale nie przechodzi kolejnych trudnych okresów, od wieku sześciu miesięcy aż po dwudziesty pierwszy rok życia? Beth zasugerowała, że może Kim ma poważne problemy emocjonalne. Michael uznał to za śmieszne. Kim była dziewczynką z ikrą i miała buntowniczy charakter, jak wiele normalnych dzieci („Nic wielkiego”). Tak, czasami bywała rozwydrzona, ale Michael był pewny, „cha, cha”, że każdy problem, który tkwi w główce córki, można rozwiązać za pomocą paru klapsów w tyłek.

Beth doszła do wniosku, że potraktował zagadnienie o wiele za lekko. Tak pomyślała, lecz, cóż, musiała równocześnie przyznać, że w ostatnich dniach stale tylko wyobrażała sobie kolejne problemy w rodzinie Loudenów, jakby naprawdę wierzyła, że ciąży nad nimi jakaś tajemnicza klątwa.

„A co wyobrażałam sobie na temat Michaela przez cały ten długi tydzień?” - zapytała siebie teraz, gdy wysiadła z samochodu, wsuwając notatnik i podręcznik pod swój zielony płaszcz przeciwdeszczowy, aby ochronić je przed mżawką i wilgocią mgły. Och, te same stare bzdury. Te same absurdalne głupoty. „Że jest kimś mi nieznanym, kto do mnie mówi, ale w rzeczywistości wcale ze mną nie rozmawia, kto niby mnie słucha, ale w ogóle mnie nie słyszy, kto niby się o mnie troszczy, ale wcale go, kurczę, nie obchodzę... Że jest kimś obcym dla mnie... i dla wszystkich!”.

„Nie, nie, trzeba z tym skończyć!” - poleciła sobie. To był szczyt głupoty tak się torturować bezpodstawnymi oskarżeniami wobec Michaela. Nie miały większego sensu niż rosnące w niej zainteresowanie i fantazje na temat... och, tak, powiedzmy to sobie wprost (tylko po to, żeby coś powiedzieć)... na temat jej nauczyciela, Kevina Bollendera.

Kevin Bollender! No, ten był naprawdę obcym człowiekiem i właśnie taki powinien dla niej pozostać. A jednak Beth czuła, że potrafiłaby go bardzo polubić. Pociągał ją fizycznie, był interesujący, inteligentny i wrażliwy; wiedziała o tym, gdyż... Och, po prostu wiedziała.

Oczywiście, Kevin był tylko jej nauczycielem, nikim więcej, i na pewno nigdy nie stanie się dla niej kimś wyjątkowym, a jednak...

Wkroczyła do rozjaśnionego świetlówkami holu szkoły. Była zdezorientowana, z nerwów miała sensacje żołądkowe i właściwie nie widziała dokładnie wszystkiego, na co patrzyła. Własny stan skojarzył jej się z jazdą windą w wysokościowcu, gwałtownie ruszającą w górę.

Wtedy nieistniejąca winda dojechała na nieistniejące piętro. „To piętro to rzeczywistość” - powiedziała sobie Beth. Zrobiła głęboki wdech i wciągnęła w płuca czysty zapach deszczu, który towarzyszył jej przed chwilą, w drodze do budynku. Zaczęła myśleć trzeźwo.

Weszła do swojej sali.

* * *

- No cóż, do tej pory mieliśmy okazję porozmawiać o prawdziwych dziwakach - powiedział Kevin Bollender. - Oto wasz typowy, przeciętny schizofrenik, który uważa, że jest dzbankiem soku pomarańczowego. Oto paranoik, który wie, że zamierzacie go dopaść, lecz wyobraża sobie, iż może wszystko dobrze się skończy, ponieważ jego przyjaciel, Bóg, osobiście się nim opiekuje. A mamy jeszcze katatoników, zespół maniako-depresyjny i niezwykle ostatnio popularną osobowość wielokrotną!

Przy akompaniamencie zachwyconych chichotów grupy Bollender

usiadł na krawędzi biurka. Poglądził wąsy kciukiem i palcem wskazującym.

- Ale, mówiąc poważnie, proszę państwa - podjął - dzisiejszego wieczoru będziemy rozważać najbardziej stukniętego ze stukniętych, najdziwniejszego z dziwaków, anomalie nawet wśród najbardziej nienormalnych. Porozmawiamy o psychopatach.

Beth zastanowiła się, czy Kevin kiedykolwiek myślał o karierze występującego solo komika albo prezentera wiadomości. Był niezwykle komunikatywny, potrafił potraktować temat, który wydawał się rutynowy, prześmiewczo i z humorem, ani przez moment nie pozwalał, by studia psychologiczne skostniały. Jak zwykle swobodnie ubrany, dzisiaj wieczorem w dzinsach i koszuli myśliwskiej z jasnobrązowego zamszu, wyglądał mniej na naukowca, a bardziej na staroświeckiego naganiacza z wesołego miasteczka. Jednak, bez dwóch zdań, był urodzonym nauczycielem. Jego żartobliwy sposób bycia rozśmieszał, lecz pytania, które zadawał, skłaniały do myślenia.

„No i jest zdecydowanie zbyt przystojny...”

Beth zmusiła się do koncentracji na wykładzie, a nie na wykładowcy.

Podniósłszy się z miejsca, Kevin podszedł do tablicy, wziął kredę w prawą rękę i lekko zastukał kłykciami lewej.

- Psychopatę - odezwał się znacznie poważniejszym tonem - nazwano człowiekiem upośledzonym moralnie.

W reakcji na te słowa rękę podniosła siwowłosa kobieta w okularach ozdobionych kryształkami. Wszyscy pozostali uczestnicy zajęć zwracali się do siebie po imieniu, ale ją, tak jak o to prosiła, tytułowano panną Fletcher. Gdyby Kevin Bollender powiedział, że „góry lodowe są zimne”, panna Fletcher i tak by ten fakt podważyła. Lub poprosiłaby o wyjaśnienie, co dokładnie miał na myśli, gdy użył określenia „zimne”.

- Czy twierdzi pan, że psychopata ma niski współczynnik inteligencji? - zapytała.

- Nie. - Kevin potrząsnął głową. - Powiedziałbym coś wręcz przeciwnego. Iloraz inteligencji psychopaty zazwyczaj znacznie wykracza ponad przeciętną, jest bliżej prawie geniusza lub nawet geniusza.

- Dlaczego zatem - upierała się panna Fletcher - miałby on być upośledzony?

- Moralnie upośledzony - poprawił ją Kevin, stawiając nacisk na przysłówek. - Psychopata może mieć potężny intelekt, który wystarczy do rozwiązania problemu inflacji jakiegoś kraju albo dysponuje mocą umysłu pozwalającą wynaleźć kurację na raka, jednak gdy chodzi o moralność, o kwestie etyczne, wówczas pan Psychopata otrzymuje ocenę niedostateczną.

Lee Thompson, mężczyzna w średnim wieku, który zawsze zadawał sensowne pytania, zainteresował się tym szczegółem.

- Czyli psychopata nie zna różnicy między dobrem i złem?

- Och - odparł Kevin - on bardzo dobrze wie, co społeczeństwo uważa za dobre, a co za złe, sądzi jednak, że te zasady mają niewielki związek z jego zachowaniem. Prawo i kodeksy postępowania są dla innych, jego nie obowiązują.

Bollender odwrócił się do tablicy i wyrysował duży okrąg z trzema mniejszymi w środku.

- Dzięki swoim wcześniejszym zajęciom z psychologii ogólnej, jesteście wszyscy obeznani z teorią osobowości Zygmunta Freuda. Powiedzmy, że wielki okrąg reprezentuje całość struktury osobowości jednej osoby. A tu mamy id - Kevin opisał tym terminem jeden z mniejszych okręgów - czyli wrodzony popęd do zaspokojenia. Jest to czysty, działający na zasadzie impulsów instynkt, który szuka natychmiastowej gratyfikacji, można by rzec, niepowstrzymywana przyjemność stale poszukująca bodźców. Id pragnie kontroli i całkowitej władzy. Następnie mamy ego, dokładnie tutaj. - Bollender napisał słowo w drugim małym okręgu. - Ego jest racjonalnym elementem osobowości, to myślący umysł, który stara się ustalić, jak

odpowiedzieć na wymogi rzeczywistości i znajduje sposób, aby id mogło osiągnąć niezbędne zaspokojenie. Ale... ha! - dodał, gdy opisał trzeci z mniejszych okręgów jako superego. - Superego, ostatnią ze struktur, można dla uproszenia określić mianem sumienia. To zasady, których uczymy się od rodziców i autorytetów oraz doświadczenia, które zyskujemy, żyjąc w społeczeństwie. Superego ogranicza i cenzuruje działania ego, które mają pomóc id w zaspokojeniu jego żywiołowych, impulsywnych potrzeb.

Kevin narysował „X” nad okręgiem określonym jako superego.

- Wróćmy do tematu! Psychopata nie jest obciążony tym swoistym sumieniem. Oznacza to, że może zrobić wszystko, na co ma ochotę, czyli wszystko, co uszczęśliwi jego id.

Rob Gretsh, długowłosy młody człowiek, który często zadawał najtrudniejsze pytania, podniósł rękę.

- Co powoduje, że ktoś staje się psychopatą?

- Hmm... - Kevin Bollender powoli pokiwał głową. - Świetne pytanie, Rob. Niedobrze, że nie mam równie doskonałej odpowiedzi. Zamiast niej mogę ci podsunąć najrozmaitsze teorie. Tak, tak, psychologia jest przepelniona hipotezami, tezami i teoriami! Oto pierwsza: jeśli dziecko zostaje wychowane w warunkach niemal całkowitego odrzucenia i zaniedbania, może wyrosnąć na psychopatę, po prostu dlatego, że musi umieć przeżyć, nie popadając w chorobę psychiczną. Wyuczone strategie to dla niego kłamstwa, oszustwa, kradzieże. W dzieciństwie uczy się coraz sprytniejszych metod zdobywania tego, czego pragnie i tego, czego potrzebuje. Jako dorosły idzie więc przez świat w ten sam sposób, kontynuując wzorzec, który wcześniej przyniósł mu sukces. Mamy również inną teorię, mówiącą, że psychopatię, jak żadną inną formę choroby umysłowej, którą można by w tym momencie rozważać, powoduje brak równowagi chemicznej. To bardzo popularne stanowisko. Wiecie, „lepsze życie dzięki środkom farmaceutycznym”. Chemicy są pewni, że kiedy ustalą odpowiednią formułę,

zdołają zmienić schizofrenika, paranoika czy też psychopatę w normalnego człowieka. Potencjalny efekt takiej sytuacji? Wielu moich kolegów po fachu, którzy biorą pięćdziesiąt i więcej doliczów za godzinę, będzie musiało znaleźć sobie uczciwą pracę! Na koniec mam dla was jeszcze jedną teorię. Jeśli chcecie, możecie ją nazwać na przykład koncepcją „złego nasienia”. Dokładnie tak samo, jak niektórzy ludzie muszą wyrosnąć na wysokich, psychopata rodzi się, aby wyrosnąć na psychopatę. Być może masowy morderca z tatuażem w postaci napisu „URODZIŁEM SIĘ, ABY ROBIĆ Z WASZEGO ŻYCIA PIEKŁO” ma rzeczywisty wgląd w to, kim jest i dlaczego taki jest!

Rob Gretsh nie potrafił zaakceptować tej ostatniej teorii.

- Nie, nie, wówczas zrzucamy odpowiedzialność na los. Takie myślenie jest średniowieczne!

Kevin wzruszył ramionami.

- Dokładnie mówiąc, tezę tę postawił Carl Jung, który jest równie ceniony jak Freud i Adler.

„Ludzie zupełnie pozbawieni sumienia - rozmyślała Beth. - Ludzie, którzy mieszkają w Atlancie, stolicy Georgii, w stolicy Nebraski, Lincoln, w Clearwater na Florydzie bądź też w domu tuż obok, którzy robią to, na co mają ochotę, zupełnie nie licząc się z innymi, którzy nie znają lęku przed prawem czy moralnością... ludzie bez poczucia winy...” Uświadomiła sobie, że biorąc pod uwagę liczbę psychopatów, którzy mogą przebywać na wolności, naprawdę niełatwo wzbudzić w sobie zaufanie do bliźnich. Tym niemniej temat był intrygujący.

Beth miała pytanie.

- Skąd możemy wiedzieć, że dana osoba jest psychopatą?

- Niezmiernie trudno to ustalić - odparł Kevin. - Psychopata wygląda na kogoś normalnego... wręcz supernormalnego! Jest znakomitym aktorem. Jego relacje z innymi wydają się intensywne i pełne, lecz w rzeczywistości są zimne, wyrachowane i pozbawione emocjonalnej zażyłości. A zatem

psychopata ujawnia swoje prawdziwe cechy jedynie wtedy, gdy działa w sposób niedozwolony i niemoralny. Bywa czarującym naciągaczem, który sprzedaje słodkiej staruszce Most Brooklyński. Albo regularnie chodzi do kościoła, a z drugiej strony okradnie do ostatniego centa fundusz budowy świątyni. Lub jest Sinobrodym, który zaszlachtuje dwadzieścia swoich żon, zanim zostanie schwytyany. Psychopaci mają też swoją specjalność: morderstwo. Daje im ono szansę na absolutną dominację nad drugą istotą ludzką. Powtórzę zatem: możemy rozpoznać „upośledzonego moralnie” tylko wówczas, gdy mamy dowody jego działań.

- Nie istnieje... och... jakiś test lub inny sposób sprawdzenia? - spytała Beth. Wydawało jej się, że powinno coś takiego być. Skłonność do schizofrenii, na przykład, można często wykazać dzięki standardowemu testowi projektywnemu, który psycholodzy stosują od lat.

- Obawiam się, że nie - odparł Kevin, po czym dodał z uśmiechem: - Być może Bóg naznacza ich piętnem Kainowym, chociaż nie sądzę, aby równocześnie dawał innym osobom dar widzenia takiego znaku. Zatem dopiero, gdy odkryjemy działania psychopaty, znajdziemy dowód na to, że mamy do czynienia z osobowością psychopatyczną.

- Ale skoro psychopaci są tacy inteligentni - zastanawiał się głośno Rob Gretsh - niemal genialni, czy naprawdę wszystkich udaje się złapać?

- Tak - zapewnił go Kevin. - Słyszałeś stare wyrażenie: „Pycha prowadzi do zguby”? Gdy psychopacie uda się bezkarnie popełnić kilka zbrodni, drań zaczyna wierzyć, że jest niezniszczalny i o wiele za sprytny, aby złapała go policja lub jego posunięcia odkrył ktoś inny. Staje się nieostrożny, popełnia błędy, sam nie zdając sobie nawet z tego sprawy, lub ryzykuje w sytuacjach, których wcześniej unikał. I wtedy zostaje schwytyany!

Beth pomyślała, że to niesamowicie fascynujące... No i przerażające. Każdy, naprawdę każdy, listonosz, kasjer w banku, facet, który przyjdzie naprawić telewizor, lekarz, prawnik, wódz indiański... może nim być.

„Nie!” Ta myśl zrodziła się w niej, lecz Beth nie chciała jej rozważać, nie chciała dopuścić do świadomości, ponieważ w takim wypadku zapewne przynajmniej odrobinę by w nią uwierzyła, nadałaby jej status możliwości, a przecież takie posądzenie było całkowicie szalone (i jakież makabryczne!), ta myśl, że kiedykolwiek miała, kiedykolwiek miała do czynienia...

I choć przyrzekła, że tego imienia w tym kontekście nie pomyśli, naturalnie natychmiast je przywołała. Imię to stało się przerażającym podsusowaniem jej podejrzeń wyrażonym w jednym jedynym słowie wyszczynym... wyszeptanym w jej umyśle:

„Michael!”

W tym momencie przypomniała sobie pewne zdarzenie z dzieciństwa. Miała pięć lat, może mniej. W samym środku pewnej zimowej nocy wyrwała ją ze snu potworna myśl, która zaprowadziła ją przez korytarz do pokoju rodziców. Beth stanęła w milczeniu w drzwiach i wpatrując się w oboje, zadała sobie pytanie: „Czy mogę mieć pewność, że naprawdę są mamą i tatą?!”. Oświetleni jedynie przez słabe srebro księżycy, które wsączało się przez zachodnie okno, dwie osoby w łóżku - „mama i tato?” - nie wyglądały dobrze, nie wydawały się tymi samymi ludźmi, którymi były w dzień. Potem, przez następne tygodnie, Beth gapiała się na nich, ilekroć sądziła, że tego nie widzą i próbowała jakoś ustalić, czy są tymi obcymi osobnikami, którymi wydawali jej się z powodu koszmaru sennego i poświęty księżycowej.

Och, była takim głupim dzieckiem!

I czy nie była wciąż tym samym głupim dzieckiem, skoro uważała, że Michael...

Nie, po prostu do razu z zadowoleniem, przyjęła tę kwestię, która przyszła jej do głowy w reakcji na słuchaną tylko jednym uchem polemikę. Gdyby Beth poważnie przemyślała swoje podejrzania, skupiając na nich cały swój umysł, może doszłaby do jednoznacznych wniosków... „Michael! Michael-to-obcy!”. Musiała spytać o coś Kevina i dopiero gdy zadała

pytanie, zawstydziła się, że wyrzuciła je z siebie, choć nie podniosła ręki i nie została zaproszona do dyskusji.

- Ale wszystko, co psychologia wie o psychopatycznej osobowości - powiedziała - pochodzi z obserwacji psychopatów, którzy już zostali schwytani. Zgadza się?

- To prawda. - Kevin pokiwał głową. - Wszystko, co wiemy o każdej chorobie psychicznej, pochodzi ze studiów nad chorymi, których zidentyfikowano jako cierpiących z powodu konkretnego zaburzenia umysłowego. Toteż... Nie jestem pewny, czy dobrze cię rozumiem...

Myśli w głowie Beth szalały. Podobnie jak jej serce, które tłukło się w piersi. Ogarnęła ją podniecająca euforia z intelektualnego odkrycia i umiejętności podjęcia mentalnego wyzwania, euforia, jakiej doświadczała tak wiele lat temu w college'u, a której nie zaznała podczas długiego „okresu tymczasowego uśpienia mózgu”.

- Czy nie jest możliwe - jąkała się, usiłując wyrazić jasno własne myśli - że istnieją psychopaci, którzy nie zostali schwytani i nigdy nie zostaną wykryci? Jeszcze inteligentniejsi i sprytniejsi niż większość? Prawdziwi supergeniusze? Tacy...

Przerwała. Nie wiedziała dokładnie, w którą stronę zmierza jej hipoteza i bała się zabrnąć w ślepy zaułek albo do kąta, w którym stawia się matółka... tyłem do klasy...

Kevin Bollender zmarszczył brwi, na jego czole uwydatniły się bruzdy. Przyglądał węż, najpierw lewy, potem prawy. Wreszcie odezwał się.

- Bardzo dobrze. - Posłał jej uśmiech. - Oto nam dałaś, Beth - jego ton był żartobliwy, lecz równocześnie prawdziwie pochlebny - coś, co psycholodzy wprost uwielbiają: teorię. Możemy nazwać ją „teorią nieznanych psychopatów Beth Louden”.

Kevin poddał temat „nieznanego psychopaty” pod dyskusję. Czy może istnieć? Czy istnieje? Jakie dowody można znaleźć w historii? W dziełach filozoficznych? (Rob Gretsh wspominał Nietzschego i jego *Übermensch*,

Nadczłowieka, który stał ponad rządzącymi masami „prawem”. Nic dziwnego, że naziści uczynili z Nietzschego swoje filozoficzne usprawiedliwienie.). W nagłówkach dzisiejszych gazet i w wiadomościach telewizyjnych o dwudziestej drugiej?

Po skończonych zajęciach Bollender poprosił Beth, aby chwilę zaczekała.

- Chcę ci podziękować - oświadczył. - Chodzi mi o to, że dzięki twojemu przenikliwemu pytaniu mieliśmy dzisiejszego wieczoru ożywioną dyskusję zamiast wykładu, czyli zamiast jednego z opatentowanych przeze mnie „nudnych patosów Bollendera”...

- Ja... tylko musiałam o to spytać - tłumaczyła się Beth.

Uświadomiła sobie, że się rumieni, poczuła płomień gorąca na policzkach, co przypomniało jej czasy, gdy była uczennicą. Pomyślała, że krępuje ją otrzymanie pochwały za wyrażony pomysł, ponieważ zupełnie nie była przyzwyczajona do tego typu komplementów. Och, rozmawiała z magistrem psychologii, słuchała, jak chwali ją za jej wypowiedź i czuła się nieswojo, radośnie nieswojo... Choć, w gruncie rzeczy, czuła też podekscytowanie...

I wtedy Kevin zapytał:

- Może porozmawialibyśmy na ten temat kilka minut, jeśli poszłabyś ze mną na drinka, powiedzmy, do baru, tu, na dole...

Ponieważ zupełnie ją zaskoczył i nie miała czasu do namysłu, odpowiedziała w sposób, w jaki naprawdę chciała odpowiedzieć.

- Tak.

TRZYNAŚCIE

Claire Wynkoop umościła się wygodnie w miękkim fotelu w salonie. Książka leżała otwarta na jej kolanach, ale Claire przeczytała zaledwie kilka stron i musiała przerwać, gdyż słowa zaczęły się ze sobą zlewać. Pochyliła głowę. Pomyślała, że powinna zdjąć dwuogniskowe okulary, zanim same spadną, jednak jakoś nie wydało jej się to warte wysiłku. Było jej przyjemnie ciepło, jak gdyby fotel zmienił się w spowijającą ją chmurę. Wyczuwała regularne uderzenia swojego serca i pulsu. Jeszcze nie spała, wiedziała jednak, że za moment zaśnie.

Po drugiej stronie pokoju, na szczycie zabytkowego kredensu, stał radiogramofon, który Beth i Michael podarowali jej w Boże Narodzenie pięć lat temu. Radio było nastawione na stację FM z lekką muzyką. Claire myślała, że wszystkie piosenki, czy to grane przez bliźniacze pianina Ferrante'a i Teichera lub 101 Strings, czy też w wykonaniu Johnny Mann Singers, są identycznie usypiające. Stanowiły doskonały akompaniament do drzemki i powinny przynieść dobre sny.

Była ósma trzydzieści w piątkowy wieczór i po raz pierwszy tego dnia Claire Wynkoop nieco się odprężyła. Rano obudziła się z bólem głowy, który tak naprawdę nie był... bólem głowy. W bibliotece skupiła się na rytmicznym dźwięku wibrującym w samym środku jej mózgu.

Ten dzień obiecywał zatem przecucie, a był stresujący i nieprzyjemny, wręcz kiepski. Dlaczego przyszłość narzuca jej się, ukazując mające nastąpić zdarzenia? Claire zapytała o to dziś siebie, tak jak wiele razy wcześniej. Była przecież zupełnie zadowolona z tego, że żyje tu i teraz. Powinny

istnieć niemożliwe do przejścia linie rozdzielające od siebie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Zastanowiła się, czy już zasnęła. Nie, chyba nie. Nadal docierała do niej muzyka...

Tyle że ta muzyka - co dziwne - stawała się głośniejsza, coraz głośniejsza. Wypełniała pokój i rozbrzmiewała w głowie Claire. Zniknęła teraz kojąca, spokojna liryka, przywodząca na myśl łagodne falowanie strumienia. Muzyka zrobiła się wściekle, niemiłosiernie atonalna: ryczące rogi, boleśnie jazgoczące smyczki, najwyższe nuty oktawy. Claire słyszała chór, głosy, w których wyła furia, bezrozumny gniew i nienawiść.

Głowa opadła jej w tył, okulary zsunęły się na sam czubek nosa i kobieta spojrzała przez ich szczyt. Zacisnęła ręce na podpórkach fotela.

Widziała przyszłość.

„Michael!” Stał nieruchomo. Jego oczy w kolorze leszczyny wpatrywały się w nią, lecz poza tym jego twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu, pusta.

Czekała, aż Louden przemówi. Czowała, że ma coś do powiedzenia, coś do powiedzenia właśnie jej.

Zięć, ten „Michael z przyszłości” nie powiedział jednak nic. Po chwili jednak zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się i mężczyzna się uśmiechnął.

„Ten uśmiech! To nie jest... Nie rozumiem... Nie w taki sposób Michael zwykle się uśmiecha. Nigdy nie widziałam u niego takiego uśmiechu!”

Louden podniósł rękę. Powoli zamachał.

A potem zmienił się. Jego twarz, twarz zięcia, którego Claire kochała z całego serca niczym własnego syna, zniknęła. I kobieta nie widziała już Michaela. Spoglądała na...

„Jestem Śmiercią!”

Śmierć nie była szkieletem wywijającym kosą. Nie jeździła na upiornym rumaku. Śmierć okupowała ciało Michaela Loudena, ale jej głowa...

Głowa Śmierci była ogniem piekielnym, szaleńczym kołem ognistym pulsującej czerwieni. Była ruchliwym, ciemnoszkarłatnym płomieniem wielkiej piekielnej świecy. Była szatańskim płonącym rubinem, kolorem krwi ofiar, męczenników, niewinnych.

Chociaż Śmierć nie miała oczu, jej spojrzenie padło na Claire. Chociaż nie miała ust, przemówiła do niej:

„Wkrótce! Mój czas wkrótce nadejdzie!”

Następnie Śmierć i przyszłość zniknęły. Stacja FM spokojnie koła słuchaczy wersją utworu the Beatles *Yesterday* w wykonaniu Andre'a Kostelanetza. Zza okna docierało powolne cykanie ostatnich letnich świerszczy.

Claire rozbolała głowa. Serce podeszło jej do gardła, dosłownie czuła w ustach jego bicie. Nie w pełni rozumiała to, co zobaczyła, lecz uwierzyła absolutnie we wszystko. Aż za dobrze знаła swój nieszczęsny dar jasnowidzenia, aby wątpić.

Zastanowiła się, czego to była wizja. Michael. Michael i Śmierć. Widziała, jak Michael zmienia się w Śmierć. Nie, na pewno nie! Zobaczyła tylko, jak Śmierć przesłania Michaela, jak przejmuje jego ciało!

Tak! Michael ma umrzeć, a Śmierć ujawniła nawet, kiedy to się stanie: „Wkrótce!”

„Zawczasu ostrzeżony na czas uzbrojony”. Jak wszystkie przysłowia, tak i to było rozsądne. Claire nie mogła sobie pozwolić na przekonanie, że to, co rozpoznała w przeblysku intuicji, jest nieuniknione. Może widziała jedynie - i, Boże, modliła się, żeby tak było! - możliwość, wypadek, do którego nie musi dojść, jeżeli tylko zainteresowana osoba zachowa ostrożność?

Przecież zawsze zdarzały się osoby, które twierdziły, że mają „przeczuć”, więc odwoływały swój rejs „Titanikiem”, „Lusitanią” lub „Hindenburgiem”. A kto wie, ile żywotów ludzkich zostało uratowanych przez intuicję kogoś innego, na przykład przez żonę mówiącą do męża: „Chcę, żebyś pojechał do pracy samochodem, a nie koleją” i tego samego dnia o ósmej pięć rano pociąg się wykołajał... albo przez niepokój matki, która

postanawiała, że pozwoli swojej latorośli opuścić lekcje w dzień, w którym później pożar szkoły pochłonął setki dziecięcych istnień?

Claire musiała ostrzec Michaela. Och, zięć zawsze wyśmiewał się z jej wizji. Nie bardziej akceptował jej parapsychiczne zdolności niż teorię, że ziemia jest płaska.

Ale Beth... Beth nie chciała jej wprawdzie wierzyć, próbowała lekceważyć „czytanie z kryształowej kuli” swojej matki, lecz Beth w istocie знаła prawdę. W głębi swojego serca, wbrew swojej woli, wierzyła.

Claire postanowiła, że zaraz zadzwoni do córki i porozmawia z nią.

Zdjęła książkę z kolan i odłożyła ją na okrągły stoliczek obok fotela. Wstała, a wtedy pokój zawirował. Pomyślała, że w trakcie wizji ciśnienie prawdopodobnie porządnie jej podskoczyło. Była pewna, że zawrót głowy za chwilę przejdzie.

Podłoga uniosła się. To było jak... Claire przypomniała sobie, jak w młodości odwiedziła beczkę śmiechu w wesołym miasteczku, kręcącą się wyścielaną tubę.

Zapadła się z powrotem w fotel.

Czuła się dziwnie. Rozejrzała się po salonie. Przedmioty wokół wydawały się bardziej sugestywne niż zwykle: żyrandol, tapczan z podniszczoną środkową poduszką, sentymentalne bibeloty w gablotce... Claire widziała wszystko znacznie wyraźniej. Odnosiła wrażenie, że potrafi dostrzec słabe, upiorne ślady innego wymiaru, który znajdował się pod jej rzeczywistością. Między kredensem a fotelem dostrzegła jakąś gęstość. Cały pokój był przepełniony głębią powietrza.

Spróbowała się dźwignąć z fotela. Boże! Ależ była słaba! Żeby usiąść prosto, potrzebowała tak wiele sił! Jej głowa stale przechylała się w prawo i utrzymanie jej we właściwym miejscu wymagało ogromnego wysiłku.

Opierając się dłońmi o oparcia fotela, prostując łokcie w odpowiednim momencie, Claire zdołała wstać. Zrobiła krok.

Jako dziecko uczyła się w szkole podstawowej o grawitacji. Teraz po

raz pierwszy w życiu rzeczywiście zrozumiała pojęcie ciąży; to była przytłaczająca siła, która szarpała ją w dół.

Wokół panował hałas, zewsząd docierały syki i odgłosy strzelania, jak gdyby Claire brnęła przez morze otwieranego szampana. Olbrzymie pęcherzyki dwutlenku węgla dotykały ją i pękały w zetknięciu z jej ciałem.

Prawy kącik jej ust opadł, ociekając śliną. Prawe ramię Claire, zgięte w łokciu, przylgnęło do jej boku, dłoń obróciła się ku górze, palce wywinęły w sztywny szpon.

Ciągnąc zdrętwiałą prawą nogę, która nie reagowała na bodźce, kobieta zatoczyła się w stronę kuchni. Musiała zadzwonić do Beth, aby ostrzec ją co do Michaela!

Ale nie mogła, jeszcze nie. Nagle - akurat teraz! - śmierć wyciągała ręce właśnie po nią! Najpierw trzeba wezwać pomoc dla siebie.

Użyła lewej ręki, aby zdjąć z widełek słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu.

Wcisnęła słuchawkę między ramię i policzek, po czym niezdarne wykręciła numer pogotowia.

Kiedy spróbowała przemówić, język wypełnił jej całe usta.

„To zabawne - pomyślała. - Wiem dobrze, co chcę powiedzieć, ale wydaję z siebie jedynie bezsensowny bełkot!”

Spróbowała jeszcze raz. Całkowicie skoncentrowała się na tym jednym zadaniu. Słowa wyszły kulawo i ochryple, lecz jej wypowiedź była logiczna.

- Nazywam się... Claire Wynkoop. - Przez moment szukała w pamięci własnego adresu, ale w końcu go sobie przypomniała. Następnie wyjaśniła problem: - Myślę, że mam udar mózgu.

Zdołała odwieść telefon i otworzyć tylne drzwi domu, aby sanitariusze - gdy przybędą - bez problemu dostali się do środka. Spróbowała dotrzeć do stołu w kuchni i usiąść przy nim, jednak niemoc - niezwykle nieprzyjemna, mająca w zasadzie postać ciepłego zmęczenia, rozchodzącego

się promieniście od jej kości - powaliła ją i Claire upadła na pokrytą linoleum podłogę; prawa noga sterczała przed nią sztywno.

Zastanawiała się, czy umiera. Sądziła, że nie. Chociaż była praktycznie pozbawiona sił, czuła się nie tyle źle, co inaczej. Odczuwała zmiany w swoim umyśle, głębokie zmiany. Świat widziała w sposób zniekształcony. Miała wrażenie, że po raz pierwszy, odkąd żyje, naprawdę widzi to, na co patrzy, że dziś „łuski opadły jej z oczu”. Rozumiała znaczenie wszystkich szczegółów. Na ścianie krzywo wyhaftowany kawałek materiału, który Beth wykonała, gdy była w trzeciej klasie - „NIECH BÓG POBŁOGOSŁAWI NASZ SZCZĘŚLIWY DOM” - wibrował dziecięcą miłością, radością z własnej kreatywności i postanowieniem, aby stworzyć coś „ładnego”.

Kiedy przybyli sanitariusze, Claire Wynkoop nie była w stanie odpowiedzieć na żadne z ich pytań. Była przytomna, lecz nie mogła mówić. Niemniej jednak jej szkliste oczy patrzyły, dostrzegając nie tylko istniejące przedmioty i ludzi, lecz również ich esencję, coś, co wykraczało poza zwykły byt. A jej mózg, w którym właśnie umierały miliony komórek, interpretował to, co widziała.

- Niech się pani nie martwi, proszę pani. Wszystko będzie dobrze.

Do Claire dotarły wypowiedziane słowa, równocześnie jednak usłyszała także troskę i szczerą w głosie sanitariusza.

Ze zwieszoną głową obserwowała dwóch mężczyzn.

„Oni świecą! Widzę światło. Rozumiem ich naturę. Jest luna wokół ich głów... Mają aury, świetliście złote, i to oznacza, że są życzliwi, oddani i... dobrzy”.

Autodiagnoza Claire Wynkoop była poprawna. Właśnie przeszła poważny udar mózgu.

Ale teraz potrafiła naprawdę widzieć!

Widziała ludzkie aury.

I umiała je zrozumieć.

Była piąta trzydzieści w sobotni rano, kiedy zadzwonił telefon. Michael usiadł prosto w łóżku, jego serce zabiło gwałtownie. „Wiadomość? W końcu Wiadomość?”. Od chwili gdy zobaczył Jana Pretre u Engelkingów i usłyszał potwierdzenie obietnicy związanej z Czasem Obcych - ”Wkrótce!” - każdy dzwonek telefonu przyprawiał go o dreszcz.

Ale nie, cholera, powinien był przewidzieć. Telefon przed świtem był prawdopodobnie dowcipem jakiegoś kretyna albo...

Beth odebrała telefon. Nie powiedziała zbyt dużo. Głównie powtarzała: „Och”, jednak kolejne „och” wypowiadała bardziej zmartwionym tonem niż poprzednie. I płakała.

- Beth, co się stało?

Gdy powiedziała „matka”, Louden zrozumiał, o czym rozmawiała. „Więc dobra, stara, droga mamuśka przeniosła się do lepszego świata i płasza z aniołkami, co? Nadcisnienie rozerwało w końcu jej mózg i pa, pa?!”

Michael otoczył żonę ramieniem.

- Czy ona nie...? - spytał, po czym zrobił pauzę, jakby nie potrafił zmierzyć się z ewentualnością, że Claire nie żyje.

„Ale, niech to szlag, co wy na to? Stara Wynkoop mimo wszystko nie umarła! Babsko trzyma się życia niczym guma przyklejona do buta w głupiej komedii”.

Beth odłożyła słuchawkę i szlochając, przekazała mu szczegóły. Matka doznała rozległego udaru, a zanim dotarła do szpitala, jeszcze jednego - choć w opinii lekarzy już nie tak poważnego - w innej części mózgu. Jest sparaliżowana. W tej chwili leży na oddziale intensywnej terapii. Na przemian traci i odzyskuje przytomność, lecz chociaż jej stan jest ciężki, lekarze nazywają go stabilnym, nie krytycznym.

- Musimy...

- Oczywiście - uciął Michael. - Zaraz tam pojedziemy.

- Ale dzieci... Nie chcę, żeby widziały mamę w tym stanie... w takim, w jakim jest.

„Taaa - pomyślał Louden - trzeba oszczędzić wrażliwym maluchom wszystkiego, co paskudne, no nie?”

- W porządku - odparł. - Zaczynaj przygotowywać się do drogi, a ja za kilka minut obudzę dzieci. Najpierw zadzwonię do Engelkingów. Vern to ranny ptaszek, wstaje wcześniej nawet w weekendy. Spytam, czy mogą się zaopiekować Marcy i Kim do jutra wieczór. Na pewno się zgodzą. Wiesz, jak lubią nasze dziewczynki.

- Tak - szepnęła Beth. - Laura i Vern są dla nas jak rodzina, Michaelu... - Emocje odebrały jej głos. - Mama...

Engelkingowie oczywiście zgodzili się zaopiekować dziećmi przez weekend. Bez problemu. Przykro im było z powodu nieprzyjemnego zdarzenia i „jeśli mogą jeszcze jakoś pomóc, zrobią wszystko”...

Godzinę później dziewczynki wysiadły przed domem Engelkingów, a Michael i Beth ruszyli do Belford. Wcześniej Beth pospiesznie się spakowała, zabierając dość rzeczy na tydzień. W ten sposób będzie mogła posiedzieć przy matce - „Ciągle się modłę, żeby z tego wyszła, Michaelu, ale bardzo się boję, że stanie się inaczej”. Michael będzie prawdopodobnie mógł - „Jeśli tylko mama...” - wrócić do domu w niedzielę wieczorem. Dziewczynki miały naturalnie w poniedziałek szkołę, a on musi iść do pracy. Lepiej nie zmieniać planu zajęć dzieci bardziej niż to konieczne. Skoro zostaną poinformowane, co się stało i że babcia niedługo poczuje się dobrze, niech żyją swoim życiem.

„Tylko jak, do diabła, stara ma się dobrze poczuć - zastanowił się Louden. - Zmieniła się już pewnie w roślinę, a miejsce rośliny jest w ziemi”.

- Jestem przekonany, że sprawy się ułożą, Beth - powiedział na głos. - Ludzkie organizmy potrafią się nadzwyczajnie regenerować po udarach. Twoja matka jest kobietą upartą. Ta jej cecha w tej sytuacji pomoże. Założę się, że za rok nawet nie będziesz pamiętała, że przeszła udar. - W myślach

dodał: „Za rok od dzisiaj, kobieto, w ogóle nic nie będziesz wiedziała!”.

Beth nie odezwała się.

Wiszące nad ich głowami słońce miało kształt zamglonej kropelki na niebie. Tylko nieliczne samochody kierowały się na południe. Znaki na autostradzie wskazywały Monee, Kankakee, Chebanse i inne równie egzotyczne nazwy małych miasteczek Illinois, które mogły gościowi oferować niewiele więcej niż to, co obiecywały napisy: „Jedzenie” (gwarantowanie kiepskie) i „Benzyna” (stanowczo zbyt droga).

Michael zerknął na Beth. Siedziała od niego najdalej, jak mogła, przyciśnięta do drzwi samochodu.

- Spróbuj myśleć pozytywnie, kochanie - zaproponował.
- Proszę, bądź cicho, Michaelu - niktęła Beth.

Odwróciła głowę, nie patrząc na niego.

„No cóż, proszę, wybac mi, że się staram!”

- Beth, przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co cię obraziło. To jest ostatnia rzecz na świecie, jaką chciałbym zrobić, szczególnie w obecnej sytuacji.

- Nie powiedziałeś niczego niewłaściwego - odparła obojętnie. - W gruncie rzeczy mówiłeś same właściwe rzeczy. Zawsze mówisz same właściwe rzeczy, Michaelu. Ale, co zabawne, akurat w tym momencie jakoś trudno mi uwierzyć, że wierzysz choćby w jedno z tych właściwych słów, które wypowiadasz.

W westchnieniu Loudena była uraza i skrucha.

- Nie... nie rozumiem.

Naprawdę nie rozumiał. Przecież Beth nie mogła... Nie, odrzucił tę myśl. Droga żonka miała przecież równie świetną intuicję co krowa w rzeźni. Jego maskarada była zbyt doskonała, po prostu idealna, a udawał przecież od dnia, gdy po raz pierwszy spotkał Beth i postanowił się z nią ożenić.

- Beth - kontynuował - jeśli powiesz mi, co...
- Zrób mi przysługę, Michaelu - przerwała mu beznamyślnie. - Po prostu zamilknij. Nie chcę rozmawiać, rozumiesz?
- Cokolwiek sobie zażyczysz, moja droga - odparł.

* * *

- Jest teraz przytomna i na pewno się ucieszy, że państwo przyjechaliście. - Uśmiech pielęgniarki i jej ton były równie sztuczne jak blond jej włosów.

Podparta na łóżku z wezglowiem uniesionym pod kątem trzydziestu stopni, z rurką tlenową w nosie, przewodami wychodzącymi spod szpitalnej koszuli i biegnącymi do stojącego na półce monitora serca, a także z igłą kroplówki dożylną wbitą w grzbiet lewej ręki, Claire Wynkoop wyglądała jak mumia z filmu science fiction, istota w bardzo podeszłym wieku, utrzymywana przy życiu od stuleci jedynie dzięki nowoczesnej medycynie, a nie magii. Jednak oczy miała otwarte - naprawdę otwarte!

„Wcześniej mogłam od czasu do czasu zerknąć w przyszłość - myślała. - Teraz lepiej potrafię widzieć teraźniejszość, postrzegam ludzi takimi, jakimi są”.

Podbiegająca do łóżka matki Beth zasłoniła Claire Michaela.

- Och, mamó - jęknęła, po czym lekko zakaszła. Pochyliła się nad Claire i ta zobaczyła piegi na nosie córki, jej drżącą dolną wargę, łyzy błyszczące w brązowych oczach i... jej aurę.

„Jasne światło, lecz przy poszarpanych krawędziach zabarwione na żółto. Nierówne, pochyle zygzyki przypominające czułki kraba... Żółty - kolor choroby, niepokoju i strachu...”

Claire uświadomiła sobie, że Beth przeżywa emocjonalny wstrząs.

„Skąd wiem to wszystko? Och, to nie ma znaczenia. Wiem i już!” Choć jakis procent strapienia córki spowodowała oczywiście normalna troska o poważnie chorą matkę, były również inne powody; Claire wyczuwała to.

Beth pocałowała matkę w policzek, po czym odsunęła się o krok od łóżka.

- Claire - wtrąciła się pielęgniarka - wiem, że cieszysz się z odwiedzin rodziny, ale nie chcemy, żebyś się za bardzo ekscytowała. - Na monitorze serca widać było, że puls Claire przyspieszył niemal dwukrotnie, a falisty dotąd wykres zmienił się we wściekle strome góry i dziko opadające doliny.

- Witaj, mamó - odezwał się Michael. Stał u stóp łóżka.

„Rozumiem! Teraz rozumiem!”

- Będzie dobrze, mamó - ciągnął zięć. - Zobaczysz.

„Ty potworze! Ty zabójco! Ty mordercza gnido! Widzę!”

...trująca czerwień wokół jego głowy! Aureola nienawiści! Michael był zły, był Złem w ludzkiej postaci, odrażającym sekretem dla świata, dla wszystkich, dla Beth i dzieci...

Musiała ich ostrzec!

- Claire nie może się denerwować - naciskała pielęgniarka. Poklepała chorą po ramieniu. - Proszę, uspokój się. Będziesz miała dużo czasu dla swoich bliskich.

Teraz Claire w pełni pojęła ten przelotny obraz przyszłości, który poprzedził jej atak - jej przemianę! Śmierć przychodziła... dla Michaela... Boże, cóż za ponury żart! Michael był Śmiercią i jego czas wkrótce nadejdzie!

Wargi starszej pani poruszyły się, jej klatka piersiowa się uniosła. Claire miała świadomość, że powietrze sunie w górę z jej płuc, ku gardłu i wyżej, więc spróbowała rozkazać swojej krtani, swojemu językowi, zębom i wargom pomoc w wyjawieniu rewelacji. Jedyнным dźwiękiem, jaki wydobył się z jej ust, był jednakże tylko gardłowy jęk.

- Och, mamó - jęknęła Beth.

- Nie staraj się teraz mówić, Claire - poleciała pielęgniarka. - Kiedy poczujesz się lepiej, na pewno będziesz miała wiele do opowiedzenia!

Claire poczuła, jak łyzy bezradnej frustracji spływają jej po policzkach.

- Już dobrze - zapewniła ją pielęgniarka. Wytarła Claire twarz chusteczką higieniczną. Potem zwróciła się do Michaela i Beth: - Byłoby dobrze, abyście państwo wyszli na korytarz i poczekali, aż ona się uspokoi. Wasza wizyta to dla niej naprawdę duże przeżycie. Najwyraźniej bardzo was oboje kocha.

Michael podszedł do boku łóżka i stanął obok Beth.

Claire wiedziała. Michael zamierza ją zabić. Chce pozabijać... wszystkich!

We wnętrzu chorej kobiety rósł krzyk. Czuła go. Potężny dźwięk wypełniał jej klatkę piersiową, a jednak z ust wydobywał się tylko słaby jęk.

- Bardzo państwa proszę - nalegała pielęgniarka. - Panie Louden, pani Louden.

Michael zerknął na zegarek.

- Lekarz powiedział, że mógłby teraz z nami porozmawiać - poinformował Beth. - Chodźmy do niego.

W wejściu Michael odwrócił się do Claire, pomachał jej i posłał uśmiech.

- Nie martw się, mamó. Wkrótce się zobaczymy.

CZTERNAŚCIE

Jej matka „robiła postępy”. Tak stale powtarzał doktor Rhinehardt, ordynator oddziału rehabilitacyjnego. I Beth chciała w to wierzyć. Ale gdy patrzyła na matkę, nie widziała tego - jej stan wcale nie potwierdzał tych nadziei.

Claire siedziała na plastikowym krześle przy oknie, gapiąc się prosto przed siebie. Z pomocą córki zrobiła kilka chwiejnych kroków z łóżka do krzesła w swoim pokoju.

Gdy opuszczała szpital w Belford po dziesięciodniowym pobycie, jej życie nie było już zagrożone. W szpitalu jednakże nie można było dla niej zrobić nic więcej.

Wymagała opieki przez całą dobę i intensywnej fizjoterapii, dlatego przewieziono ją ambulansem do ośrodka dla rekonwalescentów i centrum rehabilitacji w Ridgewood. Ośrodek miał dobrą reputację i znajdował się tylko dziesięć minut jazdy na zachód od Park Estates, więc Beth mogła często odwiedzać matkę.

Claire przebywała w Ridgewood od trzech tygodni. Nikt nie potrafił przewidzieć, jak długo jeszcze potrwa leczenie. Na szczęście, pieniądze nie stanowiły problemu. Claire Wynkoop zawsze „troszczyła się o wszystko”, toteż jej pełne ubezpieczenie okazało się wystarczające nawet w obecnej epoce rosnących w zastraszającym tempie kosztów medycznych. Matka Beth miała również pieniądze na rachunku bankowym oraz...

„Cholera” - pomyślała Beth. Matka przez całe swoje życie była taka

niezależna... Beth krajało się serce, gdy widziała ją w takim stanie, taką całkowicie bezradną. I tyle straciła na wadze, że wyglądała jak wyschnięty szkielecek; w jej ciele tliły się resztki życia.

A co do „postępów”, które napawały doktora Rhinehardta takim optymizmem... No cóż, Claire mogła chodzić przynajmniej równie dobrze jak jednonogi pijany marynarz i potrafiła niezdarnie utrzymać łyżkę w lewej ręce. Jej prawa ręka i ramię pozostały całkowicie sparaliżowane. No i nie mówiła, nie mogła wymówić ani słowa. Kiedy próbowała, wydawane przez nią dźwięki nie przypominały ludzkiej mowy.

Beth martwiła się też - to było najgorsze ze wszystkiego! - że stan umysłowy mamy się pogarsza. Często, kiedy do niej przemawiała, miała przed sobą szkliste i puste oczy, jak gdyby Claire niczego nie rejestrowała. A kiedy widywała dziewczynki i Michaela, w każdym razie podczas pierwszych kilku spotkań, z niewiadomych powodów straszliwie się ekscytowała, prawie wpadała w histerię, gwałtownie kręcąc głową z boku na bok i belkocząc frenetycznie. Można by niemal sądzić, że ją przerażają, że przeraża ją ich obecność.

Teraz Beth zmusiła się do mówienia, opowiadając matce - „Czy ta kobieta może być moją matką?” - co Marcy i Kim robiły w szkole, jak bardzo Michael jest... a w każdym razie wydaje się... zajęty, zapewne ma sporo stresów w pracy, tak przypuszczała... Wspomniała też o swoich zajęciach na psychologii, o pasku alternatora chevette, który trzeba było wymienić w ubiegłym tygodniu, o nowym przepisie kulinarnym, który chciała wypróbować. Paplała nieprzerwanie, jak gdyby normalne mówienie mogło jakoś przenieść matkę z powrotem do świata ludzi zdrowych.

- O rany, jest dopiero początek października, a dzieci już są przejęte Halloween, no ale, skoro świat jest taki, jaki jest, może lepiej nie pozwolić im chodzić po domach z prośbą „słodycze albo psikus”, ponieważ, och, no wiesz, bywają różni okrutni i niebezpieczni szaleńcy, którzy...

Claire Wynkoop nadal wpatrywała się w ścianę.

Z holu dotarły dźwięki wózków rozwożących kolację i szczęku tac.

- Zaraz kolacja - oznajmiła Beth z wymuszonym entuzjazmem. - Tu-tejsze jedzenie zawsze tak ładnie pachnie.

Siedziała na krawędzi łóżka. Teraz wstała.

- Mamo - spytała - chcesz, żebym ci pomogła przy jedzeniu?

Claire nie odpowiedziała nawet najdrobniejszym ruchem głowy.

Beth o mało nie spytała: „Chcesz, żebym cię nakarmiła”, na szczęście w samą porę się powstrzymała. Szczerze wątpiła, czy zraniłaby tym pytaniem uczucia matki, wątpiła, czy Claire w ogóle rozumie cokolwiek z tego, co ona do niej mówi, niemniej potwierdzenie, że matka jest całkowicie bezradna, oznaczałoby dla samej Beth, że postawiła na niej krzyżyk.

Nie mogła. Musiała wierzyć.

Zerknęła na zegarek. Było kilka minut po osiemnastej.

- Dobrze, mamo - oznajmiła. - Lepiej pojedę już na zajęcia i pozwolę ci spokojnie zjeść kolację, a później trochę odpocząć...

Matka przerwała Beth, nieoczekiwanie unosząc lewą rękę. Potem powoli odwróciła głowę i zagięła palce, dając znak córce, aby się zbliżyła.

- Tak, mamo?

Claire oblizła usta. Przełknęła ślinę i zbyt duża gruda przesunęła się w dół jej gardła pod pomarszczoną skórą. Wpatrzyła się córce w oczy i nie odrywała spojrzenia.

Beth pochyliła się. Chwyliła matkę za rękę, ale Claire cofnęła dłoń.

Beth uświadomiła sobie, że matka próbuje jej coś powiedzieć. Oczy matki były bystre, mądre i...

Claire poruszyła ręką wokół własnej głowy, rysując zarys czegoś w rodzaju niewidocznego hełmu do nurkowania. Jej wargi poruszyły się. Dźwięk, który wyszedł, zaczął się jako twarda spółgłoska, a zakończył w postaci wyskamlanej otwartej samogłoski.

Beth wstała. We dwie bawiły się w odgrywanie jakichś wisielczych szarad. Czyżby matka mówiła, że boli ją głowa? A może chciała dostać chustkę na głowę? Beth musiała stłumić w sobie nagle, gniewne pragnienie pochwycenia tej chorej kobiety za ramiona, potrząśnięcia nią i krzyknięcia: „Powiedz to, do ciężkiej cholery!”.

Ale tylko westchnęła. Podobnie jej matka - wydała z siebie długie, zmęczone westchnienie, które trwało bezgłośnie, gdy Claire wyraźnie się załamała, zwieszając ramiona i spuszcżając głowę.

„Muszę stąd wyjść! Nie wytrzymam tu z nią ani minuty dłużej!” Beth poczuła wstyd z powodu tej myśli, a później dodatkowo zawstydzila się szybkości, z jaką narzuciła kurtkę, szarpnęła torebkę i zdawkowo cmoknęła matkę w czoło. Zwlekając zaledwie chwilę, w której rzuciła: „Przyjdę jutro, mamo”, po prostu uciekła.

Zmusiła się do przejścia normalnym krokiem korytarza aż do windy, chociaż miała ochotę pobiec z domu dla rekonwalescentów prosto do samochodu. Z walącym sercem włożyła klucz do stacyjki, ale nie włączyła silnika.

Popatrzyła na odbicie swoich oczu w lusterko wstecznym. Wampirzyca z horroru? Kobieta torturowana w południowoamerykańskim więzieniu? Dobry Boże, kim jest ta istota o martwych oczach?

„Osobą, której rozpadł się świat!”

Pragnęła z kimś porozmawiać, wyrzucić z siebie wszystkie troski.

- Jestem nieszczęśliwa i boję się. Wydaje mi się, że boję się przez cały czas. Boję się dzwonka telefonu, obwoźnego sprzedawcy i kierowców ciężarówek zatrzymujących się obok mnie na czerwonych światłach. Boję się, że obcy ludzie mogą zaprosić moje dzieci na przejażdżkę. Boję się człowieka, który stoi za mną w sklepie spożywczym. Boję się burz z piorunami, tornad, wypadków samochodowych, ataku serca, raka, snów i śmierci. Boję się rzeczy, których nawet nie umiem sobie wyobrazić.

Jej gardło się zacisnęło i Beth poczuła w oczach uządlenie napływających niepożądanych łez. Pragnęła się rozplakać, lecz bała się, że jeśli teraz pozwoli sobie na łzy, one nigdy nie przestaną płynąć.

Była tak strasznie samotna!

Nie było nikogo, do kogo mogłaby...

Nie Michael. Nie mogła z nim rozmawiać, już nie. Michael kiwał poważnie głową, gdy mówiła serio, mruczał pocieszająco, gdy potrzebowała pociechy, był dokładnie taki jak zawsze, „nieprawdaż...?”. Facet z sympatycznymi, oklepanymi żartami, który zwykle pamiętał o przepłukaniu płynem do ust zębów po szczotkowaniu, który czytał poranną gazetę, który bekał, ziewał, a równocześnie był jakąś zagadką, jakimś obcym człowiekiem.

Świat pełen był obcych ludzi.

Myśl ta uderzyła ją z ostro-słodką intensywnością religijnego objawienia.

A jednak istniał ktoś!

„Tak sądzę...”

Miała przyjaciela.

„Prawda?”

Mogła z nim porozmawiać.

Ruszyła do Lincoln Junior College.

* * *

Natężenie dźwięku w telewizorze zostało zwiększone do ulubionego przez dzieci hałasu, od którego mogłyby popękać szyby.

Oglądali powtórkę serialu *Mork i Mindy*. Za każdym razem, gdy Mork wypowiadał swoje głupie „Na-nu, na-nu”, widownia w studio wyła w uznaniu, a wraz z nią Kim. Dziewczynka, ubrana w piżamkę, leżała na brzuchu na dywanie nie dalej niż metr od telewizora, z podbródkiem podpartym na rękach.

Michael siedział na kanapie. Tego wieczoru była jego kolej na popilnowanie córek. Był spięty i podenerwowany. Miał ochotę kogoś zabić.

„Zabijanie!” Stanowiło powód jego istnienia. I jego plan na przyszłość. Teraz, gdy wiedział, że czas zabijania - Czas Obcych - niedługo nadejdzie, czuł się jak gąsienica podczas przeobrażenia i z niecierpliwością oczekiwał na uwolnienie się z ograniczającego go kokonu codziennego życia, które więziło go przez tak wiele lat.

Założył nogę na nogę. Ekran telewizora przedstawiał zbliżenie twarzy Morka, który właśnie oświadczył: „Próbuję tylko być normalnym facetem jak każdy inny, na-nu, na-nu”. Śmiech z taśmy sugerował, że jego komentarz jest niezwykle zabawny. Kim również pękała ze śmiechu.

Michael obrzucił córkę piorunującym spojrzeniem. Już niedługo - „kiedy, ach, kiedy?” - przestanie jej potrzebować. Nie będzie także potrzebował jej siostry ani ich matki. Zobaczą go wtedy... naprawdę, zobaczą go po raz pierwszy i ostatni w swoim życiu, poznają go takim, jaki jest - Michaela Obcego. Żegnaj, pieprzone pełne wyrzeczeń życie, żegnaj Drogi Stary Tatusiu i Szczęśliwy Mężusiu...

Ech, powiedzmy to sobie szczerze, Beth sprawowała się obecnie dość kiepsko jako „Cudowna Żonka”. Przez większość czasu snuła się z kąta w kąt z nieszczęśliwą miną, jak gdyby wykonano lobotomię jej mózgu wielkości orzeszka. I za każdym razem, gdy z wahaniem próbowała zainicjować jedną z tych „znaczących dyskusji”, od których Michaelowi puchły uszy, pracując nad „prawdziwym porozumieniem, abyśmy nie tracili ze sobą kontaktu”, bla, bla, bzdura, bzdura... No cóż, ilekroć mówił coś... coś całkiem sensownego – niech ją szlag! - ...wówczas - bum! - urywała dyskusję z tym swoim zmęczonym: „Och, mniejsza o to” lub: „Zapomnijmy o tym”, lub w ogóle kończyła rozmowę, odwracając się od niego w milczeniu.

Cholera, mówił same właściwe rzeczy i wykonywał same właściwe gesty. Próbował seksu i chociaż w przeszłości stara dobra metoda „przytul-pogłaszcz-pokochaj” zwykle załatwiała sprawę, przekonując Beth, że wszystko jest idealnie, przesłodko, superświetnie i „hej-hej, okej”, ostatnio nawet to posunięcie się nie udawało. Michael nie mógł nazwać jej oziębłą,

po prostu jego strategię zawodziły.

„Cóż, Beth jest kompletnie rozbita z powodu swojej starej”. To było naprawdę smutne. I przykre. Co za cholerna szkoda...

- Hej, tato?
- Hmm? O co chodzi?

W telewizji była reklama i Kim przewróciła się na plecy, po czym usiadła prosto.

- Nie lubisz *Morka i Mindy*?
- Lubię - odparł. - To cudowny serial. Świetna komedia. Wspaniałe aktorstwo. Tak, tak, Ameryka potrzebuje *Morka i Mindy*.
- Czemu więc się nie śmiejesz?
- Śmieję się, Kim - zapewnił ją. - Uwierz mi, wasz tata w swoim wnętrzu wręcz ryczy ze śmiechu.

Kim posłała mu zaintrygowane spojrzenie.

- Wiesz, tato, czasami cię w ogóle nie chwytam.

„Naprawdę? - pomyślał. - Ale ja kiedyś schwytam ciebie!”

Podniósł się.

„Właściwie - pomyślał i dreszcz rozkoszy przebiegł mu w dół po kręgosłupie - teraz byłby cudowny moment. Usłyszysz jeszcze, Kim, jak tatuś się śmieje. Będzie się śmiał tak, jak nigdy nie słyszałaś, lecz wcale nie będziesz uważała, że to jest, cholera, wesołe!”

Naprawdę zrobił krok w kierunku córki, lecz w tym momencie się powstrzymał. Spokojny, chłodny i opanowany, taki musiał być. Cierpliwy, wytrzymały i... wyczekujący. Ten telefon w końcu zadzwoni, Wiadomość od Jana Pretre w końcu przyjdzie, a wtedy, tak, wtedy, z pewnością wtedy...

Wszedł na parter. W kuchni, nawet po zamknięciu drzwi prowadzących na schody, wciąż słyszał z dołu wybuchy śmiechu Kim i to irytująco głupkowate „na-nu, na-nu”.

Otworzył szufladę na lewo od zlewu. Dokładnie tam leżał... ten nóż rzeźniczy o długim, trójkątnym ostrzu, spiczastym i zaostrzonym. Stanowił

część kompletu, na który składał się nóż do steków, obierak do ziemniaków, nożyk do warzyw, nóż do chleba... każdy pieprzony nóż, jaki można sobie wyobrazić, oferowany w sprzedaży bezpośredniej i reklamowany w męczących reklamach telewizyjnych: „Sądzisz, że ten znakomity komplet sztućców kosztuje kilkaset dolarów, a on może być twój za niską, bardzo niską cenę, czyli zaledwie 29 dolarów i 95 centów, zatem...”

Uśmiechając się, Louden podniósł nóż. Był doskonały.

Wibrował niczym silnik na najwyższych obrotach. Idealnie nadawał się do zrobienia... tego teraz... Szybka decyzja, czyn i fale niewytłumaczalnej radości! Marcy, Kim, a następnie...

Zajęcia Beth kończyły się o dziewiątej wieczorem, lecz, jak mu powiedziała, wybierali się małą grupką na drinka, więc nie spodziewał się jej w domu przed dziesiątą trzydzieści albo jedenastą. Spyta ją: „Jak było na zajęciach?”, ona odpowie: „W porządku”, po czym on zasugeruje: „Wiesz, dziewczynki chyba nie czują się zbyt dobrze. Może powinnaś do nich zajrzeć”.

Wyobraził sobie twarz Beth, patrzącej na martwe dzieci.

„Jej usta się otwierają! Oczy wychodzą z orbit! Próbuje krzyknąć, ale jest zbyt wstrząśnięta, potrafi tylko sucho zakasłać! Stoi, chwiejąc się, wpatrując w niego, w jego uśmiech, i nie wierzy, nawet gdy on zagłębia nóż w jej piersi, brzuchu i gardle!”

Nie! Jeszcze nie, jeszcze nie teraz, niech to cholera weźmie, niezależnie od siły impulsu, pragnienia i potrzeby. Czas zabijania dopiero nadejdzie.

Odłożył nóż rzeźnicki i zamknął szufladę. Cholera, rozumiał, dlatego Eddie Markell chodzi wiecznie zalany jak bezdomny menel. Kiedy urodziłeś się po to, aby przelewać krew innych, nijakich... i nie możesz tego robić, musisz znaleźć sobie inne pocieszenie.

Wszedł do salonu. Z piętra dotarł do niego odgłos wody nalewanej do wanny. Marcy przygotowywała się do snu.

Włączył stojącą na niskim stoliku zabytkową kryształową lampę i usiadł na kanapie. Nagle uśmiechnął się. Więc Beth jest rozdrażniona i nie w so- sie, he? Da jej prawdziwy powód, dzięki któremu będzie naprawdę nie- szczęśliwa! I może uda mu się nieco rozplenić cierpienie - niech dziew- czynki też się trochę posmucą!

Minutę później krzyknął w stronę piętra:

- Marcy, zejdź tutaj.

Później poszedł do kuchni, otworzył drzwi na dół, do pokoju rekreacyj- nego i kazał Kim wejść na górę. W salonie wskazał na niski stolik.

- Kim, Marcy - warknął - zobaczcie, co tu mamy.

- Ojej! - krzyknęła Kim. - Jedna z lamp mamy całkiem się roztrzaska- ła!

Lampa leżała na boku, niebezpiecznie blisko krawędzi stolika, jej aba- żur był zmiądzony, szklane graniastosłupy rozbite na nierówne kawałki; w powietrzu migotały błyszczące diamenty kurzu.

Marcy, już w koszuli nocnej, zerknęła nerwowo na rozbitą lampę, po- tem na ojca, wreszcie znowu na lampę.

- Te lampy były drogie - oświadczył Michael – ale pieniądze nie są ważne. Ktoś rozbił lampę i wasza mama będzie niepokieszona. Nie sądzę, żeby lampę dało się naprawić, a jestem pewny, że nie sposób zdobyć iden- tyczną. A zatem... która ją zabiła?

Żadna z dziewczynek nie odpowiedziała.

- W porządku - ciągnął Loudon. Przesunął ręką po włosach i powie- dział: - Wypadki się zdarzają. Rozumiem to. Doszło więc do wypadku, co mnie oczywiście nie cieszy, tym niemniej zamierzam się dowiedzieć, której z was się przydarzył. Kiedy się tego dowiem i usłyszę przeprosiny, sprawa się zakończy, w porządku?

Przerwał na kilka sekund, przyglądając się córkom. Postawił je w nie- zręcznej sytuacji i to mu się podobało. Hmm, będzie nieco bólu i zgryzoty w starym domostwie.

- No dobrze - odezwał się, patrząc na Kim. - Co powiesz?

- Nic - odparła dziewczynka z naciskiem. - Nie stłukłam jej, tato.
- Marcy?
- Nie, tatusiu.

Michael założył ręce na piersi.

- Wygląda na to, że mamy tu tajemnicę, młode damy. Coś jest rozbite, ale nikt tego nie stłukł. No i jak to możliwe?

- Może przewróciła się sama, tatusiu - podsunęła Marcy z wahaniem.

- Och - mruknął Michael, przesadnie kiwając głową. - Interesująca teoria. A może w domu jest ktoś obcy, ktoś, o którym istnieniu nie mamy pojęcia? I ten ktoś ją przewrócił? Również istnieje taka możliwość, nieprawdaż, Marcy?

- Nie wiem... tatusiu - odrzekła.

- Mnie stale o wszystko obwiniacie, ale ja nie... - wtrąciła Kim.

- Cisza - warknął Michael. - Obie pójdziecie teraz do waszego pokoju. - Ostentacyjnie spojrzął na zegarek. - Jest za kwadrans dwudziesta pierwsza, a dwudziesta pierwsza to pora snu. O tej godzinie wejść do was i lepiej niech jedna z was ma mi wówczas coś do powiedzenia. Dziewczyny, gniewam się już, lecz mogę się rozgniewać jeszcze bardziej. Jeżeli jednak któraś z was przyzna się do stłuczenia lampy, obiecuję, że wszystko skończy się dobrze i nikt nie zostanie ukarany. Nie ukarzę was za wyznanie prawdy. Tyle że... - odczekał chwilę, aby dodatkowo wzmocnić groźbę - ...jeśli żadna się nie przyzna, wówczas obie dostaniecie lanie. I mam na myśli porządne lanie!

Pięć po dziewiątej poszedł do pokoju córek. Dał im jeszcze chwilę. Niech przemyślą sobie jego pogroźki, niech się spocą ze strachu przed karą.

„I hej! Czy właściwy sposób karcenia własnych dzieci nie jest jednym z podstawowych obowiązków rodzicielskich w tej konserwatywnej epoce «Zapomnij o doktorze Spocku»? Trzaśnij swoje dziecko w twarz pięścią, a nazwą cię gnojkiem albo zwyrodnialcem, gdy jednak przetrzepiesz dzieciakowi tyłek, okażesz się tylko oddanym i troskliwym rodzicem, zaangażowanym zwolennikiem surowej dyscypliny”.

W odpowiedzi na jego: „A więc?” Marcy tylko potrząsnęła głową, Kim za to znowu wybuchnęła:

- Obwinisz mnie! Wiem, że tak! Nie jesteś sprawiedliwy! Jesteś podły!

- Dość - ostrzegł ją Louden, nie udało mu się jednak przerwać tyrady młodszej córki.

- Jesteś po prostu podły i chcesz mi sprawić ból...

O mało się nie uśmiechnął. „Ho, ho, ta mała ropucha ma rację, nawet nie zdając sobie z tego sprawy!”

- Nie dbam o to! Nie jesteś w stanie mnie zranić. Możesz mnie stłuc tak mocno, jak tylko chcesz, a ja nie zamierzam płakać! - krzyczała.

Powoli potarł sobie podbródek.

- Nie mam zatem zbyt dużego wyboru, co? – zapytał złowieszczym tonem.

Kim leżała na jego kolanach sztywna jak kij od miotły.

- Jesteś pewna, że nie chcesz mi nic powiedzieć, Kimmy?

Dziewczynka przekręciła się na bok, zadarła głowę i posłała mu wyzywające spojrzenie. Dotrzymała słowa i nie wydała z siebie nawet jednego jęku. Odezwała się dopiero, gdy było po wszystkim.

- Mówiłam ci, że nie zdołasz mnie skłonić do płaczu, i to nawet nie bolało... I... naprawdę cię nienawidzę!

Skarcił też Marcy. Zalała się łzami, tak jak tego oczekiwał, później dalej płakała.

Gdy dziewczynki leżały już w łóżkach, stanął w drzwiach.

- Przykro mi, że mnie do tego zmusiłyście. A ta, która rozbiła lampę, powinna poważnie się zastanowić nad przeproszeniem siostry, że z powodu jej występu również dostała lanie. Dobranoc.

Schodząc po schodach, zdał sobie sprawę, że nie był to zły wieczór, raczej całkiem przyjemny. A jeszcze czekała go miła scenka, gdy Beth wróci i zobaczy swoją „och, jaka śliczna”) lampę!

- Jakie są oznaki... - Zawahała się, wypila łyk old fashioned*. To był jej drugi drink. Pierwszy subtelnie rozgrzał ją od środka i na tyle rozluźnił, że nabrała odwagi. - Jakie są oznaki załamania nerwowego?

* Old fashioned - koktajl na bazie bourbona.

Po drugiej stronie ławy, w rogu mrocznie oświetlonego lokalu, Kevin Bollender zamieszał swoją whisky z wodą.

- Beth - odpowiedział cicho - czy mam rację, podejrzewając, że pytanie nie jest wyłącznie teoretyczne?

Uśmiechnęła się chmurnie.

- Czy to widać?

- Masz mnóstwo na głowie - odparł. - Coś cię dręczy, prawdopodobnie kilka spraw naraz. To widać. Chcesz o tym porozmawiać?

- Porozmawiać? - powtórzyła, wzruszając przy tym ramionami i posyłając mu melancholijny uśmiech. - Chyba muszę. Moje całe życie zmieniło się w chaos. Odnoszę wrażenie, że jestem na ruchomej bieżni ułożonej na grząskim gruncie. Ciągle idę i idę, ale nie posuwam się naprzód, tylko w dół.

- Proszę cię, kontynuuj.

Wszystkie myśli, które do tej pory w sobie tłumiała, wystrzeliły teraz w postaci słów i zdań. Opowiedziała mężczyźnie o nieprzyjemnych zdarzeniach bezładnie i nie po kolei, pokrywając krępujące chwile milczenia kolejnymi łykami drinka: Brad Zeller, wypadek Kim, śmierć psa i świnki morskiej - „Dobrze jest móc o tym mówić. On naprawdę mnie słucha” - udar mamy i ten stały, stały i nie mijający ostatnio okropny strach...

Nagle urwała. Pomyślała, że chciałyby wyznać znacznie więcej, lecz nie miała pojęcia jak to wyrazić.

Poczuła mieszanie emocji: zakłopotania, świadomości ograniczeń własnego umysłu, irytacji na samą siebie za to, że obarcza drugą osobę swoimi kłopotami... i ulgi. Zagapiła się w swoją szklankę. Trudno by jej było w tej

chwili spojrzeć na Kevina; ujawniła mu więcej na swój temat, niż kiedykolwiek komukolwiek innemu.

„Nawet Michaelowi, w czasach gdy jeszcze mogłam wierzyć, że wszystko jest między nami dobrze?” Nie była pewna. Poszukała w pamięci chwil bliskości i zażyłości, które zapewne istniały, jednak podobne momenty wydały jej się tak dawne, tak eterycznie odległe, że nie miały w sobie więcej realności niż sny.

- Twoja sytuacja jest nieciekawa - podjął Bollender. - Żyjesz w wielkim stresie. Cierpisz. I jest coś jeszcze, co powinnaś wiedzieć.

- Co takiego?

Zdjął jej dłoń ze szklanki i przytrzymał w swojej. Teraz Beth musiała na niego spojrzeć. Dostrzegła troskę w jego oczach, usłyszała ją również w jego głosie.

- Niepokoję się.

Żałowała, że nie potrafi zatrzymać czasu, zatrzymać tej chwili i niemal magicznego zapewnienia, które poczuła... że „wszystko jest dobrze”.

Szybko zabrała rękę. Było coś niewłaściwego w siedzeniu w barze, trzymaniu się za rękę z tym młodym człowiekiem, jej nauczycielem, i opowiadaniu mu o prywatnych nieszczęściach. Beth miała męża i dzieci w domu. Poczuli się jak cudzołożnica, kobieta niemoralna i...

Ale ponieważ nie zamierzała na razie wychodzić, postanowiła o tym nie myśleć.

- Dlaczego? - spytała.

Kevin skrzywił się.

- Wybacz, obawiam się, że nie rozumiem twojego pytania.

- Powiedziałeś, że się o mnie niepokoisz, Kevinie - uściśliła. - Ja... chciałabym w to wierzyć. W tej chwili twoje słowa mi pomogły. - Kontynuowała pospiesznie, uświadamiając sobie, że mężczyzna może uznać jej pytanie za obraźliwe, ale i tak musiała wiedzieć. - Dlaczego interesuję cię właśnie ja? - spytała.

Podniósł rękę.

- Po pierwsze - odparł, odliczając punkty na palcach - jesteś inteligentna. Może dziwak ze mnie, lecz zawsze lubiłem osoby inteligentne. Po drugie, jesteś elokwentna. Połowa ludzi, których obecnie spotykamy, nie potrafi zwerbalizować prostej myśli. Po trzecie, tak się zdarzyło, że łatwo się z tobą rozmawia. Jak to brzmi na początek?

Nie mogła się nie uśmiechnąć.

- Proszę, mów dalej.

Odwzajemnił się uśmiechem.

- W porządku, nie zapominajmy o tym, że śmiejesz się z moich żartów, w sali i poza nią. Odkryliśmy, że lubimy te same stare filmy. Poza tym, kiedy moje biedne domowe drzewko szczęścia kroczyło nieubłaganie ku Wielkiej Szklarni w Niebie, doradziłaś mi, żebym je rzadziej podlewał i uratowałaś życie małej istotce.

Oparł łokcie na stole.

- Lubię cię, Beth. - Jego głos stał się niższy i ochryply. - Podobają mi się twoje brązowe oczy i piegi. Jest w tobie coś z kobiety i coś z małej dziewczynki, Beth, a to przyciąga człowieka, który... - Nagle oparł plecy o tapicerowane oparcie i nie patrząc na swoją rozmówczynię, powiedział zbyt lekkim tonem: - Och, wiesz, o czym mówię. Po prostu zostaniemy przyjaciółmi, dobrze?

„Przyjaciółmi” - powtórzyła w myślach Beth.

Tak, byli jedynie przyjaciółmi, nie istniał zatem żaden powód, aby miała nawet minimalne poczucie winy z powodu tego spotkania z Kevinem Bollenderem.

„Ale mam”. Na pewno nikt nie potępiłby jej za wychodzenie dwa razy w tygodniu na drinka z przyjacielem. „Dlaczego zatem powiedziałam Michaelowi, że idziemy do baru całą grupą, nie wspominając, że grupę stanowimy tylko ja i Kevin?”

- No dobrze - ciągnął Bollender - rozwiemy niektóre wątpliwości, które cię nurtują. - Jego ton stał się znacznie bardziej formalny, niemal jak gdyby mężczyzna wygłaszał wykład dla jednoosobowej grupy. - Ludziom

przydarza się to, co określamy terminem „załamania nerwowego”, kiedy przytłoczy ich niewytłumaczalny niepokój. Ty doświadczasz pewnego niepokoju, lecz nie jest on bezpodstawny. Istnieją rzeczywiste przyczyny, które doprowadziły cię do depresji i lęków. Mówiąc wprost, w twoim otoczeniu doszło do kilka paskudnych, bolesnych, naprawdę nieprzyjemnych nieszczęść. Doświadczasz emocjonalnego „zamieszania”. Przeszłaś przez młyn, więc to naturalne, że czujesz się jak przemielona. Ale radzisz sobie ze wszystkim. Dzień po dniu dajesz radę i stawiasz czoło obowiązkom.

- Ale dlaczego ciągle się obawiam, że na pewno przydarzą mi się kolejne straszne tragedie?

Kevin wyduł usta.

- Ponieważ w taki sposób my, ludzie, myślimy, Beth. Doszukujemy się powodów w tym co niedorzeczne, szukamy wzorców w przypadkowych zdarzeniach, które układamy w ciąg paskudnych incydentów doświadczanych w życiu. Setki lat temu napisano *Księgą Hioba*, w której dokonano próby zrozumienia przyczyn ludzkiego cierpienia. Rzuć okiem na dzisiejsze listy bestsellerów, a znajdziesz tam wielką księgę pod tytułem *Kiedy złe rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom*. To samo stare pytanie: „Dlaczego?”, ta sama próba znalezienia odpowiedzi.

- Rozumiem, panie doktorze - odparła, poważnie kiwając głową. - Więc nie jestem... Używając terminu psychiatrycznego... Więc nie popadam w szaleństwo?

- *Nein* - odrzekł Kevin z komicznym wiedeńskim akcentem. - To jest *nicht* szalone być przygnębionym, gdy *die* smutne rzeczy dają ci *der* kopniak w *der keister*. - Przestał żartować i dodał: - Nie uważam cię za prawdopodobną kandydatkę do załamania nerwowego. Wyczuwam w tobie prawdziwą moc, Beth, prawdopodobnie większą, niż potrafisz to sobie wyobrazić. Posiadasz wewnętrzne pokłady siły i umiejętność pokonywania trudności, więc na pewno im sproszasz.

- Kevinie?

- Tak?
- Dzięki za... bezpłatną psychoterapię.

Bollender roześmiał się. Podniósł pustą szklankę.

- Nie była bezpłatna. Każdy powinien zapracować na swoją pensję.

Możesz mi kupić drinka.

Kelnerka przyniosła Kevinowi szkocką z wodą, Beth nie miała ochoty na następny koktajl. Po odejściu kelnerki powiedziała swemu towarzyszo-
wi to, co pierwotnie zamierzała:

- Dziękuję ci za to, że jesteś moim przyjacielem.

PIĘTNAŚCIE

Michael skręcił na zachód w Elmscourt Lane.

- Hurra! Już prawie jesteśmy! - zawołała Kim z tylnego siedzenia.
- Lubisz odwiedzać Laurę i Verna, co? - spytał.
- Tak - odparła młodsza córka. - Mają świetne gry wideo!
- Ach tak. - Louden roześmiał się. - Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że Laura jest maniakem gier wideo. A ty, Marcy? Cieszysz się, że zostajecie na noc u Engelkingów?
- Pewnie, tatusiu. U cioci Laury i wujka Verna zawsze jest zabawa.

Beth uśmiechnęła się i zastanowiła, kiedy Engelkingowie awansowali na „ciocię i wujka”. Musiała zresztą przyznać, że sama myśli o nich mniej więcej w podobny sposób.

Wyglądając przez przednią szybę, podziwiała impresjonistyczne piękno zachodzącego słońca, którego promienie pokrywały zamglone niebieskie niebo falami oranżu i różu. Okno od strony Beth było otwarte na jakieś dwa centymetry. Dzisiaj, w piątek, było ciepło, wiał lekki wietrzyk, który wydawał się pozostałością po lecie, i kobieta odkryła, że czuje senno-szorstki zapach palonych liści. Chwilę później uświadomiła sobie, że to niemożliwe. Jak na większości przedmieść, w High Wood obowiązywało rozporządzenie władz miejskich zakazujące palenia liści.

Zabawne, jak działa ludzki umysł, pomyślała. W taki śliczny dzień jak ten w naturalny sposób natychmiast wyczarowała stosowny do otoczenia aromat jesieni. Hmm, coś takiego i tak bez wątplenia było lepsze niż wymyślanie tych wszystkich okropnych, groźnych, beznadziejnych bzdur, od

których czuła się jak połamaniec na wózku bez wózka!

Uświadomiła sobie właśnie, jak bardzo ubiegło tygodniowa rozmowa z Kevinem - „niech go Bóg pobłogosławi” - pomogła, dając jej wgląd we własne emocje i ich przyczyny. Wówczas przyrzekła sobie żyć konkretnym dniem, akceptować każde „zło”, które może się w nim wydarzyć (jeśli nie będzie miała innego wyboru), radzić sobie z tym „złem”, ale równocześnie nie zapominać o codziennym dostrzeganiu „dobrych” momentów, ilekroć się pojawiają. Potrafiła kierować swoim życiem; wiedziała, że potrafi. (Rzeczywiście, kilka razy, gdy zauważała, że ogarniają smutek, mówiła sobie: „Broda do góry, łopatki ściągnąć” oraz „Wszystko w porządku, Beth Louden. Działasz i byle tak dalej”.)

Siła pozytywnego myślenia? A może śmieszna próba bycia Pollyanną? Nie, nie sądziła. Po prostu postrzegała obecnie wszelkie sprawy takimi, jakimi były, i wtedy sytuacja całkowicie się zmieniała. Na przykład, kiedy Beth wróciła do domu po rozmowie z Kevinem w ubiegłym tygodniu i dowiedziała się, że jedna z jej zabytkowych kryształowych lamp została rozbita, rozgniewała się, zdenerwowała i zasępiła. Ale co się stało, już się nie odstań. Mogła uznać to zdarzenie za: a) najgorsze nieszczęście od czasów zniszczenia Pompei, b) nieokreśloną zapowiedź kolejnych nadciągających katastrof, c) część Kosmicznego Spisku przeciwko Loudenom, d) wszystkie powyższe kwestie naraz.

Nie była pewna, czy Michael postąpił dobrze, że ukarał obie córki, choć już to zrobił, ale nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Dziewczynki nie wyglądały zresztą na szczególnie skrzywdzone z powodu tego traumatycznego przeżycia. Sytuacja rodziny Loudenów była zatem stabilna, wszystko odbywało się normalnie, wszystko było „w porządku”; tak w każdym razie uważała Beth.

I była pełna nadziei, że jutro jej matka również wykona olbrzymi krok ku „normalności”. Wraz z Michałem zabierali ją do siebie dziś rano i

miała u nich pozostać do niedzieli wieczór. Choć doktor Rhinehardt był zadowolony z dotychczasowych postępów Claire Wynkoop, sądził, że ważne jest, by jego pacjentka zaczęła wracać do prawdziwego życia.

- Claire musi przebywać z ludźmi, do których jest przywiązana - wyjaśnił - i którzy troszczą się o nią. Powinna widzieć wokół siebie coś poza chorobą. Może stałe towarzystwo bliskich pomoże jej się otrząsnąć z letargu i skłoni ją do intensywniejszej rehabilitacji. To da jej cel, zobaczy pani, przypomni jej, że najszybciej, jak zdoła, może ponownie zająć miejsce aktywnego członka pani rodziny.

Matka Beth zatrzyma się w pokoju dziewczynek. Aby mogła odpocząć w ciszy, gdy będzie tego potrzebowała, Marcy i Kim spędzą dzisiejszy wieczór, jutrzejszy dzień i noc u Laury i Verna. Vern odwiezie je do Loudenów w niedzielę późnym rankiem; w ten sposób wnuczki będą mogły posiedzieć z babcią, zanim trzeba ją będzie odwieźć do domu opieki.

Michael wjechał na długi, kręty podjazd.

- Jesteśmy na miejscu, drogie panie - oświadczył, wprowadzając forda na miejsce „parkingowe” i wyłączając silnik.

Beth przerwała ciąg przyjemnych myśli i odwróciła głowę w kierunku męża. Uśmiechał się. Pomyślała, że wygląda tak przystojnie jak kiedyś, w te beztroskie dawne dni, gdy ona rozpoczynała naukę w college'u, a on był dowcipnym studentem ostatniego roku tuż przed dyplomem. Mówił wtedy: „Próbuję zalecać się do ciebie, Beth, i uczynić cię moją kokoszką, ko, ko, ko...!”. Co więcej, jego twarz była obecnie ujmująco znajoma. Te zmarszczki wokół jego oczu - była z nim przez te wszystkie lata, gdy czas je wyźłobił - i ten lekko przebarwiony kiel, leczony kanałowo trzy lata temu...

Gardło ścisnęło jej się ze wzruszenia. Ona i Michael mieli wspólną przeszłość, łączyły ich liczne momenty, zarówno ważne, jak i mało znaczące, które składały się wspólne życie: nocne oglądanie filmów, malowanie

kuchni, przeziębienia, którymi wzajemnie się zarażali, jakby grali w „gorącego ziemniaka”, seks, wychowywanie dzieci...

Kim pchnięciem otworzyła tylne drzwi i popędziła w stronę domu. Marcy podążyła za nią powolnym krokiem.

- Kocham cię, Michaelu - powiedziała Beth.

Louden dramatycznie poruszył brwiami, gdy wsuwał kluczyki od samochodu do bocznej kieszeni sportowej marynarki.

- Zawsze miło to słyszeć - odrzekł - ale czy mógłbym spytać, co natchnęło cię do tego wyznania?

Beth wiedziała, że nie potrafi wyjaśnić ciągu skojarzeń sprzed chwili, jednak szybko zreasumowała najważniejsze fakty.

- Jesteś dobrym człowiekiem.

Jest, na pewno jest, wiedziała, że tak. Był serdeczny, taktowny i czuły, a wszelkie inne odczucia, jakie miała w związku z nim, uznała teraz za czysty idiotyzm. Michael, jej Michael, obcym facetem? „O rany... i zmierzmy się z prawdą, Beth Louden. Odizolowałaś się od niego, zamykając się wewnątrz jakiegoś nieszczęsnego pancerza i szalonych wyobrażeń, a później go obwiniłaś!”

- Pocałuj mnie, Michaelu - poprosiła.

Zrobił to, pochylając się ku niej i kładąc ręce na jej ramionach.

- Och - powiedział. - Chyba jesteśmy tu zaproszeni na kolację.

- Tak - przyznała Beth. Zadrzała. - Spróbujmy dotrzeć do domu wcześniej, Michaelu. Chcę się z tobą kochać.

Jej mąż mlasnął.

- Kochanie, siedem minut po tym jak kończymy deser, będziemy pod naszymi drzwiami!

Powitał ich rozpromieniony Vern.

- Wchodźcie, wchodźcie i witajcie! Jeśli dorośli będą mi towarzyszyli do pokoju dziennego...

- Phi! - przerwała mu Kim. - Będziecie pić drinki, założę się!

- Rzeczywiście. - Engelking roześmiał się. - Będziemy się raczyli na

pitkami, podczas gdy Laura dokończy przygotowywanie posiłku, a gdybyście wy, młode damy, miały ochotę na rozrywkę, posiadam przypadkiem w moim atari nową grę, która oczekuje na dotyk młodzieńczej rączki na dżojstiku:

- Czy to jest *PacMan*? - spytała Kim.

- Coś znacznie lepszego - zapewnił ją Vern - kosmiczna przygoda, w której musicie się rozprawić z meteorytami, pociskami raketowymi i wielogłowymi potworami...

- To prawie gra edukacyjna - zauważył Michael.

Vern parsknął śmiechem.

- Jest dobra dla dzieci. Mogą podczas zabawy stosować przemoc, którą zaobserwowały w telewizji.

W pokoju dziennym przy akompaniamencie docierających przez hol elektronicznych odgłosów odstrzeliwania asteroid i statków kosmicznych Vern przyrządził koktajl old fashioned dla Beth, 7 & 7* dla Michaela oraz whisky z wodą sodową dla siebie.

* 7 & 7 (Seven And Seven) - drink składający się z whisky 7 Seagram oraz napoju 7-Up.

- Beth, Michaelu - powiedział cicho. - Wiem, że ostatnio przeżywaliście ciężki okres, więc wypijmy... - podniósł swoją szklankę w toaście - ...za lepsze czasy i za przyjaźń, która pomaga nam przetrwać każdy kiepski czas.

Stukając się szklaneczką o szklanki swego męża i Engelkinga, Beth zapragnęła jakoś wziąć ich teraz wszystkich w ramiona, objąć wszystkie osoby, które kochała: Michaela, Marcy, Kim, Verna, Laurę i mamę...

Pochyliła głowę, aby nikt nie mógł zobaczyć jej łez.

- Vern - odezwała się - nie wiem, jak mam ci podziękować za opiekę nad dziewczynkami w ten weekend.

- Hej - wtrącił Michael - przypomnij mi, żebyś wyjął z bagażnika ich walizkę, zanim odjedziemy, dobrze?

- To są miłe dzieci i cieszymy się, że możemy pomóc – odparł Engelking. Ścisnął ramię Beth. - Wiesz... hmm... Laura i ja zawsze chcieliśmy

mieć dzieci, a nie mogliśmy nigdy... - Nagle odwrócił się, stając przodem do ogromnego kamiennego kominka, plecami do gości. - Powiedzmy, że czujemy ogromną bliskość ze wszystkimi... Loudenami... bez wyjątku... W porządku? Ktoś zadzwonił do drzwi.

- Vern - zawołała z kuchni Laura - otwórz, bardzo cię proszę! Jestem zajęta.

Gospodarz odwrócił się ponownie do Beth i Michaela, po czym postawił szklankę na miedzianym blacie barku.

- To na pewno...

Dzwonek znów rozbrzmiał i Laura zawołała:

- Vern!

- Przepraszam - powiedział Engelking i opuścił salon.

- Nie wiem - oświadczył Michael, odpowiadając na niezadane pytanie Beth. - Vern nie wspominał, że zaprosili jeszcze kogoś na dzisiejszy wieczór.

- Jestem pewny, że pamiętasz... - powiedział Vern, kiedy wrócił z kolejnym gościem.

- Loudenów - dokończył Jan Pretre. - Oczywiście, pamiętam. Spotkałiśmy się na przyjęciu w weekend Święta Pracy. Beth i Michael, zgadza się? - Uścisnął im dłonie.

- Zgadza się, doktorze Pretre - powiedział Michael.

- Proszę, mówcie do mnie Jan.

Beth przypomniała sobie, że gdy poznała psychiatrę, uznała go za niezwykle interesującego i bardzo komunikatywnego mężczyznę. Teraz Pretre wydawał się zupełnie innym człowiekiem, był spięty i zamyślony. Trzymał się sztywno, jakby nie czuł się dobrze w błękitnym garniturze, a jego oczy były zapadnięte z przemęczenia. Ostro przycięta szpakowata broda, która podczas ich pierwszego spotkania - zdaniem Beth - nadawała mu dystyngowany wygląd, teraz sprawiała, że Jan wydawał się znużony i podstarzały.

- Drinka, Janie? - spytał Vern.

- Szkocką z lodem - odparł Pretre. - Dużą, poproszę. Muszę się napić.

- Oparł łokieć na barze, a gdy Vern wręczył mu szklanę, wypił spory łyk whisky. - Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem tu wpadać z ponurą miną, ale właśnie otrzymałem pewne zatrważające wieści. Dlatego się spóźniłem.

- Co się stało, Janie? - zainteresował się Engelking.

- Straciłem dziś jednego - wyjaśnił beznamiętnie Pretre. - Siedemnaście lat, miły dzieciak. Wybitnie inteligentny, grał na gitarze i pisał poezje. Naprawdę sądziłem, że robimy postępy. Że się pozbierał... - Przerwał i napił się, potem kontynuował zmęczonym głosem: - Przyszedł dziś na sesję o trzynastej. Rozmawialiśmy o dziewczynie, z którą się spotykał, i o jego decyzji, aby złożyć podanie o przyjęcie do Yale. Powiedział mi, że sprawy się układają. Podziękował mi za terapię. A następnie poszedł do domu, wziął zyletkę i podciął sobie żyły. I nie było to typowe błaganie nastolatka o uwagę dorosłych. Był sam w domu. Nie zadrasnął się dla paru kropel krwi i dużego melodramatu, lecz zrobił długie cięcie, wzdłuż żyły. Naprawdę chciał to zrobić. Teraz nie żyje. - Jan dokończył whisky. - Więc zapiszcie jeszcze jedną ofiarę na rachunek Freuda, Junga, Adlera i tu obecnego.

Vern nie pytając Jana, napełnił na nowo jego szklanę, po czym zaczął nalegać na „odświeżenie” drinka Beth. Poklepał doktora po ramieniu.

- Nie możesz twierdzić, że to twoja wina, Janie.

- Ależ oczywiście, że nie moja - odparował gorzko Pretre. - Jako psychiatra mam być obiektywny i niezaangażowany. Tak właśnie piszą w podręczniku *Jak być psychoterapeutą*. Ale to nie działa w ten sposób, Vern. Ten młody człowiek przyszedł do mnie, zaufał mi, sądził, że postawię go na nogi, a teraz nie żyje.

- Janie - wtrąciła Beth. - Ja wiem, że jesteś bardzo dobrym psychiatrą. Jan Pretre zmarszczył czoło.

- Dlaczego tak sądzisz, Beth?

Kobietę zdumiała własna wypowiedź. Zdawała sobie sprawę, że ogarnia ją silne podniecenie i że jest bardziej bezpośrednia niż zazwyczaj. W dodatku

old fashioned niesamowicie rozwiązywał język; jeszcze jeden koktajl i Beth zacznie bełkotać! Tym niemniej chciała coś powiedzieć Janowi.

- Bo się przejmujesz. Potrafię to dostrzec. Ludzie się dla ciebie liczą. Właśnie tego rodzaju lekarza chciałabym, gdybym potrzebowała psychiatri...

Zaśmiała się sama do siebie i wtedy wszyscy pozostali także się roześmiali. Poczula się głupio, lecz uznała, że może sobie pozwolić na takie zachowanie w towarzystwie tych wyjątkowych mężczyzn. Michael cmoknął ją w nos.

- Kochanie, jeśli kiedykolwiek uznasz, że jesteś Napoleonem, poprosimy Jana, żeby cię naprostował.

Napięcie, które wniósł do domu Pretre, już się chyba ulotniło, w każdy razie nie przenieśli go ze sobą do stołu w jadalni, gdy Laura Engelking wezwała wszystkich na kolację.

Później mężczyźni wrócili do pokoju dziennego i zamknęli za sobą drzwi. To był, zgodnie z określeniem Verna, „prawdziwy bankiet”: francuska zupa cebulowa, mieszana sałatka, grillowany rostbef, zapiekane ziemniaki i tarta brzoskwińowa w polowie. Więc gdy Beth i Laura zmywały naczynia, oni trzej, jak oznajmił Vern, „wycofali się na brandy oraz dyskusję na temat parlamentu, kłopotów w koloniach i innych tego typu spraw stanowiących przedmiot zainteresowania szlachetnie urodzonych dżentelmenów”.

Michael wypił łyk courvoisiera i potrząsając głową, odezwał się do Jana Pretre:

- Ależ smutna była ta twoja opowieść o samobójstwie dzieciaka. Po wiem serio, prawie miałem łzy w oczach.

Białe zęby psychiatry błysnęły pod brodą w drapieżnym uśmiechu.

- To była cholerna tragedia. Biedny mały kutas przychodził do mnie ze swymi banalnymi problemami. Dziś chciał ode mnie usłyszeć tylko jedno: że nie powinien popełniać samobójstwa. No cóż, powiedzmy, że tego nie usłyszał. Raczej go pchnąłem do czynu, dałem kuksańca, zaprowadziłem

przed lustro i kazałem zobaczyć w nim bezużyteczny kawałek gówna, który gapił się na niego. Wówczas wiedziałem, że zrobiłem dość. Namówiłem go do samobójstwa i chłopiec się wywiązał. Roześmiali się.

- Tak, bo wiecie - podjął Jan - właśnie dlatego zostałem doktorem od świrów. Społeczeństwo wręcza ci koncesję, dzięki której zyskujesz władzę nad nijakimi. Katujesz ich, łamiesz kołem, podkrećasz i przyciskasz, potem słuchasz, jak wrzeszczą i płaczą, a ty wciąż jesteś uważany za fajnego facecika, ponieważ im pomagasz. Z tego względu - dodał - tak wielu Obcych zostaje policjantami, pracownikami opieki społecznej, pastorami czy chirurgami. Lub dentystami. Albo kręgarzami. Widzisz przeciętnego mężczyznę i przeciętną kobietę, zranionych jak cholera...i możesz sprawić, żeby cierpieli jeszcze bardziej, jeśli dobrze to rozegrasz. Przeciętni niczego nie podejrzewają. Policjant-Obcy, który odstrzeliwuje dupę staremu włóczędze w alejce, dostaje pochwałę za zatrzymanie uzbrojonego włamywacza, a doktor-Obcy, które wycina ci trzy czwarte bebechów, staje się „cudownym człowiekiem, który uratował mi życie”...

Vern wybuchnął śmiechem.

- Ludowa mądrość mówi, że chirurg lubi cięć.

- Tak jak my - dorzucił Michael.

Przez minutę milczeli.

W końcu Louden rzucił tylko jedno słowo: - Kiedy?

Pretre odpowiedział na jego pytanie pytaniem.

- Stajesz się niecierpliwy, Michaelu?

Jego ton był karcący.

- Nie - odparł tamten, po czym przyznał ciszej: - Tak.

- Nie... - syknął Jan Pretre i teraz w jego tonie pojawiło się ostrzeżenie. - Bądź cierpliwy, Michaelu. Niecierpliwość prowadzi do braku ostrożności. A nieostrożność oznacza, że nie myślisz tak, jak powinieneś. Robisz wówczas rzeczy, których ci nie wolno i nie zauważasz tego, co należy, cholera jasna, zauważać! Rozumiesz, co mówię, Michaelu?

- Tak, Janie.

- Michaelu, Michaelu - odezwał się Pretre, znów zmieniając ton. - Minęło tak wiele lat, odkąd się poznaliśmy, odkąd po raz pierwszy dostrzegłem krwawą poświatę wokół twojej głowy. Poinformowałem cię, kim jesteś, Michaelu, powiedziałem, że nie jesteś jedyny i że musisz czekać. Kazałem ci poczekać na Nasz Czas, poczekać... i nigdy nie pozwolić, aby nijacy podejrzewali, kim jesteś. Tak właśnie postępowałeś do tej pory, Michaelu. Jeszcze tylko mała chwilka, pojedyncze tyknięcie Zegara Wieczności i oczekiwanie się skończy. Będziesz z nami wtedy, Michaelu, tylko wówczas, jeżeli do tego czasu zdołasz nad sobą w pełni zapanować, jeżeli nie stracisz cierpliwości i nie zapomnisz o roztropności.

- Rozumiem, Janie - odparł Louden.

- To dobrze, Michaelu. To świetnie.

Pół godziny później Michael i Beth wrócili do domu.

* * *

O ósmej w ten sobotni wieczór Michael wyszedł ze swojego domowego gabinetu. Miał wcześniej trochę pracy: musiał napisać notatkę służbową na temat nowego produktu rozpuszczającego tłuszcz, krótki liścik do przedstawiciela handlowego na stan Indiana, wyrażający rozczarowanie przedsiębiorstwa w związku ze spadkiem poziomu sprzedaży w ubiegłym miesiącu, list do klientów świętej pamięci Herba Cantlona stwierdzający, że „firma Superior Chemical dziękuje za dotychczasową współpracę i ma nadzieję, że...”. W opinii Loudena było to banalne marnotrawstwo czasu, mało znacząca robota, którą musiał odbębnić.

Szedł korytarzem. Drzwi łazienki były zamknięte. Beth brała kąpiel. Radośnie śpiewała dziecinnym, fałszywym sopranem: „Ona ma bzika... bziii-kaaa!”. Główny temat z filmu *Flashdance*.

Beth ponownie była sobą, wróciła - jak pomyślał Michael - do roli kochającej drogiej żonki. Pomógł jej w tym „powrocie”. Ubiegłej nocy w

łóżku naprawdę go pożądała. Nie słyszał jej pisków i jęków od czasu... hmm, może nigdy takich nie słyszał!

Było mu łatwiej, jeśli Beth nie zachowywała się jak ktoś, kto zaczął dzień od wypicia szklanki octu. Stwierdził, że pozwoli jej chodzić z przyklejonym do twarzy uśmiechem „cudownej pani domu” do chwili, gdy...

W pokoju Marcy i Kim paliło się światło. Michael zajął do środka. Claire Wynkoop siedziała w pikowanym niebiesko-białym szlafroku na łóżku Kim. Jej prawa ręka wyglądała, jakby wisiała na niewidocznym temblaku, palce były sztywno podwinięte. Kobieta popatrzyła na zięcia, niczym postać z kreskówki powoli, przesadnie mrugając powiekami.

Stał w wejściu.

- Wszystko dobrze, mam? Coś ci podać?

Wątpił, czy Claire Wynkoop w ogóle rozumiała pytanie. Przez cały dzień była niewiele bardziej ruchliwa niż nieporadnie animowana mumia bez bandażu.

Ściągną na szyi teściowej skurczyły się spastycznie. Claire mrugnęła do Michaela raz, drugi, trzeci...

Chryste, pomyślał Louden, stara wiedźma naprawdę zachowuje się dziwnie w jego obecności. Ależ zmiana - teraz, gdy jej szara substancja zmieniła się w galaretę. Wcześniej Michael zawsze był dla niej chłopcem numer jeden, kochanym z całego serca zięciem, choć musiał przyznać, że ciężko zapracował sobie na taki wizerunek.

- Wiem, że nie możesz jeszcze nic powiedzieć, mam - ciągnął.

„Pewnie, droga teściowo, chcę zrobić dla ciebie wszystko co w mojej mocy teraz, kiedy jesteś spieprzonym wrakiem!”

- Więc - kontynuował - jeśli czegoś pragniesz, może skiniesz głową i ustalimy wspólnie, o co chodzi, dobrze?

Claire Wynkoop nie skinęła głową ani nią nie potrząsnęła. Jej oczy wpały się w Michaela, otworzyły się szerzej, powoli zamknęły, po czym kobieta znowu zamrugnęła: raz, drugi, trzeci...

- O co chodzi, mamó? - spytał Louden. Wszedł do pokoju.

Odniosł wrażenie, że kobieta kuli się ze strachu, że w jakiś sposób próbuje zapaść się w siebie tak głęboko, aż zniknie.

- Mamó... - zaczął Michael.

Claire wytrzeszczyła na niego oczy. Wyprostowała plecy. Już nie mrużyła. Nie miał wątpliwości, co teraz widzi w jej mocnym spojrzeniu. Nienawidziła go! I bała się go!

Podniosła lewą rękę nad głowę i wyrysowała wokół niej okrąg. Myśl wylawiana z dzikiej obfitości kędziorów Małej Sierotki Annie...? Następnie wycelowała w niego. Palec wskazujący jej lewej ręki oskarżał... i potępiał.

Nienawiść i strach... A teraz Claire tłumaczyła mu powody tych emocji!

Serce zabiło mu gwałtownie. Ogarnęło go dziwne doznanie, zupełnie niepodobne do żadnego, jakie kiedykolwiek znał: skóra wokół oczu, nosa, w kącikach ust... wydało mu się, że jego skóra wszędzie się napina.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy się boi.

Podszedł bliżej. Przykląkł, później przykucnął, czubkami butów niemal dotykał domowych pantofli, które Claire miała na nogach. Jego głos był łagodny, kojący, uspokajający.

- Mamó, myślę, że coś widzisz i to cię niepokoi. Przepraszam, nie chcę, żebyś się denerwowała. Kocham cię, mamó, przecież wiesz.

Jej lodowate oczy jednoznacznie wyrażały potępienie.

- Mamó - ciągnął – to ja, Michael, pamiętasz? Jestem mężem twojej córki. I ojcem twoich wnuczek. Prawdopodobnie jesteś zupełnie zdezorientowana i wytracona z równowagi. Chorujesz, mamó. Z tego powodu może ci się zdawać, że widzisz przedmioty, które w rzeczywistości nie istnieją albo nie są prawdziwe, rzeczy, które nie mają sensu. Więc... mamó, zaufaj mi, dobrze?

Naprawdę mu zaufała czy też po prostu uznała, że jest zmęczona i wycieńczona, więc nie zdoła już dłużej borykać się ze swoją wiedzą? Tego Michael nie wiedział i czuł, że nigdy się nie dowie...

W tym momencie Claire podniosła lewą rękę, po czym wykreśliła wokół jego głowy zarys jego aury.

„Niech ją trafi szlag! Widzi aurę! Niech ją szlag, niech ją szlag! Dotyka jej. A ja czuję jej dotyk...!”

Wargi teściowej poruszyły się. Jej znużony głos z dźwięku, choć nie z jego natężenia, przypominał zgrzytnięcie od dawna nieoliwionych zawiasów drzwi:

- Poża-łu-jesz...

„Pożałuję?!” Chryste, Michael nie miał już cienia wątpienia, że Claire jakimś sposobem widzi jego aurę! Przez chwilę zazdrościł jej, że dostrzega to, czego on sam nigdy nie widział ani u siebie, ani u nikogo innego.

Sekundę później uprzytomnił sobie, że będzie musiał ją zabić.

Ale ostrożnie, musiał być ostrożny! Nie mógł się zdradzić, nie teraz, kiedy Czas Obcych był tak blisko. Musiał mieć pewność, że nikt nie będzie niczego podejrzewał, że Beth nie pomyśli...

Tak, musiał zabić Claire Wynkoop.

I to zaraz.

Więc ją zabił.

SZESNAŚCIE

- Dlaczego zdecydowałaś się ze mną zobaczyć?

- Mój mąż uznał, że to dobry pomysł. Omawiałam również tę sprawę z przyjacielem... - Beth gwałtownie wypluwała słowa, jedno spadało po drugim - ...który wiele wie o psychologii. Chciałam raczej powiedzieć, że jest psychologiem i wyklada psychologię... Naprawdę sędzę, że dlatego.

Założyła nogę na nogę, wygładziła spódnice, podrapała opuszek kciuka paznokciem palca wskazującego. Rozejrzała się po gabinecie; nie chciała patrzeć bezpośrednio na mężczyznę. Na ścianie wisiała litografia Miro, na półce obok panoramicznego okna stał ekspres do kawy, było też mahoniowe biurko. Kiedy Beth weszła, niemal oczekiwała wiktoriańskiej sofy obitej skórą, jakie mieli psychiatrzy w filmach i serialach. W pomieszczeniu jednak nie stała nawet leżanka, jedynie dwa nowoczesne duńskie fotele - które zajęli terapeuta i jego pacjentka - ustawione pod kątem na obu końcach niskiej dwupoziomowej ławy.

- Kiedy zadaję ci pytania, Beth, szukam informacji, dzięki którym będę mógł ci pomóc - odparł Jan Pretre. - Nie odpowiedziałas na moje pytanie, prawda?

- Nie - stwierdziła cicho. - Przepraszam, Janie.

- Nie „Janie”, bardzo cię proszę - poprawił ją. - Nie tutaj. Beth, to nie jest spotkanie towarzyskie. Oboje chcemy, aby układ między nami był profesjonalny, co oznacza, że przyszedłaś się spotkać z doktorem Pretre. Czy mnie rozumiesz?

Kiwnęła głową.

- Bardzo dobrze. Spytam zatem jeszcze raz. Nie spiesz się, przemyśl sobie wszystko, a potem udziel mi prawdziwej i szczerzej odpowiedzi. Co tutaj robisz? Dlaczego sądzisz, że potrzebujesz... porady psychiatrycznej?

- Potrzebuję pomocy, doktorze Pretre - odparła, starając się mówić powoli i robić pauzy pomiędzy poszczególnymi słowami.

Na pewno jej potrzebowała; nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Dlatego zgodziła się na sugestię Michaela...

- Nie wiem dokładnie, co się z tobą dzieje, Beth - powiedział jej mąż - i nie znam przyczyn twojego postępowania, ale musisz coś z tym zrobić!

Wszystko zaczęło się trzy dni temu, w poniedziałek rano, przy stole kuchennym, gdy dziewczynki wyszły już do szkoły. Michael mówił spokojnie, wypowiadając dokładnie te słowa, które Beth sama myślała, ale dźwięk jego głosu sprawiał, że po skórze na jej karku przebiegały ciarki, jak gdyby ktoś kłuł ją dziesiątkami małych igieł.

- Beth - oświadczył Michael. - Nie sądzę, żebym mógł ci pomóc. Nie rozmawiasz ze mną i nie słuchasz mnie.

„Rozmawiać z nim?!” Mój Boże, przecież samo siedzenie tam, na tym krześle, w kuchni, w towarzystwie męża wymagało od niej silnej woli. W rzeczywistości bowiem Beth miała ochotę wybiec z domu na dwór w nocnej koszuli i kapciach, wskoczyć do chevette i odjechać, nie zastanawiając się nad celem podróży, albo może szarpiąc mocno kierownicą, wcisnąć pedał gazu do oporu i pędzącym autostradą autem trzasnąć w słup telefoniczny, aby zakończyć to życie, zakończyć ten koszmar, który opętał ją podczas snu, a później owinął całunem na cały dzień.

- Pamiętasz Jana Pretre, psychiatrę, Beth? - spytał Michael.

Pamiętała. Jeszcze tamtego popołudnia umówiła się na wizytę, a teraz była w gabinecie, wyrzucając z siebie kolejne odpowiedzi na pytania lekarza.

- Czuję się, do diabła, czuję się, jakbym miała oszaleć!
- Mów dalej, Beth - zachęcił ją Pretre.
- Mam co jakiś czas nawracające obsesyjne myśli, urojenia...
- Może spróbujesz mówić do mnie, nie używając psychiatrycznego żargonu!

- Och, stale myślę różne szalone, szalone... rzeczy, których nie mogę wyrzucić z głowy... rzeczy o Michaelu.

- Proszę o większą precyzję wypowiedzi, Beth. Opowiedz mi jedną swoją konkretną, szaloną myśl.

Spuściła głowę i przez chwilę wpatrywała się we własną rękę. Rozdrapała już sobie palec do krwi. Zrobiła głęboki wdech.

- W porządku. To było jakiś miesiąc temu, niedługo po tym, jak spotkałam ciebie u Engelkingów. Hmm, chyba nawet następnego dnia.

Wspomnienie wróciło do Beth, tak jak wracało wcześniej wielokrotnie, powtarzając się raz za razem jako doświadczenie kompletne, wraz ze wszystkimi wrażeniami wzrokowymi, słuchowymi i węchowymi... I wraz z uczuciem przerażenia.

- Kąpałam się - podjęła. - To zabawne, ponieważ pamiętam, że wydawałam się sobie ogromnie szczęśliwa. Po raz pierwszy od długiego czasu byłam taka szczęśliwa.

Zapach różanego płynu do kąpieli sprawił, że myślała o kwiatach, które zobaczy znów następnej wiosny. Zakręciła opuszką palca w wodzie i obserwowała wysepki rozpraszających się i pękających białych baniek, które następnie leniwie łączyły się w nowe kształty i wzory.

- Wiesz, czułam się tak dobrze w swojej skórze, że aż zaczęłam śpiewać. Och, nie należę do osób, które usłyszą byle nutę i potrafią ją idealnie powtórzyć, a jednak śpiewałam. I poślizgnęłam się w wannie, woda zalała mnie po samą brodę i wtedy dotarło do mnie...

Mimo zamkniętych drzwi łazienki doskonale słyszała wszystkie hałasy. Najpierw dotarł do niej jakiś huk, potem drugi, uznała więc, że to może być echo. Coś zsunęło się po ścianie, jakby zbiegał po niej sznur, a później rozległ się nagły trzask tłuczonego szkła. I Beth już wiedziała, co dokładnie się zdarzyło: jakiś obraz spadł ze ściany przy schodach i rozbiła się szybka. Prawie natychmiast po następnym dźwięku, łoskocie niewiele głośniejszym niż poprzednie, Michael wrzasnął: „Nie!”. To był taki ciężki, głuchy odgłos, że dom niemal się zatrzęsł. Tak przynajmniej jej się wydawało. Sekundę później złowiła uchem tupanie zbiegających po schodach stóp. Michael wrzasnął znów, tym razem: „Beth!”.

Wyskoczyła z wanny. Szarpnęła z wieszaka ręcznik i obwiązała się nim. Poślizgnęła się na dywaniku łazienkowym. Upadła na toaletkę. Wówczas jej nie zabolalo, lecz dwa dni później stłuczenie na biodrze przybrało postać tęczy ciemnych kolorów. Nadal miała ten siniec, który teraz był intensywnie żółtozielony.

- Więc wybiegłam na korytarz i zobaczyłam, co się stało.

Matka leżała u stóp schodów. Michael klęczał obok niej. Nie żyła. Z pewnością nie żyła! Wyglądała na połamaną i Beth miała wrażenie, że gdyby pociągnęła jej dłoń, z łatwością wyrwałaby ją z przegubu, a po dotknięciu głowa matki potoczyłaby się po podłodze.

- Tylko stałam bez ruchu. Chyba byłam w szoku. Michael popatrzył na mnie. „Spadła - powiedział. - Widziałem ją. Stała na szczycie schodów, a potem spadła”. Tak mi powiedział...

Beth przyłożyła dłonie do skroni. Jej umysł szalał. Przycisnęła dłonie mocno, jakby chroniła głowę przed wybuchem. Ręcznik, którym była obwiązana, zsunął się na ziemię. Czowała poniżającą bezbronność nagości,

widziała leżącą bez ruchu matkę i Michaela. Przez myśl przemknęło jej, że wpadła na płótno jakiegoś malowidła zdegenerowanego surrealisty. Śmierć, Michael i Naga Na Schodach. Po chwili otrząsnęła się i krzyknęła: „Co jej zrobiliś? Co zrobiliś?!”

- Ciągle wyrzaskiwałam to pytanie, a później pamiętam dopiero, że byłam ubrana i przebywaliśmy w szpitalu. Moja matka „zmarła w drodze do szpitala”... Słyszałam, że ktoś na oddziale ratunkowym użył tego określenia. Następnie lekarka czy może pielęgniarka dała mi jakiś środek i wszystko zaczęło się zamazywać...

- Rozumiem - uciął Pretre. - Powiedz mi, Beth, miałaś w przeszłości wrażenie... powiedzmy „nieufności” do swojego męża?

- To znaczy... Nie jestem pewna, co masz na myśli.

- Czyżby?

- Może wiem - odparła powoli. - No cóż, tak, ogarnia mnie czasem myśl, że Michael nie do końca jest tym, za kogo się podaje, że jest, hmm, zupełnie innym człowiekiem. Trudno to wyrazić słowami...

- Świetnie ci idzie - zachęcił ją Jan Pretre.

Beth kontynuowała zatem, mówiąc mu to, co mogła, w najlepszy sposób, w jaki potrafiła. Uświadomiła sobie, że cała opowieść brzmi obłąkańczo, ale... „Och, to przecież psychiatra, a psychiatrze powinno się opowiadać swoje szalone myśli!”.

- No dobrze - przerwał jej w końcu. - Porozmawiajmy o twoim ojcu.

- Co takiego? Sądziłam, że mówimy o moich uczuciach do męża.

- Ale teraz pogawędzimy o czymś innym - odparował Pretre. - Prowadzimy swego rodzaju śledztwo, Beth, szukając wskazówek, które pomogą nam ustalić, dlaczego myślisz w taki sposób o Michaelu. Nazwałaś swoje podejrzenia „szalonymi” i bez wątpienia wyglądają na irracjonalne. Musimy zatem odnaleźć korzenie twoich fantazji, abyśmy mogli się zająć przyczyną problemu, a nie jedynie tym symptomem.

- Ty tu jesteś lekarzem - stwierdziła Beth słabo.

- Tak, zgadza się - odciął się Pretre - i ważne, żebyś o tym pamiętała. Zadaję ci pytania, Beth, podsuwam sugestie i czasami, najszybciej jak tylko się da, mówię ci, co robić i jak to robić. Postępuję tak, ponieważ mam swoje powody... Przyszedł do mnie po pomoc i jeśli mam ci jej udzielić, musisz mieć do mnie zaufanie.

Nie odpowiedziała.

- Czy tak trudno to zrobić, Beth? - spytał psychiatra. - Czy tak trudno mi zaufać, ponieważ jestem mężczyzną, takim samym mężczyzną jak Michael? Może w ogóle nie ufasz mężczyznom, Beth?

- To nieprawda! - Zjeżyła się.

- Gwałtowna reakcja, Beth. Dlaczego jesteś taka rozgniewana?

- Czuję się, jakbyś mnie atakował!

- Ja miałbym atakować ciebie? - spytał Jan Pretre. - A Michael zaatakował twoją matkę? Boisz się, że właśnie tak działają mężczyźni... że atakują kobiety? Czy wszyscy mężczyźni pragną cię skrzywdzić, Beth?

- Och... wprawiasz mnie w zakłopotanie! - Przełknęła ślinę. Miała suchą, twardą bryłę w gardle; przełknęła ślinę jeszcze kilka razy, ale bryła się nie poruszyła.

- Jeśli zamierzasz się rozpłakać, na biurku są chusteczki.

Kątem oka zobaczyła, gdzie Jan wskazuje.

- Nie - odrzekła. Nie płakała od pogrzebu matki. Tamtego dnia jej łzy zdawały się płynąć bez końca, a później poczuła w sobie pustkę; miała wrażenie, że wyplakała wszystkie wnętrzości, że jest wydrążona.

- Opowiedz mi zatem o swoim ojcu, Beth. Gdy spytałem cię o niego po raz pierwszy, pragnęłaś uniknąć tego tematu. Twój ojciec... Czy go kochałaś?

- Tak!

- Bardzo?

- Tak!

- Czy byłaś jego ukochaną córeczką?

- Nie rozumiem.
- Czy poświęcał ci tyle uwagi, ile pragnęłaś?

Odwróciła się w fotelu. Przeszyła Jana wzrokiem pełnym wściekłości.

- Dlaczego mi to robisz? - spytała powoli.
- Beth - odparł - nie widzisz? Próbuję ci pomóc.

Jego ciepły, stentorowy głos i jego współczujące czarne oczy rozproszyły jej wątpliwości. Pretre troszczył się o ludzi; wiedziała, że tak. Musiała mu zaufać. Potrzebowała go.

- Czy możemy kontynuować? - spytał.

Kiwnęła głową i kontynuowali: Czy jej ojciec był mężczyzną czułym? W stosunku do niej? Dla jej matki? Czy Beth była zazdrosna o matkę? Och, doprawdy? Naprawdę tak nie uważa? Naprawdę?! A co z tą porą późnonocną, tym grzesznym czasem, gdy niegodziwe dzieciaki odmawiają pod nosem swoje okrutne modlitwy? Czy Beth kiedykolwiek pragnęła, żeby matka zesłała jej z drogi, aby ona, jej córka, mogła mieć tatusia wyłącznie dla siebie?

- No dobrze, wystarczy na dziś. - Jan zerknął na zegarek.

Beth poczuła fizyczne zmęczenie, jak gdyby spędziła kilka godzin przesuwając meble w salonie, aby wyprać leżący pod nimi dywan. Zmęczenie jej nie przeszkadzało, było znacznie bardziej pożądane od odrętwienia, które jakiś czas temu ogarnęło jej ciało.

- Myślisz, że... zrobiliśmy postępy? - zapytała, gdy wstali.

- Tak, Beth - zapewnił ją psychiatra. - Jak na pierwszą sesję dokonaliśmy bardzo dużo. I, Beth?

- Tak, doktorze Pretre?

- Nie spodziewaj się cudów, dobrze? Twój problem nie powstał z dnia na dzień. Rozwiązanie go zajmie nam trochę czasu, w dodatku taki proces często bywa bolesny, ale wierz mi, później, po terapii będziesz osobą silniejszą. - Wyciągnął rękę. - Ufasz mi?

Beth była wzruszona. Uścisnęła mu rękę.

- Całkowicie - zapewniła go.

- To dobrze - odparł. - Wspaniale. Zobaczymy się ponownie za tydzień o tej samej porze.

* * *

Louden odebrał telefon w swoim biurze.

- Wyszła stąd dziesięć minut temu, Michaelu - powiedział Jan Pretre.
- Beth cię podejrzewa. Wie.

- Co takiego?! - Louden pochylił się do przodu w dużym czarnym skórzanym fotelu biurowym. „To niemożliwe” - pomyślał. Prędzej by uwierzył, że ktoś potrafi latać, jeśli tylko zamacha rękoma wystarczająco mocno, niż w to, że Beth czegokolwiek się domyśla...

- Na szczęście - podjął Jan spokojnie - twoja żona nie wie, że wie. To bardzo okaleczona psychicznie kobieta, Michaelu. Wszystko, co mi dziś opowiedziała, stanowi klasyczny przykład urojeń prześladowczych i paranoidalnych. Tak my, psychiatrzy, nazywamy ten problem i dokładnie tak samo określiła swoje podejrzenia Beth.

- To dobrze - odparł Louden. - Ona nie zdaje sobie sprawy z prawdy. Nie ma na to dość rozumu.

- Nie doceniasz jej, Michaelu - oświadczył Jan. - Nie jest głupia. I posiada nadzwyczajne zdolności przystosowawcze. Gdyby nie potrafiła się zaadaptować do zmiennych warunków, do tej pory bez wątpienia załamałaby się psychicznie. Niech to będzie dla ciebie ostrzeżenie. Beth może ci jeszcze sprawić niemałe kłopoty.

Louden rozparł się na siedzeniu i zadumał. Wypadek samochodowy? Typowa metoda samobójstwa wśród gospodyń domowych z przedmięć: buteleczka pigulek i alkohol? „Tak, wiedziałem, że jest przygnębiona, przecież spotykała się z psychiatrą, ale ani przez moment nie podejrzewałem, że mogłaby...”. Potem żal odbierze mu mowę, z oczu popłyną łzy - pogrążony w smutku mąż przytłoczony ogromną zgryzotą, podczas gdy jego sekretne „ja” będzie się śmiało jak szalone. Istniały sposoby

gwarantujące, że Cudowna Żonka nie spowoduje już żadnych problemów.

Ale, niech to szlag! Michael czekał już na to tak długo, a obiecał sobie, że one - Beth, Marcy i Kim - będą ostateczną nagrodą za jego cierpliwość. Wiadomość! Czas Obcych. Radość odczuwana na widok szoku w ich przerażonych oczach, śmiech z ich udręczonych wrzasków i w końcu zabicie ich, zniszczenie tych istot jako jego pożegnanie z „nijakimi”, z normalnym, bezmyślnym życiem, do którego został przymuszony, które musiał znosić, zanim będzie mógł opuścić ten dom śmierci i oddać się żądzy mordy, zalewając świat krwią... Michael, Obcy...

- Jesteś tam jeszcze, Michaelu?

- Och, tylko rozmyślałem.

- No dobrze zatem - ciągnął Jan Pretre. - Podałem dziś Beth prawdziwemu psychologicznemu przesłuchaniu. Podczas kolejnych spotkań z nią będę ciągle stosował tę samą strategię. Do następnego tygodnia twoja żona zastanowi się, czy naprawdę życzyła swojej matce śmierci i uzna, że - niezdolna zaakceptować tak straszliwą myśl - obwiniła o nią ciebie. Istnieją tysiące sztuczek, które mają w zanadrzu psychiatrzy, a ja mam również parę własnych. Beth będzie tak pochłonięta własnym rachunkiem sumienia, że nie znajdzie czasu na rozpamiętywanie zachowania człowieka, którego poślubiła.

- To świetnie - przyznał Loudon. - Dzięki.

- Nie ma sprawy - odparł Jan Pretre. - I, Michaelu?

- Tak?

- Uważaj na siebie.

Oboje zaparkowali w tej samej części parkingu. Wyszli razem, opuszczając budynek kilka minut po dwudziestej pierwszej. Tak, Beth miała ochotę na drinka. Pragnęła streścić Kevinowi swoją sesję z Janem Pretre.

Noc była jasna, luna księżyca i światła gwiazd spowijały okolicę

martwym chłodem. Pomarańczowożółte lampy na parkingu kusily fałszywą obietnicą ciepła. Kiedy Beth i Kevin mijali napis „Tylko dla upoważnionych. Sektor D”, Beth przyjrzała się rozciągniętym cieniom ich obojga, które tworzyły właściwie jeden cień o dwóch głowach i jednym ciele.

„Ale czy jest też jakiś niewidoczny cień, który podąża za naszym cieniem?”

Nagle ogarnął ją strach.

- Mój stoi tam - powiedział Kevin, wskazując.
- Nie - szepnęła. Dźwięk własnego głosu wystraszył ją. To był bezradny, rozpaczliwy jęk opuszczonego dziecka.

Stała bez ruchu.

„Nic ci nie jest, panujesz nad sobą, zachowujesz spokój” - przekonywała siebie w myślach, choć bezlitosna panika ścisnęła jej pierś. Jej serce waliło. Beth nie mogła oddychać. Wciągnęła wielki haust powietrza, które zakłuło jak ostrze noża.

Tak, musiała się rozluźnić. Zadrzała, odnosiła wrażenie, że rozpada się na atomy... *Wszyscy konni króla... pajączyna pęka, przenikając przez materię jej jestestwa... i wszyscy dworzanie... siatka postrzępionych nitek rozrywa ją... złożyć do kupy nie byli jej w stanie... rozdziera ją... nie byli w stanie* ...niszczy ją...*

* Parafraza angielskiej rymowanki *Humpty Dumpty* z 1810 roku.

- Trzymaj mnie! - Usiłowała wrzasnąć, ale wydała z siebie jedynie piskliwy szep. „Odległy głos osoby, która rozpadła się na drobne kawałeczki, i...”

- W porządku, wszystko w porządku. - Kevin wziął ją w ramiona.

Przez swój płaszcz i pikowaną kurtkę mężczyzny Beth poczuła bicie jego serca. Przycisnęła się do niego, do tej ciepłej „solidności”.

- Wszystko w porządku, Beth - powtórzył.

Trzymał ją, trzymał ją całą, trzymał ją w jednym kawałku.

- Kocham cię - powiedział. Pocałował ją.

Był silny. A ona była z nim bezpieczna. Rozszlochała się, całując go, jego zimny wąs - wilgotny od jej łez - łaskotał ją. Jego wargi żarłoczne i kochające...

Oderwał się od niej. Kątem oka dostrzegła cień ich dwojga na betonie; rozdzielał ich teraz pas pustki.

- Beth... przepraszam - zająknął się Bollender.

„Jego twarz... - pomyślała. - Ruch, jakim szura butem po chodniku, sprawia, że wyglądał jak trzecioklasista, który musi przeprosić za zakłócenie porządku w klasie. Jest taki cudowny... i taki piękny”.

- Zapomniałem się na sekundę. To nie...

- Bądź cicho - mruknęła, śmiejąc się i równocześnie płacząc. - Nie chcę, żebyś mówił słowa, których żadne z nas nie ma ochoty słuchać. Po prostu zabierz mnie ze sobą, Kevinie. Teraz.

- Czy ty... Czy rozumiesz, co mówisz, Beth?

W odpowiedzi wyciągnęła rękę.

Jego dodge'em aspenem pojechali do jego apartamentu, który mieścił się w odległości ośmiu kilometrów od college'u. Beth siedziała tak blisko Kevina na przednim siedzeniu, że czuła ciepło bijące od jego ciała. Pachniał mydłem i cytrusowym dezodorantem. Obserwowała jego ręce na kierownicy, widziała kosteczki jego kłykci pod lekko napiętą skórą, żyły niewidocznie przenoszące krew życia, obserwowała pracę ścięgien.

Studiowała jego profil, gęstwinę falujących kędziorów, wysokie czoło intelektualisty, duży nos. Musiała mieć pewność. Nie mogła sobie pozwolić na błędną decyzję, na zły wybór kandydata do roli Rycerza w Lśniącej Zbroi, Zakłętego Księcia czy też Osobistego Wybawiciela. Tak, miała pewność! Kevin Bollender był tym, kim był. Nie skrywał w sobie żadnego kłamstwa. Kiedy mówił do niej, on, Kevin i nikt inny, mówił właśnie do niej, kiedy całował ją, on - Kevin-Kevin-Kevin! - całował właśnie ją, a kiedy powiedział, że ją kocha... Boże! Beth czuła się kochana!

W sypialni jego małego mieszkania nalegała na pozostawienie włączonych świateł. Chciała ciągle go widzieć.

Kiedy leżeli nadzy w łóżku, jej cały świat ograniczył się do Kevina i skupił wokół niego. W ramionach czuła tylko jego, jego boki, żebra, ręce, jej uda trzymały jego biodra, jej pięty ocierały się o jego łydki, o jego kolana. Jej wnętrze wchłaniało go, chwyciło, igrało z nim, ocierało się o niego, kochało go.

A gdy doszło do zespolenia, emocje były tak intensywne, że Beth opuściła własne ciało. To była krótka, pojedyncza chwila śmierci i najlepszy moment w całym jej życiu. Spalała się w żarze własnych uczuć, zwijała się, jęczała i płakała z powodu cudowności tych sekund.

Kevin szczytował. Beth trzymała go mocno, pragnąc przylgnąć do niego totalnie w tych wstrząsających momentach, gdy jego siła znikała i mężczyzna stawał się niewolnikiem własnej rozkoszy, rozkoszy, którą dała mu ona.

Po wszystkim uśmiechnął się do niej, prostolinijnie i z zadowoleniem.

- Powinniśmy - odezwał się - porozmawiać o... omówić to, co się zdarzyło.

- Nie - odparowała. - Nie teraz. I może nigdy.

- Beth...

- Boję się, że słowa zniszczą to, co się stało. A nie umiałabym tego znieść. - Leżała wtulona w jego ramiona z rękoma na jego piersi. Jego skóra była ciepła i wilgotna.

- Ale, Beth... ja... muszę to wiedzieć. Nic ci nie jest? Nic ci się nie stanie?

Roześmiała się cicho.

- Tak, wszystko jest w porządku. Ale nie wiem, czy tak pozostanie. Może nikt tego nie wie.

Odwiózł ją pod Lincoln Junior College. Beth wsiadła do chevette scooter i pojechała do domu.

* * *

- Beth, jest po północy! Zaczynałem się martwić! - skarżył się Michael.

Popatrzyła na niego.

- Naprawdę?

- A co niby miało znaczyć to pytanie?

Nie odpowiedziała. Poszła na górę, rozebrała się, narzuciła na siebie nocną koszulę i położyła się do łóżka. Nadal mogła czuć zapach Kevina, ciągle wspominać jego dotyk, pieścić w sobie jego wspomnienie.

Była kochana. To, co się zdarzyło, było prawdziwe i z tą świadomością Beth łatwo zaśnie.

SIEDEMNAŚCIE

O dziesiątej rano w piątek Michael wszedł do biura Verna Engelkinga.

- Chciałeś mnie widzieć...

- Ja chciałem, Michaelu - odezwał się Jan Pretre. Stał przy zajmującym całą ścianę oknie z rękoma splecionymi za plecami, tyłem do Loudena.

Vern siedział przy biurku i bawił się szklanym przyciskiem do papieru w formie kuli.

- Jan ma dla ciebie jakąś wiadomość - powiedział.

„W końcu!” - pomyślał Michael. Znosił swoje „publiczne” życie dla tego jednego oświadczenia Jana Pretre. A jego sekretne „ja” żyło tylko dla tej...

Jan odwrócił się. Za nim świeciło wczesno listopadowe słońce, oślepiające, obrysowujące jego sylwetkę, zacierające jego kształt. Patrząc na niego, niezdolny rozpoznać jego rysy, Louden ponownie przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, tak dawno temu, pierwszy dreszcz emocji, który ogarnął go na wieść, że Jan jest taki jak on... I coś więcej.

- Wiesz, że Beth była u mnie wczoraj po raz drugi - podjął Pretre.

Michael kiwnął głową.

- Twoja żona oczywiście uważa, że swojemu terapeutę może powiedzieć zupełnie wszystko w największym zaufaniu. Że gabinet psychiatrii jest miejscem równie świętym jak konfesjonał. No i powiedziała mi coś bardzo interesującego, Michaelu.

- A zatem - odburknął Louden - cóż takiego powiedziała ci Beth,

o czym twoim zdaniem powinienem wiedzieć?

- Zraziła się do ciebie - ciągnął Jan Pretre. - Myślę, że zdajesz sobie z tego sprawę. Nie wierzy już, że jej podejrzenia związane z tobą to paranoidalne fantazje i wyraźnie odcięła się od ciebie emocjonalnie. Obecnie, w najlepszym wypadku, postrzega cię jako przypadkowego znajomego, z którym mieszka. Nikogo więcej.

Michael wzruszył ramionami, po czym się uśmiechnął.

- Cóż, chyba nie pracuję wystarczająco ciężko nad utrzymaniem tej mojej starej w szczęściu i zadowoleniu - zakpił.

- Nie zdołałeś jej zadowolić! - warknął Jan. Podszedł do Loudena. - Ale udało się to komuś innemu.

- Co masz na myśli?

- Beth ma romans - wyjaśnił tamten. - Ma kochanka.

Michael podrapał się po uchu.

- Bzdura - odparował.

- Nie, Michaelu, to prawda.

- Beth się z kimś pieprzy? Na litość boską, była dziewicą, naprawdę, absolutną dziewicą, którą rozprawczyłem dwa miesiące przed ślubem. Nie mogłaby... To nie jest ten typ kobiety.

Vern zachichotał.

- Mamy tu jawnie do czynienia z mężem-rogaczem, który nie potrafi przyjąć do wiadomości faktu, że jego żona się łajdaczy.

Louden posłał Engelkingowi szybkie spojrzenie. Vern szczyrzył zęby, lecz poza tym wyraz jego twarzy stanowił zagadkę. Michaelowi coś nie grało, coś nie pasowało... Jan i Vern byli przecież jego sprzymierzeńcami, a jednak wyglądało na to, że zjednoczyli się przeciwko niemu w sposób, którego w ogóle nie pojmował.

Jan wycelował oskarżycielsko palcem.

- Michaelu, sam ją zmieniłeś w ten typ.

- Nie - zaprotestował. - Zawsze zachowywałem się jak wspianały i superoddany mąż.

- Zgadza się, Michaelu - podsumował Jan cicho – tyle że ona przejrzała twoją grę.

„Kochanek?! Beth się z kimś pieprzy?!” Dopiero teraz uderzyła go w pełni rewelacja Jana Pretre. Michael powinien to wiedzieć, kurwa mać! Powinien zauważyć, że Beth rozgrywa swoją prywatną grę. Od mniej więcej tygodnia nie miała już wisielczej depresji, lecz zachowywała się wobec niego lodowato uprzejmie. Od czasu do czasu dostrzegał na jej obliczu jakąś minę - spojrzenie, które należało zinterpretować jako prawie dziecinny triumf, chełpienie się w stylu: „Wiem coś, czego ty nie wiesz, na, na, na...!”.

Niech ją szlag trafi! Poczul w sobie napływającą falę gorąca. Spróbował ustalić, co właśnie poczul i natychmiast wiedział. Zniewaga! Ta suka go oszukała! Spędził pół życia na oszukiwaniu jej, a teraz to ona zrobiła z niego durnia.

Nagle ogarnęło go zmęczenie. Usiadł w fotelu obok biurka Verna.

- Beth w ubiegłym tygodniu doświadczyła napadu niepokoju - kontynuował Jan. - Po wszystkim, co przeszła, nie mogła sobie poradzić z własnymi emocjami. Rozpaczliwie potrzebowała kogoś, ten ktoś się pojawił i wylądowali w łóżku.

- I w ostatnią sobotę też była z nim, prawda? - spytał Michael cicho.

- Prawda - przyznał Pretre.

Istniały zatem wyraźne wskazówki, a on je przeoczył! Jego żona spędziła długie minuty w łazience, poza tym perfumy, makijaż, elegancki strój. Potem wyszła. Wiedziała, że Michael nic sobie nie zaplanował na to popołudnie, toteż może popilnować dzieci. „Och, jasne, nie ma problemu” - powiedział i sięgnął po portfel, mówiąc, że będzie potrzebowała pieniędzy, skoro jedzie do sklepu. Nie, nie chciała pieniędzy; zresztą, kto powiedział, że jedzie na zakupy? No cóż, więc dokąd się wybierała?

Wtedy mu nie powiedziała, ale teraz wiedział. Suka! Szła rozłożyć nogi!

- W porządku - westchnął - i przypuszczam, że za jakiś tydzień, gdy

facet jej się znudzi, wróci do mnie ze skruszonym szlochem, wyznając grzechy i prosząc o wybaczenie.

- Wątpię w to - odparował Jan Pretre. - Mówiłem ci, że twoja żona ma silną wolę. Zerwała z tobą wszelkie więzi emocjonalne. Nie dręczy jej poczucie winy. Nie czuje się nawet winna z tego powodu, że nie czuje się winna. Och, jest teraz w stanie uniesienia, przeżywa ten pierwszy etap romansu, gdy człowieka ogarniają uderzające do głowy, szaleńcze emocje. W każdym razie zaczęła już brać pod uwagę ewentualność uwolnienia się od ciebie. Myśli o rozwodzie.

Miałaby się z nim rozwieść?! Hej, pani Bezmózga, mogę się założyć o swoją dupę, że skoro pieprzyłaś się z jakimś fagasem w jego łóżku, twój mężulek jako pierwszy wystąpi o separację. Żadnych alimentów, żadnego wsparcia dla dzieci, nie dostaniesz nic poza papierkiem o rozwiązaniu istniejącego układu. Suko!

Loudenowi przyszło do głowy pewne pytanie, lecz nie zdążył go zadać, gdyż jednocześnie sam pojął odpowiedź. Dlaczego Jan postanowił powiedzieć mu o Beth w ten sposób, przy Vernie? Czyżby obaj go ostrzegali, mówili: „Spieprzyłeś to, Michaelu”?

- Więc taka jest sytuacja, mój drogi - dodał Jan Pretre.- Teraz wiesz... „...a wcześniej nie wiedziałem, kurwa, i to cię skłoniło do powiedzenia mi, prawda, stary?!”

- ...zatem od ciebie zależy, jaką decyzję podejmiesz - dokończył Jan.

Sprawa zostanie załatwiona, bez dwóch zdań! Tylko jeszcze jednej informacji Louden potrzebował od Jana: nazwiska.

I Jan mu je powiedział.

Kevin Bollender. Michael miał nadzieję, że Beth naprawdę kocha tego Bollendera, że kocha go ślepo, w pełni, całkowicie, „że go potrzebuje”, „że nie może żyć” bez drogiego sukinsyna...

Wrócił do biura i zatelefonował do Eddiego Markella.

W swoim gabinecie położonym w wąskim skrzydle biblioteki Kevin Bollender siedział przy biurku, opierając stopy o blat. Beknął, czując cebulę z hamburgerów, które jadł na lunch. Została mu godzina do zajęć „Wprowadzenie do psychologii”, które prowadził o czternastej i zastanowił się, czy nie przeznaczyć tego czasu na drzemkę.

Rozległo się stukanie do drzwi i zanim Kevin zdążył zdjąć stopy z biurka, gałka się przekręciła, drzwi się otworzyły i do gabinetu wszedł Eddie Markell. Miał na sobie brudny trenecz, prawą rękę skrywał pod połą. Nagle wyjął ją wraz z magnum 0,357.

- Jesteś profesorem, więc musisz być inteligentnym facetem. No to wykaż się inteligencją i bądź cicho, a nie odstrzelę ci pieprzonego łba.

- Nie jestem profesorem - odparł Kevin, a potem nie mógł już nic więcej dodać. Zrozumiał, co się dzieje i zrobiło mu się aż zimno ze strachu. Jezu Chryste, pracował przecież w zakładzie dla psychicznie chorych w Manteno i zdarzyło mu się tam kilka dość, cholera, nieprzyjemnych rzeczy, między innymi jeden kompletny świr próbował rozdrapać mu twarz. Jednakże tu i teraz, w tym konkretnym momencie, wiedział, że nigdy przedtem w całym swoim życiu nie był tak kompletnie przerażony, tak sparaliżowany ze strachu.

- Przejedziemy się, profesorku - rzucił Eddie Markell. - Rób, co ci mówię, a twój kędzierzawy łeb pozostanie na twojej szyi, czyli tam, gdzie chcesz go zachować.

Bollender pomyślał, że kimkolwiek jest ten człowiek, przemawia przez cały czas kalkami dialogów żywcem przeniesionych ze starych filmów gangsterskich.

Kevin popatrzył na pistolet, uświadomił sobie, że w ustach ma sucho, jakby spędził trzy dni zagubiony na pustyni Sahara i również jemu przyszedł do głowy pewien wyświechtany frazes: „On cię zabije natychmiast, gdy na ciebie spojrzy”. Ten człowiek był pijany, można to było dostrzec

i poczuć, lecz jego stan czynił go tylko jeszcze bardziej niebezpiecznym.

- Postaw nogi na podłodze - polecił Eddie. - Wstań powoli, załóż kurtkę i chodź ze mną na spacer.

- To pomyłka - jęknął Bollender. W chwili, gdy wypowiedział te słowa, dokładnie przewidział ripostę: „Tak, i ty ją popełniłeś”.

Doświadczał przez chwilę oszałamiającego uczucia nierealności całej sytuacji oraz niemożności znalezienia odpowiedzi na wszystkie pytania, które niczym koniki polne skakały w jego głowie. To był film z lat czterdziestych o twardzielach i on jakimś sposobem do niego trafił. Jezu! Albo do *Strefy mroku*... Więc na pewno wszystko dobrze się skończy. Był przecież miłym człowiekiem i...

Spróbował jeszcze raz.

- Nie ujdzie ci to na sucho - oznajmił.

- Wiesz, gównu mnie to obchodzi - odciął się Eddie Markell. - A jeśli komandosi wyważą drzwi, aby uratować twoją nieszczęsną dupę, profesorze, nadal gównu mnie to będzie obchodziło. A teraz, kurwa, zamknij pysk i wynośmy się stąd.

Ruszyli korytarzem. Markell podązał pół kroku za Bollenderem. Schował pistolet i Kevin wiele razy myślał o ucieczce. Nie uciekł jednak. Nie miał wątpliwości, że facet - sprowokowany - strzeli, a w salach byli przecież ludzie, dozorca ze swoją miotłą, facet na wózku, może kaleki weteran wykorzystujący rentę żołnierską na dalszą edukację, starsza kobieta, która prawdopodobnie szła na kurs obsługi komputera, aby po jego ukończeniu znowu podjąć pracę. To były „przypadkowe osoby”, które zawsze w takich sytuacjach stają się niewinnymi ofiarami - ich rany i zgony beznamiętnie odnotowują lokalne wiadomości, a nazwiska zapomina się już podczas pierwszego bloku reklamowego.

Zjechali windą i opuścili budynek. Pogoda się zmieniła, niebo było teraz zachmurzone i siąpił lekki zimny deszcz.

Eddie Markell poprowadził Kevina do swojego przerdzewiałego

zielonego chevroleta impala z 1976 roku. Rozejrzawszy się po parkingu, Eddie otworzył bagażnik.

- Właż - poleciał. Bollender nie poruszył się.
- Słuchaj - powiedział - ktoś zobaczy...

W tym momencie Eddie trzasnął go kolanem w krocze. Ból pomknął w górę, skręcając mężczyźnie żołądek i rozsadzając płuca. Kevin chrząknął, a Eddie pehnął go w stronę bagażnika, każąc mu włożyć nogi do środka.

Po chwili pokrywa bagażnika zatrzasnęła się.

Zapadła całkowita ciemność. Kevin leżał na boku, oddychając ciężko.

Owionął go smród benzyny i smaru. Ryk silnika, kiedy samochód ruszył, był głośny niczym pędzący wir huraganu w otwartym przejściu między domami.

Auto jechało coraz szybciej. Kevin musiał coś wymyślić.

Przewody tylnych świateł! Miał je, chłodne i plastikowe w dotyku. Pociągnął i wyrwał.

Teraz zyskał szansę! Czerwone światło, znak stopu, samochód zwalnia na skrzyżowaniu, rozdrożu czy rozjeździe, a tam stoi policjant.

„Ten facet jedzie bez świateł hamowania albo bez reflektorów. Trzeba dać mu mandat!”

Ale ile samochodów bez świateł stopu, przednich, tylnych czy kierunkowskazów przejeżdża setki kilometrów każdego dnia i nikt ich nie zatrzymuje? I czyż nie jest, do diabła, prawdziwe powiedzenie, że „gdy potrzebujesz policjanta, nigdy go nie ma”?

Postanowił zacząć kopać. Wrzasnął: „Pomocy! Pomocy!”. Napierał też na pokrywę bagażnika.

Chevrolet zwolnił, zjechał na prawo, po czym się zatrzymał. Bagażnik został otwarty. Kątem oka Kevin widział szare niebo i czuł na skórze przyjemny, chłodny deszcz.

Eddie Markell pochylił się ku niemu.

- Zamknij się! - warknął.

Bollender spróbował wykonać jakiś ruch, lecz gdy zaczął się podnosić,

Eddie uderzył go dwukrotnie, raz trafiając w skroń, a raz w kość policzkową. Z bólu Kevin zobaczył przed oczyma tysiące kolorowych gwiazdek.

- Kazalem ci się zamknąć i mówiłem serio – warknął Markell.

Bollender leżał więc cicho w śmierzącym zaduchu. Dryfował od stanu pełnej świadomości do litościwej przytępionej półprzytomności, która pozwalała mu patrzeć na to, co się działo, z obojętnością. Uznał, iż ryzyko, że zostanie zabity, jest spore, lecz niepokoił go jedynie nieco fakt, że może nigdy nie dowie się, dlaczego umiera.

Jakiś czas później („jakiś czas”, ponieważ strach żyje według własnego zegara i minuta może być dniem, a godzina sekundą), w momencie, który minął od „wcześniejszego” przerażenia do „obecnego” przerażenia, klaustrofobiczna podróż Kevina Bollendera się zakończyła.

Deszcz już nie padał. Kevin wysiadł z bagażnika i stanął na drżących nogach. Powietrze przepelniał wilgotny chłód. Byli w lesie. „W leśnym rezerwacie” - przemknęło przez głowę Bollenderowi. Stara impala stała na zwirowym parkingu obok forda LTD. Bollender pomyślał, że być może znaleźli się w Leśnym Rezerwacie Glenvale, nie miał jednak pewności.

- Tędy - warknął Eddie Markell. Wskazał pistoletem miejsce piknikowe mieszczące się pięćdziesiąt metrów dalej. Budowla bez ścian miała betonową podłogę i lekko pochyły dwuspadowy dach, który wspierały sekwojowe filary.

Kevin dostrzegł tam mężczyznę. Był średniego wzrostu, jasnowłosy, nosił workowaty ciemnozielony kombinezon mechanika. Przy jego nogach stała płócienna torba.

- Ruszaj, gnojku - zdenerwował się Eddie.

Ciało Kevina wypełniła pobudzona adrenaliną nienawiść. Był większy i silniejszy od tego popierdolonego matkojebcy! Mógłby go dopaść i rozrwać na strzępy, które następnie porzrzuca na wszystkie strony świata...

Tyle że tamten trzymał pistolet.

Dotarł do miejsca piknikowego.

- Cieszę się, że cię widzę, Kevinie - zagaił mężczyzna w kombinezonie.

- Nie znam cię i nie wiem, o co ci chodzi - odparował Bollender.

- Nie znasz mnie? Ale znasz moją żonę. Pieprzysz ją, sukinsynie!

- Jesteś...

- Jestem Samotnym Strażnikiem - odburknął Michael.

Trzasnął Kevina pięścią w szczękę.

Bollender zatoczył się w tył. Teraz nie pozostał w nim nawet cień wątpliwości. Zamierzali go zabić. Czuł się, jakby już był martwy, a ponieważ nie miał nic do stracenia, kiedy Louden zrobił kolejny zamach, chwycił go za ramię i odepchnął ku Eddiemu Markellowi.

- Ty głupi gnoju!

Próbował uciec. Michael obrócił się chwiejnie i złapał go w pasie. Kevin trzasnął go łokciem w brzuch. Louden chrząknął.

Eddie Markell nie czekał dłużej, zdzielił Bollendera w bok głowy długą żebrowaną lufą magnum.

Pod mężczyzną ugięły się kolana. Eddie powtórzył cios.

- Możesz już puścić tego syfiarza - mruknął Markell do Michaela. - Drań nie zechce zrobić ani kroku więcej.

Louden poluźnił uścisk i Kevin opadł na kolana. Nie zamierzał jednak ulec sile ciągnącej go w niebyt, bardzo więc się starał nie stracić przytomności.

- Wstań, dupku - rozkazał Eddie Markell. – Zdejmuj ciuchy.

Bollender usiłował wstać, ale nie mógł. Obaj mężczyźni szarpnęli go pod ramiona i podnieśli do pionu, po czym zdarli z niego ubranie. Pchnęli go na jedną z belek wspierających dach budowli, wykręcili ręce za plecami i związali przeguby drutem.

- Czy moja żona jest dobra w łóżku, Kevinie? Kazałeś jej posać swojego fiuta? Wiesz? Ja ją tego nauczyłem. Taki masz pomysł na dobrą zabawę? Namawiać czyjaś żonę, żeby ci obciągnęła?

Michael zamachnął się. Bollender w żaden sposób nie mógł uniknąć ciosu ani nawet osłabić jego siły. Louden trzasnął go pięścią prosto w usta.

- No cóż, dla mnie dobra zabawa równa się zabijaniu takich gnojków jak ty.

Kevin otworzył zakrwawione usta.

- Myślę, że facet ma ochotę z nami pogawędzić - zauważył Eddie.

- Beth... - wychrypiał Bollender. - Nie skrzywdź... jej...

Michael poklepał się po piersi.

- Moja żona złamała mi serce, ale, nie, nie, jak mógłbym skrzywdzić tę jakże mi drogą, słodką osóbkę? Kurwa, za jakiego człowieka mnie uważasz?

Kevin popatrzył na niego z furią zmrużonymi od bólu oczyma.

- Za... drania...

Z płóciennej torby Louden wyjął scyzoryk i otworzył go. Dotknął punktu na klatce piersiowej Bollendera, tuż przy środku mostka. Potem docisnął czubek ostrza jedynie na tyle mocno, aby przebić skórę.

Kevin gwałtownie się cofnął, trzaskając tyłem głowy w drewniany słup. Łzy spłynęły mu po policzkach, gdy Michael robił na jego skórze powolne płytkie nacięcia w dół, aż do pępka.

- Będzie wrzeszczał - oznajmił Markell.

- Ma cholernie dobry powód.

- Nie, lepiej niech siedzi cicho - stwierdził Eddie. - Nie sądzę, żeby w taki dzień jak ten mieli nam tu przeszkodzić jacyś miłośnicy natury, ale ot tak, na wszelki wypadek... bo nie chcę, żebyśmy musieli zostawić tego dupka, zanim z nim skończymy.

Zakneblowali zatem Kevina, wpychając mu w usta jedną z jego skarpet. Teraz Michael mógł swobodnie ciąć, zupełnie się nie spiesząc, przemawiając do swojej ofiary tonem sprzedawcy ze sklepu z butami, który żegna klienta uprzejmym: „Miłego dnia”. Po pewnym czasie Bollender nie mógł

już tego wszystkiego znieść - miał dość słuchania zimnego szeptu ostrza otwierającego jego ciało i bólu, który przesuwał się, sięgając stale nowych zakończeń nerwów. Zemdłał.

Gdy oprzytomniał, poczuł przejmujące zimno i smród tak jadowicie ostry, że stłumił nawet zapach jego własnej krwi.

Kombinezon Loudena, przesiąknięty benzyną, wisiał teraz na jego własnej szyi i otaczał boleśnie poranioną pierś i brzuch.

Michael zapalił zapałkę.

* * *

- Co nowego, doktoru? - spytał królik Buggs nieszczęsnego Elmera Fudda. Ponieważ drzwi w kuchni były otwarte, pytanie królika dotarło tam z dołu, z pokoju rekreacyjnego, gdzie dziewczynki oglądały kreskówki nadawane w każdy sobotni poranek.

Michael siedział przy stole kuchennym z gazetą. Beth stała przy zlewie, kończąc zmywanie po śniadaniu.

Louden sprawdził pierwszą stronę „Sun-Times”, następnie otworzył gazetę i przeglądał nagłówki, aż na stronie piątej znalazł to, czego szukał.

- Beth?

Odwróciła się.

„Ten uśmieszek... - pomyślał. - No cóż, za jakieś pięć sekund babsko zapomni o swoim uśmiechu i będzie miało ochotę go wyrzygać!”

- Nie znałaś przypadkiem tego... - zajrzał w gazetę - Kevina Bollendera? Chyba mi mówiłaś, że prowadził w twojej grupie zajęcia z psychologii?

Przechyliła głowę na bok, przypominając Loudenowi papuzkę oglądającą nową kolbę wapienną. Nadal się uśmiechała.

- Zgadza się - odparła.

Wstał, podszedł do niej i wręczył jej gazetę.

- Tutaj jest coś o nim. U dołu strony.

Nic nie potoczyło się dokładnie tak, jak oczekiwał. Pół minuty później Beth rzuciła w niego gazetę, a gdy nagle się cofnęła i strony rozleciały się wokół niego, krzyknęła: „Zabiłeś go! Ty sukinsynie!”. Sekundę później zaś walnęła go pięścią w nos.

- Ooojjj! - krzyknął Michael. Łzy zalały mu oczy. Dotknął swego nosa; strużka krwi ściekała mu z lewego nozdrza. - Uderzyłaś mnie!

- Ty... Ty morderco!

Na schodach rozległy się kroki. Kim wsunęła głowę w drzwi.

- Ktoś kogoś zabił? Hej, tato, krew ci leci z nosa!

- Nikt nikogo nie zabił...

Marcy zajrzała siostrze przez ramię.

- Twój nos... Mama strzeliła cię w nos?

Louden wycelował w nie palcem.

- Obie, panny, natychmiast zasuwać z powrotem na dół i zostać tam, aż nie pozwolę wam wyjść! No już, uciekajcie!

Gdy dziewczynki zniknęły, zamknął drzwi na schody i oparł się o nie. Wytarł z warg strugi krwi.

- Słuchaj - powiedział. - Nie wiem, do cholery, co się z tobą dzieje, Beth...

- Doprawdy? - Stała sztywno przy zlewie. Jej policzek wykrzywił się w nerwowym tiku i zadygotał jak bijące serce myszy.

- Dokładnie - przyznał. - Nie wiem, co się z tobą dzieje. Walisz mnie w nos, nazywasz mordercą... - Potrząsnął głową. „Cierpiący bez słowa skargi mąż, który stara się z całych sił pozostać cierpliwym i wyrozumiałym... ale który teraz stracił cierpliwość i rozgniewał się! Tak, teraz był rozgniewany i zraniony!” Podszedł od niej i powiedział podniesionym głosem: - Skoro kogoś zabiłem, skoro zabiłem tego Kevina „jak mu tam”, Beth, lepiej zadzwoń na policję.

Zagapiła się na niego.

- No dalej! - Jego głos stał się jeszcze głośniejszy. - Na pewno nie chcesz przebywać w jednym domu z mordercą. Dzwoni po gliny. I to już!

Wpatrywała się w niego przez następną minutę, po czym zwiesiła głowę i opuściła ramiona.

- Zatelefonuję do... doktora Pretre - oświadczyła spiętym, ledwie słyszalnym szeptem. - Czuję, że muszę z nim porozmawiać. Dzisiaj, jeśli będzie mógł mnie przyjąć.

- W porządku - mruknął Louden. Westchnął głęboko.

- Jeśli uda mi się umówić na dziś, Michaelu... zawieziesz mnie do jego gabinetu? Wolałabym nie prowadzić sama.

„Och, a co się stało z tą niezależną przedstawicielką Nowej Ery, za którą Beth ostatnio się uważała? - zapytał siebie w myślach. - I wszystko dlatego, że jej kochaś się usmażyć?!”

- Oczywiście - odparł. Był niezmiernie zadowolony ze swojego następnego gestu. Położył żonie ręce na ramionach, a ona wzdrygnęła się, lecz nie odsunęła. Najsmutniejszym i najbardziej cikliwym głosem, na jaki potrafił się zdobyć - jaka szkoda, że nie było skrzypiec - spytał: - Beth, co się z nami stało?

To nagły wypadek, wyjaśniła przez telefon, i doktor Pretre zgodził się ją przyjąć o trzynastej. Marcy i Kim Loudenowie zostawili u Engelkingów, a potem Michael odwiózł żonę do psychiatrii.

Podczas godzinnej sesji terapeutycznej doktor Pretre mówił: „Tak”, „Słucham cię” i „Rozumiem” albo powtarzał jej stwierdzenia pytającym tonem. Oświadczył Beth, że najbardziej potrzebuje teraz spokoju, ukojenia od przygniatających ją obaw. Na koniec wręczył jej plastikową butelkę z pigułkami.

- Proszę, to jedna z najnowszych próbek, jakie otrzymałem od firmy farmaceutycznej. Weź pastylkę natychmiast po powrocie do domu. Jeśli poczujesz się przymulona, tym lepiej. Sen ci pomoże.

Później tego popołudnia, gdy Beth twardo spała, Michael zatelefonował

do Jana. Rozmawiali przez pięć minut. Zgodzili się, że Beth powinna wyjechać na wakacje gdzieś, gdzie nie będzie miała okazji opowiadać komukolwiek niczego, co mogłoby spowodować jakieś kłopoty.

Jan Pretre miał bilet, dzięki któremu Beth wyjedzie w taką podróż.

OSIEMNAŚCIE

Był poniedziałkowy wieczór, kilka minut po dwudziestej. Loudenowie przebywali w pokoju rekreacyjnym i - jak większość mieszkańców Stanów Zjednoczonych - oglądali *MASH*. Dziewczynki miały już na sobie piżamy. Michael i Beth siedzieli na tapczanie, a ona traciła rozum.

W sobotę, kiedy Michael przywiózł ją do domu od doktora Pretre, zażyła pigułkę i zasnęła w ciągu kilku minut. Obudziła się jakiś czas później - „Czy nadal jest sobota?” - a wtedy pojawił się mąż z kolejną pigułką, po której wpadła w zamknięty krąg: przebudzenie-pigułka-sen. Ten cykl powtarzał się bez końca.

Pomyślała, że chyba musiała coś jeść w tym czasie - podczas całego tego okresu „przebudzenie-pigułka-sen”. Musiała też chyba przecież korzystać z łazienki. Nie sądziła, by myła twarz. Wiedziała na pewno, że nie zmieniała tej spranej koszuli nocnej; chciała mieć na sobie coś flanelowociepłego, coś, co pachniało jej ciałem. Czowała się jak owinięta w dodatkowe warstwy samej siebie.

Zastanowiła się, kiedy ostatnio myła zęby.

„Umyj zęby” - mówi pan Pasta.

„Do licha - warczy pani Próchnica. - Znowu wszystko na nic!”

Pamiętała, że dzieci wyszły do szkoły dziś rano - tak, to chyba dzisiaj - a ona jadła z nimi śniadanie... Czy to było rzeczywiście dzisiaj, czy może w zeszłym tygodniu? W każdym razie Michael wziął sobie tego dnia urlop, by podać jej pigułki.

Znowu dostała lek nie dalej jak pół godziny temu. Nie czuła się jeszcze senna, nie w tej chwili. Była cudownie czujna i dostrojona do otoczenia.

Usłyszała nagle włączający się junkers w pomieszczeniu gospodarczym, ciche, lecz energiczne oddechy swoich córek. „Marcy robi wydech, gdy Kim robi wdech, Marcy robi wdech, gdy Kim robi wydech”. Stanowiły swoje przeciwieństwo we wszystkich możliwych kwestiach...

... Słyszała nawet odgłos swojej krwi pędzącej w żyłach i tętnicach.

Istniała cudowna zbieżność pomiędzy tym momentem intensywnego słuchania i mięśniami Beth naprężonymi z wysiłku, którego wymagało przysłuchiwanie się.

Uświadomiła sobie wtedy, że nie oddycha. Wszyscy inni w pokoju oddychali - nawet z telewizji docierały do niej odgłosy oddychających Gorących Warg i pułkownika Pottera - ale nie ona. A przecież musiała oddychać! Ktoś, kto przestaje oddychać, umiera!

Próbowała nabrać powietrza i nie mogła. W głowie jej łomotało. Jej krew szalała w gniewnej, zacieklej potrzebie.

„Umieram!”

Nie! Chwila spokoju, przerwa i wewnętrzne wyciszenie. Beth przypadkowo uciekła od naturalnego rytmu oddechu i kiedy go odzyska, wszystko będzie dobrze. Skupiła się na pulsowaniu własnych przegubów i skroni, a także za uszami i na wnętrzach kolan, po czym zmusiła się do wykonania poleceń wysyłanych w te ważne punkty przez jej bijące serce. Udało się!

Wciągnąć „dobre powietrze”, wyrzucić „złe powietrze”, wciągnąć „dobre powietrze”, wyrzucić „złe powietrze”... Czuła się świetnie, po prostu ekstra, oddychała tak głęboko, że dokładnie wiedziała, kiedy tlen nasycy komórki jej płuc. „Wdech, wydech, wdech, wydech...”

- Beth - wtrącił się Michael. - Wszystko w porządku?

„W porządku, nie widzisz?!” - zaśpiewała samej sobie, a może tylko pomyślała... nie była pewna... do pierwszych nut *The Star Spangled Banner**.

* *The Star Spangled Banner* (ang.) - *Gwiazdzisty Sztandar*, hymn Stanów Zjednoczonych.

Odgadła, że jeśli słuch ma tak wyostrzony, jej wzrok jest prawdopodobnie nie mniej ostry. Sztuczka jednakże polegała na tym, aby widzieć dobrze, „widzieć wszystko”, nie patrząc spod przymrużonych powiek, jak to ma w zwyczaju większość osób, gdy próbują się skupić na jakimś przedmiocie, lecz otwierając oczy najszerzej, jak to możliwe.

„Widzę Oko Widzi...”

Obraz na ekranie telewizora nie był prawdziwym obrazem. Składał się z eksplodujących kropek - czerwonych, zielonych i niebieskich. Beth przyglądała się kropkom, najpierw czerwonym, potem zielonym, następnie niebieskim, aż w końcu pozwoliła im wszystkim zlać się w coś więcej, w całość.

Kamera zrobiła najazd i ekran wypełniło zbliżenie twarzy Alana Aldy. Był pijany i bełkotał jakiś antywojenny monolog:

- Co to jest? To wszystko jest czystym szaleństwem, rozumiesz...

„Tak, Sokole Oko, rozumiem!”

- ...jest żartem, ale rzecz w tym, że żart możesz potraktować tylko w jeden sposób - odpowiedzieć nań kilkoma własnymi żartami.

Sokole Oko - „oczywiście, oczywiście” - rozmawiał z nią. Prawdopodobnie usiłował pomówić z nią wcześniej, ale długo go ignorowała. Miała nadzieję, że nie zraniła jego uczuć. Teraz wyjaśniał jej, co ma robić.

- Beth - podjął Sokole Oko - wierz mi, gdybym mógł, uratowałbym cię. Ja wszystkich ratuję, Beth.

„Wiem, Sokole Oko”.

- Ale nie mogę, więc wszystko w twoich rękach, Beth. Musisz uratować samą siebie i tych, których kochasz. Potrafisz to zrobić?

„Tak, potrafię”.

- Beth...

Tym razem to nie Sokole Oko do niej przemówił, lecz Michael. Odwróciła głowę, zobaczyła, że jego wargi układają się w kształt jej imienia,

choć już wcześniej je usłyszała; jak w kiepsko zdubbingowanym filmie zagranicznym. Po chwili dotarło do niej lodowate echo:

„Beth

Beth

Beth

Beth”.

- Wszystko w porządku?

Czyli że to on robił jej dowcipy, wszystkie te złośliwe, bezduszne, potworne kawały. Ale Beth umie go oszukać! Wszystko, co mówił, na pewno było kłamstwem - ”Kłamca, kłamca! Fe, nieładnie! Któż tak kłamie? Zaraz się poskarżę mamie!” - więc nie pozwalała sobie na słuchanie go.

- Widzisz, Beth...

A niech to! Wyłączyła go. Czynność okazała się nie bardziej skomplikowana niż wyłączenie radia. Michael mówił do niej, jego usta się poruszały, ale Beth nic nie słyszała. Pod powierzchnią jego oczu w kolorze leśzczyzny czało się mroczne widmo, ten prawdziwy Michael... „Okrutny Michael! Nikczemny Michael! Michael-Obcy!”

Niemal czuła emanujące od niego zło. Zło, które pozbawiało ją sił. Będzie musiała uciec, lecz spokojnie, tak by niczego nie podejrzewał, a potem obmyśli własny plan, własny podstęp, który ją ocali, ratunek.

Wstała i ruszyła ku schodom.

- Beth! Co, u diabła...?!

Ostrożnie! Nie koncentrowała się tak bardzo, jak powinna, więc jego słowa przedarły się przez barierę. Właściwie nie musiała iść; została bez trudu wniesiona, aż do kuchni, schodami, które przemieniły się w windę.

Wiedziała teraz, że Michael nie kontroluje domu; dom trzymał zatem jej stronę. W kuchni stanęła z przekrzywioną głową, słuchając domu, ukrytych informacji, którymi chciał się z nią dzielić. Chłodna noc cisnęła się do okien i Beth usłyszała, jak szyby szepczą: „Odwagi”, równocześnie nie pozwalając wejść do wnętrza ciemności i zimnu.

Cichy warkot lodówki był elementem składowym elektrycznej energii domu. Beth dopasowała się do tej energii i poczuła w sobie niezwykłą moc. Instalacja wodno-kanalizacyjna z kolei wibrowała płynnymi sekretami i zwierzeniami przeznaczonymi tylko dla niej.

Podeszła do zlewu, odkręciła kurek z wodą, uwalniając parę, i ciężka mgła wypełniła całą kuchnię. Beth mogła się teraz schować. W środku tej gęstej chmury pozostawała niewidzialna. Ukryta przed Michaeliem.

Dostrzegła go - „widzę go, ale on nie może zobaczyć mnie” - jak wchodził po schodach. Dziewczynki szły tuż za nim. Beth wyciągnęła ręce.

- Chodźcie do mnie, dzieci.

W tej otaczającej ją mgłę będą zupełnie bezpieczne. Michael nie zdoła ich znaleźć, nie będzie mógł ich zatem skrzywdzić.

- Mamo - powiedziała Kim - jesteś naprawdę stuknięta!

- Dziewczynki, wasza mama jest chora... - wtrącił Michael.

- Kłamczuch! - wrzasnęła Beth.

- ...dlatego pójdzicie do swojego pokoju. Nie martwcie się. Zaopiekuję się... nią.

„Nie!” Dziewczynki odchodziły, zerkając na nią przez ramię. Nie rozumiały. Skoro nie przyszły do niej, nie mogła ich ochronić!

- W porządku, Beth. Już wszystko w porządku. Uspokój się. Weź się w garść.

Michael stał z rękoma na biodrach na strzępiastym obrzeżu mgły. Uśmiechał się - „skóra na jego twarzy zniszczyła się, a szkieletowa głowa stawała się samym przerażającym uśmiechem”.

- Cholera, Beth, jak ty wyglądasz - mówił. - Masz nie po kolei w głowie, mała. - Roześmiał się. – Normalnie przeżywasz odłot. Masz nierówno pod sufitem. Droga żonko, jesteś stuprocentową wariatką, od czubka głowy po pięty. Jesteś pieprzonym świrem!

Zacisnęła dłonie w pięści i rzuciła się na niego.

Szybko chwycił ją za przeguby, obrócił i - przytrzymując jej ramiona - przycisnął do siebie w mocnym uścisku. Beth zalała się łzami, a z jej ust popłynęły przekleństwa. Michael śmiał się.

- Świetnie. Wyraźnie i głośno, niech dziewczynki słyszą, jak określasz ich tatusia wszystkimi synonimami skurwiela. Dasz im interesującą historyjkę, którą będą mogły opowiedzieć jutro w szkole. „Hej, pani nauczycielko, a moja mamusia to ostatniej nocy kompletnie oszalała”.

- Nie oszalałam!

- Powiesz to facetom w białych fartuchach.

Faceci w białych fartuchach przybyli dwadzieścia minut później. Dali jej zastrzyk w ramię, przywiązali do metalowego łóżka, które wytoczyli z domu. A potem zawieźli ją do Prairie Hills Sanitarium.

* * *

Beth uważała, że jest uderzająco przystojny. W swoim brązowym, trzyczęściowym wełnianym garniturze, modnym cienkim krawacie związanym w idealny klasyczny półwindsor, z brodą wyrzeźbioną w ostry trójkąt zyskał surowy, lecz interesujący wygląd intelektualisty, jakże lubiany przez modeli z magazynów mody dla bardziej konserwatywnych mężczyzn.

Nienawidziła go. Spiskował przeciwko niej. On i Michael.

- Beth - oświadczył, opierając się ramionami o framugę drzwi - kiedy zadaję ci pytanie, masz na nie odpowiadać.

Obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem. Siedziała na łóżku ubrana w białą szpitalną koszulę z szorstkiej bawełny. Była odrętwiała - i pusta - od stóp do głowy.

Obok jej łóżka stał sedes i zlew. Izolatka miała trzy metry na trzy. Kaflowa podłoga była biała i gładka. W drzwiach znajdował się wizjer. Od czasu do czasu niespodziewanie ukazywały się w nim czyjeś oczy; ich widok za każdym razem zaskakiwał Beth.

Przypomniała sobie, że gdy miała osiem lat, ojciec zabrał ją do Chicago, gdzie odwiedzili sławne Shedd Aquarium. Beth oglądała przez szybę rekiny, te niewiarygodnie giętkie torpedy, a ich lodowate oczy wpatrywały się w nią. Nagle zastanowiła się, kto kogo uważa za obcego. Wydało jej się prawie niepojęte, że rekiny i ludzie dzielą tę samą planetę; byli przecież tak nieprawdopodobnie odmienni. Tam, w akwarium, rekiny pływały, ona zaś czuła zakłopotanie i strach, a nawet nienawiść spowodowaną swoją całkowitą innością.

W tej właśnie chwili pomyślała, że doktor Jan Pretre jest takim rekinem. Należał do świata po drugiej stronie szyby.

- Beth, chcę ci pomóc. Mogę to zrobić jednakże tylko wówczas, jeśli będziesz ze mną współpracować.

„Jego pomoc?” - zadumała się. Mógłby co najwyżej pomóc jej w wyborze własnej trumny! Nie odezwała się.

- Wiesz, gdzie jesteś?

- W zakładzie dla obłąkanych - odrzekła.

- Och, nie używamy już takiego staroświeckiego terminu - dociął jej Jan Pretre. - To jest prywatny ośrodek, szpital psychiatryczny Prairie Hill, a ty jesteś moją pacjentką. Jak długo tu przebywasz, Beth?

- Od poniedziałku - odparła. - Wtedy mnie tu przywieziono.

- Bardzo dobrze. - Jan kiwnął głową. Założył ręce na piersi. - Dziś masz znacznie lepszy kontakt z rzeczywistością niż wczoraj, Beth. A zatem... możesz mi powiedzieć, jaki mamy dzień tygodnia?

Zastanowiła się nad tym pytaniem. Nie miała pewności. W pokoju nie było ani okien, ani zegara, lampa nad jej głową nigdy nie gasła, podobnie jak przyćmione światła w korytarzu, nie znała też żadnego innego sposobu, dzięki któremu mogłaby ustalić czas. Nikt, kto otwierał drzwi jej sali i dawał jej zastrzyki lub tabletki, nie odpowiadał na pytania ani nie rozmawiał z nią. (A czym właściwie ją szprycowali? Czymś, co zmieniało jej krew

w melasę i uniemożliwiało utrzymanie w głowie choćby jednej myśli przez okres dłuższy niż sekunda).

- Nie wiesz, jaki dziś dzień? - naciskał Pretre.
- Wiem, że nie możesz mnie tutaj trzymać. Musisz mnie wypuścić.

Nie jestem więźniem - ciągnęła powoli i niezbornie.

- Nie, nie jesteś - zgodził się. - Przyjeliśmy cię tutaj na twoją własną prośbę...

- Na pewno nie!
- Mam twój podpis na podaniu, Beth.

To było wspomnienie, sen, fantazja albo halucynacja: ktoś kazał jej podpisać coś, dzięki czemu rzekomo będzie bezpieczna, dzięki czemu dziewczynki będą bezpieczne i wszyscy inni też będą bezpieczni, więc podpisała, a następnie popatrzyła na swoje nazwisko i pomyślała: „To wszystko, co ze mnie pozostało, ta jedna linijka...”.

- Skoro sama się tu wpiśalam, mogę się sama stąd wypisać!

- W zasadzie mogłabyś - przyznał. Przyłożył palce do brodatego podbródka i pomasaował go w zadumie. - Założę się, że prawnik wyciągnąłby cię stąd w godzinę. - Jan rozejrzył się po pomieszczeniu. - Jaka szkoda, że nie ma tutaj telefonu, z którego mogłabyś zadzwonić po poradę prawną.

Milczała. Próbowwała myśleć, niestety jej umysł wypełniały niedorzeczne śmieci: fragment jakiejś dziecięcej rymowanki, pozycje z listy zakupów, wspomnienia gładkich kamieni leżących w płytkiej wodzie strumienia i błyszczących w słonecznym świetle.

- Oczywiście, Beth - ciągnął Pretre - gdybym cię wypuścił, wówczas dla twojego własnego dobra, dla dobra twojego męża i dla mojego dobra jako twojego terapeuty, musiałabyś stanąć przed komisją złożoną z lekarzy psychiatrów. Przeżyłaś przecież epizod psychotyczny. Możesz skrzywdzić samą siebie lub kogoś innego. Zostaniesz uznana za osobę niezdolną do podejmowania samodzielnych decyzji...

Jego słowa zaczęły się zlewać w bełkot. Nie mogła znieść jego widoku. Studiowała więc swoje łydki. Były pokryte kilkudniowymi włoskami. Nie goliła nóg... od jak dawna? „Boże, jak długo ja tu jestem?!”

- Beth?

Nie podniosła oczu, ale skinęła głową, dając znak, że go słyszy.

- Pozwól, że ci pomogę. Współpracuj ze mną.

Nie miała wyboru. Będzie musiała... udawać, że współpracuje. Kiwnęła głową na zgodę.

- Dobrze, Beth. Jest lepiej. Na jutro zaplanowaliśmy dla ciebie terapię elektrowstrząsową.

Zdławiła w sobie chęć obrzucenia go przekleństwami. Mógłby przecież zaplanować dla niej powieszenie za kciuki, a później przypalanie jej stóp gorącymi węglami. Beth zgodzi się więc na wszystko, czego on sobie zażyczy i wyjdzie z tego wariatkowa.

Uśmiechnęła się do niego. Postarała się, aby uśmiech wydawał się nieśmiały i sugerował smutek, a jednocześnie był przychylny i - przede wszystkim - urny.

- Wszystko, co pan powie, doktorze Pretre - oznajmiła.

- Dobrze, naprawdę świetnie.

* * *

Leżała na grubo wyściełanym stole. Aby zapobiec zranieniu podczas konwulsji, których dozna, dostała środek rozluźniający mięśnie. Otrzymywała też codziennie 800 miligramów torazyny, potężnego leku uspokajającego, od którego czuła się równie bezwładna jak pranie na sznurze.

Otaczali ją pielęgniarze, pielęgniarki i sanitariusze. Ich zadaniem było przymocowanie jej do stołu.

- Proszę otworzyć usta.

Beth otworzyła usta i wsunięto jej gumowy ochraniacz na zęby. Czegokolwiek by żądali („Proszę połknąć te pigułki”, „Proszę dać mi rękę, zrobię zastrzyk”, „Proszę się odwrócić na brzuch”, „Proszę się przewrócić na

plecy...”), spełniała ich życzenia. To była taka Beth, jakiej chcieli - uległa niczym zbity szczeniak.

Ale była też inna Beth, zagrzebana głęboko w jej wnętrzu. Tamta jej część wiedziała, że Beth nie jest szalona, że nie da zrobić z siebie wariatki, że pozostanie przy zdrowych zmysłach. Niezależnie od wszystkiego!

Ktoś rozmaszał jej grafitowy balsam na skroniach. Wgryzła się w gumę ochroniacza. Czyjeś ciężkie ręce trzymały jej ramiona i nogi. Elektrody dotykały jej głowy.

Spadła na nią czerń w kształcie ogromnej prostokątnej blachy. Beth pomyślała: „Umarłam”, a potem odpłynęła, spokojna, lekka i wyzwolona. Patrzyła z góry na tamtą nieszczęsną istotę, która zwijała się, przewracając oczyma i wierzgając kończynami, mimo wysiłków osób, które próbowały ją unieruchomić.

Jan Pretre stał pod nią i przyglądał się swojej dygoczącej pacjentce, ani przez moment nie podejrzewając istnienia tej drugiej Beth. Prychnęła pogardliwie i zadrwiła z niego za pomocą wersu z *Piotrusia Pana*, książki, którą matka dała jej na siódme urodziny; gdy Piotruś miał zginąć z ręki swojego wroga numer jeden, kapitana Haka, spojrzął nieczulemu piratowi w oko i powiedział: „Rób, co chcesz, stary dorszu!”.

* * *

W następnych tygodniach Beth Louden poddawano intensywnej i urozmaiconej psychoterapii. Doktor Pretre był wprawdzie przekonany o skuteczności kuracji wstrząsowej i przesyłał 100 woltów przez mózg pacjentki trzy razy w tygodniu, uznał jednakże Beth za niezwykle przypadek, stosował więc również inne potencjalnie korzystne metody. Eksperymentował na przykład z większymi dawkami uspokajającej torazyny, a następnie - niezadowolony z efektów - zastosował lek o działaniu przeciwnym, czyli pobudzający tofranil. Kobieta nie spała po nim ani minuty przez pięćdziesiąt osiem godzin, po czym zasłała.

Spróbował narkoanalizy, wysyłając Beth w „pólsen” za pomocą amyta-
lu sodu. Podczas jednej z sesji narkoanalitycznych Beth - ta prawdziwa
Beth - o mało się nie zdradziła.

- Robię z ciebie durnia, wiesz - oświadczyła nagle spokojnie, zachry-
płym od leków głosem.

- Co takiego?

- Ja... nie wiem.

- W jaki sposób robisz ze mnie durnia, Beth?

- Chciałam powiedzieć, że z siebie robiłam durnia, doktorze Pretre.
Wiesz, wtedy, gdy mówiłam, że Michael wyrządzał mi te wszystkie okrop-
ne rzeczy. Na początku sądziłam nawet, że mu pomagasz, że wraz z nim
spiskujecie przeciwko mnie. - Zaczęła płakać. - Och, doktorze Pretre, pro-
szę mi pomóc, żebym już nigdy więcej się nie ośmieszała...

„Rób, co chcesz, stary dorszu!”

Wiedziała, że od tej pory dotychczasowa ostrożność nie wystarczy, że
trzeba się bardziej postarać, aby nie ujawnić prawdziwego „ja”. Beth musi
sobie znaleźć kryjówkę, miejsce bezpieczne i odległe, do którego będzie
mogła wysłać prawdziwą siebie w chwilach, gdy Jan Pretre będzie próbo-
wał ją wytropić, schwytać i zniszczyć.

I stworzyła sobie takie miejsce.

*Ogród ciągnie się przez wiele kilometrów, tak daleko, że na linii hory-
zontu kwiaty zlewają się z niebem. Róże, cynie i spokój, tulipany, geranium
i miłość... oraz tysiące woni łączących się w jeden, idący do głowy aromat -
w zapach ogrodu Beth*

tam nie ma strachu

nie ma złych sekretów

nie ma śmierci...

Znalazła kryjówkę. Wymykała się do niej, ilekroć doktor Pretre pod-
chodził zbyt blisko.

Płatki tulipanów są lekkie jak marzenie.

Michael przyszedł z wizytą.

- Tak, czuję się dużo lepiej, Michaelu. Tak, chcę wrócić do domu.

Nie ma nic piękniejszego niż purpurowy odcień moich powojów.

Czasami Michael przyprawiał dzieci.

- Przepraszam, dziewczynki. Nie chciałam was przestraszyć. Byłam chora. Ale wkrótce będzie lepiej, wkrótce wszystko będzie dobrze.

„Szybko, chodźcie ze mną. Będziecie bezpieczne w moim ogrodzie. Kwitną tam kwiaty i wy zakwitniecie wraz z nimi, odizolowane od zła, bezpieczne ze mną!”

Vern i Laura Engelking przyszli się z nią zobaczyć.

- Szczęściara ze mnie, że mam takich cudownych przyjaciół. Dziękuję wam, dziękuję.

*Jestem w
moim ogrodzie i w
moim ogrodzie żyję i jestem bezpieczna
Żyję żyję żyję
ŻYJĘ!!!*

- Beth nie będzie już sprawiała żadnych kłopotów, Michaelu - zapewnił Loudena Jan Pretre.

- Kłopotów? Jest półprzytomna jak pieprzony robot - odparował tamten.

Wraz z Janem usiedli w salce konferencyjnej przy głównym holu Prairie Hills Sanitarium.

- Jest dość potulna - przyznał psychiatra. - Jej wola została praktycznie zniszczona. Poddaliśmy ją czemuś, co jest równoznaczne z lobotomią przedczołową, tyle że efekt uzyskuje się bez użycia skalpela. Każ jej wstać,

a ona wstanie, pamiętaj jednak o skłonieniu jej, by usiadła, w przeciwnym razie będzie stała, aż ugną się pod nią nogi w kolanach.

- Nie sądzę, żeby musiała czekać tak długo, co, Janie? - spytał Lou-den.

- Za kilka dni zaczniemy nowy rok - odrzekł Pretre cicho. - Nowy rok... dla wszystkich.

- Janie...

- Teraz nie będziemy o tym rozmawiać - odburknął tamten, ucinając rozmowę szybkim machnięciem dłoni. - Zabierz żonę do domu. Nie zapominaj jednak, że Beth nie zawsze ma pełny kontakt z rzeczywistością. Czasami go traci.

Michael kiwnął głową. Jedyną rzeczywistością, z którą Beth będzie musiała mieć kontakt, będzie rzeczywistość śmierci, gdy on ją zabije.

Kiedy dojeżdżali do Park Estates, wydało mu się, że usłyszał, jak Beth cicho mówi: „Dorsz”.

Było popołudnie w środę 21 grudnia.

DZIEWIĘTNAŚCIE

- Nie sądzisz, że dobrze by było zadzwonić do dzieci? - spytał Michael. Było wpół do dwunastej w czwartek przed południem. Louden, ubrany w kraciatą, zielono-białą koszulę flanelową i sztruksowe spodnie, siedział naprzeciwko Beth przy stole kuchennym. Beth miała na sobie prostą jasnoniebieską podomkę, która, jak pomyślał, wydawała się dla jego żony o kilka rozmiarów za duża. Bezmyślne oczy kobiety były wyraźnie podkreślone. Jej twarz była wynędzniała, wymizerowana i tak blada, że piegi wyglądały jak głębokie otwory.

- Co takiego? - spytała.

- Marcy i Kim - odparł Michael. - Pamiętasz nasze cenne małe urwisy, prawda? Idę o zakład, że nie mogą się doczekać, kiedy usłyszą głos swojej drogiej mamuśki.

Wczoraj, przed wyjazdem do Prairie Hills po Beth, Michael odwiózł dziewczynki do Engelkingów. To był pomysł Laury. „Zawsze można liczyć na Laurę, jeśli chodzi o pomocne pomysły. Istnieje prawdopodobieństwo, że kiedy nadejdzie jej czas i Vern postanowi ją zabić, jego żona sama zasugeruje mu praktyczną metodę, dzięki której uda się do minimum zredukować bałagan”. Dzieci rozpoczęły przerwę bożonarodzeniową, skoro więc nie chodziły do szkoły, najlepiej byłoby dla wszystkich, gdyby Beth spędziła spokojne kilka dni w domu tylko z Michaëlem, aby mogła „wrócić do dawnej siebie”.

„Cholera, jeśli chcę znaleźć Cudowną Żonkę w dawnym stanie, powinienem zacząć szukać gdzieś za pierścieniami Saturna. Lepiej od razu przybić jej znak na czole: ZAMKNIĘTE DO ODWOŁANIA”.

- Tak, powinnam zadzwonić do dzieci - odparła Beth. Jej głos był gardłowy i beznamiętny. Podniosła się teraz niczym marionetka kierowana przez spastycznego lalkarza. Powłócząc nogami, podeszła do telefonu wiszącego naprzeciwległej ścianie kuchni. Na prawej nodze kobieta miała kapeć, lewa pozostała goła.

Podniosła słuchawkę.

- Dzieci... - wycedziła. - Dokąd pojechały?

Michael odpowiedział jej.

- Zapomniałam numeru.

- No cóż - mruknął Louden. - Spróbuj go sobie przypomnieć. Postaraj się z całych sił.

Beth chwyciła słuchawkę w obie ręce. Zamknęła oczy, a gdy je po kilku sekundach otworzyła, z poczuciem porażki wzruszyła ramionami.

- Naprawdę nie potrafię.

- W porządku, kochanie. - Michael uśmiechnął się. - Zrobiłaś wszystko, na co cię było stać. Cholera, daję ci za tę próbę całe dziesięć punktów. - Podyktował jej numer, cyfra po cyfrze, a ona, z wyraźnym skupieniem na twarzy, wduszała kolejne guziki.

- Halo? Cześć, Lauro, mówi Beth... Nic mi nie jest. Tak. Chcę rozmawiać z... Chcę rozmawiać z Marcy i Kim.

Michael zauważył, że jego żona w sumie nie miała zbyt dużo do powiedzenia dziewczynkom. Parę razy rzuciła: „Taaak”, raz: „Nie”. Poza tym: „Och, chcę was szybko zobaczyć”, „Kocham was” i to była niemal cała cholerna rozmowa Beth z własnymi dziećmi. Dosłownie! Louden uznał, że prawdopodobnie mniej więcej do tych kilkunastu słów ogranicza się obecnie zasób słownictwa żony.

- No dobrze - zakończyła Beth. - Dam go.

Sztwną ręką wyciągnęła słuchawkę w kierunku męża.

Pewnie, Michael był „idealnym tatą”, więc dzieci na pewno chciały zamienić z nim słówko. I tak, tak, Kim zamierzała mu przypomnieć, że bardzo chce dostać od Mikołaja rolki i własne Atari, ale co z pieskiem? A Marcy na pewno doda: „Och, tatusiu, tęsknię za tobą”.

Louden wziął słuchawkę.

- Halo?

- Michaelu?

- Tak, Janie - odrzekł. „Niespodzianka, niespodzianka... Kolejna sprawa, w którą Pretre i Vern mnie nie włączają?! Oj, dajcie spokój, chłopaki, znam przecież wszystkie wasze tajemnice!”

- Laura zaprosiła mnie tutaj w odwiedziny, prawda, Lauro?

Więc Laura Engelking znajdowała się w zasięgu słuchu. Fakt ten oznaczał, że Jan będzie uważał na swoje słowa.

- Zasugerowała, że powinienem pogawędzić siebie z Marcy i Kim i wyjaśnić im stan Beth - kontynuował Jan. Jego ton był profesjonalny, stanowiąc mieszkankę intonacji Leo Buscaglia i Mr. Rogersa. - Że mogę im w ten sposób ułatwić adaptację do obecnej sytuacji. Ale to ty jesteś ich ojcem i nie chciałem nic robić przed omówieniem tej kwestii z tobą.

Beth stała obok niego jak oklapnięty manekin. Michael wskazał jej stół, sugerując, by przy nim usiadła. Kobieta natychmiast wykonała jego milczące polecenie.

- Oczywiście - odparł Loudon. - Zróbmy wszystko, co w naszej mocy, aby pomóc tym przerażonym maleństwom w przyzwyczajeniu się do ich nowej, ulepszonej, stukniętej mamuski. Porozmawiaj z nimi tak od serca, Janie.

- Porozmawiam - zapewnił go Pretre. - Są bystre. Na pewno zrozumieją. A jak się miewa Beth?

Siedząca przy stole kobieta gapiała się tępo w lodówkę.

- Nie może być lepiej - odparł Michael. - Niecałe pięć minut temu przedyskutowaliśmy teorię względności. Wyobraź sobie, że moja droga żonka zauważyła u Einsteina kilka błędów i natychmiast je poprawiła. Teraz martwi się, co powinna włożyć na ceremonię, gdy otrzyma pieprzoną Nagrodę Nobla.

- Michaelu... - Jan przerwał, po czym dodał poważnie - ...dobrze jej pilnuj.

Kolejne ostrzeżenie od Jana Pretre? Rozkazy z centrali:

„Nie popełnij więcej głupstw, Michaelu. Zachowuj formy. Nie spieprz tego”.

- Właśnie to robię, Janie - odburknął Michael. - Nie ma problemu. Pilnowanie tej istoty jest równie interesujące jak obserwacja rozmrażającej się kolacji.

- Bardzo dobrze zatem, Michaelu - uciął rozmowę Pretre. - Skontaktujemy się niedługo... - Tym razem zrobił krótką pauzę. - Naprawdę niedługo - dorzucił. - Do widzenia.

Michael odłożył słuchawkę. Och tak, był bez wątpienia gotów na to, co nastąpi... „naprawdę niedługo”.

- Beth!

Odwróciła głowę bardzo powolnym ruchem typowym dla nakręcanych zabawek. Niemal widział, jak pracuje jej chory mózg.

- Hej, hej, hej! - Klasnął w dłonie. - Nadszedł czas na lunch, maleńka Bethy. A co szczęśliwa pani tego domu ma dziś w menu? Coś absolutnie pysznego, założę się!

- Chcesz, abym przygotowała lunch - oświadczyła apatycznie Beth.

- Uhu! Pojęłaś! Oklaski dla babki w jednym kapturu!

- Nie umiem, Michaelu.

- Ależ umiesz - powiedział, potrząsając głową. - Nie myślisz pozytywnie, pączuszkule, a pesymizm to podejście, którego naprawdę nie potrzeba w domu Loudenów. Pamiętaj, że jesteś Amerykanką, a Amerykanki zawsze odpowiadają: „Potrafię”. - Uśmiechnął się i delektował groźbą, która przyszła mu do głowy. - A teraz ruszysz dupę i niech usłyszę, jak się krzątasz!

Beth nie poruszyła się.

- Wstań, cholera!

Wstała. Zgiął palec, przyzywając ją do siebie.

- Beth - warknął surowo - wyjaśnię ci, jak to działa. Wiesz, że wychodzę do pracy codziennie, więc to ja, moja droga, przynoszę do domu bekon! Na tym polega moja funkcja, ponieważ jestem mężem. Ty zaś jesteś

żoną i twoim zadaniem jest smażyć... ten bekon dla rodziny. Wyzaczyłem ci zadanie, niech cię szlag, co oznacza, że masz je wykonać! Czy zaczynasz chwytac, co do ciebie mówię? Uruchom te swoje chodzące zwłoki, kurwa mać! Jeżeli nie będziesz wykonywać moich poleceń, wrócisz do wariatkowania, żeby mogli jeszcze parę razy podłączyć twój pieprzony pusty łeb do gniazdka elektrycznego. Aż w końcu twoje zęby zaczną działać jako krótkofalówka. Czy tego chcesz?

- Michaelu - szepnęła Beth - dlaczego mnie nienawidzisz?

Jego gniew był nagły i totalny. W jednej chwili rozgorzał w jego wnętrzu.

„To ludzkie zero, ta przedstawicielka nijakich, która pewnego dnia wyczuła prawdę, która wyczuła jego Obcość, która nawet próbowała go zdradzać... gospodyni domowa przeżywająca namiętny romans... A teraz ośmieliła się pytać go, dlaczego ją... dlaczego on jest tym, kim jest?!”

Jego ręka sama uniosła się do gardła Beth, jednak zdołał w ostatniej chwili nad sobą zapanować. Trzasnął tylko żonę w twarz.

- Żadnych pytań! Żadnych! Ani jednego pieprzonego słowa! W tym momencie... - Wziął głęboki wdech i przytrzymał powietrze w płucach do czasu, aż miał pewność, że odzyskał nad sobą kontrolę. - W tym momencie mamy porę lunchu. - Jego palce pozostawiły czerwone linie na policzku Beth od ucha do ust.

Michael pechnął żonę w kierunku lodówki.

- Beth, nie przygotujesz, nie zjesz.

Jednak ta groźba nie była zbyt poważna, co uświadomił sobie od razu, gdy ją wypowiedział. Apetyt Beth zniknął wraz z innymi impulsami wysyłanymi przez mózg. Regularnie zażywała jedynie swoje pigułki i ciągle będzie je zażywała, choćby musiał wciskać je w jej gardło własną stopą!

Tyle że Louden postanowił, iż żona ma mu przygotować posiłek i to natychmiast!

- Coś lekkiego. Kromki chleba zapiekane z serem. Tak, byłoby miło.

Zadanie wymagało wykonania kilku odrębnych czynności. Posmarować masłem chleb. Pokroić ser w plastry. Wyjąć patelnię... Michael z założonymi na piersi ramionami obserwował wykonujący te zadania automat. Nie był pewny, czy w roli nadzorcy czuje się zaspokojony czy raczej jest wściekły.

Gdy kanapki się zapiekały (Louden dopilnował również, aby ogień na palniku nie był zbyt duży), przypomniał Beth, że powinna je za minutę przewrócić na drugą stronę, po czym poszedł do łazienki.

Po powrocie do kuchni odkrył, że kanapki zmieniły się w przypalone na czarno i ociekające żółtą breją bryły ciasta, kuchnię wypełniał czarny dym, Beth zaś zniknęła.

* * *

Jej jedyny domowy pantofel spadł, więc szła boso przez wysoki na centymetr sypki śnieg, który spadł we wczesnych godzinach poranka. Temperatura wynosiła około minus dwa stopnie, niebo było całkowicie zachmurzone, z północy zaciął porywisty wiatr.

Słońce świeciło jej w twarz. Było to złote, wszechogarniające światło, jakie człowiek widzi tylko w dzieciństwie, rozrzedzona jasność o wyraźnej woni, której ciepłe wspomnienie powraca później w przyjemnych, kolorowych snach.

Beth opuściła podjazd. Wiatr rozwiewał jej włosy i szarpał brzegami podomki, uderzając nimi w jej łydki. Wokół jej kostek tworzyły się miniaturowe śnieżne wiry.

Miło było dotykać trawy nagimi stopami. Trawa była szmaragdowozielona. Beth czuła przez nią pulsujący życiem, równomierny puls ziemi. Słyszała dzwoneczki wietrzne, delikatne „dzyń, dzyń” i odległe, subtelne dźwięki fletu.

Doszła do ściany garażu.

*Szła do swojego ogrodu
nie ma strachu
nie ma złych sekretów
nie ma śmierci
nie ma śmierci
nie ma śmierci...*

Stała pośrodku pustej, zasypanej śniegiem grządki, która wiosną i latem stanowiła jej dumę.

Piękno, które ją otoczyło, było tak słodkie, że Beth poczuła w piersiach ukłucie, a w oczach stanęły jej łzy. Znajdowała się w nieskończonym oceanie kwiatów. Mieczyki mieniły się płonącymi czerwieniami lub połyskującymi purpurami, chryzantemy jaskrawiły się złotawobrzazowo lub różowo, a lilie, ach te lilie: odmiana Imperial Silver, równie uroczysta jak chińska cesarzowa, lilie trąbkowe, wszystkie złote i wybrzmiewające cichą fanfarę do nieba, lilia Pink Perfection... jakże doskonała, och, jakże doskonała! Obfitość barw, barw, które nie zostały nazwane, ponieważ nie sposób ich opisać. Ogród obiecywał nieskończoność i wieczność...

*bez śmierci
bez śmierci...*

- Beth! Beth... Tam jesteś!

Nagle coś niedobrego stało się tutaj, w jej ogrodzie. Wyrosły chwasty, wyrosły w jednej chwili, straszne, wstrętne, wystrzeliły z czarnej ziemi, aby opleść kwiaty, zdusić w nich powab i życie. Były złośliwie natrętne. Atakowały ją! Oplatały jej kostki, próbując ją przewrócić...

- Beth!

Nie!

nie ma śmierci!!!

Musiała walczyć z chwastami. Potrzebowała broni. Chwasty chłostały japo hydkach, owijały się wokół jej stóp. Szarpnęła się, pragnąc się uwolnić.

Podeszła do bocznych drzwi garażu. Nie były zamknięte. Weszła do środka, zimne światło z progu towarzyszyło jej, gdy sunęła obok tylnych zderzaków forda LTD i chevette scooter.

W skrzynce na stole warsztatowym leżały jej narzędzia ogrodnicze: trójzębny opielacz, rydel, kultywator, sekator o ząbkowanym ostrzu... Wszystkie były zbyt małe. Beth potrzebowała potężniejszej broni. W kącie stały narzędzia do pielęgnacji trawnika: grabie, podkaszarka, łopata... Łopata! Beth mogłaby wyrwać z korzeniami chwasty, tuziny ich naraz...

„Wyplenić chwasty!”

Jej wzrok przyciągnęła tablica nad stołem. Czegoś brakowało. W każdym razie jakiś przedmiot nie znajdował się na swoim miejscu. Jeden hak był pusty.

Spróbowała sobie przypomnieć, co na nim wisiało, co powinno tam być. Nie pamiętała, wiedziała jednak na pewno, że coś zniknęło, wzbudzając w niej poczucie straty. To coś - cokolwiek to było - zniknęło, bo wszystko znika, znika albo umyka, umyka...

Opuszczały ją siły. Przygniatała ją daremność.

- W porządku - powiedział Michael. Stał w drzwiach garażu. - Chodź tutaj.

Podchodząc do niego, uderzyła się golenią o zderzak forda.

- Co sobie myślałaś, kiedy wychodziłaś na dwór w tym stroju w taką pogodę? - spytał Louden. - Gdyby zobaczył cię któryś z sąsiadów, pomyślałby... że zwariowałaś! - Uśmiechnął się. - Hej, przecież nie chcesz, żeby tak uważali, prawda?

- Poszłam do mojego ogrodu - wyjaśniła Beth.

- Do twojego ogrodu? - Michael przekrzywił głowę. - Do twojego ogrodu? - Wyciągnął rękę. - W porządku, więc złożmy wspólnie wizytę twojemu ogrodowi!

Wyciągnął ją z garażu.

- Oto go masz - powiedział, machając ręką. - Naprawdę świetny, co? Już nie widziała chwastów. Już nie widziała swoich kwiatów.

- Ogród Beth poszedł spać na zimę. Wszystko jest martwe, mała. Pozdychało. *El Zero Ultimate*.

- Nie - powiedziała Beth.

nie ma...

śmierci...

- ...nie.

- Tak, niestety tak.

- Michaelu - jęknęła. - Jest mi bardzo zimno. Czy możemy wrócić do domu?

- Gratulacje - odparował. - Wreszcie masz jakiś świetny pomysł. - Otoczył ją ramieniem i zabrał do domu.

Uśmiechał się szeroko; nie mógł przestać się uśmiechać.

- Popatrz, co tu mamy! - Zdjął z patelni jedną ze spalonych kanapek. Nadal była ciepła, a przy dotknięciu trzeszczała.

Kiedy nacierał na żonę, czuł przyprawiającą o zawrót głowy euforię. Nie było to owo wzniosłe doznanie, które odczuwał, ilekroć zabijał, lecz raczej emocja, która poprzedzała tamten moment - czas, gdy Louden miał władzę, a jego ofiara była całkowicie bezsilna.

- Dzieci w Europie i Chinach głodują, a ty spalasz nasze pieprzone kanapki!

Zwiesiła głowę i patrzyła na niego spod spuszczonej rzesy. Cholera, niczego nie widział w jej oczach, niczego! Wątpił, czy miałyby mniejsze pojęcie, dlaczego tak na nią wrzeszczy, gdyby krzyczał po arabsku!

W porządku zatem, w porządku, w porządku! Stanie na wysokości zadania i zniszczy tę jej uległość. Beth będzie cholernie cierpiała, będzie

miała świadomość tego cierpienia i zaczęła go błagać, aby przestał jej zadawać ból.

A wtedy ją zabije!

„Nie, jeszcze nie, jeszcze nie teraz... lecz wkrótce!”

Uspokoił się, zrelaksował, ale nie pozwolił, by całkowicie wyparowały z niego entuzjazm i energia - teraz tylko trochę się zabawi, poszczypie, poszturcha i poprzyciska.

„Ale już niedługo...”

Zima była czasem umierania dla nikogo. Równocześnie była czasem zabijania, czasem, w którym naprawdę żyli i zabijali, i zabijali, i zabijali Obcy... była czasem Obcych! Michael wierzył w to, tak jak ksiądz wierzy w nadejście Królestwa Bożego.

„Taka była obietnica Jana Pretre”.

Lewą ręką chwycił kark Beth. Kobieta nie walczyła. Powoli przejechał w tę i z powrotem czarną kanapką po jej ustach, a następnie po policzkach żony. Odgłos przypominał golenie bez mydła zużytą żyletką dwudniowego zarostu nad męską wargą.

- Nie smakują zbyt dobrze, prawda? Są przypalone.

Beth była zeszywniała i drżała. Oczy miała zamknięte, mocno zaciskała powieki. Louden rzucił kanapki na podłogę. Twarz żony, obsypana małymi czarnymi kropeczkami, wyglądała teraz jak spalona przez słońce.

Przemaszerował przed nią niczym instruktor musztry, zmywający głowę rekrutowi za niedbałą postawę.

- Źle zrobiłaś, przypalając jedzenie, Beth - oświadczył. - Niedobra dziewczynka! Dlatego musiałem cię ukarać. A teraz muszę cię ukarać za ucieczkę z domu.

Obrócił się lekko i zamachnął, trzymając ramię mniej więcej na poziomie jej talii. Nie włożył całej siły w uderzenie, a jednak pięść, którą szybko trzasnął swoją ofiarę w żołądek miała swoją moc.

Beth objęła rękoma brzuch i zgięła się wpół, gwałtownie zaczerpując powietrza, a później zaczęła posapywać, wydając z siebie suche, zgrzytliwe odgłosy.

„No i dobrze! - pomyślał. - Doczekała się! Piękny cios w stare brzuszysko!”

- Nie wymiotuj, Beth - ostrzegł ją. - Jeśli zwymiotujesz, wytrę ci rzygowinami gębę.

Szarpnął ją za włosy, chwytając przy skórze głowy, i zmusił do stanięcia prosto, ciągnąc żonę tak mocno, że aż musiała się wspiąć na palce.

- Trzeba cię było ukarać, Beth, ponieważ byłaś niedobra - oświadczył profesorskim tonem. - Na pewno to rozumiesz.

Szarpnął jej głowę w górę, po czym pchnął w dół, wymuszając kiwnięcie na „tak”.

- Więc teraz zostałeś ukarana i mogę ci wybaczyć twój błąd, najpierw jednak... i to jest warunek, dziewczyno...musisz mnie przeprosić za swoje okropne zachowanie.

Jej oczy były szeroko otwarte i szkliste, białka przekrwione smugami czerwieni. Usta miała rozchylone, a gdy posapywała, między zębami pojawiał się jej język. Nie odpowiedziała.

- Powiedz „przepraszam”, suko - polecił, podkreślając każde słowo kolejnymi szarpnięciami jej głowy.

Napięte gardło Beth poruszyło się i kobieta przeprosiła męża suchym ni to szeptem, ni to wrzaskiem.

- Już lepiej - oznajmił. Wypuścił z ręki jej włosy. Sądził, że w tym momencie żona upadnie, ona jednak utrzymała się na nogach. - Wiesz - dodał - nienawidzę tych naszych drobnych kłótni, Beth. Nie lubię się de-nerwować na ciebie, najdroższa. Tak bardzo cię kocham. - Po chwili uśmiechnął się szeroko („Uśmiecham się do ptasiego mózdzku”). - I wiem, że ty także mnie kochasz - rzucił. - Powiedz mi to, maleńka. Niech usłyszę, jak mówisz: „Kocham cię”.

Spodziewał się gwałtownego nieposłuszeństwa, sądził, że Beth warknie na niego. Miał wręcz nadzieję na jej kolejny bunt, gdyż znów zyskałby szansę na stłumienie go.

Jednakże żona go zaskoczyła.

- Ko... kocham cię - odparła powoli, niczym staroświecka sekretarka

automatyczna, której wyczerpuje się bateria.

„W porządku, zakończmy to rozdanie i rozpoczniemy nowe! Zabawa, zabawa, zabawa!”

- Och, cudownie to słyszeć. Wspaniale! Cholera, gdy mówisz mi te magiczne słowa, naprawdę chce mi się żyć. - Przechylił głowę na bok. - Nastawiasz mnie romantycznie, cudowna bogini seksu!

Ścisnął jej nos palcem wskazującym i środkowym w stylu *Three Stooges*.

- Teraz będziemy się kochać i pieścić.

Zdumiona Beth zapiszczała w sposób, który Michaelowi ogromnie się spodobał. W salonie zaciągnął zasłony na oknie panoramicznym.

- Nie chcemy przecież dać sąsiadom darmowej rozrywki - zauważył. - A zatem wprowadźmy się w świąteczny nastrój! - Włączył lampki na stojącej w kącie sztucznej choince. Sztuczne drzewko... Nigdy nie uległ prośbom Beth, aby kupili prawdziwe. Za bardzo lubił tę ukrytą ironię: sztuczne drzewo na jego sztuczne obchody świąt. Pod choinką leżały ozdobnie zawinięte prezenty.

„Oczywiście! Louden-ojciec i Louden-mąż nigdy nie zaniedbuje żadnego z członków swojej drogiej rodзинki. Taki już hojny z niego facet!”

- Cóż, Beth - stwierdził - wiem, że wprost nie możesz się doczekać seksu. Ostatecznie, nie kochałaś się od długiego czasu („A dokładniej od dnia, w którym pieprzyłaś się z tym dupkiem, Kevinem. Czyż nie on był ostatnim z twoich namiętnych kochanków?”), ale nie jestem żadnym robotem z południa, który ma w nosie rozkosz swojej pani. Czyli że musimy zacząć od gry wstępnej!

Obiema rękoma chwycił kołnierz jej podomki i zdarł z żony strój.

- To by było na tyle, jeśli chodzi o grę wstępną - podsumował. Pchnął ją na kanapę, przyłożył wewnątrz dłoni do jej czoła i odwrócił kobietę na plecy. Rozpiął pasek spodni, odpiął guzik i zamek błyskawiczny, po czym zsunął spodnie i bokserki do łydek.

Podniecił się kilkoma ruchami ręki i opadł na żonę.

Wcisnął członek w jej pochwę, nacierając mocno, upewniając się, że każdym pchnięciem sprawia jej ból.

- Skłóńmy drugą stronę do działania - mruknął. - Nekrofilia nie jest w moim stylu.

Beth dyszała z wysiłku, ilekroć przesuwiał biodra do przodu. To był jedyne odgłos, jaki wydawała. Nie poruszała się samodzielnie, jej ciało jedynie mimowolnie odzwierciedlało jego ruchy.

Michael szczytował, nacierając na żonę najgwałtowniej, jak mógł, aż się zaspokoił i zamarł nad nią, lekko uniesiony na wyprostowanych ramionach. Zacisnął zęby i powoli zrobił wydech.

Stoczył się z Beth, wstał i włożył ubranie.

- Hmm, dobrze ci było, kochanie? - spytał.

Nie spojrzała na niego; bezmyślnie gapiała się w sufit. Tylko falowanie jej piersi wskazywało na to, że w ogóle żyje.

- Chodzi mi o to, czy poczułaś, że ziemia się poruszyła? Miałaś orgazm przez duże „O”?

Nie odezwała się. W ogóle nijak nie zareagowała. Podszedł do choinki, zatrzymał się i wybrał małą paczkę z napisem „Beth”.

- Wiesz, po takiej cudownej chwili jak ta po prostu nie mogę się powstrzymać. Muszę dać ci wcześniej twój świąteczny prezent.

Idąc z powrotem ku niej, rozerwał opakowanie. Wyjął trzydziestomililitrowy flakonik z rżniętego szkła.

- Wiem, że oszalejesz na punkcie tego zapachu - podjął. - Oscar de la Renta. To gównie jest tak luksusowe, że nie nazywa się perfumami, lecz *parfum*. Kosztowało kupę forsy.

Otworzył buteleczkę i wylał perfumy na twarz Beth. Intensywny zapach podrażnił mu oczy i przyprawił o kaszel.

Kobieta nawet nie mrugnęła.

Niedbałym ruchem rzucił flakonik na dywan.

- Wiesz co, Beth? - warknął. - Już mnie nie bawisz.

DWADZIEŚCIA

- Pobudka! Wstawaj! - Louden włączył światło. - Hej, hej! Trzeba zrobić parę rzeczy i zobaczyć się z paroma osobami!

Ledwie kiwając głową, Beth leżała nieruchomo pod stosem koców. Michael nie spał z nią w tym samym łóżku od środowej nocy. Nie mógł znieść smrodu choroby psychicznej. Nie miał zresztą nic przeciwko spaniu na kanapie czy w fotelu; już nie potrzebował zbyt dużo odpoczynku ani nawet jedzenia. Żył dzięki szaleńczej energii, błyskawicznie przeżywając kolejne minuty, wiedząc, że każda mijająca chwila zbliża go do nowego roku i zapowiadanego przez Jana Pretre Czasu Obcych.

Poza tym sypialnia należała do Beth i Michaela Loudenów - do nich, nie do niego.

Potrząsnął żoną.

Jęknęła.

- Nie. Spać.

Zerwał z niej kołdrę i szarpnął kobietę do pozycji siedzącej.

- Niedługo będziemy mieli towarzystwo - oświadczył.- Jestem przekonany, że pragniesz dobrze wyglądać dla naszych gości i czuć się przy nich jak najwspanialej.

Głowa Beth opadła lekko na lewą stronę. Kobieta wykrzywiła usta.

- Towarzystwo...? Co mamy dzisiaj, Michaelu? Michaelu?

- Sobotę - odparł. - Dziś wieczorem jest Wigilia. Wiesz, że to bardzo uroczysta okazja. Czas świętowania. Jaka szkoda, że twojej matki nie

będzie z nami w tym roku, ale jest niestety zajęta, jak wszyscy martwi. - Po chwili dodał: - Engelkingowie przywiozą do nas dziewczynki mniej więcej za godzinę.

Beth zatoczyła się niepewnie z boku na bok.

- Nie - powiedziała bezbarwnym głosem. - Nie powinny tu przyjeżdżać... Nie chcę ich tutaj.

- To piękne słowa w ustach matki! - Michael roześmiał się.

* * *

Jakiś czas później zatelefonowała Laura Engelking. Czy Beth jest przygotowana na spotkanie z córkami? W takim razie oni wpadną po południu. Och, dziewczynki na pewno mogłyby zostać z nią i Vernem, ale bardzo tęsknią za rodzicami - szczególnie Marcy, która jest takim wrażliwym dzieckiem - a Wigilia to czas „rodzinny”...

„Jasne, Lauro, masz absolutną rację! Rzeczywiście, miałem właśnie zadzwonić do ciebie z tym samym pomysłem, lecz akurat zatelefonowałaś i niemal wyjęłaś mi słowa z ust! Może ustawię samowyzwalacz na swoim canonie sure-shot, zbierzemy się wszyscy wieczorem wokół choinki i zrobimy sobie rodzinny portret? Nie zdziw się jednak, jeśli Beth nie pojawi się na tym zdjęciu, bo nie mam odpowiedniego filmu, aby uwiecznić ducha, cha, cha!”

Wyciągnął żonę z łóżka. Chwiała się.

- Bierz prysznic i ubieraj się. Szybko!

- Michaelu? - spytała. Niespodziewanie się uśmiechnęła. Przez ułamek sekundy sądził, że odzyskała zmysły. Po chwili jednak uśmiech stał się taki, jaki miał być: drżące wargi, bezradnie wydęte. - Nie skrzywdź nikogo, dobrze? - wymruczała dziecinnie. - Nie skrzywdź już nikogo więcej.

- Chodź!

Wbił palce w jej ramię i szybko poprowadził ją przez korytarz do

łazienki. Prysznic zdołała wziąć sama. Musiał jej tylko pomóc podczas ubierania - wybrał niebieską spódnicę z weluru i bluzkę w odcieniu kości słoniowej. Później uczesał włosy Beth.

- Najładniej, jak może być - ocenił, gdy usadził żonę na kanapie w salonie. Obok niej na stoliczku stała ocalała kryształowa lampa.

„A co, jeśli teraz chwycę ją i rzucę na podłogę pod stopy Beth, roztrzaskując lampę tak jak poprzednią?!”

Nie, to na nią nie zadziała. Dawna Beth zniknęła. Wszystkie te elektrowstrząsy, cały kosz środków uspokajających, setki innych prochów, które w nią wpompowano i oczywiście te potężne dawki LSD, które Michael sam podawał jej na początku, aby zaczęła się zachowywać jak wariatka i... *voilà!* Miał teraz przed sobą bardziej figurę woskową niż żywego człowieka.

- Tylko pamiętaj - warknął, grożąc jej palcem - zachowuj się grzecznie. Nie opowiadaj naszym gościom nieodpowiednich rzeczy. Nie chcemy przecież, aby się zmartwili. A ty na pewno nie chcesz, żebym cię ukarał za złe zachowanie. - Zastanowił się, czy jego słowa do niej docierają. Wiedział, jak dodatkowo wzmocnić groźbę. - Dzieci przyjeżdżają do domu, Beth. Byłoby przykro, gdyby coś złego im się stało. Jestem przekonany, że nic się nie zdarzy, jeśli będziesz postępowała właściwie. - Może był nadal zbyt... subtelny? Podniesionym głosem dodał: - Zrób cokolwiek nie po mojej myśli... cokolwiek!...a skręcę obu panienkom karki.

Kiwnęła głową prawie niedostrzegalnie. Uznał, że informacja do niej dotarła.

* * *

Kiedy o trzeciej po południu przyjechały dzieci wraz z Laurą i Vernem, Beth głuchym głosem powiedziała każdej z osób „cześć”. „Cześć” i tyle. Potem, gdy cmoknęła ją w policzek Marcy - „Och, mamo, tak się cieszę, że jesteś w domu i w ogóle” - a także Kim, którą trzeba było do tego

popchnąć, gdyż ociągała się, wyraźnie zmieszana i wstrząśnięta widokiem matki (dziewczynkę musieli uściskać i ucałować najpierw Vern, potem Laura), Michael dostrzegł w oczach żony desperackie, błagalne spojrzenie, którym pytała: „Czy dobrze się zachowuję? Proszę, nie krzywdź ich”. Skinął głową z aprobatą. Usiadł obok Beth na kanapie i wysłał córki do pokoju, aby się rozpakowały. Laura również zajęła miejsce.

- Oj, prawie bym zapomniał! - zawołał Vern. Nawet nie wyjął płaszcza z szafy w korytarzu – wybiegł na zewnątrz, tak jak stał, a minutę później wrócił z naręczem ozdobnie zapakowanych pudełek.

- Naprawdę, moi przyjaciele, nie pomysł, lecz prezent się liczy! - Przekrzywił głowę i uśmiechnął się szeroko. - Hmm, być może nie zapamiętałem tego konkretnego frazesu całkiem właściwie!

Michael zachichotał, a Laura wybuchnęła śmiechem.

„Przesadzisz kiedyś z tym rechotem, Lauro” - pomyślał Louden. Kobieta zmuszała się do wesołości, ale nie odrywała wzroku od Beth.

- Och, Vernie - zaszczębiotała Laura - jesteś najzabawniejszym człowiekiem na świecie. Beth, nie sądzisz, że jest zabawny?

- Tak - przyznała Beth.

- Vern będzie potrzebował swojego poczucia humoru, gdy zobaczy, co dla niego mamy - powiedział Michael.

Znowu wszyscy wybuchnęli śmiechem, *święteczny czas, radości czas*” - pomyślał Louden. Dzieci zeszyły na dół, aby rozpakować prezenty od Engelkingów. Wśród dartych papierów znalazła się zamszowa portmonetka dla Marcy... „Wujku Vernie, ciociu Lauro, jest taka szykowna!”... „Słyszeliście, co powiedziała...? Że szykowna”. Było też przenośne radio ze „stacją pogodową” na biurko dla Verna... „Teraz, siedząc szczęśliwie wewnątrz, będę wiedział wszystko o sytuacji na zewnątrz!”

Michael zauważył, że Laura kiwa głową i żywo gestykuluje, jawnie dając mu znaki, że chce z nim pomówić. Kiedy powtórzyła te ruchy jeszcze bardziej wyraziście, nie mógł udawać, że ich nie widzi.

- Może otworzysz swój prezent, Beth - zaproponował Vern, a kiedy kobieta zaczęła apatycznie zdejmować wstążkę z paczki, Louden wstał.

- Zrobię nam po drinku - oznajmił. - Lauro, pomożesz mi?

Ledwie znaleźli się w kuchni, Laura jęknęła.

- Boże Wszechmogący, Michaelu, Beth jest...

- Myślisz, że nie wiem? - odburknął. „Teraz na pewno wyglądam, cholera, jak zrozpaczony małżonek! Ten ucisk w gardle, słowa zamierające, by spaść w otchłań smutku”.

- Wymyka mi się, wymyka się nam wszystkim, z minuty na minutę coraz bardziej.

Odwrócił się do Laury plecami, zwiesił ramiona, opuścił głowę i zatopił twarz w dłoniach.

Pogratulował sobie dopracowanego dramatycznie zachowania. Kiedy Laura ze współczuciem położyła mu rękę na ramieniu, odsunął się od niej, sugerując, że czyjaś litość może go doprowadzić do całkowitego załamania. Musiał się mocno kontrolować - i w tej kwestii wcale nie kłamał, ponieważ, gdyby przestał nad sobą panować, odciąłby Laurze Engelking ten jej pieprzony, wścibski nos, a potem wręczyłby jej go jako wisiorek do bransoletki!

Obrócił się ponownie do kobiety i głośno, ze smutkiem westchnął.

„Widzisz, jaki ze mnie dzielny facet? - zdawał się pytać. - Trzymam fason i ani jednej łzy w oku”.

- Mam nadzieję, że Boże Narodzenie spędzone w naszym gronie ocuci ją - powiedział. - W przeciwnym razie będziemy musieli ją odwieźć z powrotem do szpitala. Po prostu nie wiem, co innego mógłbym zrobić.

- Michaelu, tak wiele od siebie wymagasz...

- Wiesz, jeszcze jednej rzeczy moglibyśmy spróbować - przerwał jej. - Może damy jej trochę rosółu. - „Co ja, u diabła wyrabiam?”

Laura zagapiła się na niego, jak gdyby miał w głowie jeszcze mniej rozumu niż Beth.

- Wybacz - mruknął, potrząsając głową. - Kurczę, próbuję wymyślić coś, aby nas rozśmieszyć, podczas gdy jedyna kobieta, którą kiedykolwiek kochałem...

Vern wszedł do kuchni, grząc:

- Co muszę zrobić, aby dostać wreszcie drinka?

Laura uciszyła go ostrym spojrzeniem.

- Ty - oświadczyła, kiwając na niego głową – musisz pójść do barku z Michaeliem i pomóc mu w przyrządzeniu drinków, ja natomiast wrócę do salonu i popilnuję... dopilnuję, aby dzieci nie pootwieriały wszystkich świątecznych paczek.

Przy barku w pokoju rekreacyjnym Michael nalał whisky do szklanki, po czym natychmiast wychylił drinka duszkiem.

- Laura jest upierdliwa - stwierdził.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - przyznał Vern Engelking.

Louden nalał sobie kolejnego drinka.

- Chcesz?

- Tak - odparł Vern. - Odpręż się, jestem przekonany, że Laura uzna, iż odbywamy szczerą, męską rozmowę.

Nalewając Vernowi whisky, Michael skinął głową w zadumie.

- A odbywamy? - spytał.

- Jesteś jakiś podenerwowany, Michaelu. Spięty? Trochę niespokojny?

- Tak, tak i tak - przyznał Loudon.

- Nie bądź - polecił Vern. - Przyszłość nadchodzi szybko, jeśli jesteś przebiegły, cierpliwy i silny.

- Zatem przyszłość należy do nas - odparował Michael. Vern Engelking podniósł szklaneczkę i wypił do dna.

* * *

Od momentu wyjazdu Engelkingów dzień włókł się niemiłosiernie. Michael podał Beth następną pigułkę, a potem odprowadził ją na górę -

„Mama musi teraz odpocząć, dzieci” - po czym pchnął na łóżko, nadal ubraną. Chciał, żeby zeszła mu z drogi. Jej egzystencję postrzegał jako coraz większą zniewagę, a ponieważ nie ufał sobie dostatecznie, nie wiedział, czy w chwili złości zdoła się powstrzymać przed jakimś gwałtownym ruchem.

Wczesnym zimowym zmierzchem zaczął sypać śnieg. Louden oglądała przez panoramiczne okno salonu duże, leniwie opadające płatki, a ich wirowanie sztydziło z niego sugestiami ponadczasowości.

O szóstej dostarczono pizzę. Kim otwarcie wyraziła swoją opinię:

- Pizza w wigilię Bożego Narodzenia? Do chrzanu!
- W porządku, tatusiu - zaprzeczyła Marcy. - Ja zawsze mogę jeść pizzę.

Musiałby rzucić monetą, gdyby chciał ustalić, które dziecko uważał za wstrętniejsze. Cholera, moneta prawdopodobnie stanęłaby na krawędzi i taka odpowiedź byłaby najwłaściwsza.

Być może pizza w Wigilię była do chrzanu, tym niemniej Kim jadła, jak gdyby została właśnie uratowana po trzech dniach głodówki na pełnym morzu. Wydawała przy tym naprzemienne odgłosy siorbania i chrupania. Nigdy nie pamiętała, aby zamknąć usta, kiedy przeżuwała, mało tego, zwykle postanawiała wówczas coś opowiedzieć.

Michael wstał od stołu, każąc dziewczynkom posprzątać, gdy skończą jeść. Poszedł do swojego gabinetu na piętrze i zamknął za sobą drzwi. Był rozstrojony, jak gdyby „wewnątrz siebie” poruszał się z szybkością siedemdziesięciu ośmiu obrotów na minutę, chociaż Ziemia spokojnie obracała się z prędkością trzydziestu trzech obrotów.

Wziął z biurka oprawioną w ramki fotografię, tę, którą zrobili nad jeziorem ostatniego lata. „Nie, to było latem rok wcześniej. Jak ten czas szybko leci, gdy człowiek dobrze się bawi!” Zdjęcie przedstawiało ich czworo, rodzinę Loudenów. Michael zacisnął kciuk i palec wskazujący na ramce, po czym trzasnął fotką, szybko do dołu, o ostry narożnik biurka. Matowe

szkło nie pokruszyło się, popękało tylko nieco, a wtedy Louden upuścił zdjęcie na podłogę. Rozległo się stukanie do drzwi.

- Tatusiu, tu Marcy. Mogę wejść?

„Pewnie, Cierpliwy Tata zawsze ma czas dla swoich dzieci... Cholera!”

Marcy z wahaniem weszła do gabinetu.

- Tatusiu, czy ty się na mnie gniewasz? Albo na Kim?

- A powinienem?

- Nie, w każdym razie nie sądzę. Po prostu wyglądasz na rozgniewanego albo coś...

„Przyhamuj - polecił sobie - zwolnij, odpuść!” Jeszcze przez krótką chwilę, „krótką chwilę i niewiele dłużej”, musiał być Michaeliem Loudenem. A wtedy Michael Louden - ta bezbarwna klucha, która nigdy naprawdę nie żyła - będzie na zawsze martwy, zabity jak inni, których Obcy uzna za swoje „prawowite” ofiary.

- Nie - odrzekł. - Nie gniewam się ani na ciebie, ani na twoją siostrę. Mam po prostu dużo na głowie i tyle.

- To znaczy... w związku z mamą?

Kiwnął głową.

- Czy mama kiedyś wydobrzeję, tatusiu?

- Jestem pewny, że tak - odparł. - Za kilka tygodni od dziś nawet nie będziesz pamiętała, że mama źle się czuła.

- Chciałabym, żebyś miał rację - stwierdziła Marcy. - Naprawdę kocham mamę. - Posłała mu półuśmiech. - I ciebie też naprawdę kocham.

- To dobrze - stwierdził i błysnął swoim ulubionym uśmiechem typu „drogi tatuś”. „Za chwilę...”. - Słuchaj, dziecko, przepraszam, że byłem taką paskudną, skwaszoną zrzedą. Pobawmy się!

- Jak będziemy się bawić, tatusiu?

- A co każda pełnokrwista, prawomyślna amerykańska rodzina robi w cudowną wigilię cudownych świąt cudownego Bożego Narodzenia?

Będziemy... - mruknął do niej okiem i posłał jej spojrzenie pytające: „Czy jesteś na to gotowa?” - ...oglądać telewizję!

Marcy zachichotała.

- Jesteś czasami zabawniejszy nawet od wujka Verna!

- No, no, no! Będziemy się świetnie bawić i lepiej w to uwierz. Zrobię nawet prażoną kukurydzę. Mam tylko nadzieję, że wy, dzieci, dacie radę udźwignąć całe to niezwykle zamieszanie.

Wyciągnął rękę. Uśmiechnięta Marcy wzięła ją.

Rzeczywiście zrobił prażoną kukurydzę i we troje oglądali telewizję. O dziesiątej na kanale 32 nadawano świąteczny klasyk, *Cud na 34. Ulicy*. W czasie, gdy Edmund Gwenn ujawnił, że jest prawdziwym świętym Mikołajem, Kim już spała na dywanie, a Marcy z zamkniętymi oczyma leżała na boku z głową na poduszce podłokietnika kanapy.

Michael wstał. Kończył się jeszcze jeden dzień. A kolejny? Zacznie się od stukotu małych stopek pędzących w dół po schodach, czyli wczesnopopornym wyścigiem do prezentów, które trzeba otworzyć... A pojutrze... Na szczęście już nie zostało tak wiele dni i...

„Nowy rok i w końcu, w końcu, w końcu!”

Najpierw spróbował obudzić Kim, jednak dziewczynka jedynie zamruczała coś w nieprzytomnym proteście. Podniósł ją. Prawdopodobnie będzie musiał zanieść do łóżka również Marcy. Kiedy dziecko zaśnie, dziecko śpi!

Beth również spała. Sprawdził to, gdy położył Kim do łóżka. Zszedł na dół. Kiedy wszedł do kuchni, zadzwonił telefon.

Zanim odebrał, już wiedział!

- Halo?

Usłyszał jedno słowo. To było słowo. Jan Pretre powiedział: „Teraz!”, po czym się rozłączył.

Teraz! Tak, teraz! Nie w Nowy Rok, z typowymi dla tego dnia długimi, nocnymi przyjęciami, z fajerwerkami i lejącym się litrami alkoholem, z nadawaną w telewizji uroczystości z Time Square, którą oglądają na dworze tysiące bezimiennych nijakich, gapiących się z wybałuszonymi oczyma

i machających, ilekroć kamera na nich najedzie, łapiąc chwilę sławy i udając, że odgrywają jakąś rolę na tym świecie.

„Nie, nie za tydzień, nie jutro czy pojutrze, nie za godzinę. Teraz!”
Uwielbiał doskonałość tego momentu.

*Wśród nocnej ciszy
Bóg się rodzi, moc truchleje
Cicha noc, święta noc
Pokój ludziom dobrej woli...*

Tak, teraz. Dziś wieczorem. Zamęt ogarnie cały świat!

Jego czekanie i cierpienie, i fałsz skończyły się! Wyrzął przez okno nad zlewem. Wielka śnieżna pierzyna połyskiwała na tle nocy.

„Jest tak pięknie, tak zimno”. Zadrżał i poczuł, że licha skorupa, która była Michaeliem Loudenem, odpadła z niego.

„Żegnaj i do diabła z tobą, panie Miły Facet z Przedmieścia, panie Witaj i Jak Leci, panie Dobry Samarytaninie! Fałsz, oszustwo i sztuczność...
ZNIKNĘŁY!!!”

Chciał zrzucić także ubranie, zerwać z siebie strój, który nosił Michael Louden, poczuć jedynie własne ciało i tę niezwykłą wolność, lecz nie mógł. Wkrótce wejdzie w zimną noc... Obcy w Noc Śmierci.

Ale teraz... TERAZ... Śmierć była w tym domu. „W domu Michaela Loudena...”

Obcy otworzył szufladę przy zlewie i wyjął nóż rzeźnicki. Skąd zacząć? Od której? („TERAZ, w tę cichą noc, tak, w tę świętą noc, TERAZ!!!”)

Obcy wiedział. Kim Louden... następnie jej matka, Beth Louden... a potem, tak, na koniec zostawi sobie Marcy, „córeczkę tatusia”, z tym jej nic nierozumiejącym biadolaniem: „Och, tatusiu”, gdy będzie próbowała pojąć, dlaczego jej ojciec, „który nie był jej ojcem”, ma nóż i zabija ją nim!

Obcy poszedł na górę.

Przemieszczał się bezgłośnie.

- Obudź się. Czas wstawać.

Beth uwolniła się z oków ciężkiego snu. Usiadła. Światło nad głową oślepiająco raziło ją w oczy.

Stał przy boku łóżka. W prawej ręce, na wysokości biodra trzymał nóż wycelowany ostrzem w podłogę.

- Michaelu? - spytała.

- Nie - odparował. - Michael nie żyje.

Wydało jej się, że jego głos brzmi cierpliwie, niemal uprzejmie, jakby próbował jej pomóc w wyraźnym zobaczeniu prawdy. Tak, wiedziała, że to nie Michael.

- Michael nigdy nie istniał - oznajmiła.

Nie odpowiedział.

- Czy teraz mnie zabijesz? - spytała.

- Wkrótce - odrzekł. - Najpierw chcę, żebyś coś zobaczyła. Chodź ze mną, bardzo cię proszę.

Poszła wraz z nim korytarzem. Wiedziała, że nie śni; nie miewała już realistycznych snów.

Weszli do sypialni dziewczynek. Beth stanęła plecami do toaletki u stóp łóżka Kim. On stanął po jej prawej stronie.

Pokój był oświetlony lampą stojącą na nocnym stoliku między łózkami córek. W akwarium Chopper, brązowo-biała świnka morska, biegał wściekle w kółko, wznecając w powietrze sosnowe trociny. Z plakatu nad wezłowiec na Kim patrzył E.T.

„Tyle krwi - pomyślała Beth. - Takie małe dziecko i tak dużo krwi”.

- Zabiłeś ją.

- Tak.

- I zabiłeś Marcy.

- Nie, jeszcze nie. Najpierw ty, dopiero potem drugie dziecko.

Ciąg myśli popłynął przez jej umysł z taką szybkością, jakby był jedną długą myślą: „Kim umarła, więc nie można jej już uratować, ale Marcy żyje, musi żyć, musi żyć, żyć, żyć...”

- Chcę ci coś powiedzieć - szepnęła ledwie słyszalnie. Pochylił się ku niej, starając się ją usłyszeć. Obca męska twarz blisko niej.

Wrzasnęła, krzyk po prostu wystrzelił z niej. Wykrzyczała mu całą swoją krzywdę i gniew, które dotąd skrywała w sobie, a kiedy tak krzyczała, przeobraziła swoją dłoń w broń - „Ostre zakrzywione zęby ogrodniczego opielnacza! Wyrwij chwasty!” - i wbiła mu się paznokciami w lewe oko. Poczula słaby opór błony jego gałki ocznej i nacisk znajdującego się pod nią płynu. Mężczyzna, chcąc ratować oko, odwrócił się i cofnął, lecz Beth wdarła mu się głęboko w twarz, czując pod paznokciami lepka, zakrwawioną skórę.

Obracał się od niej w mechanicznym ruchu, niczym figurka kręcąca się na pozytywce. Pochylony, ramiona zgarbione, ręce przy twarzy. Chrząkał.

- Zraniłaś mnie.

Beth zdjęła z toaletki przenośny telewizor, zaciskając obie dłonie na bokach plastikowej obudowy. Nie był cięższy niż piłka plażowa. Gdy podniosła go wyżej, wyszarpnęła wtyczkę z kontaktu. Zamachnęła się i rzuciła ekranem do dołu w plecy napastnika, celując tuż pod jego łopatki.

Jego krzyk, trzask pękającego szkła i odgłos implodującego ekranu były równoczesne. Odbiornik zsunął się z pleców mężczyzny.

Michael klęczał, dotykając stopami podstawy toaletki, głowę i ramiona położył zaś na podnóżu łóżka Kim. W koszuli miał poszarpaną dziurę, a skóra jego pleców wyglądała jak zmielone czerwone mięso, usiane białymi kawałkami chrząstki i włóknistymi, żółtymi fragmentami rdzenia kręgowego.

Nagle jednak podniósł głowę, przeszył żonę wzrokiem pełnym nienawiści, usta wykrzywił tak, że ich kąciki sięgnęły krwawych serpentyn, które Beth wyrzeźbiła na jego twarzy... Nadal trzymał w ręce nóż.

Przeskoczyła nad jego nogami i szczątkami rozbitego telewizora.

- Marcy! - wrzasnęła i ruszyła pędem przed siebie.

Na schodach panowała ciemność. Beth zbiegała po nich, ale ostrożnie.

Nie stać jej było teraz na żaden fałszywy krok.

„Marcy musi żyć!”

Gdy dotarła do foyer, usłyszała go. Był na schodach, szedł za nią. Potrzebowała nowej broni.

Rzuciła się do ciemnego salonu. Posuwała się po omacku wzdłuż kanapy, aż dotarła do niskiego stolika, a później przeszła w ślad za sznurem kryształowej lampy, aż do gniazdka. Wyciągnęła przewód. Trzymając lampę za podstawę, roztrzaskała klosz o ścianę.

- Beth?

Był w foyer.

- Beth?

Był w salonie.

Zmrużyła oczy. Nic nie widziała.

Wreszcie go zobaczyła. Uśmiechając się niczym postać z koszmaru sennego, stał przed nią, oddalony o długość ramienia. Zamachnęła się lampą, wiedziała, że trafiła go w ramię lub w bark, w powietrzu między sobą a nim zobaczyła szklane graniastosłupy, wiszące niczym zbyt doskonałe ziarnka gradu, a później poczuła wściekle boleśnie zimne ostrze poniżej swego mostka.

Upuściła lampę. Wspięła się na palce, kiedy zatopiony w jej ciele nóż przesunął się wyżej. Pomyślała, że teraz są połączeni, ona i ten, który udawał jej męża-kochanka-przyjaciela. Połączyło ich ostrze, które przecinało wszelkie pozory i wszelkie istniejące pomiędzy nimi bariery.

„Próbowałam, Marcy - pomyślała. - Żyj, Marcy!”

Popatrzyła na swego mordercę, zobaczyła obcego człowieka, powiedziała: „Ty stary dorszu”, po czym umarła.

Obcy usiadł na kanapie w salonie. Teraz był jego czas, Czas Obcych, a jednak sprawy nie potoczyły się tak, jak powinny. Dziecko umarło o wiele za łatwo i zbyt szybko. Oczy dziewczynki nawet się nie otworzyły, po

prostu „pstryk!” i już nie żyła. Po duszących latach spędzonych w cielesnym więzieniu pierwszy cudowny powiew wolności przytłoczył Michaela i nie potrafił się pohamować.

A kobieta?! Takie nic, taka nic nie znacząca istota, a jednak go zraniła!

Och, cierpiał, lecz prawie cieszył się z bólu. Dotkliwy ból był uczuciem unikalnym, takim, jakiego Louden nigdy nie spodziewał się doświadczyć.

Teraz wiedział, co czują jego ofiary, co będą czuły kolejne... i dzięki temu ogarnęła go dodatkowa wdzięczność za prawo przysługujące mu z urodzenia, za dar zabijania.

Podniósł się. Czekala na niego następna ofiara, czekała na niego nowa rozkosz!

Zrobił głęboki wdech, wypełniając płuca zapachem krwi i śmierci. Poczował, jak faluje w nim wszechpotężna siła.

„Czy ona jeszcze śpi na dole, teraz, mimo całego tego hałasu?” To było możliwe. Dzieci przesypiają huragany, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanu. A jeśli nie spała, być może kuliła się gdzieś przerażona, w mentalnych katuszach wywołanych przez własną wyobraźnię - och, to jeszcze lepiej! Zabawa w chowanego. Wyjdz, wyjdz, gdziekolwiek jesteś!

Wkroczył do ciemnej kuchni i otworzył drzwi prowadzące na dół.

- Zapisz się już dziś do DeLand School of Electronics w imię wspamiętanej przeszłości... - usłyszał reklamę telewizyjną.

Cicho, zaciskając trzonek noża rzeźnickiego, zszedł po schodach.

Ekran telewizora stanowił jedyne oświetlenie pokoju. Obcy podszedł do kanapy.

Marcy tam nie było!

- Wesołych Świąt! - na odgłos piskliwego wrzasku za sobą podskoczył dobre piętnaście centymetrów w górę. Ekran wypełniła inna reklama, animowana reklamówka soku pomarańczowego, opryskując pokój jaskrawym, pulsującym światłem, a dziewczynkę, która podbiegała do niego, zmieniając w psychodeliczną plamę.

Marcy wyciągała przed siebie wyprostowane ręce. Odniosł wrażenie, że ktoś ją ciągnie niczym narciarza wodnego trzymającego linkę holowniczą, lecz po chwili zauważył, że dziecko ma w dłoniach nożyce do żywopłotu o drewnianych uchwytych.

Wykorzystując cały swój ciężar i szybkość, Marcy nieoczekiwanie wbiła Michaelowi zamknięte nożyce, mniej więcej dwa centymetry nad talią. Ostrze przebiło materiał i wniknęło w ciało.

Obcy krzyknął i pozbawiony siły w ramieniu, w ogóle pozbawiony wszelkiej siły, upuścił nóż rzeźnicki. Córka pchnęła go i Michael opadł na kanapę, a wtedy wskoczyła na niego, usiadła okrakiem na jego udzie i zaczęła zawzięcie poruszać uchwyty nożyc, przekręcając je i szarpiąc.

Odrzucił w tył głowę i znów spróbował krzyknąć. Nie mógł jednak wydobyć głosu. Krzyk stanął mu w gardle, pobrzmiwając głucho w jego jeli-tach, a raczej w ogromnej dziurze, ciągnącej się od jego pępka do żeber.

- Chyba jestem niegrzeczną dziewczynką, co, tatusiu? - spytała z chichotem. Wyciągnęła z jego brzucha całkowicie rozwarte nożyce.

Całe wnętrzości miał porozrywane, powyrywane... Wylewały się na jego kolana... Pozostał jedynie nieznośny ból.

- Znam cię, musisz mi dać za to porządnego klapsa! - ciągnęła Marcy. Nagle zeskoczyła z jego nogi, pozostawiając nożyce znowu wbite w jego ciało. Zrobiła krok w tył, potem jeszcze jeden. - Och, tatusiu, słodki tatusiu, miły tatusiu, mądry, dowcipny tatusiu. Czy jest to jedna z tych sytuacji, w jakich tatuś może zabić swoją małą córeczkę?

„Zabij ją!” Nie miał w sobie siły, jednak zdołał się podnieść dzięki mocy samej tej myśli. Nożyce do żywopłotu wysunęły się z jego ogromnej rany i spadły mu na stopy.

Bolało go. Był jednak zdumiony, że czuje tak niewielki ból, skoro ma tak wielką, wręcz totalną ranę.

„Zabij ją! Zabij ją!”

Zdołał zrobić pół kroku, gdy reszta wnętrzości wraz z krwią bluzgnęła na jego nogi i buty.

- Dalej, padnij i umrzyj, ty głupi gnojku.

„Zabij ją!”

Stopa przesunęła się do przodu w śmierdzący, śliski kopiec. Obcy upadł i umarł.

EPILOG

Eddie Markell był w Chicago. Czuł się zmęczony i miał ochotę na drinka.

Zawsze był zmęczony i stale miał ochotę na drinka. Wszedł do jakiejś speluny z prostytutkami na Rush Street. Najpierw pojawił się jego drink, a potem kelnerka przyprowadziła dziwkę. Ostatecznie żaden facet nie powinien być samotny w wigilię Bożego Narodzenia.

- Wiesz - powiedział Eddie Markell. - Pieprzę to. - Te słowa oznaczały dla niego podsumowanie. Był Czas Obcych, a on czekał już zbyt długo. Roztrzaskał szklankę o stół, wbił wyszczerbione krawędzie dziwce w twarz i przekreślił.

Dziewczyna wrzasnęła, opryskując wszystko krwią, a wtedy Eddie, jeszcze zanim wstał, wystrzelił ze swojej 375-tki. Trafił w barek i ciężki pocisk zniszczył dosłownie całą szklaną powierzchnię.

Nieprzypadkowo w knajpcie przebywał Joe Rimaldi. Był policjantem obyczajówki, który przyszedł odebrać od właściciela lokalu swoją świąteczną premię. Otrzymywał ją za niewykonywanie swojej pracy. Jednak gdy przychodziło co do czego, gdy dochodziło do awantury, Joe Rimaldi był, na Boga, policjantem, ten świr z wielką pukawką był zaś... świrem z wielką pukawką.

Joe Rimaldi wyjął zatem swoją policyjną broń. Pierwsza kulka chybiła, ale drugim strzałem trafił Eddiego Markella prosto w pierś.

- Pieprzę to - mruknął Eddie Markell.

Joe Rimaldi, trafiony pociskiem kaliber 357, zmarł natychmiast. Jego

martwe ciało wykonało jeszcze przewrót do tyłu, przez stół.

Eddie Markell opróżnił magazynek, zabijając trzy osoby. Opuścił bar i przeszedł dobre pół przecznicy, zanim zwałił się na ziemię i wyzionął ducha.

* * *

Dla Rasmussenów to była pora „gorącego dra peppera”. W czas Bożego Narodzenia wybierali do picia właśnie podgrzany napój dr, pepper z pływającymi plasterkami pomarańczy i cytryn. Misa z napitkiem stała teraz na stole w samym środku, wśród tych wszystkich herbatników, ciastek czekoladowych z orzechami, karmelowych batoników i kuleczek z masła orzechowego, które przygotowały babcia i mama.

Karl Rasmussen Junior pił swój trzeci pucharek gorącego dra peppera, gdy plasterek pomarańczy przykleił mu się do przednich zębów. Zdaniem ogółu Karl Rasmussen był najwspanialszym młodym mężczyzną w Monroe, stan Wisconsin. Blondwłosa, wysoki maturzysta utrzymał średnią 4,5 na kursie przygotowawczym do college'u, grał w futbol i koszykówkę, był przedstawicielem młodzieżowej grupy działającej przy Pierwszym Kościele Luterzańskim, aktywistą Future Farmers of America i 4-H oraz - wraz z ojcem - pełnoprawnym, płacącym składki i posiadającym prawo do głosowania członkiem lokalnej spółdzielni mleczarskiej.

- Mam niespodziankę dla was wszystkich - oświadczył niespodziewanie Karl Rasmussen Junior.

Na „wszystkich” składali się: jego ojciec, czyli Karl Senior, matka Anne Marie, dziewięcioletnia siostra Lynn, babcia i dziadek Rasmussenowie oraz Judy Stelter, stała przyjaciółka Juniora. Karl poszedł do swojej sypialni.

Jak praktycznie każdy wiejski chłopak lubił polować i na czternaste urodziny rodzice sprezentowali mu hi-standard supermatic deluxe, pięciostrzalową strzelbę automatyczną, kaliber 12. Właśnie z tą niespodzianką teraz wrócił.

- Zbierzcie się razem, naprawdę blisko siebie, tam, przed kominkiem.
- Karlu Juniorze - wtrąciła się jego matka - to nie jest zabawne.

Junior wzruszył ramionami.

- Zależy, jak na to spojrzeć. Zawsze miałem dość subtelne poczucie humoru.

Karl Senior uświadomił sobie powagę sytuacji.

- Synu - oznajmił - chcę, żebyś odłożył tę strzelbę, abyśmy mogli porozmawiać jak ojciec z synem. Dobrze? Odpowiedz mi teraz: Czy bierzesz narkotyki?

Karl Junior uśmiechnął się w ujmujący sposób, tak jak na zdjęciu swojego rocznika szkolnego.

- Rzeczywiście, tato, rzeczywiście. Właśnie przedawkowałem gorącego dra peppera.

* * *

- Przepraszam, że nikt nie przyszedł się z panem zobaczyć, doktorze Prescott - powiedziała panna Williams. Pełniła wigilijny dyżur w małym domu spokojnej starości w Lebanon, stan Missouri. - Na pewno czuje się pan okropnie, że nikogo nie interesuje, czy pan żyje, czy umiera. No cóż, mnie to interesuje... I chcę, żeby pan umarł.

Panna Williams trzymała w rękach szpikulec do lodu. Dwukrotnie dźgnęła pana Prescottta w klatkę piersiową i raz w gardło, po czym opuściła jego pokój. Na piętrze było jeszcze sześciu innych pacjentów.

* * *

- Lauro - powiedział Vern Engelking - wymieńmy się prezentami. Siedzieli przy stole w kuchni.
- Teraz? Nie chcesz poczekać do jutra?

- Ach, jutro, jutro. Ciągłe to jutro, jutro i znów jutro wije się w twoich pięknych majteczkach od dnia do dnia*.

* Parafraza słów Makbeta *Tomorrow and tomorrow and tomorrow creeps into your petty pace from day to day.*

Laura zachichotała.

- Ty stary, szczwany lisie! Jesteś w romantycznym nastroju, co?

- Ach, miłości mojego życia - odparł Vern - uwierz mi, że nie możesz znać głębi moich uczuć do ciebie w tym konkretnym momencie.

- Chcesz swój prezent teraz? - spytała Laura. - To znaczy ten, który dla ciebie kupiłam? Bo tym, który sugerujesz, zajmiemy się, gdy pójdziemy do łóżka.

- Nie, nie, nie! - odparował Vern. - Najpierw chcę obdarować ciebie czymś szczególnym, moja droga.

- Założę się, że wiem, co to jest - wtrąciła Laura. - Na pewno słyszałeś wystarczająco dużo moich aluzji na temat diamentowego naszyjnika.

- Zamknij oczy, moja droga.

- Jesteś takim głuptasem, Vernie!

- Jeśli nie zamkniesz oczu, nie spotka cię przyjemna niespodzianka - kusił słodkim tonem.

Laura zamknęła oczy. Vern stanął za nią, wyjął z kieszeni nylonowy sznur, zarzucił żonie na szyję pętlę, którą mocno zaciągnął.

- Aaa! - Głowa Laury opadła do przodu. Vern pociągnął ją w tył. Twarz kobiety zrobiła się czerwona, a potem sina. Oczy wyszły ofierze z orbit, żyły na skroniach uwydatniły się, język wysunął z ust.

Powoli, bardzo powoli Vern Engelking zwiększył nacisk.

* * *

Istnieje gdzieś „Nowe Południe”, gdzie biali i czarni chodzą do tych samych szkół, pracują w tych samych pomieszczeniach, a nawet utrzymują

ze sobą kontakty towarzyskie, jednak Beau Bien w Missisipi wciąż należy do „Starego Południa” i tamtejsi biali nadal kultywują tradycję, czyli... „trzymają kolorowych tam, gdzie ich miejsce”. Oto dlaczego Lee Charles Deveraux, kierownik Beau Bien Holiday Inn, zawsze zwracał się do trzydziestoletniego dozorczy Williego Jonesa per „chłopcze”.

Jednakże nie fakt, że Willie Jones nie mógł dłużej znieść tego określenia doprowadził do decyzji, w wyniku której poszedł do biura Lee Charlesa Deveraux i zabił go, podcinając mu gardło należąca do ojca brzytwą z rączką z masy perłowej. Willie zrobił to, ponieważ była Wigilia i nadszedł jego czas.

Później wziął klucz uniwersalny pasujący do wszystkich pokojów Holiday Inn. W motelu nie było wielu gości, ale Willie Jones i jego brzytwa i tak byli zajęci przez ponad dwie godziny.

* * *

Personel oddziału pomocy doraźnej w nowojorskim szpitalu psychiatrycznym Bellevue był przygotowany na nadkomplet pacjentów. Sezon świąteczny nie dla wszystkich okazywał się okresem radości i zabawy. Wiele osób właśnie wówczas załamywało się, dostawało szału, fiksowało. Boże Narodzenie to czas dla świrów.

Nikt nie podejrzewał, że doktor Juan Castillo zwariuje. Oprócz hiszpańskiego i angielskiego, ten psychiatra w średnim wieku jako tako znał jidysz i włoski. Właśnie on potrafił zwykle uspokoić psychicznie chorego i skłonić go do w miarę racjonalnej reakcji. W dodatku doktor Juan Castillo był lekarzem o złotym sercu, więc stale przychodziły do niego inne osoby z personelu Bellevue, ilekroć czuły się przytłoczone stresującą pracą. Castillo należał bowiem do ludzi, z którymi łatwo się rozmawia.

Doktor Juan Castillo nie miał przy sobie notesu, który zwykle nosił, kiedy wszedł tego dnia na oddział pomocy doraźnej. Zamiast niego miał maczetę i natychmiast zaczął nią wywijać.

* * *

Caroline Lynch przez całe swoje życie mieszkała w Indianapolis, toteż ogromnie się cieszyła z perspektywy wyjazdu w inne miejsce, chociaż nie wiedziała jeszcze, dokąd pojedzie. Miała piętnaście lat, była dojrzała i odpowiedzialna, a ponieważ tego wieczoru przypadała Wigilia, Hansenowie płacili jej za popilnowanie ich trzyletniego syna Erica dwa dolary i pięćdziesiąt centów na godzinę. Caroline mogła oczywiście do woli plądrować lodówkę i zjeść wszystko, na co będzie miała ochotę.

Dziewczyna w ogóle nie zainteresowała się jednak zawartością lodówki. Od razu poszła do skrzynki z narzędziami pana Hansena, wyjęła z niej młotek i roztrzaskała Ericowi Hansenowi główkę na miazgę.

Hansenowie powiedzieli jej, że może korzystać telefonu, byle nie blokowała zbyt długo linii. Jej rozmowa z innym Obcym trwała zaledwie minutę, a później Obcy zjawił się po Caroline i razem pojechali na zachód, oddalając się od Indiany.

* * *

Nazywał się Friday, ale nie był sierżantem policji, lecz pracował w mundurze, patrolując ulice Los Angeles, na imię zaś miał Emil, nie Joe, co jednak nie zmniejszało liczby bzdur, które musiał wysłuchiwać.

Ilekczo wchodził do szatni, wszyscy idioci nucili temat z serialu *Oblawa* „Dum-de-dum-dum”.

Albo gdy zatrzymywał kierowcę za przekroczenie prędkości, słyszał pytanie dowcipnisa: „Funkcjonariuszu, czy pański numer odznaki to 714?”.

Dzisiaj wieczorem jednak Emil Friday nie miał czasu na irytowanie się z powodu własnego nazwiska. Była Wigilia i... Według jego słów: „Chryste, wszyscy zabijają wszystkich”.

Migające światła radiowozu dopraszały się pierwszeństwa na drodze, syreny grzmiały; pędzili na Sepulveda, gdzie doszło do napadu z użyciem noża. Radio huczało od doniesień o atakach snajperów, nożowników i innych świrów! Taki dyżur nazywa się piekielnym.

- Tylko co tu się, do cholery, dzieje?!

- Powiem ci, o co tu chodzi - odparł jego partner, Ralph Washburn, który prowadził wóz patrolowy. - To jest dobra pora na zabijanie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Że jak? - spytał Emil Friday.

Ralph skręcił nagle ostro w lewo i z piskiem opon wjechał na parking restauracji dla zmotoryzowanych.

- Co, u diabła...

Ralph obrócił się do niego. Trzymał pistolet, który wcisnął Emilowi w gardło i pociągnął za spust.

- I takie właśnie są fakty, Friday - wyjaśnił.

* * *

Śnieg padał sennie, pokrywając świat czystą białą widywaną jedynie w starych musicalach bożonarodzeniowych z Bingiem Crosbym. Buick regal wjechał na podjazd domu przy Walnut Street. Vern Engelking zatrąbił raz i krótko. Silnik pozostawił włączony.

- Która z nich? - zapytał.

- Dowiemy się - uciął Jan Pretre.

Frontowe drzwi otworzyły się i wyszła Marcy Louden. Była ubrana ciepło - w niebieski skafander z białymi wstawkami i kozaki. Kaptur skafandra wisiał na plecach dziewczynki.

- Och, Vern, szkoda, że nie możesz tego zobaczyć - rzucił nagle Jan Pretre. - Jej aura jest prawie oślepiająca. Nigdy takiej nie widziałem. Znacznie intensywniejsza, niż gdy dostrzegłem ją po raz pierwszy u was w domu.

Marcy powoli podeszła do samochodu.

- Michael nigdy się nie dowiedział?

- Michael sądził, że wie wszystko - odrzekł Jan Pretre.

Marcy usiadła z przodu między nimi.

- A więc? - spytał Jan Pretre.

- Powiedziałeś mi, że mam być gotowa i byłam gotowa, Jan. Użyłam nożyc do żywopłotu. Pochowałam w domu dużo innych przedmiotów, tak na wszelki wypadek, lecz nożyce załatwiły sprawę. No więc oni wszyscy nie żyją. - Marcy zachichotała słodko. - Nawet Chopper, świnka morska. Wykończyłam ją, tak jak tę drugą.

Vern Engelking wycofał samochód z podjazdu. Troje Obcych wjechało w cichą, śnieżną noc, by zabijać, zabijać i zabijać...

O AUTORZE

Cztery nominacje do Bram Stoker Award, cztery do Pushcart Prize, nagroda International Horror Guild oraz nominacja do nagrody Pulitzera. Mort Castle opublikował kilka powieści, setki opowiadań oraz dziesiątki komiksów. Bywał również dziennikarzem, pisywał i wykonywał gagi, tworzył dialogi do kreskówek oraz pracował w reklamie. Zredagował wydany przez Writer's Digest Books podręcznik dla początkujących pisarzy *WRITING HORROR: THE HORROR WRITERS ASSOCIATION HANDBOOK*. Jest jedynym żyjącym autorem, którego opowiadania znalazły się we wszystkich pięciu tomach uznanej serii *Masques* pod redakcją J.N. Williamsona, a wraz z legendarną gwiazdą bluesa KoKo Taylor (*Wang-Dang-Doodle*) oraz występującą na Broadwayu i w Hollywood aktorką Etel Billig (*Project Greenlight*) znalazł się na liście dwudziestu jeden najważniejszych chicagowskich artystów początku XXI wieku.

Chociaż ostatnie dwa zbiory opowiadań Castle'a *Moon on the Water* oraz *Nations of the Living, Nations of the Dead* zostały nominowane do wielu nagród, jego talent twórcy horrorów najlepiej chyba widać w powieściach: *Obcy* (*The Strangers*, opublikowanej w 1984 roku) i *Zaginione dusze* z 1990 roku (tłum. D. Górską, Amber, Warszawa 1992). „The Star” nazwało *Obcych* „powieścią, która od początku do końca nie przestaje przerażać”; obecnie rozważa się jej ekranizację. *Zaginione dusze*, które „zasługują, aby zostać uznane za klasykę”, ukazały się również w Niemczech (wydanie skrócone) oraz w Polsce, gdzie zyskały dodatek „Kilka słów o *Zagubionych duszach* od autora”: „Opisując wierzenia i obyczaje Cyganów w tej książce, opierałem się na gruntownych badaniach, jednakże

przy paru okazjach wymyśliłem cygańskie przysłowie lub bajkę. (...) Choć w powieści mowa jest o zboczeniach seksualnych - napastowaniu nieletnich, gwałtach, pedofilii i kazirodztwie - nie ma żadnych scen opisujących akty seksualne pomiędzy dorosłymi i dziećmi. (...) „,

Mort Castle jest popularny zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i poza granicami kraju, jego książki tłumaczono na francuski, japoński, włoski, hiszpański i inne języki. W 2001 roku fani na argentyńskiej premierze strony internetowej poświęconej fantasy i horrorowi, „Galaxia Cthulhu”, umieścili jego opowiadanie *If You Take My Hand, My Son* na czwartym miejscu wśród najlepszych krótkich horrorów wszech czasów. Castle'a wyprzedzili jedynie Poe, Lovecraft i Clive Barker. Pisarz odpowiedział: „*Gracias*”. Ma nawet w Grecji swój fanklub, który stworzył Dimitris G. Vekios.

Prowadząc warsztaty pisarskie i dając odczyty na całym świecie, choć głównie w Illinois, Mort Castle był wykładowcą na „2003 Story Week” (Columbia College), obejmującym swoim zasięgiem całe miasto festiwalu literackim, na którym pojawili się również Irvine Welsh, autor *Ślepych torów*, i Dennis Lehane, autor *Rzeki tajemnic*. W 2005 roku był gościem honorowym na dorocznym Światowym Konwencji Horroru, gdzie prowadził warsztaty pisarskie.

Mort Castle i Jane, jego żona od 33 lat, mieszkają w Crete, Illinois.